

Robert J. Sawyer

Starplex

Przełożyła Joanna Jędrzejczyk

Każdy pisarz SF powinien czuć się prawdziwym szczęściarzem, mając za bliskiego przyjaciela doktora fizyki, do tego prawnika, specjalizującego się w prawie autorskim. Dzięki Ci, Ari, że pomogłeś mi wystrzelić „Argo” w ten relatywistyczny rejs, obliczyć punkty Lagrange’a dla systemu Quintaglio, opracować chemiczną strukturę nowej formy materii i postawić przed sądem pozaziemskich wicherzycieli.

Podziękowania

Powieść ta wyłoniła się z chmury mych pierwotnych pomysłów dzięki pomocy wydawców: Susan Allison z Ace i dra Stanleya Schmidta z „Analogu”, a także: Richarda Curtisa, dra Ariela Reicha, kolegów po piórze: J. Briana Clarke’a, Jamesa Alana Gardnera, Marka A. Garlanda i Jean-Louisa Trudela, oraz nadzwyczajnego redaktora Howarda Millera i moich nader ciętych czytelników rękopisu: Teda Bleaneya, Davida Livingstone’a Clinka. Terence’a M. Greena, Edo van Belkoma, Andrew Weinera, i nade wszystko dzięki mojej ukochanej żonie, Carolyn Clink.

Chociażby nawet kręgosłup moralny ludzkości był bardzo długi,
to i tak wygina się w stronę sprawiedliwości.

Martin Luther King jr

ALFA DRACONIS

Drogo przyjdzie za to zapłacić...

Przy 0-g Keith Lansing bujał swobodnie w nieważkości. Zazwyczaj łapał wtedy chwilę wytchnienia. Zazwyczaj - lecz nie dziś. Westchnął ciężko i potrząsnął głową. Rekonstrukcja *Starplex* pochłonie miliardy. Ilu obywateli Wspólnoty poniosło śmierć? Keith nie śmiał wybiegać myślą w przyszłość. Wszystko się okaże podczas generalnego dochodzenia, które zresztą nie wcale było mu potrzebne do szczęścia.

Zdumiewające odkrycia, nieoczekiwany kontakt z cywilizacją matmatów - wszystko mogło pójść na marne w obliczu politycznych zatargów, a nawet międzygwiazdnej wojny.

Keith wcisnął błyskający na konsoli, zielony przycisk startu. Donośny huk stłumiony przez osłonę z pancernego szkła obwieścił, że kapsuła podróżna wystartowała, wyczepiwszy się z pierścienia cumowniczego w tylnej ścianie doku. Cały przebieg lotu był zaprogramowany w pamięci pokładowego komputera - wyjście z doku bazy *Starplex*, dotarcie do skrótu, aktywacja portalu, transfer na peryferia Tau Ceti i wreszcie doprowadzenie kapsuły do którejś ze śluz cumowniczych Wielkiej Centrali. Główna stacja kosmiczna Narodów Zjednoczonych sprawowała kontrolę nad komunikacją przez skrót położony najbliżej Ziemi.

Wszystko było z góry ustalone, więc Keith przez całą drogę nie miał nic do roboty. Mógł jedynie łamać sobie głowę nad tym, co się stało.

Pogrążony w myślach, nie zastanawiał się nad istotą czekającego go lotu, a było to zjawisko graniczące z cudem. Cóż, podróże pozwalające w mgnieniu oka pokonać przestrzeń połowy galaktyki stały się codziennością. Dawno przebrzmiały echa fascynacji sprzed osiemnastu lat, gdy Keith zetknął się z odkryciem całej sieci skrótnów - rozległej sieci w sztuczny sposób stworzonych „bram”, przenikających Galaktykę i pozwalających na błyskawiczne przemieszczanie się z jednego jej punktu do drugiego. Wtedy gotów był uznać, że ma do czynienia z magią. Ostatecznie zaledwie dwadzieścia lat wcześniej większość ziemskich zasobów pochłonęło założenie dwóch pierwszych kolonii: Nowego Pekinu na Tau Ceti IV, oddalonej zaledwie o 11,8 roku świetlnego od Słońca, oraz Nowego Nowego Jorku na Epsilon Indi III, odległej jedynie o 11,2 roku świetlnego.

Obecnie jednak ludzie swobodnie przemieszczali się z jednego krańca galaktyki na drugi.

Nie tylko ludzie. Mimo że budowniczy skrótów pozostali nieznani, istniały na Drodze Mlecznej inne inteligentne formy życia: Waldahudeni oraz Ibowie. Rasy te, wraz z ludźmi i delfinami z Ziemi, ustanowiły przed jedenastu laty Wspólnotę Międzyplanetarną.

Kapsuła Keitha dotarła do wylotu śluzy dwunastej i poszybowała w przestrzeń. Pojazd przypominał przezroczysty kokon, zapewniający pasażerowi bezpieczeństwo przez wiele godzin. W wąskim białym pierścieniu na obwodzie kapsuły mieściło się wyposażenie niezbędne dla utrzymania człowieka przy życiu i sterownicze dysze napędowe. Mężczyzna odwrócił głowę, by rzucić okiem na pozostający w tyle statek macierzysty.

Doki śluz cumowniczych mieściły się na obrzeżu wielkiego dysku centralnego stacji. Gdy kapsuła oddaliła się jeszcze bardziej, Keith zobaczył trójkątne, łączone wzdłuż linii pionowej, moduły mieszkalne, cztery na górze i cztery pod spodem dysku.

Chryste... - jęknął w duchu, widząc swój statek w takim stanie. - Jezu Chryste!

Okna czterech niższych modułów były kompletnie pozbawione światła. Gdy kapsuła zniżyła lot, Keith spojrzał na dysk, posiekany smugami laserowego ognia. Przez wielką okrągłą dziurę w miejscu, gdzie cylindryczny fragment grubości dziesięciu pokładów został wycięty z centralnej płaszczyzny, przeświecały gwiazdy.

Drogo przyjdzie za to zapłacić - powtórzył w myślach. - Cholernie drogo...

Odwrócił się i wbił wzrok w przestrzeń przed sobą. Dawno już zrezygnował z wypatrywania na niebie jakiegokolwiek śladu obecności skrótów. Nieskończenie małe punkty były niewidoczne, dopóki coś nie weszło z nimi w bezpośredni kontakt. Wtedy nagle rozszerzały się, by przenieść na drugą stronę przedmiot, który się z nimi zetknął. Mężczyzna zerknął na konsolę - jego kapsuła osiągnie cel w ciągu czterdziestu sekund.

Na pokładzie Wielkiej Centrali Keith powinien spędzić co najmniej osiem godzin - wystarczająco dużo, by skonsultować się z premier Petrą Kenyatta i złożyć meldunek o nieoczekiwanym ataku na *Starplex*. Miał nadzieję, że przez ten czas Jag i Butlonos zdobędą informacje dotyczące innego, znaczącego problemu.

Tryskając nieregularnie płomieniami, zadziały silniki manewrujące. Aby otworzyć tutejszy skrót i wyjść z sieci w systemie Tau Ceti odrzut dyszy sterujących

musiał pchnąć statek wstecz, obniżając pułap lotu. Gwiazdy ruszyły z miejsca, gdy kapsuła skorygowała lot i ustawiła pod odpowiednim kątem.

Wtedy nastąpił kontakt. Przez przejrzystą osłonę, Keith ujrzał wokół pojazdu purpurowy blask bezwymiarowej granicy oddzielającej dwa sektory Galaktyki. Przez chwilę widział jeszcze niesamowite, zielone światło strefy, którą opuścił, podczas gdy przed nim w górze lśnił różowy obłok mgławicy.

Mgławicowy obłok? To niemożliwe. Nie w systemie Tau Ceti.

Lecz gdy kapsuła zakończyła manewr, nie miał wątpliwości: wylądował w jakimś innym miejscu. Piękna, lśniąca różowo mgławica przypominała smukłą, sześciopalczystą dłoń przykrywającą ćwierć nieba. Keith obrócił się w fotelu, obserwując otoczenie. Znał na pamięć konstelacje otaczające Tau Ceti, dostrzegalne również z Ziemi, lecz ustawione pod nieco innym kątem. Przede wszystkim mógł widzieć gwiazdozbiór Wolarza, z jaśniejącym Arkturem i samo Słońce. Teraz otaczały go obce gwiazdy.

Keith poczuł nagły przypływ adrenaliny. Nowe sektory kosmosu otwierały się wtedy, gdy nabierały istotnego znaczenia dla sieci. Niewątpliwie musiał to być jeden z wielu skrótów należących do szyku, pozwalający pod bardziej precyzyjnym kątem określić współrzędne przejścia do Tau Ceti.

Bez paniki - pomyślał Keith. - Trzeba to rozgryźć na spokojnie.

Prawdopodobnie przeciął skrót pod nieco innym kątem, choć na pewno nie ominął matematycznego wierzchołka stożka, w którym zbiegały się dopuszczalne kąty wejścia prowadzące do Wielkiej Stacji Centralnej.

Czyli następny nowy sektor, w sumie piąty tego roku. *Boże...* westchnął. Jak na ironię, aby dosztukować połowę *Starplex* będą musieli rozłożyć na kawałki prawie ukończoną bliźniaczą stację. Gdyby nie to, w tej sytuacji mogliby ją natychmiast wykorzystać jako następną bazę eksploracyjną.

Keith sprawdził rejestratory lotu, upewniając się, że będzie mógł stąd zawrócić. Przyrządy działały bez zarzutu. Miał co prawda ochotę na mały rekonesans, aby zbadać, co nowy sektor może zaoferować, lecz kapsuła podróżna była przeznaczona wyłącznie do szybkiej komunikacji przez skróty. Poza tym, jako dowódca, miał przed sobą służbowe spotkanie, do którego pozostało niespełna czterdzieści pięć minut. Sprawdził na pulpicie kontrolnym, czy istnieją inne możliwości przejścia przez system Odtworzył współrzędne

trasy lotu, i zmarszczył brwi. Co się dzieje? Przeszedł pod idealnym kątem prowadzącym do Tau Ceti. Nigdy nie słyszał o przypadku nieudanego transferu, a jednak... Gdy uniósł wzrok, ujrzał nad kapsułą obcy statek.

Przypominał smoka - ze smukłym, węzowato falistym kadłubem i półkolistymi rozłożystymi skrzydłami. Zarys statku tworzyły łagodne krzywe i zaokrąglone krawędzie; zielonkawobłękitnej powierzchni nie szpeciły żadne detale typu okien, luków, blizn spoin czy rzucających się w oczy silników. W pobliżu nie było jasnych gwiazd, więc emanował własnym światłem, skoro ślad cienia nie ukrywał najmniejszego fragmentu jego poszycia. *Starplex* też był piękny, przynajmniej zanim odniósł bitewne rany, lecz nadal działał... no i wyglądał na dzieło istot rozumnych, przynajmniej według Keitha. Jednak w porównaniu z nim obcy statek sprawiał wrażenie dzieła sztuki.

Kosmiczny smok płynął prosto w kierunku kapsuły. Czytniki na konsoli podały jego wielkość - niemal kilometr długości. Mężczyzna chwycił ster, chcąc jak najszybciej usunąć się z drogi, lecz olbrzym nagle zamarł w bezruchu w odległości piętnastu metrów od maleńkiego, przezroczystego bąbla.

Serce Keitha waliło jak oszalałe. Kiedy w Sieci pojawiał się nowy skrót, podstawowym zadaniem załogi *Starplex* było poszukiwanie jakichkolwiek śladów inteligencji, która go otworzyła. W obecnej sytuacji, na pokładzie jednoosobowej kapsuły nie posiadał aparatury sygnalizacyjnej, ani wyspecjalizowanych komputerów niezbędnych w razie próby nawiązania kontaktu.

Poza tym, gdy jeszcze przed chwilą obserwował niebo, nie widział żadnego statku. Pojazd, który potrafił poruszać się błyskawicznie, by za moment znieruchomieć, musiał być wytworem techniki na najwyższym poziomie. Keith niemal tracił głowę. Przydałoby mu się teraz całe wyposażenie „*Starplexa*”, albo przynajmniej jeden ze statków przeznaczonych do misji dyplomatycznych, przechowywanych w dokach stacji. Uruchomił program, który powinien skierować kapsułę z powrotem w okolice skrótu. Bez skutku. No, niezupełnie bez skutku.

Obejrawszy się, ujrzał płomienie strzelające z dysz napędowych umieszczonych na obwodzie pierścienia otaczającego kabinę. Pojazd nawet nie drgnął; gwiazdy w tle pozostawały nieruchome. Coś go przytrzymało, ale robiło to niezwykle delikatnie. Kapsuła podróżna była krucha, w uścisku standardowego manipulatora siłowego osłona

trzeszczałyby w szwach.

Keith znów spojrzął na piękny obcy statek i właśnie wtedy poniżej jednego z wygiętych skrzydeł zaszła pewna zmiana. Nie zauważył ruchu opadających grodzi. Kwadratowy otwór w brzuchu smoka - niewątpliwie śluza - pojawił się nagle, po prostu znikąd. Kapsuła ruszyła w przeciwnym kierunku, niż jej polecił, zmierzając w stronę kosmicznego olbrzyma.

Poczuł falę irracjonalnej paniki. Zawsze pragnął uczestniczyć w pierwszym kontakcie, lecz wolał, żeby nastąpiło to na równych warunkach. Poza tym, nie wiedział, co go czeka, a bądź co bądź miał żonę, do której chciał wrócić, syna na uniwersytecie i swoje własne życie, z którego ani myślał rezygnować.

Gdy kapsuła wpłynęła do środka, błyskawicznie pojawiła się ściana, oddzielająca śluzę od reszty kosmosu. Światło wewnątrz padało ze wszystkich stron. Mały pojazd musiał być wciąż asekurowany polem siłowym - inaczej roztrzaskałby się o przeciwległą ścianę. Mężczyzna nie mógł jednak nigdzie dostrzec emitera.

Kapsuła ruszyła w dalszą podróż, a jej pasażer próbował przeanalizować sytuację. Na pewno otworzył skrót pod idealnym kątem, by dotrzeć do Tau Ceti - procedura przebiegała bezbłędnie. A jednak jakimś cudem został... został ściągnięty tutaj...

Mogło to oznaczać tylko jedno: ktokolwiek sterował tym kosmicznym monstrem, wiedział więcej o skrótach, niż wszystkie rasy Wspólnoty razem wzięte. I wtedy przyszło olśnienie. I pewność. Straszliwa pewność. *Czas zapłacić za bilet...*

I

Odkrycie okazało się istnym darem niebios. Rzeczywiście całą Drogę Mleczną przenikała rozległa sieć skrótów - sztucznych tworów, umożliwiających błyskawiczne podróże do odległych systemów gwiazdnych. Nikt nie wiedział, kto i po co zbudował skrót. Wysoce rozwinięta rasa, która je stworzyła, nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, prócz punktów transferowych.

Obserwacje prowadzone z pomocą hiperprzestrzennych teleskopów wskazywały na istnienie w naszej galaktyce około czterech miliardów odrębnych skrótów. Na każde sto gwiazd przypadał co najmniej jeden. Były to punkty łatwe do zlokalizowania w hiperprzestrzeni, gdyż otaczała je charakterystyczna, sferyczna chmura orbitujących tachionów. Jednak z tej wielkiej liczby skrótów tylko dwadzieścia cztery objawiły swoją aktywność. Inne po prostu istniały i, jak dotąd, nie znaleziono sposobu, by je wzbudzić.

Skrót najbliższy Ziemi leżał w obłoku Oorta, w systemie Tau Ceti. Stąd statki mogły przeskoczyć siedemdziesiąt tysięcy lat świetlnych i dotrzeć do Rehbollo - rodzimej planety Waldahudenów. Mogły również pokonać pięćdziesiąt trzy tysiące lat świetlnych - i trafić w okolice Monotonii, ojczyzny dziwacznej rasy Ibów. A na przykład skrót w pobliżu Polaris, oddalony od Ziemi zaledwie o osiemset lat świetlnych był niedostępny, uśpiony jak większość pozostałych.

Poszczególne skrót nie mógł służyć jako wyjście dla statku nadlatującego z innych skrótów, dopóki nie został najpierw wykorzystany jako wejście w swoim rejonie. A zatem skrót w Tau Ceti nie mógł być punktem kontaktowym dla innych ras, dopóki Narody Zjednoczone nie wysłały osiemnaście lat temu sondy, która miała powrócić w 2076 roku. Trzy tygodnie później z tego samego punktu wyłonił się statek Waldahudenów - zakończyła się dotychczasowa samotność ludzi i delfinów.

Na temat funkcjonowania sieci i jej przeznaczenia powstała wtedy teoria, głosząca, że wszystkie sektory galaktyki prawdopodobnie podlegają kwarantannie, dopóki nie osiągną technicznej dojrzałości. Biorąc pod uwagę niewielką liczbę czynnych skrótów, wielu próbowało dowodzić, że dwa inteligentne ziemskie gatunki: homo sapiens i lursiops truncatus należą do pierwszych ras w galaktyce, które osiągnęły ten poziom.

Rok później statki z planety Ibów dokonały przeskoku do systemu Tau Ceti i w

okolice Rehbollo. Wkrótce cztery rasy jednomyślnie zawarły eksperymentalny sojusz, tworząc Międzyplanetarną Wspólnotę.

W celu rozszerzenia sieci aktywnych skrótów, każda z planet wysłała przed siedemnastu laty trzydzieści tak zwanych bumerangów. Sondy te mknęły z maksymalną hiperprędkością - dwadzieścia dwa razy większą niż prędkość światła - w kierunku uśpionych dotychczas punktów, otoczonych przez tachionowe aureole umożliwiające ich lokalizację. Zadaniem każdego bumeranga było uaktywnienie skrótów przez przejście i powrót, czyniące z niego ważne wyjście z sieci.

Dotychczas bumerangi udostępniły dwadzieścia jeden dodatkowych punktów przerzutowych w promieniu 375 lat świetlnych od każdego z trzech zamieszkałych światów. Początkowo sektory te były badane przez małe statki zwiadowcze. Członkowie Wspólnoty zdali sobie jednak sprawę, że niezbędne jest rozpoznanie o szerszym zasięgu. Dokonać tego mógł wyłącznie gigantyczny statek baza, przesyłający na bieżąco wyniki badań. Nie służyłby tylko jako stacja przekaźnikowa w trakcie wstępnej, decydującej eksploracji nowego sektora, ale w razie potrzeby miał sprawować funkcję ambasady całej Wspólnoty.

W ten sposób, w roku 2093 powstał *Starplex*. Sponsorowany przez trzy planety Unii, zbudowany w stoczniach orbitalnych Rehbollo pojazd był największą konstrukcją, jaką kiedykolwiek stworzyła każda z inteligentnych ras w celu eksploracji kosmosu. Statek miał 290 metrów średnicy, wysokość siedemdziesięciu pokładów, pojemność 3,1 miliona metrów sześciennych. Stanowił przestrzeń życiową tysiącosobowej, mieszanej załogi, posiadał też hangary dla pięćdziesięciu czterech pomocniczych jednostek o różnym przeznaczeniu.

Starplex przemierzył obszar 368 lat świetlnych galaktyki na północ od Monotonii, badając okolice nowo uaktywnionego skrótów. Najbliżej położona gwiazda, oddalona o ćwierć roku świetlnego, była subgigantem klasy F. Nie posiadała systemu planetarnego, otaczały ją tylko cztery pasy asteroidów. Tak daleka, bezprecedensowa misja - i żadnych istotnych obserwacji astronomicznych, ani śladu jakichkolwiek obcych sygnałów radiowych... Członkowie załogi postanowili rozszerzyć program badawczy. Następny bumerang powinien w ciągu siedmiu dni osiągnąć cel: dotrzeć do skrótów, oddalonych o 376 lat świetlnych od Rehbollo. Zadaniem *Starplex* będzie zbadanie tego sektora.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem - do czasu...

- Lansing, musisz mnie wysłuchać.

Keith Lansing, schodzący właśnie zimnym korytarzem, westchnął i zatrzymał się. Naturalny głos Jaga brzmiał jak szczekanie psa, przeplatane od czasu do czasu syknięciami i warknięciami, wtrącanymi dla zachowania rytmu wypowiedzi. Ton słów płynących z translatora, przełożonych na angielski ze staromodnym brooklyńskim akcentem, brzmiał niewiele lepiej: był szorstki, opryskliwy, irytujący.

- O co chodzi, Jag?

- O podział uprawnień i wyposażenia na pokładzie *Starplex* - zaszczekał Jag. - Jest niesprawiedliwy i ty jesteś temu winien. Żądam, abyś to naprawił przed następnym skokiem. Z premedytacją ignorujesz sekcję fizyków, dając przywileje biologom. Jag był Waldahudenem, kudłatą, świniopodobną kreaturą o sześciu kończynach. Gdy na Rehbollo dobiegła końca ostatnia epoka lodowcowa, czapy polarne na biegunach rozpuściły się, zatapiając kontynenty, i pokryły siecią rzek ocalałe resztki lądów. Przodkowie Waldahudenów przystosowali się do ziemnowodnego trybu życia. Warstwa tłuszczu i gęste, brunatne futro stanowiły dla ich ciał naturalną izolację przed chłodem i lodowatym nurtem rzek, w których żyli. Keith wziął głęboki oddech i spojrzał na Jaga. - *To obcy, wbij to sobie do głowy... Inny sposób myślenia, inne obyczaje.*

- Nie mówię, że ten podział jest sprawiedliwy - zaczął pojednawczym tonem, lecz Jag natychmiast mu przerwał.

- Dajesz pierwszeństwo sekcji nauk przyrodniczych, bo jesteś związany z osobą stojącą na jej czele - zaszczekał.

Keith zdobył się na półuśmiech, wbrew narastającej fali niepoohamowanej wściekłości.

- Rissa stawia mi nieraz całkiem przeciwne zarzuty. Ma mi za złe, że ograniczam jej uprawnienia i opóźniam postęp badań, spełniając twoje zachcianki.

- Ona tobą manipuluje, Lansing. Ona...zaraz, jak brzmi to wasze przysłowie? Ona „owinęła sobie ciebie wokół małego palca”.

Mężczyznę ogarnęła nieodparta ochota, by pokazać Jagowi pewien gest innym palcem. *Oni wszyscy są tacy* - pomyślał z odrazą. Cała planeta kłótlivych, szukających guza, wyszczekanych świń. Ostatnim wysiłkiem woli stłumił niecierpliwość.

- Czego ty właściwie chcesz, Jag?

Waldahuden podniósł lewą, wyżej umieszczoną rękę i znacząco przytknął toporne, włochate paluchy do prawego, górnego ramienia.

- Dwie dodatkowe sondy wyłącznie na użytek misji badawczych prowadzonych przez sekcję fizyki. Dodatkową bazę danych w pamięci Centralnego Komputera do dyspozycji astrofizyków. Powiększenie personelu o dwadzieścia osób.

- Rozszerzenie stanu personalnego jest niemożliwe - zareagował natychmiast Keith. - Nie mamy pomieszczeń, żeby ich zakwaterować. Zobaczą, co się da zrobić w sprawie twoich pozostałych żądań. - Po krótkiej pauzie dorzucił: - A tak na przyszłość... Dobrze by było, Jag, gdybyś wbił sobie do głowy, że o wiele łatwiej mnie przekonać, nie mieszając do sprawy mojego życia prywatnego.

Jag warknął gniewnie.

- Wiedziałem! - głos tłumacza oddawał gniewną irytację. - Wiedziałem, że opierasz decyzje na osobistych odczuciach, a nie na słuszności argumentów. Doprawdy, nie nadajesz się na stanowisko dyrektora.

Keith czuł, że za chwilę eksploduje. Jeszcze trzymał nerwy na wodzy, zamknął oczy, próbując przywołać w wyobraźni jakąś uspokajającą wizję. Spodziewał się ujrzeć twarz swojej żony, lecz obraz w jego umyśle zajęła pewna azjatycka ślicznotka, dwadzieścia lat młodsza od Rissy. Tego było już za wiele. Błyskawicznie otworzył oczy.

- Słuchaj, ty... - wykrztusił drgającym z wściekłości głosem. - Gwiżdżę na to, czy ci się podoba czy nie, że właśnie mnie wybrano na dyrektora. Grunt, że jestem dyrektorem *Starplex*, i mam zamiar nim być przez najbliższe trzy lata. Nawet gdybyś znalazł sposób, żeby usunąć mnie ze stanowiska przed tym terminem, obowiązuje prawo rotacji, w myśl którego moim następcą będzie przedstawiciel rasy ludzkiej. Jeżeli dopniesz swego, albo tak mi zaleziesz za skórę, że zrezygnuję z własnej woli - i tak będziesz składał meldunki przed człowiekiem, a któremuś z nas właśnie ty... - tu Keith ugryzł się w język, by nie dodać „ty świnió”, i dokończył - ...właśnie ty możesz nie przypaść do gustu. Skończyłem.

- Ta postawa potwierdza twoją nieodpowiedzialność, Lansing. Żądałem środków zaradczych, mając na celu tylko dobro naszej misji.

Człowiek westchnął z rezygnacją. Czuł się już za stary na próżne gadanie.

- Bez dyskusji, Jag. Otrzymałeś moją odpowiedź. Zrobię, co w mojej mocy.
Dwie pary nozdrzy Waldahudena gniewnie zadrgały.

- Jestem zdumiony - szczechnął. - Nawet Królowa Trath zawsze wierzyła, że możemy współpracować z ludźmi.

Stwór okręcił się na czarnych kopytach i pomaszerował w dół korytarza, nie mówiąc już ani słowa.

Keith stał bez ruchu jeszcze dwie minuty, robiąc ćwiczenia oddechowe, dla uspokojenia rozszalałych nerwów. Po czym ruszył wzdłuż zimnych ścian w kierunku windy.

Na pokładzie *Starplex* Keith Lansing i jego żona Clarissa Cervantes zajmowali standardowy apartament, przystosowany do potrzeb przedstawicieli ludzkiego gatunku. Pomieszczenie składało się z salonu, wygiętego na kształt litery L, sypialni, małego gabinetu z dwoma biurkami oraz dwóch łazienek: jednej z wyposażeniem przeznaczonym dla ludzi i uniwersalnej, zaopatrzonej w przybory niezbędne dla innych ras. Kuchni nie przewidziano, lecz Keith, który był zawołanym kucharzem, jakoś przemycił na pokład niewielki piecyk, by nie rozstawać się ze swym hobby.

Główne drzwi apartamentu właśnie się rozsunęły. Keith wpadł do środka jak burza. Rissa przyszła nieco wcześniej i właśnie szykowała sobie codzienną, popołudniową kąpiel. Słyszając męża, wyszła nago z łazienki.

- Cześć, Chesterton - zażartowała z uśmiechem, lecz za chwilę spoważniała. Keith domyślił się, że dostrzegła wzburzenie na jego twarzy. - Czy coś się stało? - spytała z troską.

Mężczyzna bez słowa usiadł na tapczanie. Miał przed oczami tarczę do rzutek, którą Rissa powiesiła na ścianie. Trzy lotki tkwiły w maleńkim, oznaczonym sześćdziesiątką punkcie, najwyższym w trójstopniowej skali. W tej konkurencji Rissa była pokładowym mistrzem.

- Jag znów mnie prowokował - rzekł wreszcie Keith.

Kobieta ze zrozumieniem skinęła głową

- Taką już ma naturę - westchnęła - Oni wszyscy są tacy

- Wiem, wiem Lecz - Chryste! Ciężko to czasem wytrzymać.

Jedną ze ścian ich apartamentu zajmowało prawdziwe, ogromne okno, przez które widzieli otaczającą stację, gwiazdne przestworza, zdominowane intensywnym blaskiem pobliskiej gwiazdy typu F

W dwóch innych ścianach zamontowano hologramy, wyświetlające ziemskie widoki. Keith pochodził z Calgary w Albercie. Rissa przyszła na świat w Hiszpanii. Dlatego jeden z hologramów przedstawiał polodowcowe jezioro Lake Louis i imponujący masyw kanadyjskich Gór Skalistych wznoszący się w tle krajobrazu. Na drugim uwieczniono panoramę Madrytu z jego fascynującą architekturą, urzekającą mieszankę stylów szesnastego i dwudziestego pierwszego wieku.

- Przeczuwałam, że niedługo się zjawisz - Rissa zmieniła temat - Specjalnie czekałam, żeby wykapać się razem z tobą.

Było to dla Keitha miłe zaskoczenie. Jako świeżo zaślubiona para uwielbiali wspólne kąpiele, lecz było to dwadzieścia lat temu i z czasem spowszedniało. Konieczność co najmniej dwukrotnej kąpieli w ciągu dnia, łagodzącej nieznośny dla Waldahudenów zapach ludzkich ciał, stała się drażniącym, monotonnym rytuałem. Może to zbliżająca się dwudziesta rocznica ich ślubu wprawiła Clarissę w romantyczny nastrój.

Keith posłał żonie uśmiech i zaczął zdejmować ubranie. *Starplex* krańcowo różnił się od maszyn, jakie Lansing pamiętał z lat młodości, na przykład statku *Lester B Pearson*, którym powracał z miejsca pierwszego kontaktu z Waldahudenami. Wtedy musiał się zadowolić kąpielą soniczną. Nawet nie marzył o miniaturowym oceanie na pokładzie własnej jednostki.

Wszedł do łazienki. Clarissa stała już pod prysznicem, strumienie wody spływały z jej długich, czarnych włosów. Niegdyś stał zawsze w pobliżu, czekając, aż żona umyje głowę i będzie musiała prześliznąć się tuż obok. Rozkoszą przejmował go dotyk jej wilgotnego ciała. Od tego czasu minęło wiele lat. Keith stracił połowę bujnej czupryny, a to co zostało, ścinał bardzo krótko Teraz z pasją szorował ostrzyżoną głowę, wyładowując całą wściekłość nagromadzoną z powodu Jaga.

Keith i Rissa namydlili sobie plecy i weszli pod prysznic. Mężczyzna szybko się opłukał i wyszedł spod strumienia wody. Gdyby nie rozpierająca go złość, to - kto wie? Może daliby się ponieść fali pożądania, lecz w tej sytuacji. Zaklął w myśli i zaczął się nerwowo wycierać

- Nienawidzę tego - rzucił przez zęby.
- Wiem - szepnęła Rissa
- Nie czuję nienawiści do Jaga. To niezupełnie tak Ja właściwie nienawidzę samego siebie - Energicznie szorował ręcznikiem plecy - Mam klapki na oczach, zdaję sobie sprawę, że Waldahudeni mają inne podejście do życia. Wiem o tym i próbuję się z tym oswoić. A jednak, gdy przyjdzie co do czego, Chryste, nie cierpię nawet tak myśleć - oni wszyscy są tacy sami agresywni, wyszczekani, nachalni. Nie spotkałem wyjątku od tej reguły - Przerwał i sięgnął po dezodorant - Zawsze doprowadzało mnie do szału pokutujące wśród ludzi przekonanie, że znam kogoś na wylot, gdyż wiem do jakiej należy rasy. Co za parszywa teoria. A teraz sam, z dnia na dzień staję się jej wyznawcą - Mężczyzna westchnął z goryczą - Waldahuden i świnia. Świnia i Waldahuden. Dla mnie to jedno i to samo.

Clarissa również skończyła się wycierać. Założyła świeżą bieliznę, a na to wełnianą bluzę z długim rękawem.

- Oni też mają wyrobione zdanie na nasz temat - mruknęła - Przedstawiciele ludzkiej rasy to słabeusze, niezdolni do podjęcia konkretnych decyzji. W ogóle nie posiadają korbaydin.

Keith uśmiechnął się lekko, słysząc waldahudenskie słowo w ustach żony

- Ja również jestem człowiekiem. Dlatego mam tylko dwie ręce a nie cztery, lecz służą mi doskonale - dokończył. Odział się w sportowe szorty i sięgnął po spodnie z brązowego, elastycznego drelichu, ściśle dopasowane w talii.

- Jak do tej pory ich skłonność do ogólników niczego nie ułatwiła - westchnął poirytowany - Z delfinami nie mieliśmy tych problemów.

- Delfiny są inne - rzekła kobieta z zadumą, wciskając się w parę czerwonych spodni - Może właśnie w tym tkwi odpowiedź. To gatunek zbyt różny się od naszego, więc akceptujemy ich odmiennosc. Sęk w tym, że Waldahudeni są podobni do ludzi. Mammy z nimi za dużo wspólnych cech.

Podeszła do toaletki Naturalny wygląd stał się normą, przyjętą zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet, więc Rissa nie robiła makijażu. Za to przypięła kolczyki, każdy z brylantem wielkości małego winogrona. Import diamentów z Rehbollo zniweczył wartość naturalnych szlachetnych kamieni, lecz królewskie piękno tych klejnotów było

niepowtarzalne.

Keith również kończył toaletę Na syntetyczną koszulkę, ozdobioną brązowym wzorkiem w rybie ości, włożył beżowy rozpinany sweter Na szczęście wraz z nadejściem ery kosmicznej ludzkość postanowiła odrzucić wszelki utrudniający życie balast. Na pierwszy ogień poszły marynarka i krawat, co panowie przyjęli z ulgą, nienaganny oficjalny strój wreszcie przestał zaprzętać im głowę. Na Ziemi, przy podziale tygodnia na trzy dni robocze i cztery wolne od pracy, zatarła się różnica pomiędzy ubiorem urzędowym a codziennym.

Mężczyzna spojrział na żonę. Była kiedyś piękna była wciąż jest piękna, mimo czterdziestu czterech lat. Może powinni pójść do łóżka właśnie teraz co z tego, że są już ubrani? Z kolei te szalone myśli ...

- Karendaughter do Lansinga

O wilku mowa Keith westchnął i podniósł głowę

- Tak, słucham? - rzucił w eter.

Ze ściennego głośnika popłynął głęboki głos Lianny Karendaughter

- Keith - fantastyczne wieści! WHAT właśnie przerzucił nam watsona z wiadomością, że w sieci pojawił się nowy skrót!

Dowódca uniósł brwi

- Czy bumerang dotarł do Rehbollo 376A przed wyznaczonym terminem?

Bywały takie przypadki. Obliczenia robione dla międzygwiazdnej przestrzeni nieraz płatały figle.

- Nie. To inny skrót Pojawił się w sieci, gdyż coś albo jeśli mamy szczęście - ktoś dokonał wyjścia w tym regionie.

- Czy mamy już jakieś sygnały ze światów Wspólnoty?

- Jeszcze nie - ciągnęła Lianna podekscytowana - Odkryliśmy ten punkt w sieci tylko dlatego, że nasza jednostka transportowa niebezpiecznie zboczyła z kursu w jego stronę

Keith z miejsca był na nogach

- Wydaj nakaz powrotu dla wszystkich sond - zadysponował - Wezwij na mostek Jaga, ogłaszam stan pogotowia na wszystkich stanowiskach w związku z możliwością kontaktu pierwszego stopnia. Wpadł jak burza na korytarz, Rissa deptała mu po piętach

BETA DRACONIS

Keith uważnie rozejrzał się dookoła. We wnętrzu śluzy obcego statku, jednolitym jak powierzchnia zewnętrzna, nie zauważył widocznych detali. Żadnych spawów, aparatury, czy śladów spójń wzdłuż gładkich krawędzi świecących ścian.

Od chwili odkrycia skrótów prasa z upodobaniem krążyła wokół powiedzenia sprzed stu lat - pamiętnych słów zamieszkałego na Sri Lance pisarza, Artura C. Clarke'a: „Żadna wystarczająco rozwinięta technologia nie różni się niczym od magii”. Skrót był magią.

Był nią także ten piękny obcy statek. Wehikuł, którego sposób przemieszczania się przeczył prawom fizyki Newtona...

Keith wziął głęboki oddech. Przewidywał, na co się zanosi. Czuł to przez skórę. Jeszcze chwila - i pozna budowniczych skrótów.

Kurs kapsuły w komorze śluzy uległ zmianie. Pojazd łagodnie spłynął w dół, osiadając na litej płaszczyźnie podłoża. Powracało ciężenie. Narastało powoli, stopniowo. Mężczyzna opadł na podłogę. Grawitacja wciąż się wzmagala, dochodząc do poziomu uznanego na *Starplex* za standardowy i nadal nieubłaganie rosła. Keith walczył z falą paniki, ogarniającej go na myśl, że zostanie zgnieciony na galarete.

W końcu proces ustał. Człowiek odetchnął. Oszacował, że wartość ciężenia odpowiada w przybliżeniu grawitacji panującej w jego kabinie na statku. Było o dziewięć procent wyższe od ogólnie przyjętej we Wspólnocie normy i nie przekraczało ziemskiej przeciętnej ciężenia na poziomie morza. A wtedy, nagle... Otoczenie stało się znajome. To była Ziemia.

Skraj lasu mieszanego... Klony i świerki, wznoszące swe korony do nieba, przesyconego odcieniem błękitu, nie spotykanego na żadnej innej planecie. Jasność, identyczna z blaskiem promieni Słońca, równie mocna, jak światło sterylnych, dezynfekcyjnych lamp, w apartamencie przydzielonym dla niego i Rissy na *Starplex*. Po prawej stronie migotała, okryta kobiercem lilii wodnych, tafla jeziora o brzegach porośniętym sitowiem. Nad głową ujrzał z niedowierzaniem przelatujący klucz kanadyjskich dzikich gęsi, a w tle obraz rozwiewający wszelkie wątpliwości - przybladły w świetle dziennym krąg księżyca, na którego tarczy dominował wyraźny kontur Morza

Spokoju i obok niego na prawo mniejszy owalny zarys Morza Przesilen.

Oczywiście, to tylko złudzenie. Wirtualna rzeczywistość, stworzona specjalnie dla niego, aby mógł czuć się jak w domu. Może obcy potrafili jego odtwarzać wspomnienia, lub mieli już okazję spotkać podróżników z Ziemi.

Niewielka jednostka podróżna nie posiadała wyspecjalizowanych czujników. Niemniej jednak wyglądało na to, że w pomieszczeniu śluzy jest powietrze. Słyszał... na Boga, słyszał wyraźnie cykanie świerszczy, rechotanie żab i charakterystyczne, przeciągłe krzyki nura. Odgłosy spoza statku przenikały z łatwością przez osłonę kapsuły. Pobranie próbek nie wchodziło w grę, lecz przecież niemożliwe, by twórcy tej dekoracji zadbali o szczegółowo dopracowane detale, a nie potrafili stworzyć prostej mieszanki gazowej, niezbędnej człowiekowi do oddychania.

No tak... westchnął Keith. To miał być zwykły, rutynowy lot do Tau Ceti. Przed startem nawet nie zwracał sobie głowy sprawdzaniem, czy w schowku awaryjnym kapsuły znajduje się ochronny kombinezon.

Jednakże sam wygląd okolicy stanowił zaproszenie, zachęcał do nawiązania pierwszego kontaktu. A *Starplex* został zbudowany właśnie z myślą o takim kontakcie.

Mężczyzna musnął palcami szereg przycisków na konsoli, zwalniając system zabezpieczeń, blokujący włącz do chwili osiągnięcia przez kapsułę docelowego miejsca w komorze cumowniczej. Osłona ze szkła i stali bezszelestnie wsunęła się w półkoliste sklepienie dachu. Keith zrobił nieśmiały wdech... I kichnął.

O Jezu - stwierdził zdumiony. - Pyłki traw! Ci goście całkiem nieźle znają się na rzeczy.

Wychwytywał każdy zapach, przywodzący na myśl rodzinną planetę. Woń łąkowych kwiatów, traw, butwiejącego drewna i tysięcy innych rzeczy tworzyły jedyną w swoim rodzaju, aromatyczną mieszankę. Wyszedł z kabiny.

Nie przeoczyli niczego - iluzja była doskonała, a jakże! Idąc, zostawiał za sobą nawet wklęsłe ślady stóp w rozmięklej darni. To sugerowało coś więcej, niż tylko symulację wirtualnej rzeczywistości. Z każdym krokiem wyczuwał pod podeszwami butów fakturę i opór podłoża, twarde krawędzie kamyków, sprężystość trawy, elastycznie uginającej się pod jego ciężarem. Genialna ułuda rzeczywistości...

Przystanął, porażony nagłą myślą. A jeśli faktycznie wrócił na Ziemię?

Wynalazcy transferu dobrze wiedzieli, jak skrócić sobie drogę, by pokonać w mgnieniu oka dzielącą gwiazdy przestrzeń. Może to nie imitacja, może naprawdę trafił do domu...

Lecz nie dostrzegł w komorze śluzy połączenia z następnym skrótem, ani towarzyszącego mu purpurowego blasku radiacji Soderstroma. A tak na marginesie, jeśli to rzeczywiście Ziemia, skąd wytrzasnęli tak nieskalaną, dziewiczą przyrodę? Keith ponownie zadarł głowę, na darmo wypatrując samolotów lub choćby smug kondensacyjnych pozostawionych przez wahadłowce.

W gruncie rzeczy, kichnięcie było oczywistym dowodem, że stworzyli nawet cząsteczki alergenów, albo potrafili manipulować jego receptorami zmysłów w najbardziej perfidny sposób. Nagle zamarł i serce podeszło mu do gardła. ZOO! Cholerne ZOO, a on jako jeden ze zdobycznych okazów. Jak zwierzyna schwyтана w pułapkę... Marząc o powrocie do kapsuły okręcił się na pięcie - i ujrzał człowieka z płynnego szkła.

- Witaj, Keith - rzekł przybysz. Jego ciało, przejrzyste jak kryształ najczystszej wody, ulegało łagodnej metamorfozie z każdym ruchem. Jedynie subtelna barwa, muśnięcie chłodnego błękitu akwamaryny, przesycała przejrzystą formę, dobywając jej kształt z otoczenia.

Keith przez kilka sekund nie mógł wydobyć słowa, próbując opanować szaleńczy łomot serca zagłuszający odgłosy natury z otoczenia. - Wiesz, kim jestem? - wykrztusił wreszcie.

- Mniej więcej - odparł szklany człowiek. Miał głęboki, męski tembr głosu. Humanoidalna sylwetka przybysza, przywodząca na myśl manekiny w modnym sklepie odzieżowym, stanowiła ledwie naśladownictwo ludzkiej postaci. Jego głowa była jajowata, o twarzy pozbawionej rysów, jeśli nie liczyć lekko zarysowanych kości policzkowych. Smukłe kończyny, proporcjonalne do reszty ciała, nie posiadały widocznej muskulatury. Spłaszczony brzuch, klatka piersiowa, a także widoczny między nogami przejrzysty penis, były uproszczonym odpowiednikiem organów człowieka.

Keith zmierzył obcego wzrokiem, zachodząc w głowę, co ma teraz począć. W końcu, doprowadzony do ostateczności, rozpaczliwie pragnąc poznać swój status, wybuchnął:

- Chcę stąd odejść!

- Możesz - rzekł nieznajomy, rozkładając przezroczyste ramiona. - Kiedy tylko

zechcesz. Twój pojazd czeka na ciebie.

Gdy mówił, regularny owal twarzy pozostawał nieruchomy, Ziemianin miał jednak wrażenie, że słuch go nie myli, słowa zaś po prostu emanują z tej istoty.

- Czy... Czy to ZOO? - z trudem wydusił dręczące go pytanie.

Usłyszał dźwięczne tchnienie - perlisty kryształowy śmiech? - i krótką odpowiedź.

- Nie.

- I nie jestem więźniem?

Znów ten śmiech jak szklane dzwonki.

- Nie. Jesteś... gościem. Czy odpowiednio się wyraziłem? Jesteś moim gościem.

- Skąd znasz angielski? - zdumiał się Keith.

- Nie znam. To oczywiste. Obecnie nie znam go w ogóle. Podręczny translator tłumaczy ci moje słowa.

- To wy stworzyliście skróty?

- Stworzyliśmy... co?

- Skróty. Transfer międzygwiazdny. Przejścia do odległych systemów... Furtki... Bramy... nazwij je sobie, jak chcesz.

- Skróty... - Szklisty w zamyśleniu pokiwał głową. - Dobre określenie. Tak, stworzyliśmy je.

Puls Keitha błyskawicznie przyspieszył.

- Czego ode mnie chcecie?

Powtórka perlistego śmiechu.

- Jesteś zdesperowany, Keith. Czyżbyś nie miał jakiegoś specjalnego powitania, przygotowanego na taką okazję? A może jest na to za wcześnie? Za wcześnie?

- Cóż... mam coś takiego. - Mężczyzna przełknął ślinę. - „Ja, G.K. Lansing, Dowódca »Starplex«, mam zaszczyt przekazać ci przyjacielskie pozdrowienia w imieniu Międzyplanetarnej Wspólnoty, pokojowej organizacji, jednoczącej cztery rasy rozumne z trzech odrębnych światów...”

- No, teraz lepiej. Dziękuję.

Keith łamał sobie głowę, by połączyć to wszystko w logiczną całość: przezroczystego humanoida, imitację lasu, piękny niesamowity statek, zejście kapsuły z

kursu...

- Wciąż chciałbym wiedzieć, czego ode mnie chcesz - powtórzył z uporem.

Szklisty obrócił ku niemu głowę pozbawioną twarzy.

- Hm... Może zabrzmiało to melodramatycznie, ale zaryzykuję. W grę wchodzi los Wszechświata.

Lansing zamrugnął powiekami.

- Nie dość na tym - ciągnął Szklisty. - Muszę zadać ci parę pytań. Do twojej wiadomości, Keith Lansing: posiadasz klucz nie tylko do przyszłości, lecz również do przeszłości.

II

Nowy sektor kosmosu... Jedyny, który otworzył się całkiem nieoczekiwanie. Lansingowie wbiegli na mostek, bocznym wejściem, co oznaczało, że Keith będzie musiał... prawie otrzeć się o Liannę Karendaughter. Błyskotliwa (ukończyła z wyróżnieniem wydział inżynierii elektrycznej na MIT), piękna (cukierkowy azjatycki typ urody, pukle platynowych włosów upięte złotymi szpilkami) i młoda Lianna zawitała na *Starplex* zaledwie sześć tygodni temu, odchodząc ze stanowiska głównego inżyniera na pokładzie wielkiego liniowca handlowego, gdzie wykazała się samymi zaletami. Posłała uśmiech przemykającemu tuż obok mężczyźnie. Uśmiech promienny, uśmiech jak rozbłysk supernowej... Keith poczuł nagły skurcz żołądka.

Mostek główny na *Starplex* sprawiał wrażenie pomieszczenia pobawionego ścian, podłogi, czy sufitu. Wnętrze okrywał sferyczny hologram przestrzeni otaczającej statek. Wydawało się, że stanowiska pracy pływają w międzygwiazdnej pustce. W rzeczywistości sala miała kształt prostokątny, każda ze ścian posiadała wejście, niewidoczne pod holograficzną projekcją. Skrzydła grodzi dzieliły się wzdłuż i rozsuwały na boki, tworząc złudzenie, że to kosmiczna przestrzeń pęka, odsłaniając prowadzące w inny wymiar korytarze. Zespoły trzech świecących, sprawiających wrażenie swobodnie zawieszonych w powietrzu zegarów - faktycznie umocowane tuż nad drzwiami na niewidzialnych ścianach - odmierzały czas według trzech systemów, charakterystycznych dla każdego ze światów Wspólnoty.

Keith i Rissa przebiegli, jakby unosząc się nad ziemią, i dopadli swoich stanowisk.

Na mostku znajdowało się sześć stanowisk operacyjnych, rozmieszczonych po trzy w dwóch rzędach. Z tyłu, pośrodku, znajdował się pulpit i fotel Dyrektora bazy. Pierwszy rząd był stale zajęty. Przełożeni zasiadali na swych stanowiskach w drugim rzędzie tylko w wyjątkowych sytuacjach. Jag, Keith i Rissa posiadali bowiem osobiste biura, gdzie spędzali większość czasu pracy. Keith mógł sprawdzić skład wachty, wyświetlając na jednym z monitorów schemat z wykazem aktualnych użytkowników i funkcji. Teraz zebrali się wszyscy dowódcy (czyli zmiana alfa).

Kierownik Operacji Wewnętrznych (OpW) odpowiadał za wszelkie

przedsięwzięcia na pokładzie stacji, włącznie z działalnością sekcji inżynierskiej. Po przeciwnej stronie sali zajmował miejsce kierownik Operacji Zewnętrznych (OpZ), sprawujący dozór nad stanem śluz cumowniczych i przebiegiem misji, prowadzonych przez pięćdziesiąt cztery wyspecjalizowane jednostki, spoczywające w dokach. Stanowisko po lewej ręce Keitha należało do Jaga, kierownika zespołu fizyków. Po prawej - przeciwna specjalizacja, miejsce Rissy Cervantes, kierownika sekcji nauk przyrodniczych.

Naturalnie, większość prac badawczych prowadzonych przez fizyków odbywała się na pokładzie stacji, więc OpW umieszczono przed miejscem Jaga. Lianna mogła w każdej chwili obrócić fotel, lub całe stanowisko pracy, aby bezpośrednio porozumiewać się z głównym fizykiem.

Przejawy życia organicznego badano z reguły poza terenem bazy. Kierownik OpZ, Rombus mógł łatwo nawiązać kontakt z Rissą (jako przedstawiciel Ibów Rombus posiadał 360 stopniowy zakres widzenia, zatem nie musiał się odwracać, aby ją widzieć).

Aby jeszcze bardziej ułatwić komunikację między współpracownikami, nad konsolą Jaga, Keitha i Clarissy emitowano dziesięciocentymetrowe hologramy twarzy Lianny i Thora, a także całej sylwetki Rombusa. Z kolei każdy z pierwszego rzędu dysponował potrójnym holo przełożonych siedzących z tyłu.

Po przeciwnych krańcach pomieszczenia zainstalowano obszerne zbiorniki wodne, chronione przeciwropryskowym polem siłowym. Każde ze stanowisk operacyjnych mostka mogło przekazać sterowanie swymi funkcjami któremukolwiek z delfinów w zbiornikach. Z tyłu, poza stanowiskami operacyjnymi, mieściło się audytorium dla dziewięciu obserwatorów.

Keith nie spuszczał wzroku z Jaga, przekraczającego właśnie bramę w holograficznej gwiazdnej przestrzeni. Waldahuden przemierzał kosmiczną pustkę uważnymi, drobnymi kroczkami, kołysząc się na ugiętych nogach i kurczowo przyciskając do boków obydwie pary rąk. Miał na sobie dwie, niewątpliwie praktyczne, części garderoby: pas z mnóstwem zwisających, pojemnych woreczków i owiniętą wokół lewego górnego ramienia taśmę z dodatkową kieszenią. Jeśli nie liczyć grubego futra przekłęty stwór był praktycznie nagi, podczas gdy Keith był przemarznięty do kości. W ogólnodostępnych rejonach stacji utrzymywano stałą temperaturę 15° Celsjusza,

odpowiednik południowego letniego skwaru na Rehbollo. Opuszczając swój apartament, Keith podświadomie oczekiwał, że ujrzy obłoczek pary skraplającej się przy każdym wydechu.

Gdy Jag usiadł, rozjarzyły się ekrany monitorów kontrolnych, przystosowanych dla Waldahudenów. Ekrany były dwa razy wyższe niż szersze. Jag musiał jednocześnie obserwować dwie projekcje: jedną rejestrował pionową parą oczu po lewej stronie, drugą - pionową parą po prawej. Waldahudeni, podobnie jak ludzie, posiadali mózg o dwóch półkulach, lecz każda z nich odtwarzała osobny obraz stereoskopowy.

Twarz Jaga nie wyrażała ani śladu wzburzenia. Żadnych emocji, które Keith zdołałby rozszyfrować od razu. Sprzeczką na korytarzu przed godziną najwyraźniej nie zasługiwała na uwagę obcego. No jasne, pomyślał mężczyzna, dla niego to tylko interes, jak zresztą dla każdego z nich...

Potrząsnął głową z niesmakiem i odwrócił wzrok. Miejsce u steru zajmował Thorald Magnor, olbrzymi facet około pięćdziesiątki z ogniste rudą brodą.

Na stanowisku OpZ krzesło usunięto pod podłogę, a konsolę obniżono na cienkich podpórkach dla wygody aktualnego użytkownika. Rombus, jak wszyscy Ibowie, przypominał kamienny fotelik na kółkach z arbuzem umieszczonym na siedzeniu. Jeden z ekranów Keitha cały czas przekazywał bezpośrednią transmisję z WHATa - Wspólnotowego Hiperprzestrzennego Astrofizycznego Teleskopu - dotyczącą nowo wzbudzonego skrótu. Wejście do niego zlokalizowano w systemie Ramienia Perseusza, jakieś dziewięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od obecnego położenia stacji. Była to jedyna potwierdzona wiadomość oprócz faktu, że coś niedawno dokonało transferu, uaktywniając skróty. Jednak co to było i dokąd zmierzało, przechodząc przez sieć - pozostało dla wszystkich zagadką.

- W porządku. Wszyscy już są - rozpoczął Keith. - Startujemy z tradycyjną sondą klasy alfa. Thor, przerzuć nas na odległość dwudziestu klików od skrótu.

- Dwie sekundy, szefie. - Sternik wziął się do roboty. Dyrektor miał przed oczami tył rzeczywistej głowy olbrzyma i widział jednocześnie na miniaturowym hologramie jego dużą twarz o twardych rysach, okoloną dziką czupryną długich włosów równie ognistych jak broda. Hełm wikingów, który Keith zauważył kiedyś na półce w kwaterze Thora Magnora, z pewnością leżałby na nim jak ulał.

- Mamy próbnik w trakcie cumowania - zameldował rudowłosy nawigator.

Po chwili krótka seria światełek zamigotała na siatce sensorycznej Rombusa.

- Uprzejmie informuję, że „Marc Garneau” spoczywa już bezpiecznie w komorze śluzy numer osiem - zadźwięczał w uchu Keitha głos z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Za obopólną zgodą mowę Waldahudenów przekładano na język angielski o staromodnym nowojorskim brzmieniu, natomiast Ibom przysługiwało tłumaczenie na klasyczny brytyjski. Łatwiej było w danej chwili odróżnić, kto mówi, skoro emisja tłumaczonych wypowiedzi płynęła z tego samego źródła: implantu w małżowinie usznej.

- W porządku, szefie - huknął Thor. - Możemy zaczynać.

Jego wielkie dłonie sprawnie operowały wśród przycisków na pulpicie.

Holograficzna projekcja gwiazdnych pól otaczająca mostek zaczęła się przesuwać. Mniej więcej pięć minut później znieruchomiła ponownie.

- Wedle rozkazu, szefie - oznajmił sternik. - Dwadzieścia tysięcy metrów od skrótu, jak w zegarku.

- Dzięki, Thor. - Teraz Keith zwrócił się do Iba. - Rombus, wystrzel sondę, proszę.

Macki Rombusa śmignęły po konsoli jak pęk giętkich powrozów, zmuszonych do posłuszeństwa.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Ib rozbłyskami swej siatki sensorycznej.

Na stanowisku dowódcy jeden z monitorów wyświetlił schemat próbnika. Sonda była czterometrowym srebrnym cylindrem średnicy jednego metra, o powierzchni usianej skanerami, czujnikami i obiektywami kamer. Posiadała jedynie napęd odrzutowy oraz cztery pęki stożkowatych dysz, regulujących położenie. Montaż urządzeń hipernapędowych pociągał za sobą stanowczo zbyt wielkie koszty, by tak ryzykować, jako że próbnik mógł nigdy nie wrócić.

Sonda rozpędała się w przewodzie szybu komunikacyjnego któregoś z wyższych modułów mieszkalnych. Gdy przebywała już w przestrzeni poza statkiem, członkowie sztabu dowodzenia mogli obserwować płomień jej silników odrzutowych na otaczającym mostek sferycznym hologramie. Próbnik obracał się wokół własnej osi, dzięki czemu każdy z przyrządów rejestrował sygnały z pełnej panoramy kosmosu.

Cel, do którego zmierzała sonda, nie był jeszcze widoczny - przynajmniej na razie. Dokładnie obliczony kurs zapewniał wejście do skrótów pod odpowiednim kątem, określonym przez WHAT. W owej chwili sonda zniknęła z pola widzenia w płomiennej aureoli maleńkiego, liliowego kręgu.

- Mam zaszczyt poinformować, że proces transferu przebiegał zgodnie z planem - zameldował Rombus dystyngowanym tonem absolwenta Oxfordu.

Rozpoczęło się oczekiwanie. Napięcie rosło z minuty na minutę. Każdy z obecnych okazywał je w inny sposób. Na stanowisku OpW Lianna nerwowo bębniła malowanymi paznokciami po krawędzi konsoli. Błyski światła na splocie siatki czuciowej Rombusa nie tworzyły żadnego logicznego piktogramu, stanowiły jedynie objaw emocjonalnego zaangażowania. Jag mierzwił sierść i przesuwiał jedną ze swych półprzezroczystych płytek zębowych po drugiej, wydając przenikliwe zgrzyty przypominające dźwięk, towarzyszący rysowaniu kredą po tablicy. Keith wstał i zamarł w bezruchu, podczas gdy jego małżonka usiłowała stłumić emocje, porządkując bazę danych osobistego komputera. Jedynie niezłomny Thorald Magnor zachował zimną krew. Rozparty wygodnie w fotelu, z dłońmi splecionymi na karku, kiwał beztrosko ogromną stopą wspartą na konsoli.

Mimo postawy sternika były powody do obaw. Dziesięć lat temu bumerang wystrzelony z Tau Ceti osiągnął cel - jeden z niewzbudzonych skrótów w konstelacji Bliźniąt, w pobliżu gwiazdy klasy M3 Tejat Posterior. Ten zwiadowca nigdy nie wrócił do macierzystego portu. W terminie jego przypuszczalnego powrotu z transferowego wyjścia na Rehbollo wystrzeliła niewielka, metalowa piłka...

Analizy wykazały, że to nic innego, tylko pozostałości nieszczęsnej sondy, która uległa przeobrażeniu pod wpływem pewnych procesów, całkowicie deformujących wiązania molekularne jej naturalnej struktury.

Określenie „procesy” zarezerwowano dla komunikatów, przeznaczonych do wiadomości publicznej. Narastało jednak przekonanie, że przyczyną owych „procesów” nie była naturalna reakcja, nawet gdyby położenie punktu wyjściowego znajdowało się w samym środku rdzenia gwiazdy Tejat Posterior. Hipotetyczne, odpowiedzialne za to istoty zasłużyły na miano „Odźwiernych”, gdyż po prostu zatrasnęły międzygwiazdą bramę przed nosem ciekawskich mieszkańców Wspólnoty.

W kierunku zagadkowej gwiazdy wysław zatem następne hiperprzestrzenne sondy, tym razem doskonale zabezpieczone (rzecz jasna, na wszelki wypadek zostały wystrzelone z punktów położonych jak najdalej od planet Zjednoczonych Światów), lecz spodziewano się ich powrotu dopiero za dwa lata. Do tego momentu tajemnica Odźwiernych nadal będzie pozostawać nie rozwiązana. Za to wciąż istniała obawa, iż podglądają oni Wspólnotę przez inne skróty.

- Z ulgą mam zaszczyt zameldować o pulsacji tachionów - oznajmił Rombus.

Keith wypuścił powietrze z płuc i lekko skinął głową. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że do tej chwili wstrzymywał oddech. Coś dokonywało transferu. Świadczyło o tym właśnie pulsowanie tachionów. Powracała sonda. Obserwowali, jak mikroskopijny punkt rozrasta się do obramowanego liliową aureolą kręgu o metrowej średnicy, wypływając metaliczny cylinder. Próbnik wyglądał na nienaruszony. Wewnętrzne obwody elektroniczne musiały być w pełni sprawne, wykorzystując bowiem własny napęd zawrócił w kierunku bazy i bez trudu wśliznął się tunelem naprowadzającym do swego leża. Przewody transmisyjne natychmiast przyłgnęły do przekaźników, wprowadzając zbiór danych sondy do pamięci FANTOMa - głównego komputera *Starplex*.

- Rzućmy na to okiem... - rzekł Keith. Rombus niezwłocznie przystąpił do dzieła, zastępując sferyczny hologram otaczającej stację przestrzeni obrazem kosmosu, zarejestrowanym przez próbnik po drugiej stronie przejścia. Na pierwszy rzut oka obszar międzygwiazdnej pustki jakby się powiększył, ukazując w tle nieznane konstelacje. Rozległ się pomruk rozczarowania. Większość miała nadzieję ujrzeć choćby statek, należący do obcej rasy, która uaktywniła skrót, podłączając go do komunikacyjnej sieci.

Jag podniósł się z fotela, obszedł pulpit i stanął tyłem do usadowionego w dwóch rzędach audytorium. Obrócił się powoli na czarnych racicach, analizując kawałek po kawałku projekcję zapisu sondy, po czym podjął próbę przekazania pozostałym wyników swych spostrzeżeń. Emisja brooklyńskiego przekładu dominowała nad waldahudeńskim poszczekiwaniami.

- Tak... - zaczął z namysłem. - Według mnie to fragment normalnej międzygwiazdnej przestrzeni. Dokładnie to, co spodziewaliśmy się znaleźć w Ramieniu Perseusza: wiele błękitnych słońc w luźno skupionych gromadach... - urwał. Po chwili

podsumował. - Czy zwróciliście uwagę na tę smugę światła? Jesteśmy na wewnętrznych obrzeżach Ramienia Perseusza. Zostawiliśmy za sobą Ramię mgławicy Oriona. Ani Galatea ani Gorąca Plama nie są stąd widoczne, lecz być może uda nam się odnaleźć Słońce z pomocą teleskopu.

Stukając racicami o niewidoczną podłogę, rozpoczął obchód otaczającej mostek panoramy kosmosu.

- Sądząc po skali jasności, najbliższym położonym w sektorze obiektem będzie dla nas ta gwiazda. - Wskazał niebieskobiały punkt, przyćmiewający blaskiem pozostałe. - Nie dostrzegamy zarysu jej tarczy, więc musi być stąd oddalona o co najmniej kilka bilionów kilometrów. Oczywiście możemy, wysyłając dostatecznie daleko próbniki, dokonać serii pomiarów paralaksy i wyznaczyć orientacyjną odległość, skoro tylko dokonamy przeskoku. Osobiście nie sędzę, by miało sens poszukiwanie zamieszkałych planet w okolicach gwiazdy klasy A, choć jest to miejsce równie dobre, jak każde inne, żeby rozejrzeć się za istotami, które uaktywniły skrót.

- Jednym słowem chcesz powiedzieć, że możemy spokojnie zaryzykować i rozpocząć transfer? - zapytał Keith.

Powieki lewej pary oczu Waldahudena zadrgały, gdy stanął twarzą w twarz z przełożonym.

- Nie widzę w tym żadnego ryzyka - odparł. - Chcę również przejrzeć pozostałą część danych z sondy, lecz jak na razie nie widzę tu nic nadzwyczajnego. Zwykła przestrzeń...

- Dobrze - uciał Keith. - W takim razie spróbujemy.

- Chwileczkę... - Jag wpił nagle wzrok we fragment hologramu za plecami Dyrektora. Jak zahipnotyzowany ruszył w tym kierunku, mijając zdumionego mężczyznę oraz swoje stanowisko i przystanął dopiero za galerią, przeznaczoną dla audytorium.

- Chwileczkę... - powtórzył. - Rombus, jakie jest przesunięcie transmisji w czasie?

- Mam zaszczyt powiadomić, że bezpośredni przekaz transmisji skończył się dwie minuty temu - poinformował Ib znad konsoli stanowiska OpZ. - Od tej chwili wyświetlam jej zapętłony zapis.

Jag podszedł do hologramu. Było to równoznaczne ze zbliżaniem się krok po kroku w stronę odległego górskiego krajobrazu z nadzieją na uzyskanie lepszej

perspektywy. Zmrużył oczy, wpatrując się w mrok. - Ten obszar... jest w nim coś dziwnego - rzekł z namysłem, zakreślając lewym, wyżej umieszczonym ramieniem szeroki krąg na tle międzygwiazdnej przestrzeni. - Rombus, dziesięciokrotnie przyspiesz odtwarzanie, emitując hologram bez przerwy.

- Czynię to z ochotą - odparł Ib, manipulując mackami wśród przycisków.

- Nie może być! - wykrztusił Thor, odwracając się od swojej tablicy rozdzielczej i wlepiając zdumiony wzrok w niecodzienne zjawisko. Zamarł, na pół wstawszy z krzesła.

- Ale jest! - zapewnił Jag.

- Co jest? - warknął Keith zirytowany.

- Przecież widzisz. Masz to jak na dłoni... - Waldahuden wciąż wskazywał na niebo.

- Co mam widzieć? Rój migoczących gwiazd i nic więcej...

Jag wzniosł nad głowę parę górnych kończyn w charakterystycznym dla jego rasy geście potwierdzenia.

- Właśnie! - oznajmił triumfalnie. - Bez wątpienia zupełnie jak w zimową bezchmurną noc na twojej cudownej Ziemi. Ale... - chrząknął znacząco - ...gwiazdy widziane z przestrzeni nie mrugają...

GAMMA DRACONIS

Posiadasz nie tylko klucz do przyszłości... lecz również do przeszłości - słowa szklanego człowieka rozbrzmiewały echem w mózgu Keitha. Mężczyzna z namysłem obrzucił wzrokiem drzewa, jezioro, błękitne niebo. *Dobra, dobra... Niech Szklisty mówi, co chce: że to nie więzienie, ZOO, czy Bóg wie co - i że można stąd wyjść w każdej chwili.*

Lansing wciąż miał kompletny mętlik w głowie. Zbyt wiele wrażeń, jak na jeden raz, mimo iż Obcy faktycznie natrudził się nad odtworzeniem swojskiej okolicy. Równie dobrze mógł to być efekt wywołanego w umyśle złudzenia. Keith cały czas podejrzewał, że coś takiego miało miejsce. W dodatku czuł zawroty głowy, więc postanowił przysiąść na murawie. Z początku przykucnął, lecz po chwili zrezygnował z niewygodnej pozycji i usiadł, prostując nogi. Ze zdumieniem zauważył żdźbła trawy, przyczepione do nogawek spodni.

Szklisty unosił się nad ziemią w pozycji lotosu dwa metry od niego.

- Przedstawiłeś się jako G.K. Lansing... Co oznacza „G”? - zapytał.

- Gilbert.

- Gilbert... - Obcy w zamyśleniu pokiwał głową, jakby potwierdzał bardzo ważny fakt.

- Na co dzień używam mojego drugiego imienia - wyjaśnił Keith zmieszany.

Parsknął z dezaprobatą i dodał: - Też byś tak zrobił na moim miejscu, gdyby nadano ci imię „Gilbert”. - Ile masz lat? - Czterdzieści sześć.

Czterdzieści sześć? Tylko czterdzieści sześć?! - w głosie dziwnego przybysza pobrzmiwało zdumienie i jakaś niepojęta tęsknota.

- Hm...Tak. To znaczy oczywiście czterdzieści sześć ziemskich lat. - Taki młody... - westchnął Szklisty.

Keith w osłupieniu uniósł brwi, myśląc o swej łysince na czubku głowy.

- Opowiedz mi o swojej partnerce - poprosił nagle obcy.

Oczy mężczyzny zwęziły się nagle.

- A co cię to może obchodzić? - spytał zaczepnie, obrzucając intruza podejrzliwym spojrzeniem.

Odpowiedział mu znajomy, dźwięczny śmiech.

- Wszystko mnie obchodzi... - odparł nieznajomy.

- Lecz co ma do tego moja żona? Czy nie ma już ważniejszych tematów?

- A dla ciebie są...?

Keitha zamurowało.

- No... chyba nie... - wymamrotał zmieszany, po czym dodał pewniej - ...raczej na pewno nie.

- Wobec tego opowiedz mi o niej - nalegał tamten łagodnie - bo to chyba... ona? Prawda? - Oczywiście, że to kobieta. - Więc opowiedz, proszę... Keith wzruszył ramionami.

- Dobrze. Ma na imię Rissa. To skrót od imienia Clarissa. Nazywa się Clarissa Maria Cervantes. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Jej nazwisko nieodłącznie przywodzi mi na myśl Don Kichota.

- Kogo?

- Don Kichota. Człowieka z La Manchy. Bohatera powieści, której autorem był pisarz o nazwisku Cervantes. - Przerwał na chwilę i zerknął na Szklistego. - Polubiłbyś Cervantesa. Napisał kiedyś książkę o szklanym człowieku... Ale do rzeczy. Don Kichot, błędny rycerz owładnięty marzeniami o szlachetnych czynach, żył w wiecznej pogoni za nieosiągalnym celem. A właśnie... - Zamilkł, tknięty jakąś myślą.

- Tak...? - zachęcił go przybysz łagodnie.

- No proszę... Czy to nie zabawne? Właśnie Rissa uważała mnie za faceta pełnego donkiszoterii.

Szklisty w zamyśleniu pokiwał głową. Keith nagle zdał sobie sprawę, że obcy mógł nie dostrzec żadnego związku pomiędzy dwoma różnymi, odmiennie brzmiącymi słowami: „Don Kichot” i „don-ki-szo-te-ria”. Wobec tego wyjaśnił:

- Człowiek „pełen donkiszoterii” to taki, który zachowuje się jak Don Kichot. To znaczy niepoprawny romantyk żyjący marzeniami. Idealista z uporem wierzący w zwycięstwo cnoty nad występkiem. - Keith zachichotał. - Rzecz jasna, nie miałem najmniejszego zamiaru uwielbiać z daleka mej czystej i cnotliwej żony. Ale... - tu spoważniał - ...zawsze starałem się łagodzić konflikty między ludźmi i w miarę możliwości im zapobiegać. Dążyłem do tego, co niemożliwe i oto...

- I co...? - Przejrzysta, jajowata głowa z ciekawością pochyliła się w jego stronę.

- I oto... - Keith rozłożył ramiona, jakby chciał ogarnąć nimi nie tylko otaczający ich, symulowany krajobraz, lecz cały Wszechświat. - I oto osiągnęliśmy to, co niemożliwe... Dotarliśmy do odległych gwiazd! - Umilkł, zawstydzony swym uniesieniem. Dopiero po chwili kontynuował: - Lecz pytałeś przecież o Rissę... Zostaliśmy małżeństwem - rozumiesz, parą połączoną stałym związkiem - prawie dwadzieścia lat temu. Ona z zawodu jest biologiem, a dokładniej mówiąc: egzobiologiem. Specjalizuje się w badaniu pozaziemskich form życia.

- Kochasz ją? - zagadnął obcy nieoczekiwanie.

- Oczywiście. Bardzo ją kocham - odparł mężczyzna zaskoczony.

- Macie dzieci. - Ze strony Szklatego było to bardziej stwierdzenie oczywistego faktu, niż pytanie.

- Mamy - potwierdził Lansing. - Jedno dziecko. Syna. Ma na imię Saul. - Sol? Na cześć waszego Słońca?

- Nie. Saul - sprostował Keith i przeliterował: - S-A-U-L. Na cześć człowieka, który był moim najlepszym przyjacielem, zanim zginął, Saula Ben-Abrahama...

- Więc jak właściwie nazywa się twój syn? Nie czasem Saul Lansing-Cervantes?

- Ależ właśnie tak. - Keitha zdumiała łatwość, z jaką ta obca istota pojęła zasady nadawania ludzkich imion.

- Saul Lansing-Cervantes... - wyszeptał Szklisty i dziwnie zadumany opuścił głowę na pierś. Po chwili podniósł wzrok. - Wybacz... To tak melodyjne imię...

- Uśmiełbyś się, wiedząc, kto je nosi. - Lansing sam parsknął śmiechem. - Kocham mojego syna, lecz jak żyję, nie widziałem większego antytalentu muzycznego. Ten dziewiętnastolatek świata nie widzi poza nauką. Studiuje teraz fizykę na uniwersytecie, daleko stąd. Jest bardzo zdolny i sędzę, że kiedyś zdobędzie wielką sławę na tym polu.

- Saul Lansing-Cervantes... Twój syn - powtórzył nieznajomy uroczyście. - Fascynujące... Lecz odbiegliśmy od tematu Rissy.

Keith wpatrywał się w niego dłuższy czas, coraz bardziej zaintrygowany. W końcu dał za wygraną.

- To cudowna kobieta - rzekł. - Inteligentna. Ciepła i pełna radości życia. Piękna. - Mówisz więc, że tworzycie stałą parę?

- Oczywiście.

- A to oznacza... monogamię, o ile dobrze zrozumiałem? Nie wiążesz się z nikim innym? - drażył z uporem Szklisty.

- To chyba jasne. - Mężczyzna zaczynał się irytować.

- Bez wyjątku?

- Bez wyjątku! - sapnął ze złością i na swoje nieszczęście dodał: - Jak do tej pory. Intruz jakby tylko na to czekał.

- Jak do tej pory? - podchwycił. - Czyli jednak planujesz zmienić układy?

Tego było już za wiele. Co, do licha, ten natrętny, obcy stwór może wiedzieć o damsko-męskich układach? Keith spiorunował go wzrokiem.

- Daj z tym wreszcie spokój - warknął.

- Słucham...?

- Powiedziałem. Znajdź sobie jakiś inny temat.

- Dobrze... Czy czujesz się winny, Keith?

Lansinga o mało krew nie zalała.

- Czego ty, do diabła, chcesz? - wykrztusił. - Może mojej grupy krwi, co?

- To po prostu bardzo mnie interesuje... - stwierdził obcy niewinnie.

- To niech cię zainteresuje coś innego! - wybuchnął Keith.

- Przepraszam. Wobec tego... Gdzie po raz pierwszy spotkałeś Rissę?

Lansingowi opadły ręce.

- Na „La Belle Aurore” - rzekł, mierząc natręta wściekłym spojrzeniem. - Nasi byli szarzy, a ona w błękicie...

- Przepraszam, chyba nie zrozumiałem...?

- To ja przepraszam. Przez chwilę inna cecha błędnego rycerza wzięła nade mną górę... Więc spotkaliśmy się na przyjęciu. To było w Nowym Pekinie, ziemskiej kolonii na Tau Celi IV. Pracowała w tym samym laboratorium, co mój kolega z lat szkolnych.

- Czy to była... jak to nazywacie? Miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie... Tak... Sam już nie wiem. - Keith znów zaczynał tracić cierpliwość.

Lecz przybysz jakby tego nie dostrzegwał.

- Zatem jesteście małżeństwem od dwudziestu lat? - zapytał.

- Prawie. Nasza rocznica przypada w przyszłym tygodniu.

- Dwadzieścia lat... - westchnął Szklisty. - Tyle, co nic.

Lansing obruszył się.

- Ja bym raczej docenił, że aż tyle... - mruknął z wyrzutem.

- Wybacz mi mój komentarz - zmitygował się obcy. - Serdeczne gratulacje. -

Zamilkł, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie zadał następne pytanie: - A co najbardziej cenisz u Clarissy?

Mężczyzna lekko wzruszył ramionami.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ma kilka takich cech... Przede wszystkim podoba mi się, że Rissa akceptuje siebie taką, jaką jest. Ja na przykład muszę trzymać fason. Dlatego nieraz udaję bardziej obytego i bystrego, niż naprawdę jestem. W gruncie rzeczy to typowe zachowanie ludzi na wysokich stanowiskach. Kryje się za nim zwykły lęk, że inni odkryją twoje słabe strony i osądzą, że ważna pozycja cię przerasta. Sam doświadczyłem tego na własnej skórze, ale Rissa nie podlega takiej słabości. Nigdy nie udaje kogoś, kim nie jest. - Szklisty skinął z uznaniem. - Podziwiam też jej równowagę psychiczną - ciągnął dalej Keith. - Jej wprost niezwykle opanowanie. Jeśli sprawy przybierają zły obrót, ja ciskam się wytracony z równowagi, a Rissa po prostu z uśmiechem robi, co się da, żeby doprowadzić wszystko do porządku. Jeżeli sytuacja jest beznadziejna, ona spokojnie przyjmuje stan rzeczy taki, jakim jest. - Mężczyzna westchnął. - Tak... Moja żona przewyższa mnie pod wieloma względami... Szklisty rozważył w myśli słowa Keitha.

- Jest kimś, kogo warto zatrzymać przy sobie za wszelką cenę, Keith - rzekł wreszcie.

Zmieszany Lansing osłupiał, wpatrując się z niedowierzaniem w przejrzystą istotę...

III

Zabawka z klocków... To pierwsze skojarzenie, które przyszło Lansingowi na myśl dwa lata temu, gdy po raz pierwszy ujrzał części składowe *Starplex*, montowane w orbitalnych stoczniach Rehbollo. Olbrzymi statek-stacja składał się z dziewięciu części składowych. W tym ośmiu wyglądających identycznie.

Największą stanowił dysk centralny z czworokątnym rdzeniem. Dysk miał 290 metrów średnicy i 30 metrów grubości, natomiast pionowy czworokątny rdzeń wystawał po 90 metrów z obydwu jego stron; stąd też wysokość statku wynosiła w sumie 210 m. W grzybiastych osłonach na obydwu krańcach rdzenia tworzącego oś pionową stacji były zainstalowane paraboliczne tarcze hiperprzestrzennych teleskopów radiolokacyjnych.

Dysk centralny w rzeczywistości składał się z trzech szerokich pierścieni otaczających wał rdzenia. Pierwszy, rozciągający się w promieniu 95 metrów, był olbrzymim pustym zbiornikiem, który mogło zalać 686 000 metrów sześciennych słonej wody, przekształcając go w pokład oceaniczny.

W drugim torusie o szerokości dwudziestu metrów i grubości dziesięciu pokładów znajdowała się sekcja inżynieryjno-naprawcza.

Ostatni pierścień zajmowało osiem gigantycznych ładowni i doki dwudziestu śluz cumowniczych, których grodzie znajdowały się łukowatej zewnętrznej krawędzi dysku.

Pozostałe fragmenty konstrukcji to osiem modułów mieszkalnych. Każdy z nich był trójkątnym graniastosłupem foremny, o identycznej długości w podstawie i wysokości (po 90 metrów) i szerokości trzydziestu metrów. Moduły były umieszczone naprzeciwko siebie, dotykając grzbietami osi-rdzenia dysku centralnego; układ ten powtarzał się po obu stronach płaszczyzny dysku.

Statek-stacja widziany z boku przypominał romb, przedzielony prostokątną sztabą; natomiast z góry wyglądał jak krzyż zamknięty w okręgu.

Moduły mieszkalne składały się z trzydziestu poziomów. Pomieszczenia na dowolnym poziomie dawało się przystosować do wymagań jakiegokolwiek nowej rasy, bądź też specjalnego wyposażenia. W razie potrzeby jeden z modułów można było wyczepić z konstrukcji *Starplex* i pozostawić w przestrzeni jako samodzielną bazę na wypadek nie cierpiących zwłoki, długoterminowych badań na obszarze nowego sektora.

Do tej pory *Starplex* nie wypełniał wyznaczonej mu roli. W ciągu roku od zakończenia prac był jedynie obiektem doświadczalnym i bez żadnych niespodzianek przechodził przez kolejne misje. W końcu jednak nadszedł czas na wykazanie jego bogatych możliwości w obliczu kontaktu pierwszego stopnia.

Bez zwłoki wysłano do nowo otwartego sektora Galaktyki kolejną, bardziej wyspecjalizowaną sondę, która również zarejestrowała mrugające gwiazdy, a jej hiperprzestrzenne teleskopy wykryły obecność systemów o masie zbliżonej do układu słonecznego. Aby dokonać dokładniejszych pomiarów rozkładu owej masy, niezbędny był teleskop dalekiego zasięgu. Właśnie tego rodzaju przyrządami, rozmieszczonymi na obu końcach rdzenia, dysponował *Starplex*.

Następnie Keith polecił wysłać pojazd zwiadowczy z co najmniej dwuosobową załogą. Człowiek oraz przedstawiciel rasy Ibów z grupy inżynieryjno-technicznej, której przewodził Jag, mieli dokonać bardziej szczegółowego rozpoznania. By ograniczyć ryzyko polecono im na razie nie zbliżać się do rejonu, w którym migotały gwiazdy. Skoro wszelka możliwość porozumiewania się w czasie rzeczywistym przez skrót była niemożliwa, w razie kłopotów nie należało więc liczyć na *Starplex*; pomoc z macierzystego statku mogła dotrzeć do nich za późno. W zamian za to zdobyli pełen zakres informacji ze skanerów EM, przeprowadzając nasłuch fal radiowych we wszystkich kierunkach na całej szerokości pasma i poszukując sygnałów pochodzących ze sztucznych źródeł, po czym bez przeszkód powrócili do bazy. Dane potwierdziły brak jawnego zagrożenia w tym sektorze, chociaż przyczyna migotania gwiazd nadal była niewiadomą.

Keith odczekał, aż dane zwiadu oraz te zdobyte przez dwa wysłane wcześniej próbniki otrzymają wszyscy zainteresowani, potem, nieco uspokojony brakiem bezpośredniego niebezpieczeństwa, rozkazał, by *Starplex* wykonał skok przez skrót. Thor bezbłędnie poprowadził transfer do nowego sektora.

Ludzie zwykle chętnie używali określenia „tunele”, lecz nie oddawało to w pełnym sensie roli skrótów. Była to przecież bezwymiarowa granica pomiędzy dwoma światami, jakby drzwi w papierowej ścianie, rozdzielającej dwa pokoje; przechodząc przez nie, częściowo przebywałeś w jednym pokoju, a częściowo w drugim. Jednak ta cienka bariera zawierała w sobie wiele lat świetlnych, dzielących odległe grupy gwiazd.

Wspólnota powoli odkrywała mechanizm działania skrótów, a także sposób nawigacji podczas skoku. W normalnej, trójwymiarowej przestrzeni każdy z nich tworzył niewymierny punkt. Lecz w hiperprzestrzennej wizji każdy z tych punktów otoczony był liliową otoczką wirujących tachionów. Miliony tych cząstek krążyło po swoich biegunowo zorientowanych, znajdujących się w jednakowych odległościach od siebie orbitach, zakreślając lśniące kręgi. Jedna z nich różniła się od pozostałych; przypominała półokrąg, a jej tachion wirował zapętłony tam i z powrotem na torze opasanym na półkulistej części pola. Powstała w ten sposób - pozbawioną tachionu - szczelinę w sferze po drugiej stronie kalekiej orbity nazywano wyznacznikiem południka zerowego. Oznaczało to, iż można traktować sferę otaczającą punkt skrót niczym powierzchnię planety, stosując do jej opisanego jakby planetarny system współrzędnych (długości i szerokości geograficznej).

Przejście przez skrót, wzdłuż linii prostej, prowadziło przez centrum sferycznego pola skumulowanych, wirujących cząstek. Aby przelecieć przez jego środek i osiągnąć rejon docelowy po drugiej stronie, należało wybrać ściśle określone współrzędne toru podejścia i w odpowiednim punkcie „przebić powierzchnię” sfery tachionów. Tymi danymi powinien kierować się pilot, pragnący pokonać skrót. Od tych współrzędnych zależało, w jakim miejscu się wyląduje.

Oczywiście kierowało tym czyste zrządzenie losu. Nikt nie wiedział bowiem, czy dany obszar będzie zamieszkały przez istoty inteligentne, z którymi można będzie nawiązać kontakt i tak porozumienie z nimi było niemożliwe, dopóki przejście nie zostało otwarte od ich strony. Pierwszy skrót, Inicjator, był upominkiem od samych twórców sieci. Zlokalizowano go w samym sercu Galaktyki, w centrum Drogi Mlecznej, wewnątrz czarnej dziury. Wstępne badania tego sektora podjęte przez Ziemian bazowały na poszukiwaniach obcych form życia. Niestety, żadnych nie znaleziono - jądro galaktyczne było zbyt radioaktywne.

Z chwilą zawiązania Wspólnoty Planet działały tylko cztery skrót: Tau Ceti, Rehbollo, Monotonia i Inicjator. Im więcej otwarto transferów, tym łatwiej było obliczyć kąt wejścia dla każdego dostępnego wyjścia. Gdy co najmniej dwanaście skrótów działało w kontrolowanej sieci, stało się jasne, iż aby bezpiecznie powrócić do pierwszej ziemskiej kolonii w Tau Ceti, należało przeciąć tachionową sferę skrót, z którego

rozpoczął się podróż, w punkcie wyznaczonym przez współrzędne 115 stopni długości geograficznej wschodniej i 40 stopni szerokości geograficznej północnej. Na Ziemi punkt ten znajdował się w pobliżu Pekinu, co nadało nazwę „Nowego Pekinu” ziemskiej kolonii na Sinanusie, czwartej planecie układu Tau Ceti.

Gdy statek wchodził w kontakt, powierzchnia skrótów rozciągała się w przestrzeni dwuwymiarowej, tworząc przejście, odpowiadające kształtem i wielkością zarysowi pojazdu, dokonującego transferu. Następnie bezwymiarowy tunel wiódł statek do innego sektora określonego trajektorią lotu pojazdu w chwili dotknięcia sfery skrótów. Samo wejście okalała liliowa aureola promieniowania Soderstroma, złożona z uwięzionych na orbicie, wirujących tachionów, samorzutnie transformujących w cząstki o prędkości mniejszej od światła.

Obserwator, umieszczony przy wejściu do skrótów, ujrzałby znikający kształt wysłanego przedmiotu, otulony fioletowym lśnieniem. Z drugiej strony punktu transferowego widziałby jedynie wypełniony pustką zarys o kształcie sylwetki przenikającego obiektu na tle gwiazdzistego nieba.

Gdy pojazd kończył swą między przestrzenną eskapadę, skrót ponownie wracał do pierwotnej bezwymiarowej postaci, czekając na następnego galaktycznego podróżnika...

Thor włączył przedtransferowy alarm: pięciokrotny, donośny dźwięk elektronicznego gongu. Keith dotknął kilku przycisków, odtwarzając na drugim monitorze podwójną wersję obrazu otaczającej ich przestrzeni. Jedna z nich ukazywała kosmos w normalnym dla ludzkiego wzroku spektrum - tam skrót pozostawał niewidoczny. Druga przekazywała symulację komputerową, opartą na danych z hiperprzestrzennych skanerów, gdzie skrót figurował jako błyszczący, biały punkt spowity pomarańczowym blaskiem sferycznego pola na zielonym tle.

- W porządku - mruknął Keith. - Do dzieła.

- Wedle rozkazu, szefie. - Thor pochylił się nad konsolę.

Starplex pokonał dwadzieścia kilometrów dzielących go od skrótów, nim wszedł w bezpośredni kontakt. Punkt rozrósł się, przyjmując zarys romboidalnego profilu stacji. Płomienne, purpurowe usta pochłonęły gigantyczny statek. W chwili przejścia hologram, emitowany na mostku głównym, ukazywał dwa odmienne obrazy kosmicznej przestrzeni

i rozszalały obszar nieciągłości, sunący od dziobu do rufy podczas wykonywania manewru. W tym czasie pozostawiony w tyle obszar zapadał się w nicłość.

I oto byli na miejscu, w Ramieniu Perseusza. Przebyli odległość dwóch trzecich galaktyki, pozostawiając za sobą dziesiątki tysięcy lat świetlnych, dzielących *Starplex* od każdego z zamieszkałych światów.

- Transfer przebiegał zgodnie z planem - zameldował Thor. Niewielki hologram falował w powietrzu na tle prawdziwej głowy Magnora. Holograficzny obraz rudej czupryny, otaczającej twarz sternika zlewał się przed oczami Lansinga z rzeczywistą strzechą płomiennych włosów tworząc jedyne w swoim rodzaju zjawisko.

- Dobra robota - stwierdził Dyrektor. - Zostawmy tu boję wskaźnikową.

Thor bez słowa wcisnął kilka guzików. Jako że skrót istniał poza normalną przestrzenią, w razie awarii urządzeń hiperradiolokacyjnych prawdopodobnie już nigdy nie udałoby się ponownie go zlokalizować.

Aparatura przekaźnikowa pozostawionej boi funkcjonowała na normalnej częstotliwości EM, posiadała także własny hiperskop, co czyniło z niej latarnię, wskazującą w razie potrzeby drogę do domu.

Jag wstał i ponownie poszukał wzrokiem obszaru migoczących gwiazd. Nietrudno było je znaleźć. Thor obrócił trójwymiarowy obraz tak, że zajęły całą środkową i boczną część hologramu, wyłączając fragment ekranu położony z tyłu, za galerią.

Lianna Karendaughter oparła łokcie na konsoli, splatając wąskie dłonie pod brodą.

- Co może oznaczać to migotanie? - zamyśliła się.

Jag uniósł obydwie pary swych ramion w waldahudeńskim geście bezradności.

- Z pewnością nie są to zaburzenia atmosferyczne - rzekł.

- Spektrografy wskazują, że przebywamy w normalnej kosmicznej próżni. Jednak coś musi wypełniać przestrzeń pomiędzy naszą stacją a gwiazdami w tle. Jakaś na wół przejrzysta, pulsująca substancja. - Może nie świecąca mgławica... - zasugerował Thor.

- A może, o ile wolno mi wysnuć swoje przypuszczenie, jedynie smuga gwiazdznego pyłu. - Wyraził swe zdanie Rombus.

- Wolałbym wiedzieć, jak daleko to się znajduje, zanim zaryzykuję odpowiedź - podsumował Waldahuden. Keith przyznał mu rację.

- Thor, wyślij w kierunku owego czegoś laserową wiązkę - rozkazał. Thor pochylił się nad inną częścią pulpitu kontrolnego.

- Gotowe! - rzucił po chwili.

Trzy odmienne, cyfrowe odczyty czasu zapłonęły na holograficznym ekranie, oparte na najmniejszych jednostkach pomiarowych każdej z trzech zjednoczonych planet. Ich wartość błyskawicznie wzrastała, sekunda za sekundą. Dowódca obserwował je ze wzrastającym zainteresowaniem.

- Odbite światło powróciło po siedemdziesięciu dwóch sekundach - oznajmił nawigator. - Cokolwiek to jest, znajduje się cholernie blisko... raptem około jedenaście milionów klików stąd.

Jag rzucił okiem na monitor.

- Odczyt hiperprzestrzennego teleskopu wskazuje, że stała masa materii tej struktury przekracza wielokrotnie - szesnaście, lub nawet więcej razy - masę przeciętnego układu słonecznego.

- To nie może być pojazd kosmiczny... - szepnęła Rissa z niedowierzaniem.

Jag machnął dolną parą ramion.

- Raczej nie - potwierdził. - Choć najprawdopodobniej nie mamy pojęcia o rozmiarach największych statków kosmicznych. Tak olbrzymi wehikuł, którego ruch byłby dostrzegalny na tle gwiazd, musiałby posiadać równie potężne generatory pola grawitacyjnego, powodujące silne zakłócenia czasoprzestrzeni. Nie wierzę jednak w istnienie czegoś takiego.

- Zmniejsz dystans o połowę, Thor... - Keith przerwał wywód Jaga. - Zbliżyliśmy się na sześć milionów klików do granic tego zjawiska... Daj znać, jeśli będzie możliwość zdobycia większej ilości szczegółów.

Mała twarz na hologramie i ruda grzywa w tle skinęły unisono. - Rozkaz, szefie.

W czasie dokonywania manewru Thor ponownie obrócił *Starplex* wokół osi tak, by główny pokład znajdował się na wprost wyznaczonej trajektorii lotu. Dysze silników mogły skierować statek w dowolnym kierunku, bez względu na nachylenie pojazdu, jednak jeden z bliźniaczych radioteleskopów głównych, przekazujących dane, zainstalowany był pośrodku czworokątnej górnej płaszczyzny rdzenia tuż nad pokładem

głównym. Także tam znajdowały się cztery wspomagające go, umieszczone w na rożnikach, teleskopy optyczne.

Gdy zbliżyli się na wystarczającą odległość, przekonali się, że formację, przesłaniającą widnokraj i zajmującą olbrzymi obszar, rzeczywiście tworzyła materia stała. Gwiazdy wciąż pulsowały; przygasały, a po krótkiej przerwie rozbłyśkały znowu. Mimo to obraz był niewyraźny z powodu braku silnego źródła światła. Najbliższa gwiazda klasy A znajdowała się zbyt daleko stąd... Tak daleko, że załoga stacji widziała jedynie nieokreślone, zamazane cienie.

- Odebraliśmy jakieś sygnały radiowe? - zagadnął Keith Idąc za głosem rozsądku, wyłączył hologram wdzięcznej buzi Lianny, unoszący się od pewnego czasu nad jego konsolą. Często zdawał sobie sprawę, iż wpatruje się weń zbyt długo. Sytuacja robiła się wtedy niezręczna, jako że tuż obok siedziała Rissa

- Nic szczególnego - odparła dziewczyna. - Tylko niewyraźne impulsy o minimalnym natężeniu, powtarzające się co pewien czas w zakresie dwudziestu jeden centymetrów. Ich źródłem są prawdopodobnie pozostałości mikrofalowego promieniowania kosmicznego tła. Lansing zerknął na Waldahudena, licząc na wskazówki. - Masz jakieś pomysły? - zagadnął.

Jag z każdą chwilą był coraz bardziej spięty. W miarę zbliżania się do niecodziennego zjawiska jego sierść jeżyła się coraz bardziej.

- Cóż... Pas asteroidów nie wchodzi w rachubę. Byłby położony zbyt daleko od najbliższej gwiazdy. Pozostaje przypuszczenie, że to resztki jednego ze składników gwiazdy typu A, należącej do Oorta. Lecz, moim zdaniem, ma zbyt zwartą strukturę. *Starplex* nadal podążał wyznaczoną trasą.

- Spektroskopia...? - zaproponował dowódca.

- Czymkolwiek to jest... - odparł Jag - ...nie odbija światła. Sądząc po ilości światła, przenikającego przez bardziej przezroczyste fragmenty struktury, owo spektrum jest charakterystyczne dla pyłu międzygwiazdowego, lecz absorpcja jest znacznie mniejsza niż oczekiwałem. - Spojrzał Keithowi w oczy. - Jest za ciemno, by stwierdzić, co tu się naprawdę dzieje - zdecydował. - Musimy wykorzystać termonuklearną flarę...

- A jeżeli to rzeczywiście obce statki? - rzucił Lansing. - Ich załogi mogą to źle odebrać, pomyśleć, że to atak?

- Jestem niemal pewien, że to nie statki - odparł Jag z prostotą. - Te obiekty są wielkości planet...

Keith, szukając wsparcia, spojrzał najpierw na żonę, potem na holograficzne wizerunki Thora i Rombusa, a w końcu na tył głowy Lianny, by upewnić się, że każde z nich nie ma nic przeciwko. - W porządku... - rzekł. - Niech będzie. Waldahuden wstał i ruszył w kierunku stanowiska Rombusa. Stał za łbem. Keith miał niezły ubaw, podsluchując ich rozmowę. Jag warczał jak wściekły pies, natomiast Rombus powtarzał jego wypowiedź, posługując się impulsami siatki sensorycznej. Póki prowadzili dialog między sobą, FANTOM nie tłumaczył ich słów, lecz Keith próbował sam wsłuchać się i zrozumieć je ot tak, dla wprawy. Język Waldahudenów był rzeczywiście trudny, rządziły nim różne formy gramatyczne w zależności od rodzaju płci, do której dany zwrot był skierowany. Mężczyźni zwracali się do kobiet jedynie w oficjalnej formie grzecznościowej. Z drugiej strony był to dość dogodny układ, pozwalający w mowie potocznej unikać następstw niewłaściwego posługiwania się tytułami, określającymi stopień hierarchii matriarchatu, obowiązującego wśród waldahudeńskich plemion. Podczas rozmowy Jag musiał wesprzeć się na konsolcie Iba. Mógł, co prawda, użyć jako podpory dolnej pary ramion, lecz obecność ludzi krępowała go przed stawaniem na czterech kończynach.

W końcu Ib i Waldahuden doszli do porozumienia co do tego, flary jakiej mocy powinni użyć. Lianna ze stanowiska Operacji Wewnętrznych wydała rozkaz, by wszystkie okna na pokładach od pierwszego do trzydziestego przestawiono na tryb pracy nie przepuszczający światła, bądź też zostały przykryte pokrywami ochronnymi. Na wszelki wypadek w podobne osłony zaopatrzyła również co delikatniejsze zewnętrzne czujniki i kamery.

Rombus mógł wreszcie spokojnie wystrzelić flarę - kulę o dwumetrowej średnicy - przez szyb mający wylot na obwodzie dysku centralnego. Wyprowadził ją na odległość dwudziestu tysięcy klików od statku i tam odpalił; przez osiem sekund płonąła niczym miniaturowe słońce.

Światło flary potrzebowało prawie dwudziestu sekund, by osiągnąć peryferia przyćmiewającego gwiezdą przestrzeń obiektu. Wtedy okazało się, że był on sferą o średnicy około siedmiu milionów kilometrów. W dwadzieścia cztery sekundy - lub

inaczej trzy długości świetlnego impulsu - wysłany promień przeniknął je kolistymi wstęgami, po czym na podstawie tych kilku widzialnych fragmentów Rombus odtworzył obraz całości. Obserwując pełną holograficzną wizję przestrzeni, załoga mostka wreszcie dowiedziała z czym ma do czynienia.

Były to dziesiątki szaroczarnych kul, tak ciemnych, że oświetlona strona każdej z nich stanowiła jaskrawy kontrast z nieoświetloną.

- Każda z tych kul jest co najmniej wielkości Jowisza. - Thor, pochylony nad konsoleką, bacznie studiował odczyty, i - Najmniejsza ma średnicę 110 tysięcy klików. Największa - około 170 tysięcy. Tworzą sferyczne skupisko o średnicy siedmiu milionów klików, pięciokrotnie przekraczającej średnicę Słońca.

Obraz pojedynczych ciał bardziej przypominałby czarnobiałe fotografie Jowisza, gdyby nie brak wyraźnych, równoleżnikowych pasm obłoków. To, co otaczało ich powierzchnię, tworzyło regularne zawirowania, przebiegające od równika do bieguna, zaprzeczające swym kształtem domniemanemu ruchowi obrotowemu sfer. Przestrzeń pomiędzy kulami wielkości globów wypełniały widoczne teraz chmury gazu lub cząstek, które tworzyły półprzejrystą mgłę. Z pewnością właśnie ten pył powodował intrygujące naukowców zjawisko migotania. Całość - kule i otaczający je gaz - przypominała pierścień stalowego łożyska wirujący na tle jedwabistej czerni.

- Jak to możliwe, żeby... - Jag nie dokończył, lecz Keith natychmiast domyślił się, co fizyk chciał powiedzieć. Jak to możliwe, żeby ciała niebieskie wielkości planet tworzyły tak gęste skupisko? Odległość między nimi wahała się od dziesięciu do piętnastu długości przeciętnej średnicy obiektu. Lansing nie umiał wyobrazić sobie w jaki sposób twory te utrzymują się na stałej orbicie, tak że nie zderzają się ze sobą pod wpływem własnej potężnej grawitacji. Jeżeli ta formacja powstała w sposób naturalny, to wprost niewiarygodne, by należała do tworów starszych. Rzucenie światła na tę zagadkę tylko pogłębiło tajemnicę.

IV

Na Ziemi żywe komórki posiadają mitochondria, powodujące przemianę substancji odżywczych w energię. Undulopodia, tworzące więc, umożliwiającą przemieszczanie się męskim komórkom rozrodczym, oraz plastydy, występujące wyłącznie w świecie roślin, umożliwiające wytwarzanie chlorofilu. Formy pierwotne tych organelli były niegdyś samodzielnyimi, żyjącymi oddzielnie istotami. W procesie symbiozy połączyły się, tworząc wielofunkcyjny organizm, którego kod genetyczny został zamknięty w jądrze każdej z komórek. Do dziś niektóre organella zachowały szczątkowe pozostałości własnego DNA.

Na Monotonii zróżnicowani rasowo przodkowie obecnych mieszkańców także pojęli korzyści płynące z życia w symbiozie, lecz na wiele szerszą skalę. Ibowie stanowili teraz mieszankę siedmiu rozwiniętych form życia. Stąd „Ib” oznaczało „integracyjną bioistotę”.

Pierwszą z siedmiu części tworzył „bąbel” - arbuzowaty twór, zawierający nasycony roztwór, w którym wzrastały kryształy głównego mózgu.

„Pompa” spełniała rolę systemu trawienno-oddechowego, otulając bąbel niczym niebieski szalik owinięty wokół zielonego, brzuchatego naczynka. Posiadała chwytny, rurkowate wyrostki, służące zarówno do pobierania pokarmu, jak i do wydalania.

Środkiem lokomocji były dwa „kółka” - lśniące pierścienie pokryte kwarcową otoczką.

Pomiędzy nimi znajdowała się „rama” - popielata konstrukcja o kształcie siodełka, stanowiąca oś i jednocześnie punkt oparcia dla innych elementów organizmu.

„Motek” - czyli szesnaście macek o barwie miedzi, w normalnych warunkach tworzyło faktycznie motek z przodu bąbla, który mógł się natychmiast rozmotać w razie potrzeby.

„Siatka” okrywała bąbel, pompę i górną część ramy. Był to nerwowy splot sensoryczny, umożliwiający komunikowanie się z innymi osobnikami. Siatka nerwowa reagowała na bodźce wzrokowe i bioemanację organizmów żywych, jeśli dwa lub więcej znalazło się w jej zasięgu. Pomimo braku organów mowy Ibowie posiadali słuch bardziej czuły niż ziemskie psy. Co ciekawe, z pełnym humorem akceptowali przezwiska,

nadawane im przez Ziemiaków i inne rasy. Na *Starplex* szefą Operacji Zewnętrznych zwano Rombusem, starszym geologiem była Śnieżynka, specjalistę od hiperprzestrzeni ohrzczono Dodi (skrót od „dopuszczalnego diagramu”), Drezynka zaś, będąc biochemikiem, współpracowała z Rissą w najbardziej nieprawdopodobnym projekcie w historii Ludzkości. W 1972 roku na Ziemi członkowie Klubu Rzymskiego poczuli zalecać ograniczenie przyrostu naturalnego, jednak obecnie, biorąc pod uwagę dostępną przestrzeń, diabli wzięli wszelkie ograniczenia. Poszła w zapomnienie przeciętna 2,3 dziecka na rodzinę. Chciałeś mieć 2 x 10³ dzieci, proszę bardzo - miejsca wystarczy zarówno dla nich, jaki dla ciebie. Argument iż jednostki powinny umrzeć, by pozwolić rasie jako całości rozwijać się dalej, stracił swoją moc...

Rissa i Drezynka próbowały określić wykładniczy czas życia ras Wspólnoty. Niewdzięczne zadanie - zagadką bowiem nadal pozostawało wiele z tego, jak „życie” działa.

Rissa wątpiła, czy problem długowieczności zostanie rozwiązany za jej życia. Przeczuwała jednak, że klucz do jego rozwiązania musi zostać odkryty w ciągu najbliższych stu lat. Czy tego dożyje? Chyba nie. Ironia losu... Clarissa Cervantes, naukowiec poszukujący sposobu na powstrzymanie starzenia, prawdopodobnie zarazem przeżytek śmiertelnej generacji, przedstawicielka ostatniego pokolenia z góry skazanego na zagładę, na śmierć...

Przeciętna ludzkiego życia wynosiła mniej więcej sto lat ziemskich.

Według tych kategorii czas egzystencji Waldahudena wynosił około czterdziestu pięciu lat. (Zyskiwali oni wprawdzie prawo do samodzielności w wieku sześciu lat, lecz nie wynagradzało im to krótkiego czasu ich życia. Niektórzy ludzie przypuszczali, iż fakt, że mieszkańcy Rehbollo są najmniej długowieczną rasą spośród istot rozumnych, czyni ich tak nieuprzejmymi wobec pozostałych istot rozumnych.) Delfiny w pełnym zdrowiu przeżywały swoje osiemdziesiąt lat, a Ibowie, gdyby nie brać pod uwagę wypadków, spokojnie dożywali dokładnie 641 lat ziemskich.

Rissa razem z Drezynką wierzyły, że poznają tajemnicę długowieczności Ibów. Komórki ludzi, delfinów i Waldahudenów podlegały nieubłaganemu prawu stałej Hayflicka. Mogły dzielić się tylko określoną ilość razy. Jak na ironię, komórki Waldahudenów posiadały większe możliwości. Potrafiły odtwarzać się dziewięćdziesiąt

trzy razy. Ale, podobnie jak istoty z nich stworzone, ograniczał je krótki cykl rozwoju i funkcjonowania.

Komórki ludzi i delfinów dzieliły się zaledwie pięćdziesiąt razy. Ale u Ibów skupiska organelli nie posiadające błony międzykomórkowej mogły dzielić się w nieskończoność. Jedyną rzeczą, która była zdolna całkowicie zabić przedstawiciela tej rasy - to nagłe spięcie w obwodzie mentalnym. Gdy kryształy głównego mózgu, utrzymywane w równowadze przez matryce, osiągnęły maksymalną pojemność zakodowanych informacji, ich nadmiar powodował zakłócenia w podstawowych czynnościach układu trawienno-oddechowego, który stawał się bezużyteczny.

Rissa, stwierdziwszy iż nie jest potrzebna na mostku, zeszła do laboratorium, aby skonsultować się z Drezynką. Razem obserwowały ekran, wyświetlający aktualne dane. Stała Hayflicka była w pewien sposób zależna od żywotności komórki. Dotąd badały próbki z Ziemi i z Rehbollo, mając nadzieję, że próba porównania ich genomów pomoże znaleźć rozwiązanie. Poszukiwania współzależności pomiędzy podstawowym kodem genetycznym, a mechanizmami wzrostu, dojrzewania i rozrodu, zakończyły się sukcesem. Niestety, jak do tej pory nie udało się podważyć zasady stałej Hayflicka.

Może następny test... Może analiza statystyczna odtworzonej telomerazy kodonów RNA przyniesie jakieś wyniki. Może... Rozbłyły światełka na siatce sensorycznej Iba.

- Przykro mi ci oznajmić, że tym sposobem nie otrzymałyśmy rozwiązania - przemówiła Drezynką głosem translatora z brytyjskim akcentem (tak jak wszyscy przedstawiciele jej rasy). Głos był ciepły, kobiecy. Co najmniej połowa jej pobratymców wybierała dla siebie głos żeński.

Clarissa ciężko westchnęła. Drezynką miała rację. Następna kłapa.

- Nie chciałabym cię urazić moimi słowami, sądzę jednak, że wiesz, iż moja rasa nigdy nie pokładała wiary w bogach - odezwała się nagle Drezynką. - Stał przed mną problem - problem, który jakby specjalnie został zaprojektowany tak, by wymykał się odpowiedziom. Sprawia to, że myślę, iż wiedzy tej celowo nam się odmawia. Być może nasz Stwórca nie chce, byśmy ją poznali. Nie chce, byśmy poznali tajemnicę wiecznego życia... Rissa zdobyła się na słaby uśmiech.

- Może masz rację. Ludzie wierzący twierdzą, że bogowie są zazdrośni o swą

władzę nad światem... Po co formować Wszechświat nieskończony? Dla kilku marnych, zamieszkałych planet?

- Z całego serca proszę cię o wybaczenie, lecz jedno chciałabym podkreślić... - rzekł łagodnie głos z translatora. - Wszechświat jest nieskończony tylko dlatego, że nie znamy jego granic. W swym wnętrzu zawiera skończoną ilość materii, lecz wciąż się rozszerza. A jak nakazał wasz Bóg? „Bądźcie płodni i mnożcie się”.

Tym razem kobieta roześmiała się.

- Zdobywając kosmos, byliśmy aż nadto płodni...

- Myślałam, że jest to czynność bardzo lubiana przez ludzką rasę...

Rissa spoważniała, myśląc o swoim mężu.

- Jedni lubią to bardziej, inni mniej...

- Wybacz, że śmiem cię niepokoić, lecz FANTOM nadał twym słowom nutę ironii. Czuję się winna podwójnie, ale, doprawdy, nie pamiętam kłamstwa, które mogłoby cię zranić...

Rissa bez słowa otaksowała wzrokiem tę dziwną istotę: sześćsetkilogramowy fotelik z arbuzem... bez twarzy... Czy wobec niej... czy wobec takiego czegoś może powiedzieć, co jej naprawdę leży na sercu? Jak istota nie posiadająca płci, dla której życie człowieka jest zaledwie początkiem jej egzystencji, potrafi zrozumieć miłosne rozterki, sens małżeństwa... jak może pojąć ścieżki, którymi chadza mężczyzna...? Rissa nie mogła o tym rozmawiać z kobietami należącymi do załogi *Starplex*. Była żoną samego Dyrektora... czy też Kapitana - jak by go kiedyś nazwano. Każda bliższa znajomość stanowiła ryzyko; nie mogła dopuścić do podważenia autorytetu męża w oczach personelu statku bazy.

Jej najbliższa przyjaciółka, Sabrina, była żoną Gary'ego. Miała ten sam dylemat co Rissa, lecz Gary był tylko meteorologiem. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie patrzył mu na ręce ani nie śledził jego każdego kroku. Był jednym z wielu, jednym z tysiąca członków załogi. Jestem biologiem, myślała Rissa, a mój mąż socjologiem. Jak mogę kiedykolwiek skończyć z odgrywaniem posłusznej i przykładnej żony, skoro my sami i całe nasze małżeństwo jesteście wciąż pod lupą...

Już otworzyła usta, by zapewnić Drezynkę, że nic się nie stało, że to pewnie FANTOM źle zinterpretował zmęczenie, czy rozczarowanie wynikiem ostatniego

eksperymentu, przedstawiając je w formie ironii. Nagle jednak zmieniła zdanie. Do diabła! Dlaczego nie? Czemu nie zwierzyć się łałowi? Zamiłowanie do plotek, zwyczaj tak typowy dla indywidualnych form życia, było całkowicie obce istocie zbiorowej. A z jaką ulgą... z jak wielką ulgą podzieliłaby się z kimś ciężarem zalegającym jej na sercu.

- Więc dobrze - odetchnęła i urwała, usiłując po raz ostatni się powstrzymać. Lecz po chwili dokończyła. - Keith się starzeje.

Delikatna feeria światełek przemknęła po siatce sensorycznej Iba.

- Tak, tak, wiem - dodała pospiesznie Rissa, podnosząc rękę. - Według waszych standardów jest młody, ale jako człowiek osiągnął już wiek średni. Gdy do tego etapu dochodzi kobieta, traci zdolność do rodzenia dzieci pod wpływem chemicznych zmian w organizmie. Nazywamy to menopauzą.

Światełka pomknęły w górę - odpowiednik skinięcia głową u Iba.

- Natomiast mężczyznom w tym wieku - ciągnęła małżonka dyrektora - trudno zaakceptować, że to po prostu koniec i kwita. Gdy czują opuszczającą ich młodość, zaczynają zadręczać się w duchu pytaniami, czego dokonali w życiu, jaką osiągnęli pozycję, czy ich wybór był słuszny, no i... czy wciąż są jeszcze atrakcyjni dla płci przeciwnej.

- A czy dla ciebie Keith wciąż jest atrakcyjny?

To pytanie kompletnie zaskoczyło Clarissę.

- Cóż, nie poślubiłam Keitha ze względu na urodę - odparła, lecz nie zabrzmiało to tak, jak powinno. - Tak, tak, oczywiście, że jest dla mnie atrakcyjny - poprawiła.

- Zatem z niewymowną przykrością muszę zwrócić uwagę na to, co zaobserwowałam. Proszę cię więc o wybaczenie, lecz on gubi swoje włosy...

Rissa wybuchła śmiechem.

- Jestem zaskoczona, że zauważyłaś taki drobiazg.

- Nie chciałabym cię urazić, jednak musisz wiedzieć, że dla nas odróżnienie jednego człowieka od drugiego to nie lada problem, zwłaszcza gdy ktoś stoi zbyt blisko i jest widoczny tylko dla części naszej siatki sensorycznej. Musimy zwracać w takim wypadku większą uwagę na osobiste detale. Wiemy, jaką przykrością napawa każdego człowieka fakt, że nie rozpoznaje go osoba, która powinna go znać. Zauważyłam w ten sposób dwie rzeczy: włosy Keitha rzedną i zmieniły kolor. Nauczyłam się, że takie

zmiany mogą być sygnałem obniżenia atrakcyjności.

- Może są, dla niektórych kobiet - skwitowała Rissa pozornie bez troski, lecz po chwili pomyślała, że udawanie przed obcą istotą jest idiotyczne. - Właściwie masz rację, wolałam jak miał bujną czuprynę. Ale to naprawdę drobiazg bez znaczenia.

- Zatem jeżeli twój mąż jest dla ciebie wciąż atrakcyjny to, wybac mi moją bezgraniczną ignorancję, nie pojmuję w czym tkwi problem.

- Problem w tym, że Keitha nie obchodzi, czy ja uważam go za atrakcyjnego - westchnęła Rissa. - Uważa za naturalne, że i tak jest pociągający dla swojej żony. To pewnie dlatego niegdyś po ślubie mężczyźni zawsze przybierali na wadze. Nie, podejrzewam, że wiem, co mu ostatnio chodzi po głowie. Chce sprawdzić, czy jest atrakcyjny dla innych kobiet...

- A tak jest?

Rissa już chciała odruchowo odpowiedzieć „oczywiście!”, lecz wstrzymała się na chwilę, by dokładnie przemyśleć pytanie, czego przedtem nie robiła.

- Tak. Myślę, że tak jest. Mówi się, że władza to ostateczny afrodyzjak, a Keith sprawuje najwyższą władzę w naszej przemierzającej kosmos społeczności.

- Zatem, wybac, nie dostrzegam powodu do niepokoju. Wygląda na to, że otrzyma odpowiedź na dręczące go pytanie - podsumowała Drezynka.

- Może zapragnąć się sprawdzić... Oto powód do niepokoju. Będzie chciał sprawdzić, czy wciąż jest pociągający - szepnęła kobieta.

- Może zarządzić głosowanie - wymyślił Ib. - Wiem, jaką wagę wy, ludzie, przywiązujecie do opinii ogółu.

Rissa roześmiała się.

- Keith jest bardziej... Preferuje raczej dowody bezpośrednie - wyjaśniła, poważniejąc. - Może z chęcią sam by poeksperymentował...

Rozbłysły dwa światełka.

- Ach. Tak?

Rissa wbiła wzrok w jakiś punkt wysoko na ścianie.

- Ilekroć spotykamy się w większym gronie z ludźmi naszej załogi - rzekła z goryczą - spędza zbyt wiele czasu z inną kobietą.

- „Zbyt wiele” to znaczy ile?

- Więcej, niż ze mną. - Wzruszyła ramionami. - Co więcej ta, którą zabawia rozmową, jest o połowę od niego młodsza. I o połowę młodsza ode mnie...

- Zatem to cię nurtuje. - Tak przypuszczam...

Drezyńska zamyśliła się na moment.

- Czy nie sądzisz jednak, że to naturalna kolej rzeczy? Że wszyscy mężczyźni przez to przechodzą? - zapytała.

- To prawda. - Jednostka nie może walczyć z prawami natury, Risso... Rissa bez słowa wskazała ręką monitor, wciąż wyświetlający negatywny wynik ostatnich badań nad stałą Hayflicka. - Lecz ja już zaczęłam. I mam zamiar zwyciężyć...

V

- Zdobądź dla mnie próbkę substancji, tworzącej te kule - zaszczekał Jag, stając przy swoim stanowisku i mierząc Dyrektora wzrokiem. Keith zagryzł zęby i nie po raz pierwszy rozważył w duchu, czy nie skłonić FANTOMA, by nadał słowom Waldahudena mniej rozkazujący ton, choćby używając ludzkich, grzecznościowych zwrotów, takich jak „proszę” i „dziękuję”.

- Wyślemy sondę? - syknął mężczyzna, nie spuszczać wzroku z czworookiej twarzy obcego. - Czy wolisz polecieć sam?? - *W drugim przypadku z przyjemnością pokażę ci drzwi.* - dodał w myśli.

- Standardową sondę do badań atmosferycznych - uciął Jag. - Oddziaływanie grawitacyjne pomiędzy tak wielkimi obiektami, stłoczonymi na stosunkowo niewielkiej przestrzeni musi być wyjątkowo złożone. To, co wyślemy, może po prostu rozbić się na którymś z nich. Tym lepszy powód, by wysłać Jaga, pomyślał Keith.

- Niech będzie sonda - rzekł głośno. Odwrócił się w stronę stanowiska, które obserwowane z jego punktu widzenia, na tarczy zegara znajdowałoby się na godzinie drugiej. - Rombusie, zajmij się tym, proszę.

Siatka Iba zamrugwała twierdząco.

- Najlepsza byłaby sonda klasy delta - rzucił Jag, sadowiąc się z powrotem w fotelu. Mówił coś teraz w kierunku niewielkiego hologramu Rombusa nad konsolą.

Keith wcisnął klawisz, by również uczestniczyć w naradzie. Zminiaturyzowana głowa Waldahudena unosiła się nad pulpitem tuż obok obrazu Iba.

- Ile sfer zawiera to skupisko? - zapytał.

Macki Iba śmignęły po kontrolkach.

- Dwieście siedemnaście - odparł. - Sprawiają wrażenie identycznych, z wyjątkiem niewielkich różnic w rozmiarach.

- Wobec tego podczas wstępnego testu nie ma znaczenia, z której pobierzemy próbki - wtrącił Jag. - Wybierz sferę, wymagającą kilku nawigacyjnych manewrów. Lecz najpierw dostarcz nam nieco materii wypełniającej przestrzeń między kulami. Potem wprowadź sondę do któregoś z obiektów i pobierz próbkę gazu, czy tego tam, z czego jest zbudowana. Trochę z zewnętrznej części chmur, następnie z wewnętrznej, dwieście

metrów niżej - o ile sonda wytrzyma ciśnienie. Gdy to zrobisz, dostosuj temperaturę i siłę ciężenia w przedziałach z próbkami do warunków panujących w miejscach ich pobrania. Chcę zminimalizować chemiczne zmiany w materiale do badań. Rombus zamigotał światłkami siatki i po chwili wystrzelił próbnik. Ib przełączył sferyczny hologram sali na obraz rejestrowany kamerami sondy. Gwiazdy, widziane przez pył między kulami, nadal migotały. Same kule były kołami przepastnej czerni na tle gwiazdnego nieba i delikatnie przenikającego z dali błękitnego blasku odległej mgławicy.

- Jak sądzicie, czym są te sfery? - przerwał milczenie Ib, gdy sonda znalazła się prawie u celu.

Jag wzruszył obiema parami ramion.

- Może to pozostałości brązowego karła, który niedawno eksplodował.

Oczywiście każda ciecz przyjmie kształt kuli przy zerowej grawitacji. Substancja pomiędzy większymi ciałami prawdopodobnie zostałaby przez nie ostatecznie całkowicie wchłonięta. Sonda wchodziła już w przestrzeń wypełnioną pyłem.

- Ta materia przypomina gaz, wzbogacony stałymi cząsteczkami o średnicy około siedmiu milimetrów - zauważył Rombus. Część jego siatki sensorycznej pokrywała konsolę, co ułatwiało mu odczytywanie danych na przyrządach. - Jaki to rodzaj gazu? - zapytał Keith.

- Sądząc po masie cząsteczkowej, to ciężki gaz lub substancja o złożonej budowie - odezwał się znów Waldahuden, obserwując jeden z monitorów.

- Tak czy inaczej, absorpcja widma jest charakterystyczna dla normalnego pyłu międzygwiazdnego, złożonego na przykład z drobin węgla - przerwał, wpatrzony w ekran. - Wokół sfer nie ma wykrywalnego pola magnetycznego. To dziwne. Sądziłem, że może właśnie tego rodzaju pola utrzymują cząstki gazu w równowadze. - Czy sonda może zostać uszkodzona podczas zderzenia?

- Pozwolę sobie zauważyć - z galanterią wtrącił Rombus - że to niemożliwe, gdyż zmniejszyłem jej prędkość, by tego uniknąć.

Fragment hologramu, jak na złość, pociemniał akurat w momencie, gdy otworzył się zbierak do próbek atmosferycznych.

- Przystąpiliśmy do pobrania próbek materii pomiędzy kulami - oznajmił Ib. Po chwili obraz nabrał ostrości, gdy urządzenie się zamknęło. - Pierwsza przegroda pełna.

Zmiana kursu w celu zbadania atmosfery.

Gwiezdna przestrzeń wokół sali obróciła się, gdy sonda zmieniała trajektorię lotu. Jeden z ciemnych kręgów wkrótce trafił w centrum pola widzenia. Hebanowa kula rosła i rosła, aż w końcu przesłoniła cały hologram. Rombus włączył główne reflektory próbnika. Dwa pociemniałe snopy światła penetrowały ciemną, wirującą substancję w promieniu kilku metrów. Inny fragment projekcji znów ocieniła szufla, zgarniająca próbki.

- Gromadzimy próbki górnej warstwy atmosfery - poinformował tradycyjnie Rombus. - Kontener drugiej przegrody pełen.

- Wystarczy - rzucił Jag. - Zejdź teraz dwieście metrów niżej, lub więcej, o ile to możliwe. Zbierz więcej tej materii.

- Czynię to z całym spokojem - nie omieszkał zaznaczyć Ib uroczyście.

Otoczyła ich całkowita czerń, jeśli nie liczyć dwóch krążków mętnego światła lamp sondy. Nie sięgało nawet na odległość metra. Na mgnienie oka coś wielkiego stanęło na drodze wysłanego urządzenia. Lecz jajowaty kształt przypominający sterowiec zniknął niemal tak szybko, jak się pojawił.

- Głębokość dziewięćdziesiąt jeden metrów - Ib odczytywał dane. - Zastanawiające. Ciśnienie zewnętrzne jest nieznaczące. O wiele mniejsze, niż przypuszczałem.

- W takim razie schodź niżej - w głosie Waldahudena przebijała niecierpliwość.

Sonda opadała coraz niżej. Światelka na siatce sensorycznej Iba zatańczyły z przerażenia.

- Czujnik ciśnieniowy musiał ulec zniszczeniu. Może przez kolizję z jakimś kawałkiem tej materii. Odczyt nie rejestruje obecności ciśnienia atmosferycznego. Jag podniósł wyższą parę rąk w bezradnym geście.

- Trudno. Napełnij ostatnią komorę na tym poziomie i zawróć do bazy.

Zbierak trzeciego kontenera w ogóle nie znalazł się w zasięgu kamery, gdyż jego otwarcie prawdopodobnie spowodowało wstrząs, który sprawił, że cały obraz wokół pojazdu zadrgał, uniemożliwiając widoczność. - Licznik ciśnienia wewnątrz komór z próbkami również wskazuje grawitację zerową, tak jak i na zewnątrz - zdumienie Iba rosło. - Oczywiście pomiar kontrolują te same mikroprocesory. W każdym razie

kontenery powinny być dokładnie wypełnione, jako że przed otwarciem panowała w nich próżnia.

Na wszelki wypadek jednak Rombus dla pewności przetrzymał ostatnią komorę nieco dłużej otwartą. Następnie zamknął ją i skierował próbnik w drogę powrotną na *Starplex*.

Gdy sonda znalazła się w tunelu wprowadzającym, kontenery z próbkami zostały oddzielone i umieszczone przez roboty na transporterach, te z kolei dostarczyły je na dół, do laboratorium Jaga. W chwilę później zjechał tam windą sam Waldahuden.

Kontenery osadzono na lewarach, zamontowanych w ścianach pomieszczenia. Jeszcze ich nie otwierano. Do podnośników przytwierdzono na razie czujniki i kamery.

Jag rozsiadł się w fotelu - było to autentyczne dzieło waldahudeńskiego rzemiosła, a nie pospolite krzesło ze sztucznego tworzywa - i włączył wysokie, wąskie monitory przed sobą. Otworzył program, wydając polecenia uruchamiające standardową serię testów. Z rosnącym napięciem obserwował wyniki, pojawiające się na ekranie. Spektroskopia: brak danych. Pole elektromagnetyczne: nie wykryto. Wypromieniowanie Beta: nie wykryto. Emisja promieniowania gamma: brak.

Każda następna informacja brzmiała: „brak”, „żadnego”, „brak danych”, „nie wykryto” i tak dalej. Wcisnął guzik, by poznać przynajmniej wagę próbek. Odczyt wskazywał na 12,782 kilograma.

- Centralny Komputer! - rzucił Jag w powietrze. - Sprawdź dokładną masę kontenera na próbki. Ile waży, gdy jest pusty?

- Masa kontenera wynosi dokładnie 12,782 kilograma - zaszczekał Fantom po waldahudeńsku.

Jag zaklął.

- Tenfardint jest pusty!

- Zgadza się - potwierdził wszechobecny FANTOM.

Waldahuden wcisnął następny przycisk, wywołując Iba, którego hologram pojawił się natychmiast nad konsolą.

- Teklarg! - rzekł, nazywając Rombusa w rodzimym języku. - Sonda, którą wysłałeś, była uszkodzona. Cały zdobyty przez nas zapas próbek w pojemniku drugim zniknął, gdy wracała do bazy.

- Najusilniej proszę cię o wybaczenie, dobry Jagu - odparł Ib, skruszony. - Chętnie poniosę karę za zmarnotrawienie twego cennego czasu, a także wyślę zaraz następny próbnik.

- Zrób to - warknął Jag i jednym ruchem palca przerwał połączenie. Skierował teraz całą uwagę na pierwszy kontener... i doznał szoku, gdy odkrył, że ten również utracił cenny ładunek w drodze powrotnej. - Tandetna ludzka inżynieria! - gderał pod nosem.

Lecz dopiero, gdy dostarczono mu pojemniki z drugiej sondy, wpadł w prawdziwą złość. Wyniki były takie same, łącznie z odczytami nienaturalnie niskiego ciśnienia w trakcie zanurzania się w wielkiej kuli. Jeszcze raz Jag wywołał holograficzny obraz Rombusa.

- Powiadam ci w najlepszej intencji, drogi Jagu, żadna z sond nie wygląda na uszkodzoną czy niesprawną. Plomby kontenerów są nietknięte. Nic nie mogło wypaść z pojemników - tłumaczył łagodnie Ib.

- Mimo to wszystkie próbki, które zebraliśmy, gdzieś wyparowały - parsknął Waldahuden. - Co oznacza... Cóż, to oznacza, że są zrobione z jakiejś niespotykanej substancji. Akurat. Rombus z entuzjazmem zamigotał światłkami. - Doskonała hipoteza! Jag zacisnął szczęki, aż zgrzytnęły zębowe płytki. - Musi istnieć jakiś sposób, żeby sprowadzić nieco tej materii do badań - szczeknął.

- Niewątpliwie już o tym pomyślałeś - odparł Ib - a ja marnuję nasz cenny czas, wspominając o możliwości zastosowania kontenera siłowego. Rozumiesz, podobnego do pojemników, których używa się w laboratoriach do transportu antymaterii. Jag wzniosł górne ramiona.

- To całkiem do przyjęcia. Ale w tym wypadku nie uruchamiaj pola siłowego EM. Zamiast tego użyj sztucznych pól grawitacyjnych, by utrzymać zawartość z dala od wewnętrznych ścian pojemnika, bez względu na zastosowaną prędkość.

- Uczynię tak. Żegnaj z uszanowaniem. - Rombus przerwał połączenie.

Kontenerem siłowym posługiwano się z pomocą manipulatorów. Złożony był z ośmiu generatorów antygravitacyjnych, rozmieszczonych jakby na rogach regularnego sześcianu. Każdy z nich posiadał szeroki wysięgnik o łopatkowatym kształcie, umożliwiający chwytakom podtrzymywanie danego przedmiotu. Pierwszy pojemnik

został wstrzelony do jednej z wielkich, szarych kul, a następnie otwarty. Drugi umieszczono w strefie granulowanego pyłu pomiędzy dwiema sferami. Po wykonaniu zadania obydwie kontenery sprowadzono w pośpiechu na pokład *Starplex*.

Wreszcie pojemniki z próbkami trafiły do osobnych, wydzielonych komór w laboratorium Jaga. Zastosowanie antygrawu zakończyło się sukcesem: pierwszy z kontenerów rzeczywiście zawierał próbki gazu, wchodzącego w skład kuli. W drugim natomiast stwierdzono obecność kilku przeświecających grudek oraz półprzezroczysty fragment skały wielkości kurzego jaja. Nadszedł czas, by Jag w końcu mógł odkryć, z jakim zjawiskiem mają do czynienia.

VI

Keith, z rękami na karku, rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapatrzony w holograficzną projekcję gwiazdnych przestworzy otaczających stację. Nie miał nic do roboty, przynajmniej dopóki Jag nie zamelduje o otrzymanym wyniku. Rissa nadal pracowała z Drezynką, a dyżur pierwszej zmiany dobiegał końca. Mężczyzna westchnął ciężko - i chyba trochę za głośno, gdyż zwabiło to Rombusa, który bezszelestnie podjechał do stanowiska dyrektora by o czymś podyskutować. Seria światełek przemknęła po okrywającej go siatce.

- Zirytowany? - zapytał głosem translatora.

Keith tylko kiwnął głową.

- Przez Jaga?

Ponowne skiniecie.

- Uprzejmie śmiem zauważyć, że on nie jest taki zły - pocieszał Ib. - Jak każdy Waldahuden, jest stanowczy i wyniosły.

Keith wskazał gestem ręki ukryte za obrazem holograficznego nieba drzwi, którymi wyszedł Jag.

- On zbyt dąży do... do rywalizacji. Do walki.

- To dla nich typowe - odparł Rombus. - W każdym razie dla wszystkich waldahudeńskich mężczyzn. Czy długo przebywałeś na Rehbollo?

- Nie. Choć byłem obecny przy pierwszym kontakcie ludzi z Waldahudenami, zdecydowałem, że lepiej będzie dla mnie trzymać się z dala od Rehbollo. Jak przypuszczam, wciąż... wciąż kipi we mnie gniew z powodu śmierci Saula Ben-Abrahama.

Rombus zamilkł, próbując przyswoić tę wiadomość. Po chwili jego siatka znów zamigotała.

- Nasz dyżur dobiegł końca Keith, przyjacielu. Czy zechciałbyś poświęcić mi dziewięć minut twojego czasu?

Keith wstając wrzucił ramionami. Zwrócił się do reszty obecnych.

- Świetnie się spisaliście. Dziękuję.

Platynowe włosy Lianny zafalowały, gdy z promiennym uśmiechem odwróciła się

do Lansinga. Dyrektor wyszedł na chłodny korytarz w towarzystwie jadącego obok Rombusa. Obok nich przeszły dwa smukłe roboty. Jeden niósł tackę z jedzeniem, drugi przeciągał odkurzaczem po podłodze. Keith prywatnie wciąż nazywał je „FARTy” - był to skrót od „FANTOMA Robot Toaletowy”. Waldahudeni z premedytacją ignorowali tego typu określenia, gdy tylko zauważyli, że akronim powstał ze skrótu słów, powszechnie używanych w terminologii FANTOMa.

Oszklona ściana korytarza umożliwiała obserwację pionowego, wypełnionego wodą tunelu komunikacyjnego delfinów. Strumień wody w rurze o metrowej średnicy oddzielała od ścianek dziesięciocentymetrowa warstwa powietrza, utrzymywana przez pola siłowe. Powietrzna izolacja dawała gwarancję, że tuba nie pęknie pod wpływem ciśnienia. Właśnie butlonosy delfin pomknął tunelem w górę.

Keith zerknął na towarzysza akurat w chwili, gdy Rombus błysnął podwójną serią światełek. - Z czego się śmiejesz? - zapytał. - Z niczego... - No nie... Śmiało, co jest grane?

- Po prostu przypomniał mi się dowcip, który słyszałem wczoraj od Thora. „Ilu musisz mieć Waldahudenów, żeby wymienić żarówkę? - Odpowiedź: Pięciu - bo każdy chce być najlepszy.”

Keith skrzywił się.

- Przecież Lianna opowiadała ci ten dowcip kilka tygodni temu.

- Wiem. I też się śmiałem - zapewnił Rombus.

Człowiek pokręcił głową z politowaniem.

- Nigdy nie zrozumieję, jak wy, Ibowie potraficie to robić. Jak można śmiać się w kółko z tej samej rzeczy?

- Wzruszyłbym ramionami, gdybym potrafił - odparł Rombus. - Czy pięknie namalowany obraz traci coś ze swego piękna gdy patrzysz na niego kolejny raz? Dobrze przyrządzone jedzenie jest smaczne za każdym razem, kiedy je spożywasz. Dlaczego ten sam dobry dowcip nie może być równie śmieszny za każdym razem, gdy go słyszysz?

- Nie mam pojęcia - uciał Keith, zmęczony jego tyradą. - Cieszę się, że przynajmniej przestałeś mnie na powitanie częstować kretynstwami w stylu: „...Mój wózeczek nie ma osi, tylko przewód pokarmowy...” Wkurzało mnie to jak cholera. - Przepraszam...

W ciszy ruszyli korytarzem na dół. Po chwili Rombus znów przerwał milczenie.
- Wiesz co, dobry Keith? O wiele łatwiej zrozumiałbyś Waldahudenów, gdybyś żył na ich planecie.

- Co ty powiesz...?

- Ty i Clarissa zawsze byliście razem szczęśliwi, jeśli pozwolisz mi tak to określić - ciągnął Rombus nie zrażony. - My, Ibowie, nie przestajemy ze sobą w takiej zażyłości. Wolimy wymieniać materiał genetyczny pomiędzy własnymi częściami składowymi, niż dzielić go z partnerem. Ach, moje pozostałe składniki dodają mi otuchy. Moje kółka, na przykład, nie czują, za to posiadają inteligencję na poziomie ziemskiego psa. Darzę je przyjaźnią i sprawia mi to radość. Lecz przyjaźń, która łączy cię z Clarissą, postrzegam jako coś więcej. Znacznie więcej. Ja pojmuję to dosyć mgliście, lecz jestem pewien, że Jag rozumie doskonale to uczucie. Po za tym, u Waldahudenów występują dwie płci, tak jak u ludzi.

Rombus najwyraźniej za bardzo się spoufalił. Keith zachodził w głowę, do czego zmierza ta przemowa.

- I co dalej? - zapytał.

- Waldahudeni są dwupłciowi, lecz nie posiadają odpowiedniej liczby przedstawicieli każdej płci - ciągnął Ib niestrudzenie. - Na jedną kobietę przypada co najmniej pięciu mężczyzn. Tak... Lecz do tego są rasą monogamiczną, tworzącą dożgonne pary.

- Też o tym słyszałem - wtrącił Keith.

- Czy rozważyłeś jednak konsekwencje takiego stanu rzeczy? To oznacza, że czterech z pięciu mężczyzn spędzi życie bez partnerki, zostaną wyłączeni z rasowej puli genów. Tak, jakbyś ty musiał zwyciężyć kilku konkurentów, by zdobyć Clarissę. Albo ona musiałaby walczyć o ciebie z innymi. Wybacz, ja sam nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Lecz doszedłem do wniosku, że wobec takich sporów najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych była by pewność, że na każdego mężczyznę przypada jedna kobieta i na odwrót. Lub partner tej samej płci, jeśli ktoś ma takie upodobania.

- Ja myślę... - mruknął Lansing pod nosem, a Rombus perorował dalej. - Lecz dla współplemieńców Jaga takie wyjście jest niemożliwe. W tej społeczności kobiety

sprawują władzę absolutną. Każdą z nich adoruje... - mam nadzieję, że użyłem odpowiedniego słowa - ...pięciu osobników męskich, a gdy osiągnie wiek trzydziestu lat, ma prawo wybrać jednego partnera spośród pięciu, którzy walczyli o jej względy przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Czy znasz pełne nazwisko Jaga?

Keith chwilę poszperał w pamięci.

- Jag Kandaro-Pelsh, zgadza się?

- Tak jest. Czy znasz pochodzenie imion?

Mężczyzna pokręcił głową, więc Ib podjął wywód.

- „Kandaro” to określenie regionalne. Określa prowincję, z której wywodzi się ród Jaga. „Pelsh” to nazwisko kobiety, o której względy się stara jako jeden z pięciu konkurentów. Obecnie zajmuje ona bardzo wysokie stanowisko na Rehbollo. Jest wybitną matematyczką, do tego siostrzenicą Królowej Trath. Spotkałem kiedyś panią Pelsh na konferencji. To czarująca, inteligentna istota. Dwa razy większa od Jaga, jak zresztą wszystkie dojrzałe waldahudeńskie kobiety.

Keith oczyma wyobraźni ujrzał tę „czarującą istotę”. Wzdrygnął się, lecz nie skomentował.

- Czy teraz rozumiesz? - ciągnął Rombus. - Jag musi się wykazać. Musi wybić się ponad pozostałych czterech rywali, jeśli chce zostać jej wybranym. Od najmłodszych lat jedynym celem waldahudeńskiego mężczyzny jest dążenie do pozostawienia po sobie śladu biologicznego. Jag przybył na pokład *Starplex* w poszukiwaniu chwały, która zapewni mu przychylną pani Pelsh. Ma zamiar dostąpić tego zaszczytu za wszelką cenę, bez względu na przeciwności losu.

Tej nocy Keith przewracał się w łóżku z boku na bok. Całe życie cierpiał na bezsenność, choć stosował rady, jakie dawano mu przed laty. Na przykład nigdy nie pił kawy po 18:00. Przez głośniki w pokoju FANTOM emitował mu biały szum, aby stłumić ewentualne chrapanie Rissy. Poza tym posiadał cyfrowy budzik z wyświetlaczem, który można było w razie potrzeby zasłonić plastikową, ruchomą płytką, wkomponowany w drewnianą mozaikę zdobiącą bok nocnego stolika. Ciągłe zerkanie na zmieniające się cyfry z wieczną obawą, ile jeszcze snu zdąży złapać do rana tylko pogarszało sytuację. W łazience mógł sobie patrzeć na wyświetlacz do woli, lecz w łóżku, przed snem, zawsze go zasłaniał i to pomagało. Czasem pomagało. Lecz nie tym razem. Tej nocy kręcił się i

wiercił.

Tej nocy wspomnienie utarczki z Jagiem w korytarzu nie dawało mu spokoju. Jag - niezłe imię dla sukinsyna... Keith przekręcił się na lewy bok.

Jag prowadził aktualnie serię pogłębiających wiedzę fachową seminariów dla tych członków załogi *Starplex*, którzy pragnęli poszerzyć zakres wiadomości z dziedziny fizyki. Rissa prowadziła równoległe szereg wykładów dotyczących biologii.

Keitha zawsze fascynowała fizyka. Prawdę mówiąc, gdy na pierwszym roku studiów zetknął się z całą gamą specjalizacji naukowych, całkiem poważnie myślał o zawodzie fizyka. Poznał tak pasjonujące hipotezy, jak prawa antropiczne głoszące, że Wszechświat musiał dać początek rozumnemu życiu. Albo „kot Schroedingera” - eksperyment myślowy, demonstrujący przykład wpływu utrwalonych zachowań na kształtowanie aktualnej rzeczywistości. Keith wspominał cudowne chwile, gdy ślęczał godzinami, zgłębiając ukochaną przez Einsteina naukę i jego główne prawa teorii względności.

Dla młodego Lansinga Einstein był niemal bogiem, uwielbianym zarówno za inteligencję, humanitaryzm, jak i szaloną, siwą czuprynę oraz upór gdy, jak prawdziwy błędny rycerz poszukiwał sposobu na unieszkodliwienie reakcji jądrowej, której przepis nieopatrznie podarował światu. Nawet, gdy z nadejściem pełnoletniości Keith wybrał kierunek socjologii, zachował zawieszony na ścianie sypialni plakat z wizerunkiem tego genialnego uczonego, człowieka o wielkim sercu.

Z przyjemnością wzięłby teraz udział w kilku seminariach z fizyki. Ale z Jagiem - nigdy. Życie jest zbyt krótkie, by tracić czas na bzdury. Miał jeszcze w głowie wykład Rombusa o życiu rodzinnym? Waldahudenów. Nie wiadomo skąd przyszła mu na myśl Rosalind, starsza siostra, a także młodszy brat Brian.

Roz i Brian byli do Keitha podobni - mieli to zakodowane w genach. Keith, jako średni brat, tworzył między nimi coś w rodzaju pomostu. Próbował zacieśnić rodzinne więzy, bo do Keitha należało organizowanie spotkań: przyjęć z okazji urodzin, rocznic ślubu rodziców czy rodzinnych zjazdów na święta Bożego Narodzenia. Ta cecha, zamiłowanie do umocnienia i zjednoczenia grupy, wprowadzania w niej zgodnej, życzliwej atmosfery wpłynęła na jego dalsze życie. Zorganizował spotkanie absolwentów jego klasy w dwudziestolecie ukończenia szkoły średniej. Kolegów, przybyłych spoza

miasta, zakwaterował we własnym domu, przyjmując pod dach gromadę przyjaciół różnych narodowości.

Do diabła. Przecież większość czasu poświęconego karierze zawodowej strawił właśnie na działaniach, mających ugruntować więzy łączące „Wspólnotę. Szukał drogi porozumienia, które ostatecznie utrwali międzyplanetarny sojusz.

Roz i Brian nie musieli się przejmować, kto darzy ich sympatią, a kto nie. Poczucie odpowiedzialności za to, czy między sekcjami panuje zgoda, czy sieć funkcjonuje prawidłowo, czy załoga wywiązuje się z obowiązków, nie wyrывało ich ze snu w środku nocy...

Nie... Roz i Brian prawdopodobnie nie mają żadnych kłopotów z zaśnięciem.

Keith Lansing ułożył się na plecach z ręką wsuniętą pod głowę.

Może to naprawdę niemożliwe. Może pokojowe współistnienie rasy ludzkiej i Waldahudenów nie ma w ogóle racji bytu. Może zbyt się różnią? Lub są zbyt podobni? A może...

Chryste! - jęknął w duchu udręczony mężczyzna. - Byle o tym wszystkim nie myśleć. Byle tylko nie myśleć...

Wyciągnął rękę w kierunku budzika i zsunął plastikową płytkę, odsłaniając mrugające szyderczo oko wyświetlacza. - O cholera...

Gdy próbki nieznaney materii znajdowały się już na pokładzie, do Jaga i Rissy, jako kierowników dwóch najważniejszych teraz sekcji naukowych, należało wprowadzenie w życie planu badań. Oczywiście charakter zdobytych próbek warunkował podjęcie dalszych kroków. Gdyby się okazało, że nie posiadają żadnych szczególnych właściwości, *Starplex* ruszy w dalszą drogę na poszukiwanie istot, które otworzyły skrót. W tej misji biolodzy otrzymają pierwszeństwo. Jeżeli dziwna substancja okaże się faktycznie wyjątkowa, Jag będzie nalegał, aby zatrzymać tu bazę na dłużej w celu dokonania bardziej szczegółowych badań. Wówczas zespół Rissy musiałaby się zadowolić którymś z dwóch statków dyplomatycznych - mógł to być albo *Nelson Mandela* albo *Kof Dagrelo em-Stalsh* - by kontynuować poszukiwania obcych.

Następnego ranka Waldahuden nawiązał kontakt z Rissą przez interkom w swoim laboratorium, domagając się natychmiastowego spotkania. Mogło to oznaczać tylko jedno: Jag ma zamiar zażądać bezwzględnego pierwszeństwa dla swojej sekcji w tym

przedsięwzięciu. Kobieta odetchnęła głęboko. Szykując się do walki, ruszyła w stronę windy.

Biuro Jaga zaprojektowano identycznie jak pokój Rissy, z tym, że Waldahuden ozdobił je - o ile to odpowiednie określenie - dziełami sztuki.

Przed biurkiem stały trzy różne krzesła. Jag podobnie jak jego pobratymcy nie cierpiał wytworów masowej produkcji. Świadczyły o tym właśnie owe trzy odmienne modele tego samego mebla, zresztą każdy był jedyny w swoim rodzaju. Rissa wybrała krzesło środkowe, zasiadając przy pedantycznie czystym biurku kłopotliwego współpracownika

- Do rzeczy - rozpoczęła bez zbędnych wstępów. - Dokonałeś już analizy, jak sądzę, zdobytych przez nas wczoraj próbek. Z czego są zbudowane kule?

Waldahuden wzruszył obiema parami ramion.

- Nie wiem. Niewielki procent składu próbek stanowią po prostu szczątki materii, unoszące się w całym kosmosie: drobiny węgla, atomy wodoru itp. Lecz główny składnik nie podlega żadnym standardowym testom. Jest niepalny w obecności tlenu i każdego innego gazu. Z tego, co wiem, nie posiada żadnego ładunku elektrycznego. Bez względu na stosowane metody, nie udało mi się oddzielić z tej substancji elektronów, by uzyskać pozytywnie naładowane jądro. Teraz próbki są piętro wyżej, w laboratorium chemicznym, Delacorte chciał rzucić na nie okiem.

- A co z granulkami ze strefy między kulami? - zainteresowała się biolog.

- Pokażę ci... - w szczeraniu Jaga zabrzmiał jakiś niezwykły ton. Opuścili biuro, podążając w dół korytarzem, aż dotarli do odizolowanego pomieszczenia. W środku Jag wskazał ręką oszkloną, sześcienną niszę o metrowej krawędzi. - Oto próbki - rzekł.

Rissa ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w zawartość pojemnika.

- Ta duża... czy rzeczywiście ma płaski spód?

Jag rzucił się do szyby.

- O bogowie... - wykrztusił.

Spory, jajowaty fragment pogrzyżył się mniej więcej do połowy w dnie komory. Tylko jego kopała wystawała ponad litą powierzchnię. Waldahuden wyteżył wzrok i dostrzegł, że zapada się również kilka mniejszych grudek. Pukając palcem górnej ręki w szkło, liczył pozostałe kawałki. Sześciu brakowało, prawdopodobnie przeszły na wylot

przez podłogę. Nie pozostawiły jednak żadnych dziur, jako świadectwa swej ucieczki.

- Właśnie przenikają przez podłogę - rzucił pospiesznie. - Główny Komputer! - krzyknął, wbijając wzrok w sufit.

- Tak? - FANTOM zgłosił się natychmiast. - Wprowadź zero-g w komorze z próbkami. Od zaraz! - Wykonuję.

- Dobra... Nie, moment. Zmień polecenie! Ciężenie co najmniej pięciokrotnie przekraczające standardowe. Póki co, chcę, aby próbki ruszyły w górę nie w dół, kapujesz? Ta grawitacja ma wypchnąć granulki przez strop, jasne? - Wykonuję - odparł FANTOM posłusznie.

Rissa wspólnie z Jagiem oczekiwała na wyniki, z fascynacją obserwując wynurzający się z podłoga spory, jajowaty kawałek skały. Zanim ten niecodzienny proces dobiegł końca, mniejsze granulki materii wychynęły z litego dna oszklonej wnęki, mknąc w stronę sufitu. Zamiast odbić się od stropu rykoszetem, wsiąkały weń powoli, przywodząc na myśl otoczaki, zanurzone w smole.

- Komputer! - rozkazał teraz Jag. - Oscyluj polem grawitacyjnym tak, aby wszystkie fragmenty próbek znalazły się między podłogą a stropem. Wtedy wprowadź zero-g. - Wykonuję.

- Moim zdaniem to coś nieprawdopodobnego - szepnęła Rissa - żeby to przenikało stałą materię ot tak, bez trudu... Jag chrząknął z aprobatą.

- Pierwsze próbki, które pobraliśmy, musiały przejść przez ściany sondy w trakcie lotu, wyrzucone na zewnątrz siłą przyspieszenia w kierunku *Starplex*.

Dzięki manewrowaniu wewnątrz komory pozornym źródłem grawitacji, FANTOM zdołał w końcu wprowadzić stan swobodnego zawieszenia próbek pomiędzy stropem a dnem. Jednak futro zjeżyło się Jagowi na grzbiecie, gdy ujrzał rezultat kontaktu dwóch pędzących na siebie kawałków obcej materii. Oczekiwał, że zderzą się i odbiją. Tymczasem, w odległości zaledwie kilku milimetrów odchyliły swój tor, nawet się nie muskając.

- Pole magnetyczne - zasugerowała Rissa.

Jag rozłożył dolne ramiona.

- Nic podobnego. To nie ma nic wspólnego z magnetyzmem. Nie wychwytyjemy naładowanych cząstek.

Każde z ramion czterech emiterów było monitorowane przez Jaga który używał obydwu par ramion. Jeden z chwytaków zacisnął się na półprzezroczystej grudce o centymetrowej średnicy, drugi zgarnął mały fragment podobnych rozmiarów. Następnie, używając przycisków, Jag zbliżył do siebie schwyte kawałki. Operacja przebiegała prawidłowo, dopóki grudki nie zbliżyły się na niewielką odległość. Wtedy żadna, nawet największa, użyta przez Waldahudena moc nie była w stanie pokonać ich oporu.

- Zdumiewające! - mruknął Jag. - Musi tu działać jakaś siła odpychająca, lecz na pewno nie jest to siła magnetyczna. W życiu nie widziałem czegoś takiego.

- Z pewnością właśnie to uniemożliwia zbijanie się granulek gazu - orzekła Rissa. Tym razem Jag wznosił nad głowę górną parę rąk.

- I ja tak sadzę. Końcowy efekt, czyli chmura pyłu wypełniająca przestrzeń między kulami, jest wynikiem utrzymywania cząstek tej materii siłą wzajemnej grawitacji, lecz nigdy nie zbliżą się one bardziej, niż na pewną określoną odległość.

- Lecz dlaczego siła, która je odpycha, nie sprawia, że po prostu nie rozbiegną się na wszystkie strony? - zapytała Rissa.

- Może zachodzić tu jakiś proces chemiczny. Przypuszczam, że pierwotnie mogły zostać ukształtowane pod wpływem olbrzymiego ciśnienia. A było to ciśnienie zdolne pokonać obserwowane przez nas zjawisko odpychania. W tym wypadku atomy, jako elementy składowe granulek, są nierozzerwalnie związane. Jednak jednocześnie dążą do połączenia drobin w większe skupiska. A niech to! - Rissa wstrzymała oddech. - Wiesz, o czym myślę...?

Czworo oczu Waldahudena rozszerzyło się ze zgrozy.

- To Odźwierni! - wychrypiał. - Mieliśmy już okazję oglądać, jak ich broń przerobiła jedną z naszych sond. Gdyby skierowali ją na glob planetarny, wywołałaby skutki, jakie właśnie widzimy... Iście piekielny pomysł na najwyższy wymiar kary... Zniszczyć świat - i do tego wprowadzić siłę, która bezpowrotnie odbierze cząsteczkom szansę na ponowną syntezę i stworzenie nowej planety...

- A teraz mamy tu świeżo otwarty skrót, wiodący prosto do światów Wspólnoty. Jeśli przez niego przeszli... - Rissa nie zdążyła dokończyć, gdyż właśnie w tej chwili zabuczał ekran ścienny Jaga ukazując niemłodą już twarz Cynthii Delacorte.

- Jag słuchaj, to potrafi... - urwała, gdy spostrzegła, że nie jest sam. - O, cześć

Rissa. Dzięki za przysłanie do nas tych próbek. Słuchajcie - Czy wiecie już, że to potrafi przenikać stałą materię?

Jag swoim zwyczajem podniósł górne łapy.

- Niewiarygodne, prawda?

Delacorte przytaknęła skwapliwie.

- Jasne. Powiem więcej. To nie jest normalna materia barionowa. Ani tym bardziej antymateria, bo ległyby w gruzach wszystkie nasze dotychczasowe teorie. Jednak podczas, gdy na protony i neutrony składa się potrójna kombinacja kwarków wyższych i niższych, cząsteczki, z którymi mamy do czynienia, tworzą kwarki lśniące i matowe.

- Doprawdy? - podekscytowany Waldahuden ponownie zafalował grzywą sierści.

- Nigdy nie słyszałam o takim rodzaju kwarków - wtrąciła zaintrygowana Rissa.

Jag prychnął z pogardą mierzając ją obraźliwym wzrokiem, lecz Delacorte poparła koleżankę.

- Już od dwudziestego wieku ludzkość знаła sześć rodzajów kwarków - wyższe i niższe; górne i dolne oraz obce i powabne. Prawdę mówiąc, sześć było maksymalną liczbą, dopuszczalną przez założenia starego Wzorcowego Modelu fizyki. Zatem z czystym sumieniem zaprzestaliśmy dalszych poszukiwań i, jak się okazało, zrobiliśmy wielki błąd. - Tu spojrziała zjadliwie na Jaga i mówiła dalej. - Waldahudenowie również odkryli tylko sześć rodzajów tych samych kwarków. Lecz Ibowie, w chwili gdy nawiązaliśmy z nimi kontakt, zdawali sobie sprawę z istnienia dwóch następnych. Nazwaliśmy je, ze względu na odmienną połyskliwość, kwarkami lśniącymi i matowymi. Nigdy nie udałooby się ich wyodrębnić podczas rozbicia cząstek normalnej materii, ale mieszkańcy Monotonii zastosowali jedyną w swoim rodzaju metodę, wrywając cząstki materii z kwantowej fluktuacji. W ich eksperymentach udawało się wyizolować czasem połyskliwe kwarki, lecz wyłącznie w niezwykle wysokich temperaturach. W obecnej sytuacji po raz pierwszy mamy do czynienia z fenomenem naturalnego występowania połyskliwych kwarków.

- To absurd! - rzucił Waldahuden z uporem. - Zauważyłaś, że ten cały fardint nie posiada żadnego ładunku? Czym to wytłumaczyć?

Delacorte niedbale skinęła głową, patrząc na Rissę.

- Elektryony posiadają negatywny ładunek jednostki minus jeden. Kwarki wyższe

posiadają ładunek dodatni $2/3$ wartości, kwarki niższe ładunek ujemny o wartości $1/3$ jednostki. Każdy neutron tworzą dwa kwarki niższe i jeden wyższy, czyli bilans ładunków się wyrównuje. Natomiast proton zawiera jeden kwark niższy i dwa wyższe, więc jest naładowany dodatnio. Dopóki w atomie występuje ta sama ilość protonów co elektronów, jego ładunek ma wartość obojętną.

Rissa zrozumiała, że wykład starszej uczoneyj wypada na jej korzyść, więc zachęciła ją gestem, by mówiła dalej.

- Poddana naszym badaniom materia z kwarków połyskliwych składa się z cząstek, które roboczo nazwałam paraneutronami i paraprotonami. Paraneutrony zawierają dwa lśniące kwarki i jeden matowy, a paraprotony dwa kwarki matowe i jeden lśniący. Lecz zarówno matowe jak i lśniące są pozbawione jakiegokolwiek ładunku. Bez względu na kombinację w jakiej występują, jądro pozostaje obojętne. Bez dodatnio naładowanego jądra nie sposób zatem przyciągnąć ujemnych elektronów, czyli kwarkowo-połyskliwy atom jest w istocie czystym jądrem, pozbawionym wirującej, elektronowej otoczki. Rzecz w tym, że połyskliwa materia sama w sobie nie jest elektrycznie obojętna. Powiedziałabym raczej, że jest nieelektryczna, odporna na oddziaływanie elektromagnetyczne.

- Bogowie... - mruknął Jag. - To powinno tłumaczyć, dlaczego przesiąka przez ciała stałe. Prawdopodobnie tym bardziej bez problemu potrafi przeniknąć konglomerat regularnych granulek węgla i wodoru, tworzący obłok gazu i... No jasne! Już wiem, dlaczego w ogóle możemy ją zobaczyć. Czyste połyskliwe kwarki byłyby dla nas niewidzialne, gdyż odbicie lub absorpcja światła zależy od wibracji naładowanych cząstek. W tym wypadku obserwujemy jedynie międzygwiazdny pył uwięziony w polu grawitacyjnym wewnątrz połyskliwej materii, jak piasek w galaretkę - przerwał, patrząc uporczywie na ekran. - Niech ci będzie, że nie wchodzi w grę oddziaływanie elektromagnetyczne. Lecz co z siłami nuklearnymi?

- Taka cząstka emituje zarówno silną jak i słabą energię jądrową, lecz są to siły krótkiego zasięgu - odparła Delacorte. - Wątpię, czy zdołalibyśmy doprowadzić do reakcji między nimi a zwykłą materią, chyba że w warunkach nieprawdopodobnie wysokich ciśnień i temperatur.

Jag zamilkł, rozważając przedstawione teorie. Gdy wreszcie się odezwał w jego

warknięciach pobrzmiwało przygnębienie. - Ale to przecież nieprawdopodobne - zaoponował niepewnie. - Wszyscy wiemy, że broń Odźwiernych jest zdolna łamać wiązania chemiczne, ale przemiana zwykłej materii i połyskliwą to już jest...

- Broń Odźwiernych?! - wpadła mu w słowo uczona, unosząc w zdumieniu siwe łuki brwi. - Więc po to, według ciebie, stworzono ten fenomen? Nie, nigdy w to nie uwierzę. Musiały minąć tysiąclecia, by tak grube pokłady kosmicznego pyłu przylgnęły do powierzchni sfer. Moim zdaniem obserwujemy zjawisko naturalne.

- Naturalne... - powtórzył jak echo głos translacyjnego implantu, poprzedzony waldahudeńskim szczeknięciem. - Fascynujące. A co z oddziaływaniem grawitacyjnym?

- Cóż... Masa każdego z kwarków połyskliwych przekracza siedemset szesnaście razy masę elektronu, czyli jest o osiemnaście procent wyższa od masy kwarków wyższych i niższych. W związku z tym atom materii połyskliwej jest również nieco cięższy. Dlatego wytwarza silniejsze pole grawitacyjne, niż normalny atom z tą samą liczbą nukleonów. Ale niech mnie diabli jeśli wiem, jaki rodzaj oddziaływania chemicznego zachodzi między połyskliwymi kwarkami - ot co.

Jag krążył nerwowo tam i z powrotem.

- W porządku - rzekł w końcu. - Dobrze... A co powiesz na to? Spróbujmy wziąć pod uwagę istnienie przynajmniej dwóch odmiennych sił sprawczych dominujących nad czterema podstawowymi. Zawsze, gdy stary Model Wzorcowy upada, poszukujemy jakichś dodatkowych czynników. Na przykład mamy siłę odpychającą dalekiego zasięgu. Razem z Cervantes obserwowałem ją w działaniu, próbując za pomocą manipulatorów zbliżyć do siebie dwa fragmenty próbek. Powinniśmy zatem poszukać siły przyciągającej o średnim zasięgu.

- A co nam z tego przyjdzie? - zachnęła się Delacorte.

- Cóż - rzekł Jag z namysłem. - Normalne zjawiska chemiczne są wynikiem nakładania się orbit elektronów, krążących wokół naładowanego jądra. W tym przypadku taki układ nie istnieje. Lecz gdyby siła przyciągania średniego zasięgu była większa, niż siła jądrowa o słabej mocy, wówczas mógłby powstać „metaładunek”, dający początek zjawisku „metachemii”. Atomy łączyłyby się wtedy bez udziału elektromagnetyzmu. Obecnie wiemy, że siła odpychająca mogłaby odrzucić kwarki połyskliwe jeden od drugiego. Może ją zrównoważyć jedynie własne pole grawitacyjne kwarków, o ile ich

masa jest na tyle duża, by utrzymać je razem. Przypomina to przyciąganie, które wiąże elektrony i protony tworzące gwiazdę neutronową, pomimo niszczycielskiego ciśnienia, usiłującego wypchnąć elektrony z ich stałych orbit. - Jag popatrzył z triumfem na Rissę.

- Czyli mamy do czynienia z „metachemią”, powodującą prawdopodobnie niezwykle skomplikowane reakcje na poziomie molekularnym. Lecz w makro skali połyskliwa materia może się gromadzić jedynie w skupiskach, zawierających obiekty o rozmiarach planet. Tylko wtedy ich własna grawitacja pozwala pokonać siły odpychania. Delacorte najwyraźniej była pod wrażeniem.

- Jeśli uda ci się rozpracować mechanikę tego zjawiska, z pewnością zdobędziesz od Kayf-Dukt nagrodę Nobla. To faktycznie nieprawdopodobne - ten cały ogrom obcej materii, która tylko nieznacznie oddziałuje z barionową...

- Pastark! - huknął Jag po waldahudeńsku, a jego futro falowało teraz jak łan zboża podczas wichru. - Na wszystkich bogów, czy wiesz, co to jest?!

- Powiedz nam! - przynagliła zirytowana Rissa.

- Nie powinniśmy nazywać tego „połyskliwą materią” - odparł Waldahuden. - Nasz przedmiot badań ma już doskonałą własną nazwę... - wstrzymał dech, łypiąc lewą parą oczu na Clarissę, prawą zaś na projekcję twarzy Delacorte. - Ciemna materia!

- Dobry Boże! - jęknęła stara uczona. - Dobry Boże. Masz po stokroć rację - potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Ciemna materia...

- Otóż to! - zawył Jag. - Materia, która buduje ogromną większość naszego wszechświata i do tej pory nie wiedzieliśmy, czym jest. To epokowe odkrycie! - przymknął powieki czworga oczu, delektując się wizją swej przyszłej chwały.

DELTA DRACONIS

- Jaki był Saul Ben-Abraham? - zapytał Szklisty.

Keith powiódł wzrokiem po imitacji lasu, rozważając wszystkie określenia, jakimi mógłby opisać swego najlepszego przyjaciela. Wysoki, hałaśliwy. Jego rubaszny śmiech niósł się na kilometr. Facet, który po trzech nutach rozpoznałby każdą piosenkę. Chyba nie było na świecie gościa, który mógłby wypić więcej piwa - Saul musiał mieć pęcherz wielkości Islandii... Jaki był?

- Kudłaty - zdecydował Keith.

- Przepraszam... jaki? - zdumiał się obcy.

- Saul miał ogromną brodę - wyjaśnił Lansing. - Okrywała mu niemal całą twarz. Do tego gigantyczne brwi z rodzaju tych, jakie nadają człowiekowi wygląd szympansa, opasującego głowę ramieniem. Gdy pierwszy raz ujrzałem go w szortach, osłupiałem. Ten koleś wyglądał jak Wielka Stopa.

- Wielka Stopa?

- Mityczny małpolud z legend mojego ojczystego ziemskiego regionu. Pamiętam jak dziś, gdy kompletnie zbaraniały, wyjąkałem: „Eee... ty, Saul... Ale masz włochate nogi”. On tylko ryknął tym swoim gromkim śmiechem: „Tak. Jak mężczyzna!”, a ja powiedziałem, że pewnie bardziej niż dziesięciu mężczyzn... - Keith przerwał i westchnął boleśnie. - Boże, jak mi go brak. Przyjaciół tak oddanych jak on spotyka się tylko raz w życiu.

Szklisty na kilka sekund pogрузzył się w ciszy.

- Tak - rzekł wreszcie. - Myślę, że to prawda.

- Oczywiście - ciągnął Keith - Saul wyróżniał się nie tylko bujnym owłosieniem. Był niesamowicie bystry. Nie spotkałem nigdy człowieka bardziej błyskotliwego, może z wyjątkiem Rissy. Był astronomem. To właśnie on odkrył skrót Tau Ceti, badając jego ślad w hiperprzestrzeni. Zasłużył na nagrodę Nobla... Lecz niechętnie przyznaje się ją pośmiertnie.

- Boleję nad twoją stratą - szepnął obcy. - To tak, jakby... Ach, wybac, mój czytnik pamięciowy informuje, że właśnie otrzymałem pewną niewielką przesyłkę. Pozwolisz, że opuszczę cię na moment?

Mężczyzna skinął głową. Szklisty wykonał jeden krok i zniknął. Niewątpliwie za symulacją leśnego krajobrazu we wnętrzu śluzy kryły się drzwi. Ten oczywisty fakt ostatecznie upewnił człowieka, że nie powrócił na Ziemię. Cóż, jeżeli istniało jakieś wyjście, Keith chciał je znaleźć. Pomachał ręką w powietrzu mniej więcej w miejscu, gdzie ulotnił się Szklisty. Nic tam nie było.

Przecież wokół muszą istnieć jakieś ściany. Komora śluzy nie mogła mieć aż tak wielkich rozmiarów. Ruszył przed siebie, przeświadczony, że lada chwila natknie się na ścianę. Przebył co najmniej pięćset metrów nie napotykając żadnej przeszkody. Rzecz jasna, jeśli jego... - chciał użyć epitetu „nadzorca”, lecz pospiesznie odegnał tę myśl i nazwał go „gospodarzem” - jeśli jego gospodarz zmusiłby człowieka, aby ten, krążąc w koło, odnosił wrażenie, że porusza się po linii prostej.

Keith postanowił odpocząć. Wiele razy próbował bezskutecznie znaleźć czas na trening w ziemskim sektorze sportowym na *Starplex*, gdzie przyciąganie odpowiadało standardowej grawitacji ziemskiej. Niestety, częściowo stracił formę i obniżył sprawność mięśni, gdyż zmuszony był spędzać większość czasu w warunkach słabszej grawitacji waldahudeńskiej, ogólnie stosowanej na poziomach publicznych statku. Teraz naprawdę żałował, że nie posłuchał Thora Magnora, który proponował mu wspólną grę w piłkę ręczną. Lubił niegdyś ten sport, trenował systematycznie wraz z Saulem, lecz dał sobie z tym spokój po śmierci przyjaciela.

Keith usiadł na ziemi, w miejscu porośniętym bujną koniczyną. Dopiero tu poczuł pełne odprężenie. Przesuwał dłońią po miękkim roślinnym kobiercu, delektując się chłodnym dotykiem na skórze i leniwie obserwował okolicę, nie ukrywając zachwyty. Co za niezrównana imitacja natury - tak pełna spokoju, taka piękna... Zauważył stadko ptaków przelatujących na tle nieba, lecz były zbyt daleko, by mógł rozpoznać gatunek.

Keith uszczknął liść koniczyny i podniósł do oczu. Może zapowiada się szczęśliwy dzień, jeśli trafił na czterolistną koniczynkę... Co za szczęście! Trafił! Zerwał jeszcze kilka listków - i rozdziawił usta. Z nosem przy ziemi badał roślinkę za roślinką. Nie do wiary. Wszędzie czterolistne koniczyny.

Wziął jeden z liści w dwa palce i poddał szczegółowym oględzinom. Nie różnił się on niczym od liścia normalnej koniczyny. Nawet na końcu odłamanej łodyżki lśniła kropla zielonego, roślinnego soku. Lecz każda z roślin miała listki o czterech płatkach.

Keith pamiętał ze studenckiej botaniki, że łacińska nazwa koniczyny to trifolium - trójlistna. Z założenia koniczyna powinna mieć zatem trzy liście, a czwarty, jako rzadki wyjątek, był zdeformowanym mutantem. Lecz tutejsze okazy posiadały po cztery owalne, prawidłowo ukształtowane blaszki liściowe.

Lansing przyjrzał się z kolei biało różowym kwiatom, wyrastającym z niektórych krzaczków. Zwykła koniczyna, tyle że czterolistna... Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Jak to możliwe, by Szklisty, drobiazgowo dbały o każdy szczegół, mógł popełnić tak bezsensowną omyłkę?

Uważniej zlustrował wzrokiem otoczenie, poszukując innych niedociągnięć. Większość drzew liściastych wyglądała jak najprawdziwsze klony. W dodatku klony cukrowe, o ile się nie mylił. Wśród drzew iglastych rozpoznał sosny, a nieco dalej wielki błękitny świerk. A to...?

Cóż to może być za ptak? Ten, który siedzi wśród świerkowych gałęzi? Z pewnością nie kardynał, ani sówka. Jego główkę zdobi czubaty grzebień, lecz jest szmaragdowozielony, i posiada płaski łopatkowaty dziób nie spotykany wśród ptaków śpiewających.

To Ziemia... Niewątpliwie Ziemia. I ten sam ziemski Księżyc, wciąż przeświecający blado na dziennym niebie. I jednocześnie niezupełnie Ziemia... Kilka szczegółów się nie zgadza. Keith, zaintrygowany, zagryzł dolną wargę...

VII

Jag i Rissa wjechali winda na mostek główny i wkrótce Waldahuden stanął przed dwoma rzędami stanowisk dowodzenia, oznajmiając kolegom o niesamowitym odkryciu.

- To, co przez całe lata było pustym słowem, przybrało wreszcie określoną postać - wyszczał uroczyście. - Ta widzialna, obserwowana przez nas forma jest tylko bańką piany na mrocznym oceanie ciemnej materii. Obecność tej materii wyczuwaliśmy dzięki skutkom jej grawitacji, lecz jej wygląd był dla nas zagadką - aż do teraz. Kule, które widzimy, podobnie jak granulowana chmura pyłu, wypełniająca przestrzeń między nimi, są stworzone właśnie z ciemnej materii.

Lianna cichutko gwizdnęła. Keith uniósł brwi. Oczywiście wiedział co nieco na ten temat. Pod koniec 1933 r. Astronom Cal Techu, Fritz Zwicky uzasadnił istnienie ciemnej materii, dzięki obserwacji galaktyk w Gwiazdozbiornie Panny. Prędkość ich obrotów była tak wielka, że gdyby przyjąć widzialne, tworzące je gwiazdy za główne źródło masy, to całość już dawno powinna zostać rozrzucona. Dalsze badania potwierdziły, że zachowanie wszystkich ogromnych struktur we wszechświecie - z Drogą Mleczną włącznie - wskazuje na obecność o wiele większej masy, niż obliczona masa widzialnych słońc. Ta wcześniej nie wykrywalna, dominująca materia, zwana „ciemną materią”, była źródłem ponad 90 procent grawitacji we wszechświecie.

Thortald Magnor tradycyjnie wyciągnął się w fotelu, opierając na konsoli swe wielkie stopy i splatając na karku długie chude palce.

- Myślałem, że już odkryto, czym jest ciemna materia - zauważył.

- Tylko częściowo - odparł Jag podnosząc, jak zwykle podczas ożywionej dyskusji, jedną parę rąk. - Od dłuższego czasu wiemy, że materia barionowa, stworzona z protonów i neutronów, zajmuje niecałe dziesięć procent masy wszechświata. W roku 2037 obliczono masę wszechobecnego tau neutrina (tao - nowego). Okazała się bardzo niewielka - o wartości około siedmiu elektronowoltów. I odkryliśmy, że również neutrino mionowe posiada wprost śladową masę, najwyżej trzy tysięczne elektronowolta. Lecz obydwa typy neutrin występują tak obficie, że w sumie ich masa całkowita jest trzy, cztery razy większa, niż masa wszystkich barionów. Mimo to pozostawały nam wciąż dwie trzecie masy kosmosu „bez pokrycia” - aż do tej chwili.

- Jakie masz powody, by sądzić, że obserwowane przez nas zjawisko to właśnie ciemna materia? - zapytał Keith.

- Ha - sapnął Jag. - Nie mamy do czynienia ze zwykłą materią, to więcej niż pewne.

Mimo, że Waldahuden próbował trzymać klasę, musiał oprzeć jedną rękę na krawędzi konsoli Thora by nie opaść na cztery kończyny. Na pokładzie *Starplex* funkcjonował cykl czterozmianowy ze względu na Waldahudenów, którzy pochodzili z planety o krótkich dniach, lecz pochłonięty pracą Jag niezmordowanie trzymał się na nogach. Po chwili mówił dalej.

- We wcześniejszych pracach badawczych nad ciemną materią wysunięto dwie kandydatury na tworzący ją budulec. Ziemsy astronomowie, oby się za to pławili w strudze moczu, nazwali je WIMPami i MACHO. WIMP oznacza „słabo oddziałujące masywne cząsteczki” - Czy zwróciliście uwagę na bełkot wciśnięty nam pod przykrywką tych kretyńskich akronimów? W każdym razie neutrina tau i mionowe są WIMPami.

- A MACHO? - zapytał Keith.

- To „skoncentrowane masywne obiekty tworzące halo”. - odparł Waldahuden. - „Halo” to sfera z ciemnej materii, w której centrum znajduje się galaktyka. Przez „skoncentrowane masywne obiekty” rozumiemy biliony ciał niebieskich wielkości Jowisza nie powiązanych z żadną konkretną gwiazdą. Gazowy obłok światów, w którym wiruje świecąca galaktyczna materia.

Lianna pochyliła się do przodu, podpierając ręką policzek.

- Lecz gdyby kosmos rzeczywiście aż się roił od... od MACHO - zagadnęła - czy byśmy ich już nie wykryli do tej pory?

Jag obrócił się w jej stronę.

- Nawet obiekty wielkości Jowisza mają w skali kosmicznej mikroskopijne rozmiary - wyjaśnił. - A ponieważ nie odbijają ani nie emanują światła, dostrzegamy je jedynie wtedy, gdy znajdują się na tle obserwowanej przez nas gwiazdy. Efekty ich obecności i tak będą znikome. Nastąpi jedynie lekkie grawitacyjne odchylenie promieni świetlnych słońca, które wywoła tymczasowe migotanie. Zdarzały się już takie przypadki. Najstarszej odnotowanej rejestracji tego zjawiska dokonali ziemscy astronomowie w 1993 roku. Lecz nawet gdyby przestrzeń była pełna MACHO, stanowiących co najmniej

dwie trzecie masy we wszechświecie, tylko jedna gwiazda na mniej więcej pięć milionów, obserwowanych w danym momencie, sygnalizowałyby grawitacyjne zakłócenia, spowodowane obecnością tych form - wskazał gestem migoczący fragment na obszarze gwiazdnego pola. - Tylko dlatego obserwujemy wyraźne efekty obecności ciemnej materii, że znajdujemy się w pobliżu jej skupiska, ona sama w sobie zaś jest przezroczysta. To, co właśnie widzimy, to po prostu pył kosmiczny, który osiadł na powierzchni obiektów z czarnej materii.

Keith z niedowierzaniem uniósł brwi i spojrzał na żonę, lecz Rissa nie oponowała.

- Cóż... - wyrzekł z namysłem dyrektor. - W takim razie zapowiada się faktycznie znaczące odkrycie, zasługujące na dalsze...

- Wybaczcie, że przerywam - wtrącił Rombus - lecz odbieram pulsowanie tachionów.

Ib obrócił hologramem przestrzeni otaczającym mostek tak, by skrót znalazł się przed nimi w samym centrum projekcji. Dla żołądka Keitha wrażenie było takie samo jak to, którego doświadczył kiedyś w planetarium, gdy operator próbował zademonstrować, że nauka może być zabawą. Jag w mgnieniu oka zajął swoje miejsce po lewej stronie dyrektora. Skrót wyglądał jak iskierka zieleni - kolor tego, co właśnie się przedostawało - otoczona zwykłą, liliową aureolą radiacji Soderstroma. - Czy to statek Wspólnoty? zapytał Keith.

- Nie - orzekł Rombus. - Nie wysyła żadnego identyfikacyjnego sygnału.

Zielona plamka zaczęła rosnać.

- Nie do wiary. To świeci! - oznajmił głos FANTOMA, tłumacząc mruganie sieci płaszcza sensorycznego.

Ib miał rację. Skrót stał się najjaśniejszym punktem na niebie, przyćmiewając nawet gwiazdę klasy A, wskazywaną niedawno przez Jaga.

- Dajmy temu czemuś więcej miejsca, bez względu na to czym jest - zarządził niespokojnie dyrektor. - Thor, zacznij manewr wsteczny.

- Tak jest.

Keith spojrzał w lewą stronę.

- Jag, analiza spektralna. Waldahuden wyświetlił odczyt na jednym z monitorów.

- Wodór, hel, węgiel, azot, tlen, neon, magnez, krzem, żelazo... - wyliczał.

- Czy ten czystozielony blask... - przerwał mu Lansing - to może być laser?

Jag zwrócił na dyrektora prawą parę oczu, podczas gdy lewą śledził pracę przyrządów.

- Nie - stwierdził stanowczo. - To nie jest spójna wiązka światła.

Płonący jaskrawą zielenią punkt wciąż się rozrastał. Stał się oślepiającym kręgiem o średnicy kilku metrów.

- A może to płomień dysz odrzutowych - zaproponowała Lianna. - Czy mógłby to być na przykład statek, przechodzący przez skrót tyłem, podczas hamowania?

Jag przejrzał więcej odczytów

- Z pewnością ma wszelkie cechy odrzutu - rzekł powoli - lecz byłby to bardzo potężny silnik...

Keith wstał z fotela i podeszedł do stanowiska Rombusa.

- Mamy szansę na kontakt z tym statkiem?

Jedna z macek Iba śmignęła po pulpicie w kierunku przycisku.

- Wybacz, lecz nie przez standardowe radio. Ten obiekt emituje kolosalną ilość EMI. Może odnieść skutek połączenie za pomocą radia hiperprzestrzennego, lecz nie ma sposobu żeby się dowiedzieć, na jakiej częstotliwości nadają.

- Zacznij od najniższej i powoli jedź w górę. - Keith wzruszył ramionami. - Standardowa kolejność jednostopniowej skali.

Macka znów przejechała po konsoli i dotarła do kontrolki.

- Nadaję - oznajmił Rombus. - Lecz sprawdzenie każdego zakresu po kolei zajmie nam całą wieczność.

Puszczając mimo uszu skargi Iba Keith odwrócił się do Clarissy.

- Wygląda na to, że w końcu będziesz miała ten swój kontakt pierwszego stopnia. - Zerknął przez ramię na skrót. - Chryste, ależ to świeci...

Każdy z przedmiotów na mostku głównym, nie należący do holograficznej projekcji, był teraz skąpany w zielonym blasku. Jakkolwiek na niewidzialną podłogę nie padał żaden cień, sylwetki członków personelu rysowały się ostro na galerii audytorium za stanowiskami dowódców.

- W rzeczywistości jest jeszcze jaśniejsze - zauważył Jag. - Kamery filtrują większość blasku.

- Co to może być, do diabła? - Keith spojrzał pytająco na Waldahudena.

- Cokolwiek to jest, wyrzuca ogromne ilości naładowanych cząsteczek - w głosie fizyka pobrzmiewał niepokój. - To może być broń, coś w rodzaju promiennika cząsteczkowego. - Jarzący się zielony krąg wciąż się rozszerzał, a Jag zdawał bezpośrednią relację. - Średnica wynosi teraz sto dziesięć metrów... sto pięćdziesiąt... - wyszczeniwał z niedowierzaniem coraz bardziej niepewnie - dwieście pięćdziesiąt... pięćset... kilometr... dwa kilometry...

Dyrektor odwrócił się i nie odrywał już wzroku od holograficznej projekcji.

- Jezu... - wyszeptał, ochraniając dłonią oczy.

Plaskanie macek Rombusa - odpowiednik krzyku u Iba...

- Najmocniej przepraszam - odezwał się Ib w chwilę później, gdy obraz nieco ściemniał. - Siła blasku tego obiektu przekracza wytrzymałość naszych automatycznych kompensatorów. Powiniennem od tego momentu wyświetlać przekaz bezpośrednio.

Tarcza osiągnęła monstrualne rozmiary, eksplodując na obrzeżu fioletowymi wyładowaniami radiacji Soderstroma - pirotechnicznym halo wokół olbrzymiego, jaskrawo zielonego centrum. Obszar wewnątrz okręgu pozostawał wciąż płaski.

- Temperatura około dwunastu tysięcy kelwinów... - mruknął Jag.

- To wprost palące! - szepnęła Rissa. - Na miłość boską, co to jest?

Dźwięk alarmu, na przemian wysoki i niski, wypełnił przestrzeń.

- Ostrzeżenie radioaktywne! - krzyknęła Lianna. Obróciła się w fotelu, twarzą do dyrektora. - Sugerowana akcja: ewakuować *Starplex*.

- W porządku - odkrzyknął Keith, wracając biegiem na stanowisko dowodzenia. - Thor, przywróć ciąg. Odskokcz o pięćdziesiąt tysięcy klików od skrót. - Zerknął na odczyt astrogacyjny. - Kurs dwieście dziesięć stopni na czterdzieści pięć. Zastosuj tylko odrzut. Nie chcę wracać w hiperprzestrzeń, dopóki nie dowiemy się co to jest.

- Wedle rozkazu, szefie. - Thor już się uwijał przy klawiaturze.

Ekspansja zielonego kręgu wyraźnie zwolniła, lecz tarcza wciąż rosła w tempie przewyższającym prędkość manewrową *Starplex*.

- Nie wiedziałem, że skrót może rozciągnąć się tak szeroko. - zauważył Rombus. - Jag, a co właściwie przez niego przechodzi?

Waldahuden podniósł i opuścił bezradnie obydwie pary rąk.

- Nieznane - odparł. - Analiza spektralna jest niezwykła. Wskazuje na wiele pierwiastków ciężkich w zakresie absorpcyjnym linii Fraunhofera. Nie ma nic na ten temat w naszej bazie danych. - Przerwał i dodał z namysłem: - Jeśli to faktycznie strumień odrzutu, statek musi być gigantyczny...

- Ten obszar jest płaski - wtrąciła Rissa. - W jaki sposób udaje mu się rozszerzać w formie regularnego okręgu?

- Rozszerzający się krąg, który obserwujemy jest efektem towarzyszącym aktywowaniu wejścia do skrót. Otwierają go przy ograniczonej prędkości, więc dopóki powierzchnia skrót nie zetknie się bezpośrednio z powierzchnią pojazdu wejście zachowa kształt kolisty. - Jag skierował lewą parę oczu na czytnik. - Szybkość rozciągania się obszaru wyjścia wciąż wzrasta, choć w nierównomiernym tempie.

Fioletowa aureola, otaczająca brzeg portalu stanowiła już tylko świetlisty obrys wokół olbrzymiego kręgu, jak nikła otoczka wokół kosmicznych pojazdów na staroświeckich filmach SF.

- Jakiej jest teraz wielkości? - zapytał Keith.

Jag miał już powyżej uszu odpowiedzi na ciągłe pytania. Dotknął kilku przycisków na konsoli i trzy różnobarwne linie oznaczone w różnych jednostkach utworzyły lśniący trójkolorowy nimb wokół zielonej tarczy na monitorze. Miała 450 kilometrów średnicy.

- Radioaktywność gwałtownie wzrasta - zaalarmowała Lianna.

- Thor, musisz podwoić szybkość odwrotu - rozkazał dyrektor. - Czy nasze ekrany ochronne są w stanie to wytrzymać?

Lianna zerknęła na wyświetlacz danych i potrząsnęła głową.

- Nie, jeśli to będzie rosnać.

Wibrujący dźwięk ponownie przeszył powietrze.

- Wyłączcie ten przekłety alarm - warknął Lansing i spojrzał pytająco na Waldahudena. - Jag?

- Powierzchnia skrót jest płaska - usłyszał w odpowiedzi. - Wygląda jak ściana płomieni. Osiągnęła już ponad tysiąc kilometrów średnicy. Tysiąc trzysta... Tysiąc siedemset.

Szmaragdowy blask zalał gwiazdne niebo. Ludzie znów podnieśli dłonie do

twarży aby przysłonić oczy.

Nagle z zielonej tarczy wytrysnął strumień płynnego ognia, kreśląc neonową smugę na tle atramentowej czerni. Bluznął w przestrzeń na odległość pięciu tysięcy kilometrów od skrótów - O mój Boże... - jęknęła Rissa.

- I niech mi ktoś powie, że to nie jest broń - mruknął Jag, podnosząc się z fotela i stając z założonymi na plecach obiema parami rąk. - Bylibyśmy kupką popiołu, gdybyśmy nie ewakuowali statku.

- Czy... Czy to mogą być Odźwierni? - zaniepokoiła się Lianna.

Płomienna struga zakreśliła łuk powracając do swego źródła - opalizującego, wrzącego zielenią kręgu. Zanim osiągnęła cel, rozszczepiła się na deszcz ognistych strzał, o długości tysiąca kilometrów każda.

- Thor, bądź gotów na wejście w hiperprzestrzeń, gdy dam rozkaz - rzucił Keith.

- Do wszystkich stanowisk. Stan gotowości do skoku hiperprzestrzennego - zarządziła Lianna przez interkom.

- Czy to jakiś rodzaj pola siłowego? - zapytała Rissa wpatrzona w zjawisko.

- Wykluczone - skwitował Jag, a dyrektor dodał zafascynowany:

- O ile to faktycznie odrzut statku, na pełnym ciągu daje największego cholernego kopa w historii.

- Średnica osiem tysięcy kilometrów - Waldahuden już przetworzył dane na skali podwójnego wykresu. - Dziesięć tysięcy...

- Thor, trzydzieści sekund do hiperskoku - błyskawicznie zdecydował Keith, a Lianna pochyliła się nad mikrofonem.

- Wszystkie stacje w pogotowiu. Uwaga, przejście w hiperprzestrzeń za dwadzieścia pięć sekund.

Następny język zielonego ognia wystrzelił z ogromniejącej wciąż tarczy. - Piętnaście sekund do hiperskoku. - Jakie to wielkie, o słodki Jezu... - szepnęła Rissa.

- Hiperskok za pięć sekund... Polecenie hiperskoku anulowane! Przejście na sterowanie automatyczne!

- Co? Dlaczego?! - Keith wbił osłupiały wzrok w obiektywy wizyjne pokładowego komputera wmontowane nad konsolą. - FANTOM! Co się dzieje?!

- Źródło grawitacji przekracza dopuszczalną normę dla bezpiecznego transferu

hiperprzestrzennego - oznajmił komputer.

- Źródło grawitacji? Jesteśmy przecież w otwartej przestrzeni! - wybuchnął Lansing, Jag poderwał się na nogi. - O, Bogowie! - zaszczeakał. - To jest wystarczająco wielkie, by zakrzywić czasoprzestrzeń. - Wyszedł zza pulpitu i stanął przodem do audytorium. - Zmniejszyć jasność projekcji o połowę - zarządził.

Macki Rombusa śmignęły po konsolocie. Obraz gigantycznego zielonego kręgu ściemniał, lecz wciąż wyraźnie odcinał się od tła jaskrawością tarczy.

- Jeszcze o połowę... - warknął fizyk. Próbował się przyglądać bez zmrużenia powiek lecz blask, choć przyćmiony, był wciąż nie do zniesienia dla Waldahudena, wychowanego pod gasnącym, czerwonym słońcem. - Jeszcze...

Projekcja wciąż ciemniała - i nagle na tle szmaragdowej powierzchni ujrzeli detale: granulowane twory jaśniejszych i ciemniejszych cieni...

- To nie statek - zdecydował Jag. Staccato waldahudeńskiego poszczekiwania w przekładzie FANTOMA wyrażało najwyższe zdumienie. - To gwiazda.

- Zielona gwiazda? - spytała Rissa z niedowierzaniem. - Coś takiego nie istnieje.

- Thor - rzucił Keith do sternika. - Pełen ciąg. Kurs prostopadły, jak najdalej od skrót. Ruszaj! Alarm znów się rozszalał.

- Ostrzeżenie radioaktywne drugiego stopnia! - zawołała Lianna, próbując przekrzyczeć wibrujący dźwięk.

- Ekrany pola ochronnego na maksimum! - rozkazał dyrektor, lecz Thor wiedział, że to niemożliwe.

- Nic z tego, szefie! - odkrzyknął. - Pełna moc silników nie może iść w parze z maksymalnym polem siłowym. - Wobec tego daj pełną moc! Wyrwij nas stąd!

- Jeśli to gwiazda... przejdziemy zbyt blisko niej, prawda? - Rissa spojrzała na Jaga, lecz nie odpowiadał. - Prawda? - powtórzyła z naciskiem.

Waldahuden bezradnie podniósł rękę.

- O wiele... O wiele za blisko... - rzekł cicho.

- Jeżeli nie usmaży nas promieniowanie, zginiemy od gorąca - westchnęła kobieta.

- Thor, czy możesz zwiększyć prędkość? - nie ustępował Keith, lecz nawigator potrząsnął głową.

- Już nic nie mogę zrobić, szefie. Aktualne źródło grawitacji gwałtownie się

nasila.

- Czy nie byłoby lepiej opuścić bazy? - zaproponowała z nadzieją Lianna. - Może mniejszy statek miałby większą szansę ucieczki?

- Racz mi wybaczyć, lecz jesteś w błędzie - oznajmił nieoczekiwanie Rombus. - Pomijając fakt, że nie posiadamy wystarczającej liczby pomocniczych statków, by ewakuować wszystkich członków załogi, tylko kilka z tych pojazdów jest wyposażone w osłony chroniące przed gwiazdnym promieniowaniem.

Lianna przechyliła głowę na jedną stronę wysłuchując komunikatów, nadawanych na kanale prywatnym przez umieszczony w uchu implant.

- Dyrektorze - zwróciła się do Lansinga. - Z całego statku nadchodzą przerażające wieści.

- Standardowe zabezpieczenie antyradiacyjne - rzucił zdesperowany Keith, zaś Jag rzucił mu beznadziejne spojrzenie.

- To nie wystarczy - rzekł cicho, ponownie siadając przy swoim stanowisku.

Keith podniósł wzrok na żonę. Jeden z ekranów nad jej pulpitem wyświetlał uproszczony schemat *Starplex*, ukazując dwie przeciwległe połówki diamentu oddzielone płaszczyzną dysku centralnego.

- Co się stanie - spytała nagle, odwracając się w jego stronę - jeśli obrócimy *Starplex* tak, by pokład oceaniczny znalazł się pod kątem prostym do trajektorii lotu? - A jaka to różnica?

- Możemy użyć warstwy wody morskiej jako osłony przed radioaktywnym promieniowaniem. Ocean ma dwadzieścia pięć metrów głębokości. To spora warstwa izolacyjna. Światelka na siatce Iba rozbłyły i zgasły w odpowiedzi.

- To faktycznie powinno pomóc. W każdym razie każdemu, kto nie znajdzie się na powierzchni lub pod spodem oceanicznego pokładu.

- Wszyscy zamienimy się w skwarki, nim zdążymy kiwnąć palcem - wtrąciła Lianna, a Keith podzielał jej obawy. - Thor, obróć *Starplex*, zgodnie z planem. - Dysze ACS odpalone.

- Lianna, wprowadź w życie plan ewakuacji całego personelu z pokładów od trzydziestego pierwszego do siedemdziesiątego. FANTOM, włącz interkom. - Jest interkom - potwierdził FANTOM.

- Wszyscy - uwaga! Tu Dyrektor Lansing. Wykonać instrukcje Kierownika Operacji Wewnętrznych. Ewakuacja pokładów od trzydziści jeden do siedemdziesiąt. Opuścić sektor inżynieryjny, komory dokowe, stacje przeładunkowe i wszystkie cztery niższe moduły mieszkalne. Wszyscy przenieść się do wyższych modułów mieszkalnych. Do wszystkich delfinów - opuścić pokład oceaniczny lub podpłynąć do powierzchni wody i tam pozostać. Zachować porządek. Ruszać się - nie ma czasu do stracenia! FANTOM, kończ, przetłumacz i zapętl polecenie na interkomie.

Na holograficznym wyświetlaczu powierzchnia gwiazdy zaczęła wyrzyszczać kolisty otwór wyjścia.

- Tempo rozszerzania się skrótu raptownie wzrasta - orzekł Jag. - Myślałem, że samo przejście zajmie trochę czasu, prawdopodobnie dlatego, że obiekt na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zupełnie płaskiego. Teraz, gdy jego widoczny fragment wyraźnie się zakrzywił, proces przebiega szybciej. Obecna średnica wynosi sto dziesięć tysięcy kilometrów.

- Radiacja również gwałtownie wzrasta, proporcjonalnie do szybkości rozciągania się skrótu - dodała Lianna ponuro. - Jeśli następna erupcja strzeli w naszym kierunku, zmieni nas w popiół. - Obecny stan ewakuacji? - spytał nagle Keith. Lianna wcisnęła kilka przycisków. Monitor podzielił się na dwadzieścia cztery kwadratowe projekcje fragmentów statku, narażonych na działanie przenikającej gwiazdy. Każdy z nich stanowił odmienny obraz widziany przez pokładowy komputer, rejestrowane przez FANTOMa sceny, rozgrywające się przed obiektywami kamer.

Poziom pięćdziesiąty ósmy. Zgodnie z obowiązującym stanem wyjątkowym - sześciu Ibów w panicznym pośpiechu toczących się korytarzem.

Skrzyżowanie: trzy kobiety w roboczych kombinezonach pędzące w stronę kamery oraz dwóch Waldahudenów i mężczyzna biegnący w przeciwnym kierunku.

Pozbawiona ciężenia część pokładu centralnego: ludzie uczipieni ręcznych uchwytów usiłujący wspiąć się wyżej. Pionowa tuba wodna, a w niej trzy delfiny płynące w górę...

Winda transportowa... W środku Waldahuden przytrzymujący drzwi jedną ręką, a pozostałymi trzema ponaglający pozostałych pasażerów. Inna winda. Wewnątrz Ib otoczony gromadą dwunastu ludzi.

- Nawet jeśli wszyscy znajdą się ponad dyskiem centralnym, nie sadzę by ocean stanowił wystarczające zabezpieczenie przed promieniowaniem - krakała z uporem Lianna.

- Czekajcie! - wrzasnął nagle Thor. - A gdybyśmy ustawili się za skrótem?

- Hm? - chrząknął Rombus, albo raczej FANTOM tak zinterpretował przez translator delikatną feerię błysków na płaszczu Iba.

- Skrót to okrągła dziura - zaczął tłumaczyć Thor, zerkając przez ramię na Keitha.

- Gwiazda wynurza się z niego z jednej strony, lecz po drugiej powierzchnia jest płaskim, pustym kręgiem, czarną pustką o kształcie obiektu, dokonującego transferu. Gdy znajdziemy się za skrótem, będziemy bezpieczni, przynajmniej przez jakiś czas. Jaga klepnął wszystkimi czterema łapami w konsolę. - On ma rację! Lansing również poparł go skwapliwie.

- Zrób to, Thor. Zmień kurs i wyprowadź nas na tyły skrót. Podczas manewru ustaw *Starplex* tak, żeby spód oceanicznego dysku znalazł się naprzeciw tego wychodzącego słońca. - Już się robi. Dla mnie to tylko kwestia czasu. Na sferycznym holo otaczającym główny mostek, lśniący zaokrąglony profil gwiazdy stawał się powoli zieloną kopułą, gdy Thor zmieniał trajektorię lotu. Wtem zabuczał głośnik.

- Grzbietolot do Lansinga! - zaćwierkał interkom przenikliwym głosem delfina. Gdzieś w tle dał się słyszeć plusk.

- Odbiór. Tu Lansing.

- Thor nie prowadzi statku po linii prostej. Są fale na oceanie.

- Lianna? - Keith spojrzał na dziewczynę i po chwili dwadzieścia cztery transmisje z różnych części statku zastąpił obraz oceanu, przekazywany pod odmiennym kątem. Woda morska chlustała aż na holograficzny strop, autentyczne fale sięgały fałszywych obłoków, zmuszając delfiny do gromadzenia się przy sterburcie dla zaczerpnięcia oddechu.

- Niech to diabli! - zaklął Thor. - Nie pomyślałem o tym. Obróć statek wokół osi podczas lotu. Na dobrą sprawę może uda mi się utrzymać wszystkie siły w równowadze. Przepraszam!

Starplex ruszył w dalszą drogę. Wybrzuszoną się kopułą zielonej gwiazdy coraz silniej przysłaniała bezcielesna czerń odwrotnej strony kręgu. Było to dziełem chwili -

zielen znikła, a *Starplex* przycupnął na tyłach skrót. Jediną oznaką obecności śmiercionośnej gwiazdy została szmaragdowa poświata, wydobywająca z mroku skupisko ciemnej materii przed rozszerzającym się wyjściem. Nawet aureola promieniowania Soderstroma była stąd niewidoczna. Powodował ją przecież strumień tachionów wylewający się ze skrót w przeciwnym kierunku. Czarna tarcza znów rosła szybciej, przesłaniając coraz większy obszar gwiazdnej przestrzeni. Osiągnęła średnicę 800 000 kilometrów...

- Czy potrafisz obliczyć wielkość tego obiektu na podstawie zakrzywienia powierzchni obserwowanego przez nas fragmentu? - zwrócił się Keith do Jaga.

- Nie jest nawet w pół drogi przez skrót - odparł Waldahuden. - Do tego obiekt jest spłaszczony wskutek bardzo szybkiej rotacji. Przypuszczalna średnica? Około półtora miliona kilometrów. - Thor, czy mamy szansę na dokonanie hiperskoku?

- Na razie żadnych - odparł miniaturowy hologram, unoszący się nad krawędzią konsoli Keitha. - Musimy być co najmniej siedemnaście milionów klików od centrum gwiazdy, zanim przestrzeń spłaszczy się na tyle, by w wejść z nią w kontakt. Moim zdaniem pokonanie tej odległości zajmie nam jedenaście godzin...

- Godzin?! - wpadł mu w słowo dyrektor. - Ile mamy czasu, nim równik gwiazdy przejdzie płaszczyznę skrót? - Prawdopodobnie pięć minut... - mruknął Jag. - Jaki stan ewakuacji?

- Stu dziewiętnastu ludzi wciąż przebywa pod powierzchnią oceanicznego dysku - rzekła Lianna patrząc na monitor. - Damy sobie radę...? Dziewczyna westchnęła. - Nie jestem pew...

- Czerwone światło - silnik numer sześć! - wykrzyknął Thor. - Jest przeegrany!

- Rewelacja... - syknął Keith. - Będziesz musiał wyłączyć go z ciągu?

- Na razie nie - zdecydował Thor. - Wprowadziłem do jego chłodnic nanotechny naprawcze, które powinny usunąć awarię.

- Równik osiowy gwiazdy już niemal przeszedł przez skrót.

Fragment holograficznej projekcji wypełniło schematyczne wyobrażenie zachodzącego aktualnie zjawiska. Po lewej stronie uwypuklała się półkula tworzącego dokonującego transferu. Sam skrót był stąd postrzegany jako prosta pionowa linia.

Po prawej widniał umykający w przeciwnym kierunku *Starplex*, z profilu podobny

do diamentu. Gdy oś słońca przecięła bezwymiarową granicę, otwór w przestrzeni zaczął maleć. Fotony i naładowane cząstki emitowane przez gwiazdę przelewały się teraz na drugą stronę. Emisję narastającego promieniowania można było porównać do ramion, rozpostartych pomiędzy dwunastką a szóstka, nieuchronnie zdążających do trójki.

Thor odrzucił *Starplex* najdalej, jak mógł. Keith zdążył zauważyć błysk żółtych indykatorów ostrzegawczych na panelu pilota. Statek podjął walkę z polem grawitacyjnym gwiazdy, jego droga ucieczki zawężała się z każdą chwilą, w miarę jak rósł płomienny glob.

- Lansing! - zawył Jag. - Skupisko ciemnej materii ruszyło z miejsca! Oddała się od gwiazdy.

- Czy mogłaby to spowodować siła odpychania, o której wspominałeś?

Waldahuden zamachał czworgiem ramion.

- Nie ten rodzaj oddziaływania przewidywałem, ale...

- Ewakuacja niższych pokładów zakończona - wpadła mu w słowo Lianna, obracając się w fotelu i patrząc z wyczekiwaniem na dyrektora.

- Mniejsza z tym - mruknął pod nosem nawigator. - Jeśli dosięgnie nas fala promieniowania, dostaniemy takiego radiacyjnego kopa, że się nie pozbieramy...

W końcu gwiazda przeszła w całości i skrót zniknął. W związku z tym Thor przełączył całą moc zasilającą napęd dysz na ochronne pole siłowe, próbując w miarę możliwości odchylić napływającą falę promieniowania. *Starplex* płynął teraz siłą bezwładności. Znow rozległ się alarm przeciw radiacyjny.

- Czy jesteśmy już wystarczająco daleko? - zapytał Keith, lecz nie doczekał się odpowiedzi, gdyż nawigator był zbyt pochłonięty obsługiwaniem klawiatury.

- Czy jesteśmy już wystarczająco daleko?! - ponowił pytanie dyrektor.

Jag dokonał kilku obliczeń.

- Myślę, że tak - odparł zamiast Thora. - Lecz zawdzięczamy to jedynie osłonie, jaką tworzy pokład oceaniczny dysku centralnego. Inaczej już dawno otrzymalibyśmy dawkę śmiertelną.

- No to mamy szczęście - odetchnął Keith. - Tak trzymać, na razie jesteśmy bezpieczni. Lianno, zrób nowy rozkład zadań. Pamiętaj: minimum udziału waleni, niepotrzebne delfiny skieruj do punktu hibernacji medycznej, dopóki nie wymienimy

wody w oceanie. Przy prędkości, z jaką gwiazda oddala się od skrót, upłynie dobrych parę dni, nim będziemy mogli bezpiecznie przejść przez portal. Jak na razie dobra robota. Spisaliście się świetnie. Rombusie, w jakim stanie są nasze doki?

- Wciąż są zdatne do użytku. Przecież nawet ich ściany mają doskonałe zabezpieczenie na wypadek przecieku radioaktywnego, jeśli statek uległby awarii lub eksplodował.

- No to super. - Lansing zerknął na sternika. - Thor, daj mi znać, gdy będziemy wystarczająco daleko od gwiazdy. A ty, Jag, powinieneś przyjrzeć się temu z bliska. Chcę wiedzieć zaraz skąd to pochodzi i czemu tu trafiło - dodał, patrząc na Waldahudena.

VIII

Wiele czasu zajęło ludziom rozszyfrowanie języka delfinów. Gdy w końcu tego dokonali, imiona własne tych ssaków okazały się modulowanym świergotem, określającym cechy fizyczne, charakteryzujące danego osobnika. Nic więc dziwnego, że jedynie wytwory ludzkiej sztuki oddawały w oczach delfinów ich właściwy wizerunek.

Jednym z najlepszych pilotów patrolowych na *Starplex* był delfin zwany przez załogę butlonosem, z racji potężnego pyska - jakże ubogie przezwisko w porównaniu z całą serią śpiewnych tryłów i kłapanięć, stanowiących jego imię dla delfinich pobratymców.

Ulubionym statkiem patrolowym Butlonosa był *Rumowy Jeździec*, połyskujący brązem, dwudziestometrowy klin o szerokości dziesięciu metrów. Wzdłuż spodniej osi patrolowca przytwierdzono zbiornik wodny. Jego prawą i lewą stronę zajmowały oddzielne, wypełnione powietrzem komory, zbiegające się na łukowatej rufie, rozdzielone tam służą powietrzną. Lewą stronę przystosowano do standardów ludzkich, prawa burta stanowiła domenę Waldahudenów, żyjących w chłodniejszych warunkach.

Butlonos, pilot pojazdu, pozwolił, by maleńkie, swobodnie unoszące się w wodzie czujniki sensoryczne przylgnęły do jego ogona i płetw piersiowych. Statek posiadał setki odbierających bodźce elektrod, pozwalających mu poruszać się w kierunkach, zgodnych z ruchami ciała delfina w zbiorniku. Tego typu technika pociągała za sobą niezwykle marnotrawstwo paliwa - była kosztowna do tego stopnia, że Waldahudenowie odmawiali podpisywania kontraktów na budowę takich statków - lecz jednocześnie zapewniała maszynie nieprawdopodobną zwrotność, zaś Butlonos absolutną radość rozkoszowania się lotem.

Co prawda *Rumowy Jeździec* mógł działać z dala od bazy przez kilka tygodni, tym razem misja miała trwać niecały dzień, a załogę stanowili jedynie Jag i delfin pilot.

Rumowy Jeździec spoczywał zwykle w doku siódmym, jednym z pięciu, które posiadały wejścia, łączące sektor inżynierski z dyskiem oceanicznym. Pilot statku, przytwierdzonego w stanie spoczynku do ściany pokładu, miał do wyboru trzy tunele wylotowe prowadzące łagodnymi zakrętami z komory do luków wyjściowych.

Gdy Butlonos i Jag znaleźli się na pokładzie, segmentowana zapora wyjściowa

śluzy cumowniczej wsunęła się w strop. Butlonos był już znany z teatralnych gagów podczas startu. Wyprowadził statek z doku, po czym okręcił się i zakreślił łuk w swym zbiorniku, zmuszając *Rumowego Jeźdźca* do zapierającego dech w piersiach szaleńczego rajdu przez gradzie wszystkich napotkanych po drodze komór dokowych, robiąc rundę wokół olbrzymiego dysku centralnego. Wtedy dopiero przechylił się na bok wewnątrz wodnej kapsuły i pojazd wykonał szeroki łuk, ukazując wszem i wobec, że wreszcie osiągnął upragnioną próżnię kosmicznej przestrzeni.

Jag jeżył się z niecierpliwości, lecz Butlonos, jak każdy delfin, kompletnie o tym zapomniał. Wykonał dodatkowo radosną serię zwrotów i podskoków w swoim zbiorniku co, rzecz jasna, miało wpływ na trajektorię lotu. Jag oczywiście posiadał odpowiedni sprzęt amortyzujący, lecz w wypełnionej wodą tubie delfin odczuwał statek jak część własnego ciała.

W końcu, gdy znudziła go zabawa, Butlonos wykonał odskok po zawrotnej krzywej. Był zupełnie wyczerpany, lecz ponownie gotów do współpracy, trzymał kurs i zakreślał łuki według odpowiednich danych.

Zielona gwiazda wciąż dominowała na niebie, mimo że była oddalona o trzydzieści milionów kilometrów. *Rumowy Jeździec* posiadał lepsze systemy zabezpieczające i pola ochronne niż sam *Starplex*, mógł więc sobie pozwolić na bardzo bliskie przejście. Pod pełnym fantazji pilotażem Butlonosa patrolowiec zanurkował, wchodząc na orbitę wokół gwiazdy o mniej więcej 1000 000 kilometrów od jej fotosfery. Próbniki na krawędziach sondy wessały próbki atmosfery.

- Zieloność gwiazdy zamieszanie we mnie... - zaćwierkał Butlonos przez hydrofon, umieszczony w zbiorniku. Jak większość delfinów, nie wyczuwał różnicy pomiędzy dźwiękami języka ludzkiego i waldahudeńskiego (przekręcał nawet podstawową składnię - gdyż coś takiego jak składnia nie miało odpowiednika w gramatyce waleni). Komputer przetwarzał dźwięki jedynie na tyle, by zachowały sens. Mógł tylko wybrać najbardziej zrozumiały sposób tłumaczenia, jeśli delfin przemawiał w danej chwili. Jag pokiwał głową.

- Ja też jestem tym zbulwersowany. Temperatura powierzchni - dwadzieścia tysięcy stopni. Tenfardint powinien być błękitny lub biały, lecz nie zielony... Analiza spektralna również nie daje na to odpowiedzi. Nigdy nie spotkałem się z tak wysoką

koncentracją ciężkich elementów w gwieździe.

- Uszkodzona może w czasie przejście przez skrót? - zapytał delfin, okręcając się powoli w zbiorniku, aby statek mógł wykonać łagodny obrót wokół osi. Nawet dodatkowa osłona nie zapewniała pojazdowi całkowitego bezpieczeństwa, gdy był narażony na promieniowanie tylko z jednej strony. Jag ponownie skinął głową.

- To całkiem możliwe. Podczas transferu mogła zostać zdarta większa część chromosfery i korony gwiazdy. Portal wejścia zsuwa się po fotosferze, odrzucając rozrzedzony gaz. Jednak wszystkie poprzednie testy nie wykazały zmian strukturalnych w obiektach, które pokonały skrót. Oczywiście jeszcze nigdy, odkąd pamiętam, nie przedostał się taki olbrzym...

Monitory wizyjne *Rumowego Jeźdźca* okalała płomienna poświata o zielonkawym odcieniu. Naturalne wizjery zostały izolowane.

- Zrób rundę wzdłuż równika - rzucił Waldahuden. - Potem przyjdzie kolej na pętlę wokół biegunów polarnych. Manewry wykonalne, gdyż gwiazda posiada jednolitą strukturę. Zanim wpadnę w wir roboty nad liniami absorpcyjnymi, chciałbym mieć pewność, że widmo otaczające obiekt również jest jednorodne.

Operacja zajęła niemal pięć godzin przy jednej tysięcznej prędkości światła, by zaliczyć pełne okrążenie wokół długiego na pięć milionów kilometrów równika i drugie tyle na rajd wokół biegunów. Podczas całego lotu Butlonos utrzymywał ruch śrubowy. Jag nie odrywał wzroku od skanerów obserwując ciemne, prostopadłe linie absorpcyjne, mrużąc pod nosem: „Wpadłem po uszy... wpadłem po uszy...” Rozwiązanie wciąż było zagadką.

Bez problemów obliczył masę gwiazdy, bazując na śladach, pozostawionych w hiperprzestrzeni. Była nieco cięższa, niż przypuszczał. Gdyby nie kolor, jej powierzchnia byłaby całkiem normalna, dająca obraz złożony z przemieszanych, jasnych i ciemnych punkcików, uwarunkowanych rozmieszczeniem cząstek w fotosferze. Były nawet plamy na słońcu, o niespotykanych, zdradzających duży ciężar, kształtach. Gwiazda.

Niewątpliwie gwiazda - lecz jakże inna od innych gwiazd... Wyprawa dobiegła końca.

- Gotowi wracać do domu? - spytał z nadzieją Butlonos.

Jag wznosił do nieba obie pary ramion, kwitując sprawę pełnym rezygnacji gestem.

- Tak... - warknął pod nosem.

- Tajemnica rozwiązana?

- Nie.

Jak coś takiego w ogóle może mieć prawo bytu... *Rumowy Jeździec* zawrócił w stronę rodzimego „Starplexa”. czemu towarzyszyło nieustające zrzęczenie głównego fizyka.

Keith leżał w łóżku obok żony. Nie mógł spać - jak zwykle. Ogarnął wzrokiem zarys ciała Rissy w półmroku. Widział, jak kształt wznosi się i opada w rytm łagodnego oddechu.

- Zasłużyła sobie na to... - przyznał w duchu. Po czym odetchnął głęboko, próbując pokonać dławiący gardło lęk przed utratą powietrza. Przywołał w pamięci obraz szczęśliwszych czasów.

Powieki ciemnych oczu Rissy tworzyły piękny łuk, ilekroć zdobyła się na uśmiech. Miała nieduże usta o pełnych wargach. Jej matka była Włoszką, ojciec - Hiszpanem. Po niej odziedziczyła lśniąca włosy, po nim - ogniste spojrzenie. Przez całe swoje czterdziestosześcioletnie życie Keith nie spotkał kobiety, która umiałaby w tak doskonały sposób połączyć zmysłowość ze słodką delikatnością.

Kiedy w wieku dwudziestu dwóch lat ujrzał ją po raz pierwszy, w 2070 roku, była dwudziestolatką o nienaganej, pięknie zaokrąglonej figurze. Oczywiście czas zrobił swoje, lecz zachowała świetną kondycję, mimo że proporcje ciała nieco się zmieniły... Cofnijmy się w czasie. Młodemu Keithowi nie przyszłoby do głowy, że czterdziestoczteroletnia kobieta mogłaby wydać się atrakcyjna. A tu - proszę, niespodzianka. Mimo upływu czasu... mimo, że dwadzieścia lat małżeństwa powinno osłabić jego reakcje, nie mógł powstrzymać dreszczu podniecenia widząc żonę w jakiejś niecodziennej sytuacji. Nieważne, czy chodziło o sprawę niezwyklej wagi, czy o jej nową garsonkę... czasem wystarczyło po prostu, by ułożyła włosy w inny sposób, by zapierało mu dech w piersiach... Do tego...

„Do tego...” Keith boleśnie odczuwał spustoszenia, będące skutkiem mijających nieubłagane lat. Tracił włosy. O, tak. Stosowano przecież „kuracje”... Jakby coś tak naturalnego, jak męska łysina potrzebowało kuracji! W takim przypadku „kuracja” była

tylko dowodem próżności i głupoty. W końcu ktoś mógłby wyobrazić sobie poważnego naukowca z bujną czupryną. Od badaczy w średnim wieku wręcz wymagano, by byli łysi. Stało się to stereotypem w niektórych książkach.

Ojciec Keitha zawsze wyróżniał się grzywą czarnych włosów, dopóki nie został zamordowany w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Dyrektor Lansing nieraz tworzył w wyobraźni swój wizerunek po regeneracji fryzury, lecz z drugiej na tak idiotyczną myśl o tym dostawał gęziej skórki.

Wciąż miał w pamięci Mandy Lee - gwiazdę holowizji, w której totalnie się zadurzył jako niespełna dwudziestoletni szczeniak. Wówczas nie pojmował jeszcze, że kobieta to coś więcej niż olbrzymie piersi, choć żadna z jego rówieśniczek jeszcze ich nie miała... Był to zakazany owoc, symbol obcego młodzieńcowi świata dorosłych. Hmm...to właśnie walory fizyczne sprawiły, że Mandy została ochrzczona „Systemem gwiazdy podwójnej” w którymś z holowizyjnych kanałów. Lecz czar prysł z chwilą gdy Keith odkrył, że jej piersi są sztuczne. Odtąd nie potrafił już obserwować Mandy bez wyobrażania sobie implantów skrytych pod jedwabistą alabastrową skórą i pooperacyjnych blizn (choć wiedział oczywiście, że chirurgiczne laserowe skalpele nie pozostawiają nawet śladu). Prędzej go szlag trafi, niż pozwoli dokonać jakichś sztucznych zabiegów na swojej głowie... Lecz również prędzej go szlag trafi, niż pozwoli na komentarze w stylu: „Hej, ten gość to prawdziwa łysa pała!”

I oto mamy Rissę Cervantes i Keitha Lansinga: wciąż zakochanych, jednak już bez tej młodzieńczej pasji, dającej pełne zaspokojenie i odprężenie. Do tego...

Do tego, psiakrew, niedługo miał skończyć czterdzieści sześć lat. Będzie nieubłaganie starzał się, łysiał, siwiał - i do końca życia nie będzie już z żadną inną kobietą, wspominając trzy (tylko!), jakże nieudolne, randki z czasów szkolnych i studenckich. Miał trzy kobiety nie licząc Rissy - w sumie cztery Wypada mniej więcej jedna na dziesięć lat... Chryste, westchnął, nawet Waldahuden może policzyć moje partnerki na palcach jednej ręki.

Keith zdawał sobie sprawę, że powinien odegnąć precz takie myśli. Przecież wiedział, że wraz z Clarissą osiągnęli to, czego większość ludzi może im jedynie pozazdrościć: postać miłości, która wzrastała i dojrzewała w nich w mirę upływu lat, silny, pełen ciepła związek, gwarantujący poczucie bezpieczeństwa. I do tego...

Do tego była jeszcze Lianna Karendaughter. Podobnie jak Mandy Lee, ideał piękna z jego młodzieńczych lat, Lianna posiadała wyrazisty azjatycki typ urody. Azjatki miały w sobie coś, co Keitha zawsze intrygowało. Nie wiedział, ile Lianna ma lat, lecz bez wątpienia była młodsza od Rissy. Jako dyrektor stacji Keith mógł oczywiście zbadać dane personalne dziewczyny, lecz obawiał się tego robić. Na miłość boską, mogła mieć tylko trzydzieści lat... Trafiła na pokład *Starplex* podczas ich ostatniego pobytu w Tau Ceti obecnie zaś, będąc kierownikiem korpusu Operacji Wewnętrznych, często całymi godzinami towarzyszyła Keithowi na mostku. Co więcej, ku jego zaskoczeniu, bez względu na to, ile czasu razem spędzili, zawsze żałował w duchu, że trwało to tak krótko.

Jeszcze nie popełnił żadnego głupstwa. Doprawdy, nic nie wymknęło się spod kontroli, był o tym święcie przekonany. Zawsze, tak jak i teraz, dokonywał ścisłej samoobserwacji. Nie był ślepy na to, co się dzieje. Nadszedł kryzys wieku średniego, a wraz z nim lęk przed utratą męskiej witalności. A jakiz może być lepszy sposób na odegnanie podobnych obaw, niż pójście do łóżka z piękną, młodą kobietą? Próżne fantazje. To pewne.

Przekręcił się na swoją stronę łóżka, zwrócony plecami do Rissy podkulił kolana pod brodę. Nie chciał czymkolwiek jej zranić. Z drugiej strony, gdyby się nigdy o niczym nie dowiedziała...

Chryste, facet, zjeżdż na ziemię. Oczywiście, że to odkryje. Jak spojrzysz jej potem w oczy? A Saul, twój syn? Co powiesz, gdy staniecie twarzą w twarz?

Lansing widział już niegdyś błaganie w oczach syna, widział pełne furii spojrzenie poparte histerycznym krzykiem, nigdy jednak Saul nie odsunął się od ojca z odrazą...

Gdyby tylko mógł zasnąć. Żeby tylko choć na chwilę mógł przerwać tę udrekę. Keith leżał, patrząc w ciemność szeroko otwartymi oczami.

Gdy *Rumowy Jeździec* bezpiecznie spoczął w doku, Butlonos odpłynął po zasłużony posiłek. Jag powrócił na mostek. Waldahuden wciąż utrzymywał wyprostowaną pozycję pomagając sobie laską, ozdobioną oryginalnym, zawitym ornamentem - lepsze już to, niż poruszanie się na czterech kończynach w obecności ludzi. Keith, Rissa, Thor i Lianna mieli całą noc na sen, a Rombus? Cóż, Ibowie tego nie

potrzebowali, co podwajało i tak bardzo długi czas ich aktywności życiowej. Jag zazwyczaj składał meldunek, stojąc przed dwoma rzędami stanowisk operacyjnych, lecz tym razem dokuśtykał na koniec sali i zasiadł w środkowym fotelu na galerii dla audytorium zmuszając pozostałych do obrócenia pulpitów w jego stronę. Keith wpił w Jaga wyczekujące spojrzenie.

- I jak? - zagadnął.

Waldahuden przez chwilę porządkował myśli. Wreszcie poszczekując rozpoczął, poprzedzając raport krótkim wstępem.

- Jak wiadomo, przynajmniej niektórym z was, gwiazdy, w zależności od wieku, dzielimy na trzy kategorie. Do najstarszych we Wszechświecie zaliczamy gwiazdy pierwszej generacji, prawie całkowicie złożone z wodoru i helu - dwóch pierwiastków początkowych. Mniej niż 0,02% ich masy stanowią atomy pierwiastków cięższych oraz cząstki, powstałe podczas procesów, zachodzących we wnętrzu gwiazdy. Gdy gwiazda pierwszej generacji przechodzi w nową lub supernową, elementy ciężkie mieszają się z obłokami międzygwiazdowego pyłu. Ponieważ gwiazdy drugiej generacji powstają właśnie z tych gazowych obłoków, ponad jeden procent ich masy stanowią metale. W tym wypadku - „metale” oznaczają, rzecz jasna, pierwiastki cięższe od helu. Trzecia generacja - to obiekty jeszcze młodsze. Należą do niej słońca planet naszej Wspólnoty i wszystkie rodzące się współcześnie gwiazdy. Oczywiście wciąż istnieją wokół nas nieliczni przedstawiciele generacji pierwszej i ogromna ilość gwiazd należących do generacji drugiej. Gwiazdy trzeciej generacji składają się z metali w około dwóch procentach. - Jag zawiesił głos i powiódł wokół spojrzeniem, zatrzymując przez chwilę wzrok na twarzy każdego z obecnych.

- Otóż masa tej gwiazdy... - wskazał jednym ze środkowych ramion zielone ciało niebieskie lśniące w holograficznej kuli - zawiera osiem procent metali, cztery razy więcej niż wszystkie przeciętne słońca trzeciej generacji! W tym jest więcej żelaza, niż bylibyśmy w stanie kiedykolwiek zgromadzić!

- A co z tą wściekłą zielenią? - wtrącił Keith.

- Nie jest to oczywiście zieleń w pełnym tego słowa znaczeniu, podobnie jak gwiazda zwana czerwonym karłem ma niewiele wspólnego z rzeczywistą czerwienią. Prawie wszystkie gwiazdy są białe, ich barwa jest pozorna. - Ponownie wykonał rękami

kolisty gest, ogarniający otchłań kosmosu wokół nich. - FANTOM zgodnie z programem dobiera kolor dla obserwowanych przez nas na holo obiektów, kierując się kategoriami Hertzsprunga-Russela. Tej gwiazdzie odpowiadało zielonkawe zabarwienie. Linia absorpcyjna skoncentrowanych wewnątrz pierwiastków metalicznych jest silniejsza, niż ciepło powierzchni, osłabia to wydajność gwiazdy w niebieskim i ultrafioletowym paśmie widma. W rezultacie większość emitowanego światła lokalizuje się w zielonym regionie spektrum. - Futro Waldahudena gwałtownie zafalowało. - Gdybym nie ujrzał tego na własne oczy, musiałbym kategorycznie stwierdzić, że gwiazda zawierająca tak wielką ilość metalu nie ma racji bytu w naszym wszechświecie na obecnym etapie jego rozwoju. Z pewnością to fenomen, uformowany pod wpływem jakichś specyficznych dla tego miejsca warunków, oraz...

- Wybacz mi, że ci przerywam, dobry Jagu - odezwał się nagle Rombus - lecz wychwytyję pulsowanie tachionów. Keith obrócił swój fotel przodem do skrót.

- Bogowie! - zawył Jag zrywając się na równe nogi. - Większość gwiazd tworzy przecież odrębne systemy...

- Nie przeżyjemy drugiej takiej eskapady - mruknęła Lianna. - Zostanie z nas tylko...

Lecz skrót właśnie przestał się rozszerzać. Osiągnął najwyżej siedemnaście centymetrów średnicy, wypluwając maleńki obiekt i ponownie skurczył się do niewidzialnego punktu.

- To watson - oznajmił Rombus. - Automatyczna boja komunikacyjna. Przekaznik nadaje, że pochodzi z Rozgłośni Wielkiej Centrali. - Włącz odtwarzanie - rozkazał Keith. - Wiadomość jest po rosyjsku - zauważył Ib. - FANTOM, tłumacz! Salę wypełnił głos centralnego komputera:

„Walentyna Iljanow, Prawość, Kolonia Nowy Pekin, do Keitha Lansinga, komandora *Starplex*. Czerwony karzeł klasy M wystrzelił ze skrót w systemie Tau Ceti. Na szczęście raczej oddala się od Tau Ceti, a nie zmierza w jego kierunku. Jak do tej pory nie odnotowaliśmy znaczących szkód, lecz mieliśmy problemy z pilotowaniem watsona tak, by okrążył gwiazdę i przeszedł przez portal. To nasza trzecia próba dotarcia do was. Nawiązaliśmy kontakt z centrum astrofizycznym na Rehbollo, aby zasięgnąć rady i w zamian otrzymaliśmy nieprawdopodobne wieści. Także tam ze skrót wynurzyła się

gwiazda, w ich przypadku błękitna gwiazda klasy B. Staram się teraz skontaktować ze wszystkimi aktywnymi skrótami, aby się dowiedzieć, jak daleki jest zasięg tego fenomenu. Koniec przekazu”.

Keith powiódł obłądnym wzrokiem po skąpanej w zielonym blasku sali. - Jezu Chryste... - rzekł cicho.

IX

- Mówię wam, że zostaliśmy zaatakowani - oświadczył Thorald Magnor. Wstał ze stanowiska pilota i ruszył w kierunku galerii dla audytorium, gdzie rozsiadł się po prawej stronie Jaga.

- Jak na razie najwyraźniej mieliśmy farta, lecz pakowanie nowej gwiazdy do systemu może zniszczyć w nim wszelkie życie.

Jag poruszył dolnymi ramionami w waldahudeńskim geście protestu.

- Większość skrótów znajduje się w międzygwiazdnej przestrzeni - szczerkął. - Nawet ten, który nazywasz „skrótom Tau Ceti” jest oddalony o trzydzieści siedem miliardów kilometrów od tej gwiazdy. To dystans ponad sześć razy większy niż odległość Plutona od Słońca. Muszę przyznać, że w piętnastu na szesnaście przypadków pojawienie się dodatkowych gwiazd mogłoby wywołać pewne nieznaczące skutki w zamkniętych systemach. Lecz jeśli jest zaledwie kilka zamieszkałych światów, do tego bardzo od siebie oddalonych, prawdopodobieństwo całkowitego i natychmiastowego unicestwienia żyjącej planety są znikome.

- A czy te gwiazdy nie mogą być... no, na przykład bombami? - zagadnęła Lianna.

- Sam mówiłeś, że zielona gwiazda to coś niezwykłego. Czy mogłaby eksplodować?

- Moje studia nad tym problemem dopiero się rozpoczęły - odparł Jag. - Mógłbym jednak założyć, że nasz nowy przybysz osiągnął wiek co najmniej dwóch miliardów lat. Ponadto pojedyncze karły klasy M, jak ten, który wynurzył się w Tau Ceti, nie transformują w nową.

- Mimo wszystko - włączyła się do rozmowy Rissa - czy tego typu obiekty nie naruszyłyby obłoków Oorta, otaczających systemy gwiazdne i powodując deszcz komet, który spadłby na krążące wewnątrz planety? Pamiętam dawną teorię, traktującą o tym, że brązowy karzeł, niewidzialny partner Słońca - nazwany Nemezis, o ile się nie mylę - przeszedł przez obłok Oorta za orbitą Plutona, powodując lawinę meteorytów pod koniec okresu kredowego.

- Cóż, Nemezis okazał się fikcją - przerwał Jag. - Lecz nawet gdyby obecnie rzeczywiście istniało takie zagrożenie, każda z ras Wspólnoty posiada dziś wystarczająco rozwiniętą technologię, by dać sobie radę z każdą umiarkowaną liczbą komet. Poza tym

musiałyby minąć dziesiątki lat, a nawet wieki zanim te obiekty wdarłyby się do wnętrza systemu. Nie ma się czego obawiać.

- W takim razie po co to wszystko? - zapytał Thor. - Po co w ogóle ruszono te gwiazdy z miejsc? Czy nie powinniśmy tego powstrzymać?

- Powstrzymać?! - Keith wybuchnął sardonycznym śmiechem. - Ciekawe jak?

- Zniszczyć skrót - odparł Thor po prostu.

Keith zamrugał zdumiony.

- Nie byłbym taki pewien, że w ogóle można je zniszczyć - rzekł. - Co o tym sądzisz, Jag?

Długa sierść Waldahudena falowała gwałtownie gdy był pogrążony w krótkiej zadumie. Gdy się odezwał, jego poszczekiwanie zabrzmiało cicho i niepewnie.

- Tak, teoretycznie jest pewien sposób... - podniósł wzrok, lecz żadna z jego par oczu nie napotkała spojrzenia Keitha. - Gdy pierwszy kontakt z ludźmi wypadł tak fatalnie, nasi astrofizycy poczuli się zobowiązani, by znaleźć metodę na zamknięcie skrótów Tau Ceti w razie podobnej sytuacji.

- To skandal! - wpadła mu w słowo Lianna.

Jag z namysłem popatrzył na ludzi.

- Nie. To dowód troski rządu. Trzeba przewidywać każdą ewentualność.

- Z wyjątkiem zniszczenia naszego skrótów! - wrzasnęła Lianna z wściekłością.

- Nie zrobiliśmy tego - zaznaczył Jag.

- Ale, w razie czego, braliście to pod uwagę! Jeśli chcieliście zamknąć nam dostęp do Rehbollo, powinniście sobie niszczyć wasz skrót, a nie nasz.

Keith odwrócił się i posłał młodej kobiecie uspokajające spojrzenie.

- Lianno - szepnął łagodnie. Dziewczyna zerknęła na niego, a wtedy bezdźwięcznie wyartykułował „Daj spokój...” i stanął przodem do Waldahudena. - Znaleźliście sposób, aby to uczynić? Zniszczyć skrót?

Jag podniósł górne ręce na znak potwierdzenia.

- Gaf Kandaro em-Weel, mój pan, był twórcą tego projektu. Skrótów są częścią hiperprzestrzennej konstrukcji, która styka się punktowo z normalną przestrzenią. W hiperprzestrzeni istnieje system nieskończonych współrzędnych. Nie obowiązują tu ograniczenia Einsteina, ośrodek ten nie jest względny. Lecz normalna przestrzeń jest

względna i wyjście - czyli to, co nazywamy portalem skrótu - musi mieć względny punkt zaczepienia w normalnej przestrzeni. Gdyby ktoś potrafił to zneutralizować, skrót przestałby być punktem zaczepienia dla wyjścia z hiperprzestrzeni, po prostu wyparowałby w obłoczku promieniowania Czerenkowa.

- A jak zamierzaliście zneutralizować połączenie? - parsknął Keith z nieskrywanym sceptycyzmem.

- Rzecz w tym, że skrót jest rzeczywiście nieskończenie małym punktem, dopóki nie rozszerzy się, by przepuścić to, co przez niego przechodzi. Sferyczny szyk generatorów sztucznej grawitacji, zgromadzony wokół drzemiącego skrótu, może być przeznaczony do lokalnego zakrzywienia czasoprzestrzeni. Nawet przyjmując, że większość skrótów znajduje się w międzygwiazdnej przestrzeni, nadal pozostają wewnątrz krzywizny, tworzonej przez naszą galaktykę. Lecz jeśli przesuniesz tę krzywiznę, skrót straci punkt zaczepienia i - puff! - powinien zniknąć. Dopóki skrót jest tak mały w stanie spoczynku, wystarczy obszar o średnicy jednego, dwóch metrów by dokonać tej sztuczki pod warunkiem, że zapewnimy wystarczającą ilość mocy.

- Czy *Starplex* zapewni potrzebną moc? - zapytał Rombus.

- Z łatwością.

- To niemożliwe - kategorycznie uciął Keith.

- Możliwe, w rzeczy samej - zaproponował Jag. - Grawitacja jest siłą, która zakrzywia czasoprzestrzeń. Sztuczna grawitacja jedynie modyfikuje te krzywizny. W moim rodzinnym systemie w krytycznych sytuacjach używaliśmy już boi grawitacyjnych do spłaszczania czasoprzestrzeni lokalnie, więc nadal mogliśmy przeprowadzać hiperskoki, mimo bliskości naszego słońca.

- Dlaczego żadna wzmianka o tym nie pojawiła się w Astrofizycznej Sieci Wspólnoty? - zaczęła spytać Lianna.

- Hm, może dlatego, że nikt nigdy nas o to nie prosił? - wymruczał Jag niepewnie.

- Dlaczego więc nie zasugerowałaś wcześniej, że możemy to zrobić, aby umożliwić nam podejście do hiperskoku, zanim zielona gwiazda przedostanie się pierwsza? - zażądał odpowiedzi Keith.

- Sami nie możecie tego zrobić. Trzeba zastosować zewnętrzne źródło mocy. Uwierz mi, próbowaliśmy wszelkich możliwych metod, aby statki mogły samodzielnie

tego dokonać, lecz żadna nie zdała egzaminu. Według ludzkiego przysłowia - to tak, jakby podnieść się samemu za włosy. To niewykonalne.

- Jednak nawet gdybyśmy byli w stanie to zrobić, tu i teraz - sprawić, by ten skrót wyparował - nie moglibyśmy wrócić do domu - zauważył dyrektor.

- To prawda - przyznał Waldahuden. - Lecz moglibyśmy wystrzelić boje antygravitacyjne gdy wyjście się zamknie, tuż po naszym przejściu przez portal. - Lecz mamy dowody, że gwiazdy przenikają przez wiele skrótów - wtrąciła Rissa. - Jeśli unicestwimy skróty Tau Ceti, Rehbollo i Monotonii, musielibyśmy rozbić Wspólnotę, odcinając nasze światy jeden od drugiego.

- Aby ocalić każdą z osobną planetę Wspólnoty, tak - potwierdził Thor.

- Chryste - westchnął Keith. - Rozbicie Wspólnoty to ostatnia rzecz, jakiej byśmy pragnęli. - Jest jeszcze jedno wyjście - rzekł sternik. - O?

- Przesiedlić rasy Wspólnoty do sąsiednich systemów gwiazdnych z dala od wszelkich skrótów. Możemy znaleźć trzy lub cztery systemy w niewielkiej odległości od siebie z odpowiednią liczbą rozmaitych planet, stworzyć na nich warunki do zamieszkania i wszystkich tam przewieźć. Wciąż będziemy mogli utrzymywać komunikację międzygwiazdową, opartą na zwykłym hipernapędzie.

Keith wytrzeszczył oczy.

- Mówisz o przesiedleniu... ilu? Trzydziestu miliardów osób?!

- Wóz albo przewóz... - mruknął sentencjonalnie Thor.

- Ibowie nie opuszczą Monotonii - oznajmił Rombus ze swoją rozbijającą szczerością.

- To szaleństwo - zachnął się dyrektor. - Nie wolno nam zniszczyć skrótów.

- W obliczu zagrożenia naszych rodzinnych planet wolno, a nawet trzeba - Thor był nieprzejednany.

- Nie mamy dowodów, że przechodzące obiekty stanowią jakieś zagrożenie - upierał się Keith. - Nie mogę uwierzyć, że istoty zdolne ruszyć z posad gwiazdy mają krwiożercze instynkty.

- Może i nie mają. Może nie są bardziej krwiożerczy, niż pracownicy budowlani usuwający mrowiska. Może po prostu stoimy im na drodze - podsumował Thor.

Na razie nie były dostępne dalsze informacje i problem przenikających gwiazd

utknął w martwym punkcie. Keith i Rissa wyszli, by coś przekąsić.

Na pokładzie *Starplex* znajdowało się osiem restauracji. Nazewnictwo części składowych bazy było celowe. Ludziom bardziej odpowiadała terminologia związana z flotą marynarki wojennej, np.: mesy, izolatki, kwatery zamiast: restauracje, szpitale, apartamenty. Lecz spośród czterech gatunków Wspólnoty tylko ludzie i Waldahudenowie posiadali wojskowe tradycje, a przedstawiciele pozostałych dwóch ras bardzo się irytowali, gdy o tym wspomiano nawet podczas zdawkowej rozmowy.

Każda restauracja była niepowtarzalna zarówno co do wystroju jak i kuchni. Projektanci *Starplex* dołożyli wszelkich starań, by życie na pokładzie nie było monotonne. Keith i Rissa zdecydowali się na lunch w Kog Tahn, waidahudeńskiej restauracji na dwudziestym szóstym pokładzie. Hologramy, zastępujące szyby symulowanych okien, przedstawiały krajobraz Rehbollo: bezkresne wilgotne równiny purpurowoszarego mułu, poprzecinane siecią rzek i strumieni. Tu i ówdzie wynurzały się zwały stargów - odpowiedników drzew wyglądające jak powalone, prawie czterometrowe błękitne kłody. Grząski muł nie dawał stałego punktu oparcia, lecz przesycony był solami mineralnymi i produktami rozkładającej się materii organicznej. Każdy starg posiadał tysiące splecionych wypustek, spełniających albo rolę korzeni, albo rozpostartych jak parasol organów fotosyntetycznych - zależnie od tego, czy były pod spodem, czy na wierzchu. Wielkie rośliny obracając się nieustannie płynęły przez mokradła i spływały w dół strumieni, dopóki nie natrafiły na życiodajny szlam. Wtedy osiadały, zanurzając w nim jedną trzecią masywnego pnia.

Na tle holograficznego obrazu szarozielonego nieba jarzyły się gwiazdy, powiększone i czerwone. Keith uważał ten kolor za banalny aż do znudzenia, lecz serwowane potrawy były wyśmienite. Waldahudeni hołowali tradycjom wegetariańskim, a ich ulubione soczyste warzywa miały niepowtarzalny smak. Lansing przyłapał się na tym, że zamawia pędy starga co najmniej trzy, cztery razy na miesiąc.

Oczywiście każda z ośmiu restauracji mogła gościć przedstawicieli wszystkich ras, zatem obowiązywał szeroki asortyment dań, odpowiedni dla klientów o różnych wymaganiach metabolicznych. Keith zamówił zapiekankę z serem i kilka korniszonów z nieodłączną sałatką ze starga. Kobiety Waldahudenów, podobnie jak ziemskie ssaki, karmiły swoje potomstwo odżywczą wydzieliną i uważały za obrzydliwe picie mleka

zwierząt, lecz nie wiedziały, lub przynajmniej udawały, że nie wiedzą z czego zrobiony jest ser.

Rissa usiadła naprzeciwko męża. Stolik miał charakterystyczny dla waldahudeńskich standardów kształt podobny do ludzkiej nerki. Wypolerowana roślinna substancja, z której go wykonano, nie była drewnem, choć pięknie przeplatały się na jej powierzchni podobne do słoików jasne i ciemne smugi. Rissa zajęła fotel w zagłębieniu pośrodku blatu. Waldahudeński zwyczaj wymagał, by kobieta zawsze siedziała na honorowym miejscu. Na rodzinnej planecie Waldahudenów miejsce to zajmowała dama, natomiast jej pięciu konkurentów sadowiło się po przeciwnej, zaokrąglonej stronie stołu.

Żona Keitha wykazywała więcej fantazji w doborze dań. Lubiła na przykład gaz torad - „krwawe małże”, skorupiaki, żyjące w ilastych warstwach dennych wielu jezior na Rehbollo. Keith uważał ich purpurową barwę za odrażającą, podobnie zresztą jak większość Waldahudenów, którym wydawała się identyczna z kolorem ich własnej krwi. Jednak Rissa tak doskonale opanowała sztukę, polegającą na błyskawicznym podniesieniu małża do ust, otwarciu muszelki i połknięciu jej zawartości, że nikt, nawet ona sama, nie zauważał nic prócz pustej skorupki.

Lansingowie jedli w milczeniu i Keith zastanawiał się czy to dobrze czy źle. Z pustymi pogaduszkami skończyli już przed laty. Rzecz jasna, gdy któreś z nich miało taki czy inny problem, mogli rozmawiać godzinami, lecz nieraz wystarczyło im do szczęścia własne towarzystwo nawet jeśli nie mówili ani słowa. Przynajmniej tak sądził Keith i wierzył, że Rissa podziela to zdanie.

Za pomocą katooka (waldahudeńskich sztucców podobnych do kaczego dzioba) chwycił szczyptę starga i właśnie podnosił go do ust, kiedy ze stołowego blatu wysunął się panel informacyjny, ukazując twarzy Waldahudena Heka, specjalisty od kontaktów z obcymi formami życia. - Rissa - zaszczekał, a brooklyński akcent w jego głosie był nieco silniejszy, niż u Jaga. Zakrzywienie panelu nie pozwalało mu widzieć Keitha. - Przeanalizowałem sygnały radiowe, które wychwyciliśmy w okolicy pasma dwudziestu jeden centymetrów i nie uwierzysz, co znalazłem. Wpadnij natychmiast do mojego biura.

Keith opuścił szczyptę zjedzeniem i spojrzał ponad stołem na żonę.

- Pójdę z tobą - oświadczył.

Gdy przechodzili przez salę, zdał sobie sprawę, że były to jedyne słowa, jakie

wypowiedział podczas całego posiłku.

Lansingowie weszli do windy. Ekran na ścianie kabiny tradycyjnie wskazywał aktualny poziom 26 - na tle schematu o kształcie długoramiennego krzyża. W miarę jak wjeżdżali na górę, cyfry były coraz niższe a ramiona krzyżu coraz krótsze. Z chwilą gdy zatrzymali się na pokładzie pierwszym, pozostał tylko kwadrat z numerem. Hek, niski Waldahuden o futrze nieco bardziej zrudziałym, niż sierść Jaga, pochylił się nad biurkiem w ukłonie.

- Rissa, twoja obecność jest dla mnie zaszczytem - rzekł uniżenie, podkreślając tradycyjny szacunek należny kobiecie. - Witam, Lansing. - Niedbale kiwnął głową, okazując pogardliwe lekceważenie, zarezerwowane dla każdego mężczyzny, nawet jeśli był jego szefem. Witam, Hek - skinął na powitanie Keith. Waldahuden spojrzał na kobietę.

- Słyszałaś już, że zarejestrowaliśmy sygnały radiowe? - jego poszczekiwanie odbijało się echem w małym pokoju. Rissa przytaknęła.

- Moje analizy wstępne nie wykazują w nich powtórzeń. - zwrócił na Keitha jedną z par oczu. - Gdy sygnały są nadawane celowo, zwykle zawierają sekwencję, powtarzającą się co kilka minut czy godzin. W tym przypadku podobne zjawisko nie występuje. W rzeczy samej, nie znalazłem ani śladu wtórnych sekwencji. Lecz gdy zacząłem analizować szum bardziej szczegółowo, ujawniły się impulsy trwające niecałą sekundę. Do tej pory sklasyfikowałem sześć tysięcy siedemnaście sekwencji. Niektóre powtarzają się jeden raz lub dwa, ale inne powracają wielokrotnie, a niektóre ponad dziesięć tysięcy razy. - O mój Boże - sapnęła Rissa. - Co? - wykrzyknął równocześnie Keith. Kobieta obróciła się w jego stronę

- To oznacza, że ten szum może zawierać jakąś informację. To może być transmisja radiowa. Hek wznosił nad głowę górną parę rąk.

- Właśnie. Każda z tych sekwencji może być oddzielnym słowem. Te, które występują najczęściej to, powiedzmy, wyrażenia ogólne, na przykład odpowiedniki zaimków czy przyimków. - Ale skąd jest nadawana ta transmisja? - zapytał Keith.

- Z wewnątrz lub tuż spoza skupiska ciemnej materii - odparł Hek.

- Czy jesteś pewien, że ten przekaz jest... inteligentny? - wyksztusił z bijącym sercem dyrektor. Tym razem Waldahuden wzruszył dolnymi ramionami.

- Nie, nie jestem pewien. Przede wszystkim impulsy są bardzo słabe. Nie udałooby się ich wyizolować z szumu w tle przy większej niż obecnie odległości. Lecz jeżeli, zgodnie z moimi przypuszczeniami, są to słowa - musi obowiązywać jakaś określona składnia. Żadne słowo nie powtarza się dwa razy pod rząd. Pewne formy występują tylko na początku i końcu transmisji. Są też takie, które pojawiają się tylko po konkretnych słowach. Możemy przyjąć, że są to rzeczowniki i odmieniane czasowniki, następujące po przymiotnikach i przysłówkach, lub na odwrót - Hek odetchnął. - Oczywiście nie przestudiowałem wszystkich sygnałów, aczkolwiek nagrałem je dla przyszłych badań. Cały czas trwa istne bombardowanie ponad dwustu sąsiadujących ze sobą częstotliwości... - Hek poczekał, aż sens tych słów dotrze do słuchaczy. - Według mnie istnieje spore prawdopodobieństwo, że na obszarze koncentracji ciemnej materii lub tuż za nim kryje się flota statków kosmicznych.

Keith już miał zamiar przemówić, gdy zadzwieczał interkom na biurku. - Keith, tu Lianna. - Tak. Słucham?

- Myślę, że chciałbyś być przy tym obecny. Musisz wrócić na mostek. Przybył watson z wiadomością o bumerangu, który powrócił ze skrótu Rehbollo 376A.

- Już biegnę. Wezwij także Jaga, proszę. Koniec odbioru. - Lansing z uznaniem spojrział na Heka. - Dobra robota. Sprawdź, czy dasz radę dokładniej zlokalizować źródło emisji. Uprzedzę Thora, by poprowadził *Starplex* wokół skupiska ciemnej materii, zwracając szczególną uwagę na emisję tachionów, poziom radiacji, płomień dysz silnikowych i wszelkie inne ślady obecności obcych pojazdów.

Keith i Rissa wpadli na mostek i natychmiast zajęli swoje stanowiska. - Włącz odtwarzanie watsona - rozkazał.

Lianna wcisnęła przycisk i na wydzielonym fragmencie sferycznego hologramu pojawiła się filmowa projekcja, zarejestrowana na wysłanym przekaźniku. Ekran wypełnił obraz Waldahudena o srebrno szarym futrze. Wydawane przez niego powarkiwania FANTOM przekładał na angielski bezpośrednio przez implant w uchu Keitha, co oczywiście nie odpowiadało grymasom waldahudeńskiego pyska.

„Pozdrawiam »Starplex«,„ - W dolnej części ekranu ukazała się nota, przedstawiająca mowę. Był to Kayd Pelendo em-Hooth z Centrum Astrofizyki Rehbollo. - „Bumerang, wysłany do skrótu oznaczonego Rehbollo 376A, powrócił. Podejrzewam,

że chcecie pozostać tam, gdzie jesteście, prowadząc dalsze badania nad skrótem, dopóki jego pojawienie się w sieci nie zostanie do końca wyjaśnione. Mimo to sądzimy, że Jag i pozostali wykażą zainteresowanie nagrany materiał, zarejestrowany przez bumerang tuż przed powrotem do domu. Załączyliśmy film do przekazu. Myślę, że uznacie go za... interesujący”.

- W porządku - Keith zwrócił się do Iba. - Rombus, przetwórz projekcję danych z bumeranga na nasze sferyczne halo. Pokaż nam, co takiego zobaczył.

- Służę z przyjemnością - odparł Rombus. - Trwa rozładunek. Projekcja będzie gotowa za dwie minuty czterdzieści sekund.

Lianna splotła dłonie.

- To już nie deszcz, to ulewa - rzekła, odwracając się w fotelu i patrząc z uśmiechem na dyrektora. - Jeszcze jeden nowy sektor dostępny dla naszych badaczy!

Keith pokręcił głową.

- Nigdy nie przestanie mnie to zdumiewać. - Wstał, żeby choć trochę rozprostować kości, zanim hologram będzie gotowy.

- Wiecie... - zaczął nieobecny tonem. - Mój prapradziadek prowadził pamiętnik. Tuż przed śmiercią wypisał wszystkie największe osiągnięcia postępu, jakich był świadkiem w ciągu całego życia: radio, automobil, komunikację powietrzną, loty kosmiczne, lasery, komputery, odkrycie DNA, i tak dalej, i tak dalej...

Lianna sprawiała wrażenie zachwyconej, choć Keith miał świadomość, że być może pozostałych to nudzi. Do diabła z nimi. Przy tych wszystkich przywilejach szef ma prawo od czasu do czasu pomarudzić.

- Gdy jako nastolatek czytałem te zapiski, wyobrażałem sobie, że nie będę miał czego spisać dla własnych potomków, gdy moje życie dobiegnie końca. Jednak kiedy wynaleźliśmy hipernapęd i AI oraz odkryliśmy sieć skrótów i pozaziemskie życie, gdy nauczyliśmy się porozumiewać z delfinami, wtedy zrozumiałem, że...

- Wybacz... - wtrącił Rombus, błyskając światłkami w ten szczególny sposób, jakim jego rasa sygnalizowała chęć przerwania czyjejś wypowiedzi - Hologram gotowy.

- Zaczynaj - polecił dyrektor.

Mostek ciemniał w miarę jak przygasał hologram przestrzeni, otaczającej *Starplex*. W końcu salę spowił nieprzenikniony mrok. Wtem nowy obraz zaczął wyłaniać

się z ciemności, tworząc dookoła, linia po linii, nową panoramę nieba, dopóki znów nie powróciło wrażenie, jakby mostek unosił się swobodnie w kosmicznej przestrzeni - przestrzeni należącej do nowego sektora, dostępnego teraz dla ras Wspólnoty. Thor gwizdnął przeciągle. Jag z niedowierzaniem kłapnął zębowymi płytkami.

W przestworzach dominowała, odpływając powoli, inna zielona gwiazda, oddalona od wyjścia ze skrótu o jakieś dziesięć milionów kilometrów.

- O ile się nie przesłyszałem, twierdziłeś, że nasza gwiazda to wybryk natury - Keith zaczepnie zerknął na Jaga.

- To już nasze najmniejsze zmartwienie - mruknął Thor. Zdjął nogi z konsoli i odwrócił się twarzą do Lansinga. - Nasz bumerang nie uaktywnił skrótu, dopóki to nie przeszło przez portal. Keith obrzucił go nie widzącym spojrzeniem. - A ten obraz został zarejestrowany zanim to nastąpiło. Jag skoczył jak oparzony. - Kadarg! - wychrypiał. - To oznacza...

- To oznacza - dokończył za niego Keith, również zrywając się na nogi - że te gwiazdy potrafią forsować uśpione skróty. Chryste, mogą wystrzelić przez każdy z czterech miliardów portali, rozsianych po Drodze Mlecznej!

Tego wieczoru Keith musiał zjeść kolację samotnie. Uwielbiał gotować, ale też uwielbiał mieć kogoś, dla kogo mógłby to robić - a Rissa miała pracować do późna w nocy. Wspólnie z Drezynką przebrnęły wreszcie pewien etap badań nad stałą Hayflicka, przynajmniej na to wyglądało. Pozostawały jeszcze kłopoty z weryfikacją wyników, więc do laboratorium Rissa zabrała ze sobą tylko kanapki.

Keith nie raz zachodził w głowę, jakim cudem mianowano go pierwszym po Bogu na *Starplex*. Hm, oczywiście miało to swoje uzasadnienie. Zakładano, że socjolog sprawdzi się zarówno w kierowaniu miniaturową społecznością na pokładzie stacji, jak również da sobie radę z nawiązaniem kontaktu w razie ewentualnego spotkania z nową obcą cywilizacją.

I oto właśnie teraz, choć wokół aż wrzało, nie pozostało mu nic do roboty, oprócz kilku spraw administracyjnych. Jag mógł kontynuować badania nad ciemną materią albo, a jakże, podjąć próbę wyjaśnienia zagadkowej inwazji gwiazd. Hek mógł dalej łącać sobie głowę nad rozszyfrowaniem obcych sygnałów radiowych. Rissa uparcie drażyła swój projekt w pogoni za sposobem na długowieczność. A Keith? Keith żył nadzieją, że

gdzieś jest wiatrak, z którym mógłby powalczyć - żył nadzieją, że przypadnie mu w udziale jakaś doniosła rola.

Postanowił posilić się w jednej z restauracji Ibów. Nie ze względu na atmosferę, oczywiście. Wyświetlane w holograficznych oknach lokalu krajobrazy Monotonii, ze swoją gładką jak bilardowa kula powierzchnią, przedstawiały jeszcze mniej pociągający widok, niż panorama Rehbollo. Niewątpliwie z geograficznego punktu widzenia Ziemia była najbardziej interesującą i najpiękniejszą z planet Wspólnoty. W dodatku jadłospis Ibów opierał się na prawoskrętnych aminokwasach i był kompletnie nieprzyswajalny dla przedstawicieli pozostałych trzech ras. Ta restauracja jednak oferowała szeroki asortyment dań, przeznaczonych dla ludzi - z pieczonym kurczakiem włącznie, a na to Keith miał właśnie największą ochotę.

W restauracji panował niemożliwy ścisk. Cztery lokale w dolnych modułach mieszkalnych wciąż nie nadawały się do użytku. Lecz jeden z obwarowanych rangą przywilejów gwarantował dowódcy wolny stolik w każdej chwili. Gładki, srebrzysty robot poprowadził Keitha do altany na końcu sali. Wielka, rozłożysta roślina tworzyła łukowate sklepienie, a jej pomarańczowe ośmiokątne liście pnących pędów zwieszały się nad stolikiem.

Lansing złożył zamówienie u kelnera i wydał wyświetlaczowi polecenie odtworzenia treści ostatniego „New Yorkera”. Robot kelner powrócił z kieliszkiem białego wina i odjechał. Mężczyzna pogрузzył się w lekturze strony wirtualnej gazety, gdy...

Biiiiip! - Karendaughter do Lansinga.

- Odbiór. Słucham, Lianno?

- Właśnie skończyłam badania inżynierskie nad problemem napromieniowania dolnych pokładów. Czy znalazłbyś dla mnie chwilę czasu, żebym mogła przekazać ci raport?

Keith przełknął ślinę. Oczywiście raport musi być zdany natychmiast, przepełnienie górnych modułów stanowiło problem nie cierpiący zwłoki. Lecz gdzie umówić się z Lianną? Mostek zajmowała teraz zmiana Gamma, nie należy przeszkadzać im w pracy. Najbardziej odpowiednim miejscem wydawało się biuro Keitha ale... ale... czy naprawdę chciałby z nią być sam na sam? Chryste, co za idiotyzm.

- Jestem w „Przelocie” na obiedzie. Czy mogłabyś przynieść raport tutaj?

- Jasne. Już lecę. Bez odbioru.

Lansing pociągnął łyk wina. Może to był błąd. Może ludzie mylnie zinterpretują to spotkanie i powiedzą Clarissie, że miał randkę z Lianną? Może...

Lianna podeszła do stolika eskortowana przez robota. Ha, przybyła tak szybko - zupełnie jakby z góry wiedziała, gdzie go szukać, jakby celowo chciała go zastać samego przy obiedzie... Potrząsnęła głową. Zejdź na ziemię, stary...

- Witaj Lianno. A więc masz dla mnie raport? - zagadnął.

- Otóż to.

Była ubrana w prosty, stalowoszary kombinezon roboczy. Lecz na lśniące platynowe włosy włożyła elegancką replikę staromodnej czapeczki, noszonej kiedyś przez inżynierów lotniczych. Keith już widział ją w tym nakryciu głowy: cudacznym, wytwornym i seksownym zarazem.

- To są techniki - powiedziała - które pomogą usunąć zniszczenia, dokonane przez promieniowanie. Niestety, wszystkie są czasochłonne i... Podjechał robot z zamówionym daniem.

- Kurczak na wolnym ogniu - zauważyła rozbawiona Lianna. - Mam o tym jako takie pojęcie. Pozwól, że kiedyś przyrządzę go dla ciebie.

Keith sięgnął po wino, chociaż... lepiej nie. Chwycił serwetkę, zrzucając widelec na podłogę. Schylił się, by go podnieść - podziwiając przy okazji pod stołem kształtne nogi Lianny.

- Hm, dziękuję - mruknął, już wyprostowany. - To miło z twojej strony. - Postawił na środku parującą tacę. - Może... może się poczęstujesz?

- O, nie, dziękuję - ze śmiechem poklepała dłonią płaski brzuch, a przyciśnięty materiał kombinezonu podkreślił zarys jej piersi - Zjem później jakąś sałatkę. Muszę dbać o figurę.

Nie ma potrzeby - pomyślał Keith. - *Chętnie bym cię wyręczył...* - Więc problem z radiacją? - rzekł głośno.

Skinęła głową.

- Właśnie. Cóż, tak jak mówiłam, można ją zneutralizować, lecz trochę to potrwa i nie obejdzie się bez kilku tygodni pobytu w oczyszczalni.

- Tygodni! - parsknął Lansing. - Nie możemy sobie na to pozwolić. - Oczywiście. Lecz to nasunęło mi pewne rozwiązanie. - Którym jest...? - „Starplex2”.

Dyrektor zmarszczył brwi. *Starplex* został zbudowany w orbitalnych stocznich Rehbollo, a jego bliźniak - roboczo nazwany prozaicznie: „Starplex 2”, choć z chwilą ukończenia miał otrzymać oficjalną nazwę - obecnie montowany, miał być gotów do końca roku. Budowano go na Flatland. Naturalnie, jedna planeta nie mogłaby zrealizować dwóch równie pilnych kontraktów. - Na jakim jest etapie?

- Nie jest jeszcze gotów do wystrzelenia, lub prościej: jeszcze nie został złożony. Lecz budowany jest z identycznych elementów, jak „Starplex 1”. Zgodnie z ostatnim raportem, który otrzymałam, pięć z ośmiu modułów mieszkalnych jest ukończonych. Możemy przeskoczyć transferem do stoczni Flatland, odłączyć dolną część stacji i zamienić ją na już zmontowany zespół czteromodułowy, przygotowany dla „Starplex 2”. Pozostawione przez nas moduły zostaną poddane sterylizacji. Dysk Centralny „Starplex 2” nie będzie gotów do użytku jeszcze przez co najmniej dwa miesiące - cztery generatory hipernapędu trzeba dokładnie przetestować, zanim będzie można zbudować wokół nich torus inżynierski. To wystarczająco dużo czasu na oczyszczenie napromieniowanych elementów. Kiedy nadejdzie pora, nasze stare dobre moduły zostaną wkomponowane w nowy statek. Oczywiście pozostawione w apartamentach wyposażenie i wszystkie nasze prywatne zbiory należy również odkazić, lecz przynajmniej będziemy mieli więcej miejsca dla przeniesionych w kwaterach i laboratoriach.

Keith z entuzjazmem skinął głową.

- Genialne! Ile trzeba na to czasu?

- Specjaliści od sieci zasilania, kierującej odłączaniem i przyłączaniem fragmentów bazy, zgłoszą się za trzy dni, ale wpadłam na lepszy sposób, nie wymagający redukcji zasilania. Potrzeba mi piętnastu godzin, o ile wtedy na dolnych poziomach nie będą akurat potrzebne kombinezony przeciw promienne. W tym przypadku osiemnastogodzinny limit powinien wystarczyć.

- Wspaniale. A co z dolną częścią głównego rdzenia i naszym dyskiem centralnym?

- Oczyszczyliśmy już trzy czwarte rdzenia. „Oczyszczyliśmy” to złe słowo, nie potrafiliśmy całkowicie unieszkodliwić radiacji. Dzięki Bogu mam nanotechy,

neutralizujące dodatkowe pola siłowe systemów wewnętrznych. A propos dysku centralnego - musimy całkowicie wymienić wodę na pokładzie oceanicznym.

W dodatku zwykła woda nie wchodzi w grę. Aby zachować ekosystem, woda morska musi zawierać sole mineralne, kolonie planktonu i, o ile to możliwe, ławice ryb. Poza tym chciałabym wymienić powietrze w całej bazie ze względu na nasze bezpieczeństwo. Śluz nie stanowi problemu - są dostatecznie opancerzone. Co do ciągu inżynierskiego: zawsze jest chroniony od nadmiaru promieniowania.

Keith znów musiał przyznać jej rację.

- Jak długo jeszcze możemy bezpiecznie przechodzić przez skrót?

- Do jutra, po południu... a może wcześniej. Weź pod uwagę tunel, otwarty zniechęca pomiędzy skrótem a zieloną gwiazdą. Jeżeli stać nas na ryzyko i utratę co najmniej sześciu watsonów ot, tak sobie, na próbę - powinniśmy rzucić słówko o naszych zamiarach współpracownikom z Flatland, którzy w każdej chwili są gotowi do naszego następnego odlotu.

- Dobra robota, Lianno - zerknął na nią spod oka.

Odpowiedziała uśmiechem. Pięknym, ciepłym, mądrym uśmiechem...

Keith w duchu dałby sobie w pysk za to, że zapomina o taktycznych powodach, które uzasadniały jej obecność na pokładzie *Starplex*. Lianna Karendaughter była najlepszym inżynierem pokładowym, jaki tylko mógł się trafić...

Thor przeprowadził *Starplex* przez skrót. Wskoczyli na peryferiach systemu Monotonii. Na nieboskłonie dominowały Obłoki Magellana. Żużelek - słońce systemu, było gwiazdą klasy F, a sama Monotonia - gładką kulą, obracającą się w bieli obłoków.

Ibowie nie mogli pracować przy 0-g. Keith obserwował przez okna tysiące Ibów, okrążających *Starplex* jak drużyna hokejowa w roboczych uniformach, całkiem przezroczystych, jeśli nie liczyć umieszczonych po stronie brzusznej płytek atygrawu. Podczas pracy Ibów ani jedna sekunda nie mogła pójść na marne. Zamontowano nowe moduły mieszkalne, od czterdziestego pierwszego do siedemdziesiątego pokładu. Keith mógł teraz bezpiecznie wypuścić jajowatą kapsułę, z której Lianna miała dyrygować pracami wewnętrznymi. Jedyne zgrzyt miał miejsce, gdy napełniany pokład oceaniczny zatkał się, a słona woda strzeliła w przestrzeń kosmiczną i zamarzała, tworząc drobne, podobne do diamentów kryształki, lśniące w rażących promieniach słońca Monotonii.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem *Starplex* - teraz hybryda „Starplexu” 1 i 2 - powrócił przez skrót na dawne miejsce.

Keitha bardziej cieszyła sama naprawa, niż z fakt, że górne pokłady nie będą już zatłoczone. Przedstawiono plan przedsięwzięcia członkom wszystkich ras. Może teraz, gdy miejsca jest w bród, pokój znów zagości na pokładzie *Starplex*. Podczas pobytu w stocznjach Rehbollo przybyło pięciu nowych członków załogi: jeden Ib, dwóch Waldahudenów - specjalistów od ciemnej materii, oraz delfin i człowiek - eksperci od gwiazdnej ewolucji. Wszyscy zapoznali się ze streszczeniem raportów *Starplex* i natychmiast ruszyli przez skrót na spotkanie stacji do Monotonii. Lianna dotrzymała słowa. Zakończyła renowację w niecałe osiemnaście godzin. Thor przeprowadził bazę przez portal i z powrotem wynurzyli się w sąsiedztwie skupiska ciemnej materii i zagadkowej zielonej gwiazdy.

XI

Projektanci *Starplex* planowali biuro dyrektora w pomieszczeniu przyległym do mostka, lecz Keith nalegał, by to zmienić. Dowódca powinien być widoczny dla całej załogi, a nie zamknięty w ciasnym pokoiku. Przygotowano obszerny czworokątny pokój, cztery metry na cztery, na czternastym pokładzie, mniej więcej pośrodku trójkątnego segmentu modułu drugiego. Przez oszkloną ścianę mógł widzieć moduł trzeci, a także dziewięćdziesięciostopniowy fragment miedzianej powierzchni centralnego dysku, szesnaście pięter niżej. Tą część statku oznaczono nazwą *Starplex* napisaną waldahudeńskim pismem klinowym.

Keith siedział za długim, prostokątnym biurkiem z autentycznego mahoniu. Na blacie stały hologramy w ramkach. Jeden przedstawiał Rissę w egzotycznej hiszpańskiej kreacji tanecznej, drugi uwieczniał Saula, w bluzie Harvardu, z dziwaczną kozią bródką, tak modną wśród młodych ludzi. Na następnym widniał model *Starplex* w skali 1:600. Za biurkiem, pod ścianą, stał kredens, a w nim gablota z globusami Ziemi, Rehbollo i Monotonii, oraz zabytkowa plansza do gry w go z jasnymi i ciemnymi pionami, wykonanymi z polerowanej masy perłowej i gładzonego łupku. Nad kredensem wisiała oprawiona reprodukcja obrazu Emily Carr, przedstawiająca totem Haida, postawiony w leśnych ostępach na jednej z wysp Archipelagu Królowej Chorlotty. Rozłożyste, zasadzone w donicach rośliny ustawiono po obydwu stronach oszklonej szafy. Oprócz tego w pokoju znajdowała się leżanka, trzy funkcjonalne krzesła i stolik do kawy.

Keith zdjął buty i oparł nogi na blacie biurka. Na mostku nie wypadało mu iść w ślady Thora, lecz gdy był sam, mógł sobie pofolgować. Rozparty w czarnym fotelu, właśnie zapoznawał się z raportem Heka na temat przechwyconych sygnałów, gdy zabuczał brzęczyk u drzwi.

- Jag Kandaró em-Pelsh z tej strony - zaanonsował FANTOM.

Dyrektor westchnął, usiadł prosto i wykonał dłonią przyzwalający gest. Drzwi rozsunęły się i Jag wkroczył do środka. Po chwili nozdrza Waldahudena zafalowały i Keithowi przemknęło przez myśl, że może Jag poczuł zapach jego nóg. - Czym mogę służyć, Jag? - rzucił oficjalną formułkę. Gość dotknął regulatora na oparciu jednego z krzeseł. Mebel zmienił kształt, przystosowując się do jego sylwetki. Usiadł i

poszczekując rozpoczął swój wywód. Jednocześnie przemówił głos tłumacza.

- Poznałem wielu ciekawych bohaterów waszej, ziemskiej literatury, lecz największe wrażenie zrobił na mnie Sherlock Holmes.

Lansing ze zdumieniem uniósł brew. Miał już do czynienia z Jagiem opryskliwym, Jagiem aroganckim... Teraz miał okazję zobaczyć, kiedy główny spec od fizyki zachowuje się jak młodzik.

- A szczególnie - ciągnął Waldahuden z zapalem - podziwiam jego umiejętność zamykania w prostych sentencjach skomplikowanych procesów myślowych. Oto jedno z moich ulubionych cytowanych przez niego twierdzeń: „Prawda jest resztą, zawartą w prawdopodobieństwie tego, co może być, gdy rzeczy, które nie mogą się zdarzyć zostaną pominięte w rozważaniach”.

Keith z trudem powstrzymał uśmiech. W rzeczywistości cytaty z Conan Doyle'a brzmiały: „Odrzucmy niemożliwe, a to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdziwe”. Lecz biorąc pod uwagę, że tekst przełożono na waldahudeński i z powrotem na angielski, wersja Jaga nie była najgorsza. - I co w związku z tym? - spytał niecierpliwie.

- Moje pierwotne analizy dowodzące, że przeniesiona tutaj gwiazda czwartej generacji jest tylko efektem jakiegoś rodzaju anomalii, musiały zostać zmodyfikowane z chwilą, gdy ujrzeliśmy drugi, identyczny obiekt w okolicach Rehbollo 376A. Postępując w myśl maksymy Holmesa doszedłem do wniosku, że wiem, skąd pochodzą obydwie zielone gwiazdy, jak również ta czerwona - celowo przerwał, czekając na zachętę ze strony szefa. - No skąd? - warknął Keith zirytowany. Jag tylko na to czekał. - Z przyszłości! - wypalił.

Lansing wybuchnął sardonycznym śmiechem. Jednak chrapliwe, urywane dźwięki, jakie wydawał, zbyt przypominały szczekanie i wcale nie musiały zabrzmieć ironicznie dla uszu Waldahudena. - Z przyszłości? - zapytał z przekąsem.

- To najlepsze wytłumaczenie. Zielone gwiazdy nie mogły ewoluować we wszechświecie tak młodym jak nasz. Pojedyncze ciało niebieskie tego typu można by jeszcze uznać za wybryk natury, lecz wielokrotny zbieg okoliczności jest wysoce nieprawdopodobny. Mężczyzna z powątpiewaniem potrząsnął głową.

- Ale przecież mogą pochodzić... nie wiem - może z jakiegoś wyjątkowego

regionu kosmosu. Może znajdowały się w sąsiedztwie czarnych dziur i napięcia grawitacyjne spowodowały przyspieszenie procesów reakcji syntezy.

- Już nad tym myślałem - odparł Jag. - Otóż to. Brałem pod uwagę wszelkie możliwe scenariusze, wśród których znalazł się również ten. Lecz żaden z nich nie odpowiada faktom. Opracowuję właśnie dane radiometryczne, oparte na proporcjach izotopów w próbkach, zebranych przeze mnie i Butlo - nosa w górnych warstwach atmosfery pobliskiej zielonej gwiazdy. Wiek zawartych w nich atomów metali ciężkich wynosi dwadzieścia dwa miliardy lat. Gwiazda sama w sobie nie jest, oczywiście, tak stara, jak wiele atomów pierwiastków wchodzących w jej skład.

- Myślałem, że cała materia jest w tym samym wieku - wtrącił Keith. Jag rozłożył dolne ramiona.

- To prawda, że z wyjątkiem śladowej ilości materii powstałej bez udziału energii i z wyjątkiem prostych reakcji, gdy neutrony mogą zasadniczo przekształcać się w pary proton-elektron i na odwrót, wszystkie podstawowe cząstki we wszechświecie powstały wkrótce po wielkim wybuchu. Lecz atomy, utworzone z tych cząstek, podlegają ciągłej przemianie. Mogą powstawać lub ulegać zniszczeniu w każdej chwili, zależnie od procesów syntezy lub rozpadu.

- Masz rację - przyznał Keith z zakłopotaniem. - Przepraszam. Więc powiadasz, że atomy ciężkich metali w tej gwiazdzie uformowały się na długo przed powstaniem wszechświata?

- Właśnie. I jedynym sposobem, w jaki można by to wytłumaczyć byłby fakt, że przybyły do nas z przyszłości.

- Ale... ale twierdziłeś przecież, że te zielone słońca są miliardy lat starsze, niż jakakolwiek przeciętna gwiazda. Chcesz mi wmówić, że te obiekty cofnęły się w czasie o miliardy lat? To zakrawa na absurd. Jag poprzedził odpowiedź pogardliwym prychnięciem.

- Mentalne przeskokki w czasie powinny być możliwe szybciej, niż przerzucanie w przeszłość przedmiotów materialnych. Jeżeli przyjmiemy, że podróże w czasie w ogóle mogą mieć miejsce, będzie to tylko kwestia odpowiednio rozwiniętej technologii i dostatecznej ilości energii. Spodziewam się, że rasa, dysponująca potęgą pozwalającą ruszać z posad gwiazdy, spełniła już dawno obydwa warunki. - Myślałem, że podróże w

czasie są niemożliwe. Jag podniósł obydwie pary rąk.

- Dopóki nie odkryliśmy skrótów, błyskawiczny transport na międzygwiazdne odległości również wydawał się niemożliwy. Dopóki nie wynaleziono hipernapędu, niemożliwi; były podróże z prędkością nadświatłą. Nawet nie próbuję zgadywać, jak przebiega transfer czasowy, lecz mamy dowód, że istnieje. - Nie mamy żadnej alternatywy? - dopytywał Keith.

- Cóż, tak jak mówiłem, brałem pod uwagę wszelkie dopuszczalne możliwości. Nawet taką, że skrót działa teraz jak brama do wszechświatów równoległych, więc zielone gwiazdy przybyły raczej stamtąd, a nie z przyszłości. Jednak pomijając ich wiek, są uformowane z materii, która mogła powstać tylko w specyficznym wszechświecie, po swoim specyficznym wielkim wybuchu, pod wpływem panujących tam, specyficznych praw fizycznych.

- W porządku - przerwał mu dyrektor, podnosząc dłoń. - Lecz po co wysyłać gwiazdy z przyszłości w przeszłość?

- Nareszcie - sapnął z ulgą Waldahuden. - To pierwsze sensowne pytanie, jakie dzisiaj zadałeś.

- A jaka jest odpowiedź...? - wyszczał dyrektor przez zaciśnięte zęby. Jag wzruszył czworgiem ramion. - Nie mam pojęcia.

Schodząc na dół w półmroku zimnego korytarza, Keith doszedł do wniosku, że każda z ras na pokładzie *Starplex* odcina się od pozostałych na swój sposób.

Jedną z ulubionych metod, podkreślających, że ludzie mają obcych gdzieś, było nieustanne wymyślanie i puszczanie w obieg perfidnych słówek-skrótów, tworzonych z pierwszych liter pospolitych nazw. Przedstawiciele reszty gatunków nazywali je teraz „akronimami”, jako że tylko w ludzkim języku istniało określenie tego zjawiska. Już na etapie planowania *Starplex* wśród ziemskich specjalistów utarła się nazwa ZOO na określenie Zespołonego Obszaru Ogólnośrodowiskowego, czyli ogólnie dostępnego rejonu stacji, posiadającego warunki korzystne dla wszystkich ras.

- Ha, to faktycznie jedno wielkie cholerne ZOO - mruknął pod nosem Keith. - Jak więzienie... Wszystkie rasy mogły funkcjonować w azotowo-tlenowej atmosferze, jakkolwiek Ibowie wymagali nieco wyższej koncentracji dwutlenku węgla w mieszance oddechowej, niż ludzie. Na wspólnym terenie grawitacja nie przekraczała 0,82 wartości

ciężenia ziemskiego. Obowiązywało zatem ciśnienie waldahudeńskie, lekkie dla ludzi i delfinów, oraz wynoszące zaledwie połowę tego, do którego przywykli Ibowie. Utrzymywano wysoki poziom wilgotności również ze względu na Waldahudenów, których zaraz atakował ból głowy, jeśli powietrze było zbyt suche. Oświetlenie we wspólnych rejonach miało odcień czerwony, zbliżony do ziemskiego zachodu Słońca. Na tym obszarze światło musiało być stonowane, gdyż rodzinną planetę Ibów wiecznie spowijała gruba warstwa chmur. Tysiące komórek optycznych, rozsianych po ich siatce sensorycznej, mogły ulec zniszczeniu pod wpływem zbyt ostrego blasku.

Na tym nie koniec. Obszar Ogólnośrodowiskowy obfitował w wiele innych problemów. Keith przepuścił przejeżdżającego właśnie Iba. Gdy istota go mijała, jedna z dwóch błękitnych, luźno zwisających rurek na końcach jej pompy wyrzuciła twardą, szarą kuleczkę, która poturlała się po podłodze. Zamknięty w bąblu mózg nie sprawował świadomej kontroli nad funkcjami fizjologicznymi. Nauczenie Ibów korzystania z toalety było biologiczną niemożliwością. Na Monotonii kuleczki odchodów wyłapywali padlinożercy, rozkładając je w przewodzie pokarmowym na niezbędne Ibom składniki odżywcze. Na pokładzie *Starplex* podobną rolę spełniały miniaturowe FARTy wielkości ludzkiego buta. Właśnie jeden z nich na oczach Keitha śmignął przez korytarz, wessał granulkę i pognał wyżej.

Lansing w końcu przeszedł do porządku dziennego nad paskudzeniem przez Ibów na każdym kroku. Dzięki Bogu, ich fekalia nie cuchnęły. Jednak ani mu było w głowie przyzwyczajać się do zimna, wilgoci i innych „warunków” zgotowanych załodze przez waldahudeńskich konstruktorów...

Keith nagle zmarł. Doszedł właśnie do ukośnej przybudówki korytarza w kształcie litery T, gdy gdzieś z góry dotarły do niego odgłosy zażartej kłótni. Rozróżnił głos mężczyzny, krzyczącego coś po japońsku, i wściekłe ujadanie Waldahudena. - FANTOM - rozkazał cicho. - Przetłumacz. Nowojorski akcent:

- Jesteś słabeuszem, Teshima. Zwykłym cherlakiem. Nie zasługujesz na samicę. - Idź uprawiać seks sam ze sobą! Keith zmarszczył brwi czując, że komputer nie do końca oddał sprawiedliwość oryginalnej intencji słów Japończyka. Znów nowojorski akcent z translatora: - W mojej ojczyźnie byłbyś ostatnim, najmniej znaczącym z grona adoratorów najbrzydszej i najbardziej słabowitej kobiety... - Podaj tożsamość tych

mówców - szepnął dyrektor.

- Człowiek to Hiroyuki Teshima, biochemik - poinformował FANTOM przez implant w uchu Keitha. - Waldahuden to Gart Dagyaró em-Holf, członek ekipy inżynierskiej.

Lansing stał bez ruchu, obmyślając najlepsze rozwiązanie tej sytuacji. Obydwaj byli poważnymi naukowcami. A tu coś takiego...

Duże dzieci... Keith zdecydowanym krokiem skręcił do bocznej sekcji.

- Chłopcy - zagadnął spokojnie. - Może byście już dali sobie z tym spokój?

Waldahuden zaciskał wszystkie cztery pięści. Twarz Teshimy była purpurowa z wściekłości.

- Nie mieszaj się w to, Lansing - warknął Japończyk po angielsku.

Keith z namysłem otaksował podwładnych wzrokiem. Co począć? Nie było aresztu, żeby ich przymknąć, poza tym z jakiej racji mieli słuchać jego rozkazów w sprawie porachunków osobistych?

- Może wpadłbyś ze mną na drinka, Hiroyuki? - zaproponował w końcu. - A ty, Gart? Może sprawiłby ci przyjemność dodatkowy urlop jeszcze w tym cyklu?

- Największą przyjemność sprawiłby mi Teshima - szczechnął Waldahuden - zgnieciony w płonąca masę, pędząca w głąb czarnej dziury.

- Dajcie spokój, chłopaki - próbował dalej Keith podchodząc bliżej. - Musimy razem jakoś żyć i razem pracować.

- Powiedziałem, Lansing, nie wcinaj się - wydyszał Teshima. - To nie twój zakichany interes.

Keith poczuł, że krew go zalewa. Nie mógł ich na siłę rozdzielić, ale nie mógł też pozwolić, by ktoś wszczywał burdy na korytarzach stacji. Jeszcze raz popatrzył na obydwu awanturników: drobnego, szpakowatego człowieczka w średnim wieku i tłustego, potężnego Waldahudena porośniętego futrem o kolorze dębowego drewna. Z żadnym z nich nie łączyła go bliższa znajomość, nie wiedział więc, czym może ich ułagodzić. Do diabła, nie miał nawet pojęcia o co się tak pozarli. Już otworzył usta, by powiedzieć coś... cokolwiek, gdy kilka metrów dalej rozsunęły się drzwi i wyjrzała młoda kobieta - Cheryl Rosenberg we własnej osobie - ubrana tylko w pizamę.

- Na Świętego Piotra, będziecie wreszcie cicho? Jest noc, przynajmniej dla

niektórych z nas!

Teshima spojrział na dziewczynę, wykonał lekki ukłon i zaczął się oddalać. Również Gart, w którego naturze leżał szacunek do istot rodzaju żeńskiego, również skłonił się krótko i odszedł w przeciwnym kierunku. Cheryl ziewnęła, cofnęła głowę i zasunęła drzwi.

Został tylko Keith. Stał, patrząc na plecy zdążającego w dół korytarza Waldahudena wściekły, że nie był w stanie opanować sytuacji. Potarł skronie. Wszyscy jesteście niewolnikami biologii, pomyślał smętnie. Teshima, nie potrafiący odmówić prośbie pięknej dziewczyny... Gart, niezdolny do nieposłuszeństwa wobec kobiecego rozkazu...

Gdy Gart zniknął z pola widzenia, Lansing ruszył w dół zimnego, wilgotnego holu. Czasami, stwierdził z goryczą, nic nie wskazywało na to, że jest tu dowódcą...

Rissa siedziała przy biurku, wykonując tę część swojej pracy, której nienawidziła najbardziej - obowiązki administracyjne, brzemień wciąż zwane „papierkową robotą”, choć ani słowo z tego nie było drukowane. Zabuczał brzęczyk i FANTOM oznajmił: - Drezynka z tej strony.

Rissa odłożyła swój stylograf i poprawiła włosy. Zreflektowała się, że to śmieszne - dbać o stan fryzury przed spotkaniem z kimś, kto nawet nie jest człowiekiem. - Wpuść ją - poleciła.

Ib wjechał do środka. FANTOM zdalnie odsunął krzesła pod ścianę, by zrobić dla niej miejsce.

- Wybacz, że śmiem ci przeszkadzać, dobra Rissa - rzekł głęboki głos z oksfordzkim akcentem. Kobieta roześmiała się.

- Ależ nie przeszkadzasz ani trochę, możesz mi wierzyć. Każda chwila przerwy jest dla mnie wytchnieniem.

Płaszcz sensoryczny Drezynki uniósł się jak żagiel statku, aby mogła zerknąć na pulpit. - Papierkowa robota - stwierdziła. - Wygląda na nudną.

- Otóż to - potwierdziła Rissa z uśmiechem. - Lecz co mogę dla ciebie zrobić?

Nastąpiła niezwykła jak na Iba chwila milczenia. Wreszcie Drezynka odezwała się. - Przyszłam, aby dać ogłoszenie. Kobieta zatrzymała na niej roztargniony wzrok. - Ogłoszenie? - spytała zdumiona. Światelka zatańczyły na rozpostartej siatce.

- Z góry przepraszam, jeśli nie dobrałam odpowiedniego określenia. Chciałam oznajmić, z wielkim żalem, że nie będę w stanie dłużej tu pracować wydajnie zwłaszcza przez najbliższe pięć dni i później. Rissa uniosła brwi. - Opuuszczasz nas? Rezygnujesz? Krótka seria błysków. - Tak.

- Ale Dlaczego? Myślałam, że fascynuje cię przedmiot naszych badań. Lecz jeśli chciałabyś zająć się czymś innym...

- Nie o to chodzi, dobra Rissa. Badania są fascynujące i wartościowe, sprawiłaś mi zaszczyt, pozwalając na mój skromny w nich udział. Jednak przez pięć dni inne zobowiązania muszą mieć pierwszeństwo. - Jakie inne zobowiązania? - Muszę spłacić dług. - Wobec kogo?

- Wobec pozostałych zintegrowanych bioistnień. W ciągu pięciu dni muszę odejść. - Gdzie chcesz odejść? - Nie, nie odejść. Odejść. Rissa westchnęła i spojrzała na sufit.

- FANTOM, czy jesteś pewien, że prawidłowo przetłumaczyłeś słowa Drezyнки? - Tak jest, proszę pani - odparł FANTOM przez implant.

- Drezyńko, wybacz, lecz nie pojmuję różnicy, jaką robisz pomiędzy „odejść” i „odejść”.

- Nie odchodzę gdzieś w sensie fizycznym - wyjaśnił Ib. - Odchodzę na tamten świat. Odchodzę umrzeć. - Mój Boże! - przeraziła się Rissa. - Jesteś chora? - Nie.

- Ależ jeszcze nie osiągnęłaś odpowiedniego wieku, żeby umrzeć! Mówiłaś przecież, że czas życia Iba wynosi dokładnie sześćset czterdzieści jeden lat. A ty masz niewiele ponad sześćset.

Światelka na płaszczu Drezyнки przybrały łososiowy kolor, lecz jakiegokolwiek uczucie to wyrażało, najwyraźniej nie posiadało ziemskiego odpowiednika. Było niezrozumiałe, dopóki FANTOM nie poprzedził wtrąconym komentarzem przekładu jej następnych słów.

- Mam sześćset pięć lat, licząc według ziemskiego kalendarza. Mój okres życiowy musi być zakończony po piętnastu szesnastych normalnego cyklu. - Dlaczego?

- Przez popełnione w młodości przestępstwo zostałam pozbawiona za karę jednej szesnastej mego cyklu życiowego. W przyszłym tygodniu muszę być unicestwiona.

Rissa patrzyła na nią osłupiała, nie mogąc znaleźć słów. W końcu powtórzyła

tylko cicho słowo „unicestwiona”, jakby liczyła na błąd w przekładzie tłumacza.

- To odpowiednie słowo, dobra Rissa - pospieszyła z zapewnieniem Drezynka.

Kobieta znów zamilkła na dłuższy czas. - Jaką zbrodnię popełniłaś? - zapytała wreszcie.

- Opowiadanie o tym to dla mnie wielki wstyd - wyznała Drezynka.

Rissa nie nalegała, mając nadzieję, że Ib powie coś więcej. Lecz tak się nie stało.

- Właśnie tobie powierzyłam moje najbardziej osobiste wyznania, dotyczące mnie i mojego małżeństwa - przypomniała łagodnie. - Jestem twoją przyjaciółką, Drezynko.

Cisza. Może Ib toczył własną, wewnętrzną walkę. I przyjaźń zwyciężyła.

- Gdy byłam trzeciorzędną nowicjuską - zajmowałam stanowisko zbliżone do pozycji absolwenta studiów u was - podałam nieprawdziwe rezultaty w raporcie z prowadzonego przeze mnie eksperymentu.

- Wszyscy popełniamy błędy, Drezynko - wtrąciła zaskoczona Rissa. - Nie mogę uwierzyć, że ukarali cię za to tak surowo.

Świąteczka Iba zamigotały w chaotycznej sekwencji. Prawdopodobnie były wyrazem konsternacji, gdyż FANTOM nie przeprowadził tłumaczenia. Odezwał się dopiero później:

- Wyniki nie były błędne przez przypadek - siatka sensoryczna na kilka sekund pociemniała. - Ja celowo sfalszowałam dane.

- Ach... - wykrztusiła Clarissa, próbując utrzymać emocje na wodzy.

- Nie sądziłam, aby eksperyment miał wielkie znaczenie - mówiła dalej Drezynka - i wiedziałam... myślałam, że wiem, jakie powinny być rezultaty. Gdy wracam do tego pamięcią, zdaję sobie sprawę, że wiedziałam tylko, jakimi chciałam je widzieć. -

Świąteczka zgasty, przerwa. - W każdym razie inne badania opierały się na moich wynikach. Zmarnowano wiele czasu. - I dlatego zamierzają dokonać na tobie egzekucji?! Wszystkie sensory rozbłysły na raz, wyrażając absolutny szok.

- To nie jest doraźna egzekucja, Rissa. Na Monotonii istnieją tylko dwie główne zbrodnie: uśmiercenie bąbla i połączenie się z więcej niż siedmioma komponentami. Cykl mojego życia został po prostu skrócony.

- Jednak... jeśli teraz masz sześćset pięć lat, jak dawno temu popełniłaś przestępstwo? - Zrobiłam to, gdy miałam dwadzieścia cztery lata. - FANTOM, który rok był wtedy na Ziemi? - A.D. 1511, proszę pani. Dobry Boże! - wykrzyknęła Rissa. -

Drezyńko, z pewnością nie mogą cię ukarać za błahę przewinienie, popełnione tak dawno temu. - Upływ czasu nie zmienia faktu, że to zrobiłam.

- Lecz dopóki przebywasz na pokładzie *Starplex*, chroni cię Statut Wspólnoty.

Możesz poprosić o azyl. Damy ci adwokata.

- Rissa, twoja troska mnie wzrusza. Lecz jestem gotowa spłacić mój dług.

- Ale to było tak dawno temu... Może już wszyscy o tym zapomnieli?

- Ibowie nie potrafią zapominać, przecież wiesz. Jako, że matryce naszego mózgu w bąblu formują się i nawarstwiają w stałej proporcji, wszyscy mamy pamięć absolutną. Lecz nawet gdyby moi współplemieńcy umieli zapominać, byłoby to bez znaczenia. Jestem związana słowem honoru. - Dlaczego nie wspominałaś o tym wcześniej?

- Moja kara nie wymaga publicznego rozgłosu. Zezwolono mi żyć bez piętna nieustannego wstydu. Jednak przepracowany tutaj przeze mnie okres czasu pozwala na poinformowanie was wszystkich w ciągu pięciu dni, że zamierzam odejść. Tak oto teraz, po raz pierwszy od pięciuset osiemdziesięciu jeden lat opowiadam komuś o mojej zbrodni - przygasała na chwilę. - Jeśli pozwolisz, poświęcę ostatnie dni mojego życia na uporządkowanie wyników naszego eksperymentu tak, abyś, wraz z innymi, mogła kontynuować go bez zbędnych trudności. Rissa czuła jeden wielki zawrót głowy.

- No cóż... tak - rzekła z wysiłkiem. - Chyba tak będzie najlepiej.

- Dziękuję. - Drezyńka obróciła się i ruszyła w kierunku drzwi, lecz wcześniej jeszcze raz błysnęła feerią światełek. - Byłaś cudowną przyjaciółką, Rissa.

Ib wyjechał z pokoju przez rozsunięte drzwi, a osłupiała Clarissa osunęła się na fotel.

XII

Rissa weszła na mostek, pragnąc omówić z Keithem oświadczenie Drezyńki. Lecz akurat w chwili, gdy skierowała się w stronę jego stanowiska, przemówił Rombus.

- Keith, Jag, Rissa - rozległ się chłodny, rzeczowy głos translatora. - Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, ale według mnie powinniście to zobaczyć. - Mianowicie co? - zapytał Keith.

Rissa usiadła na swoim miejscu, a macki Iba stukały już w przyciski konsoli. Wyodrębniony fragment holograficznej bańki został obramowany na niebiesko.

- Obawiam się, że nie zwróciłem wcześniej wystarczającej uwagi na czas rzeczywisty projekcji - usprawiedliwił się Rombus - lecz właśnie analizowałem dane, które zgromadziliśmy i... sami zobaczcie. Oto tysiąckrotnie przyspieszona projekcja. To, co ujrzycie przez najbliższe pięć minut zawiera prawie cały materiał, zarejestrowany przez kamery stacji od chwili naszego przybycia.

W centrum obramowanego obszaru znajdowała się kula ciemnej materii, filmowana od strony równika. W rzeczywistości nie tworzyła idealnej sfery: była spłaszczona na biegunach. Poziome, ciemne i jasne pasma chmur przecinały tło powierzchni. W oparciu o pomiary skali, mieli przed sobą jedną z największych odkrytych kul, o średnicy 170 000 kilometrów.

- Zaczekaj chwilę - polecił Keith. - Mimo, że ten obiekt posiada warstwę chmur, wygląda jakby wcale nie wirował. Siatka Rombusa zamigotała.

- Mam nadzieję, że prawda nie wprawi cię w zakłopotanie, Keith, lecz ta kula faktycznie wiruje i to szybciej, niż jakikolwiek poznany przez nas glob. Wykonuje pełny obrót wokół swej osi w dwie godziny i szesnaście minut, czyli kręci się pięć razy szybciej od Jowisza. Prędkość jest tak wielka, że uniemożliwia normalną turbulencję chmur. Na przyspieszonej projekcji przed tobą jeden obrót trwa osiem sekund. - Ib rozwiniętą macką dotknął przycisku. - Teraz pozwól, że użyję komputera, by umieścić punkt orientacyjny na równiku. Widzisz tę pomarańczowa kropkę? Jest na zerowym stopniu długości.

Pomarańczowa plamka, sunąca dookoła po równiku, znikła z tyłu, pojawiła się z drugiej strony dokładnie po czterech sekundach i jeszcze raz przebyła widoczną półkulę. Wykonała kilka pełnych okrążeń, gdy wtrącił się Jag.

- Czy jeszcze bardziej przyspieszasz odtwarzanie? - zaszczekał do Iba.

- Nie, dobry Jagu - odparł Rombus. - Przyspieszenie jest wciąż takie samo. Jag oskarżycielsko wskazał na wyświetlacze zegarów.

- Ale tym razem pełne okrążenie zabrało tej twojej kropce tylko siedem sekund.

- Istotnie - potwierdził Rombus. - Rzeczywista częstotliwość obrotów sfery wzrasta.

- Jak to możliwe? - zdumiał się Keith. - Czy oddziałują na nią inne kule?

- No cóż... tak, wszystkie pozostałe obiekty mają na to pewien wpływ, lecz nie są przyczyną obserwowanego przez nas zjawiska - odparł Ib. - Przyspieszenie obrotów jest

wytwarzane od środka.

Waldahuden pochylił się nad konsolą, wprowadzając szybkie modele symulacji komputerowych.

- Ty nie możesz przyspieszyć jazdy, dopóki twoja pompa nie dostarczy organizmowi energii. Wewnątrz sfery muszą zachodzić pewne złożone reakcje, wspomagane ewentualnie przez jakieś źródło zewnętrzne, a także... - spojrział w górę i wydał krótki skowyt, co FANTOM przetłumaczył jako „okazanie zadziwienia”.

Kula ciemnej materii, zamknięta w strefie obramowanej niebieską linią, zaczęła się zwięzać w okolicach równika. Połowy północna i południowa nie były już doskonałymi półkulami. Pomarańczowy punkt śmigał wokół coraz węższej „talii” jeszcze szybciej, niż poprzednio.

W miarę jak rosły obroty, obwód równika malał coraz bardziej. Wkrótce profil obiektu przybrał kształt ósemki.

Rissa skoczyła na nogi i stała, jak zahipnotyzowana, z otwartymi ustami.

Równik skurczył się tak bardzo, że pomarańczowa kropka zakrywała niemal jedną czwartą jego szerokości. Rombus nacisnął odpowiednie kontrolki i punkt zniknął, zastąpiony przez oddzielne plamki świetlne na równikach dwóch spojonych sfer. Obraz w oznaczonej strefie pociemniał.

- Wybaczcie - uprzedził Rombus. - Inna kula ciemnej materii weszła w pole widzenia kamery. Przy tej szybkości projekcji odsłoni nam widok za czternaście sekund. Pozwólcie, że to przeskoczę.

Macki powędrowały do przycisków na pulpicie OpZ. Gdy obraz powrócił, dwie kule stykały się już tylko jedną dziesiątą równika pierwotnego globu. Ciszę mącił jedynie monotony szum wentylatorów. Wszyscy obserwowali z zapartym tchem, jak proces zmierza do nieuchronnego końca. Wreszcie kule rozdzieliły się. Jedna pomknęła w dół oznaczonego na niebiesko obszaru, druga poszybowała w górę. W miarę jak oddalały się od siebie, pomarańczowe plamki na ich równikach potrzebowały coraz więcej czasu na pełne okrążenie. Prędkość obrotów malała.

Rissa, z rozszerzonymi z wrażenia oczami, zwróciła się do męża.

- Zachowują się jak komórki - zauważyła. - Komórki przechodzące mitozę.

- Właśnie - wyręczył Keitha Rombus. - Tylko że komórka macierzysta ma około

stu siedemnastu tysięcy kilometrów średnicy. Tak przynajmniej było, zanim zaczął się podział. Keith odchrząknął.

- Moi drodzy, wybaczcie - rzekł - ale czy próbujecie mi wmówić, że to coś tutaj jest żywe? Że są to żyjące komórki?

- Zapoznałam się z nagraniami, zarejestrowanymi przez atmosferyczną sondę Jaga - odparła Rissa. - Pamiętacie ten dziwaczny obiekt, który sfilmowała, gdy przemknął przez atmosferę? Łudziłam się, że może to być samodzielna forma życia, jakaś baloniasta istota, dryfująca wśród obłoków. W latach sześćdziesiątych XX wieku ziemscy uczeni wysunęli hipotezę istnienia takich form żywych na Jowiszu. Lecz widziana nas bańka mogła być po prostu jedną z organelli - swobodnych komponentów, wchodzących w skład większych komórek.

- Żywe istoty - mruknął Keith z niedowierzaniem. - Żywe istoty o średnicy prawie dwóch tysięcy kilometrów? W głosie Rissy przebijała zgroza.

- Być może. W takim przypadku byliśmy po prostu świadkami reprodukcji jednej z nich.

- Nieprawdopodobne - jej mąż zdecydowanie potrząsnął głową. - Przypominam, że mówimy tu nie tylko o monstrualnych istotach. Nie tylko o formach życia bytujących swobodnie w otwartej przestrzeni kosmicznej. Mówimy o tworach żywych, zbudowanych z ciemnej materii. - Obrócił się w lewo. - Jag, czy w ogóle byłoby to możliwe?

- Możliwe, czy ciemna materia, lub pewna jej ilość, była żywa? - Waldahuden wzruszył czworgiem ramion. - Wiele faktów z naszej nauki i filozofii utwierdza nas w przekonaniu, że kosmos powinien tętnić życiem. A przecież, jak do tej pory, znaleźliśmy zaledwie trzy zamieszkałe planety. Może szukaliśmy w nieodpowiednich miejscach. Ani ja ani doktor Delacorte nie poznaliśmy jeszcze dobrze przemian metachemicznych ciemnej materii, lecz w tych sferach występuje wiele związków złożonych.

Keith rozłożył ramiona w niemym błaganiu o krztynę rozsądku, przesuując wzrokiem po twarzach kolegów w oczekiwaniu, że znajdzie wśród nich bratnią duszę, równie zagubioną jak on.

Wtedy błysnęła mu niesamowita myśl, usuwająca w cień dotychczasowe przypuszczenia. Natychmiast znalazł się z powrotem w fotelu przy swoim stanowisku. Wcisnął kontrolkę łączności ogólnej, szukając połączenia na głównym kanale. - Lansing

do Heka - rzucił w eter.

Hologram głowy Waldahudena pojawił się na drugim, obramowanym wycinku gwiazdnej przestrzeni. - Tu Hek. Odbiór. - Udało ci się już zlokalizować źródło transmisji radiowej?

Keith wyobraził sobie jak dolna para rąk Waldahudena wykonuje przeczący gest poza polem widzenia kamery, zanim usłyszał odpowiedź. - Jeszcze nic.

- Mówiłeś, że na około dwustu odrębnych częstotliwościach wykryłeś najwyraźniej inteligentne sygnały. - To prawda - Na ilu? Ile ich jest dokładnie?

Głowa Heka obróciła się w kierunku niewidocznego monitora, ukazując profil jego wyrazistej mordy.

- Dwieście siedemnaście - wyszczezał - aczkolwiek niektóre wykazują większą aktywność, niż pozostałe.

- A mamy tutaj akurat... - wyrzekł Keith powoli - dokładnie dwieście siedemnaście obiektów wielkości Jowisza... - urwał, nie dopuszczając do siebie niesamowitego przypuszczenia. - Oczywiście gazowe giganty, takie jak Jowisz, często są źródłem emisji fal radiowych - dorzucił z pozorną swobodą.

- Ale te globy są zbudowane z ciemnej materii - wtrąciła Lianna. - Są elektrycznie obojętne.

- To nie jest czysta ciemna materia - zaproponował Jag. - Te obiekty są przesiąknięte drobinami zwykłej materii. Ciemna materia może oddziaływać z protonami zwykłej materii przez silne oddziaływanie jądrowe i dzięki temu wytwarzać pole elektromagnetyczne. Hek podniósł nad głowę górne ramiona.

- To bardzo możliwe - potwierdził. - Lecz każda sfera emituje sygnały na swojej własnej, odrębnej częstotliwości. Zupełnie jak... - głos z brooklyńskim akcentem nagle zamarł. Keith i Rissa spojrzeli po sobie, owładnięci tą samą myślą.

- Zupełnie jak chór różnych głosów - dokończył za Waldahudena Keith.

- Z tym, że teraz mamy dwieście osiemnaście obiektów, a nie dwieście siedemnaście - zauważył Thor, odwracając się do nich w obrotowym fotelu. Lansing przytaknął.

- Hek, zrób następny rejestr sygnałów - polecił. - Sprawdź, czy pojawiła się jakaś nowa transmisja na paśmie tuż powyżej lub tuż poniżej skali zarejestrowanych przez

ciebie, aktywnych częstotliwości.

Hek pochylił głowę, regulując przyrządy na pierwszym pokładzie.

- Chwileczkę... - mamrotał. - Jeszcze chwileczkę... - I nagle wrzasnął: - O, bogowie bagien i księżyców! Jest! Tak! Jest tutaj! Keith odwrócił się do Rissy i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ciekaw jestem, jakie będą pierwsze słowa dzidziusia?

EPSILON DRACONIS

Keith nie widział, jak Szklisty wszedł z powrotem do śluzy, lecz gdy podniósł wzrok, obcy już tam był i zmierzał w jego kierunku. Przezroczyście nogi niosły go przez trawiastą łąkę i poletka czterolistnej koniczyny. Jego chód był płynny, piękny, sprawiał wrażenie jakby przybysz poruszał się w zwolnionym tempie. Delikatny odcień akwamaryny - subtelny siad barwy w jego przejrzystym ciele - przyciągał wzrok.

Keith w pierwszej chwili chciał wstać, lecz zamiast tego po prostu spojrzał w górę na jajowatą głowę i całą, prześwieconą słońcem sylwetkę. - Witaj z powrotem - rzucił z przekąsem. Szklisty ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Wiem, wiem. Jesteś pełen obaw. Dobrze to ukrywasz, lecz wciąż się zastanawiasz, jak długo będę cię tu trzymał. To nie zajmie dużo czasu, obiecuję. Jednak jest coś jeszcze, co chciałbym z tobą przeanalizować, zanim odejdziesz.

Keith uniósł brwi. Szklisty usiadł, wsparty plecami o najbliższe drzewo. Z czego było zbudowane jego ciało? Z pewnością nie ze szkła. Cylindryczny korpus nie powiększał deseni kory na pniu, o który się opierał. Ich linie były raczej lekko rozmyte. - Jesteś zły - stwierdził krótko Szklisty. Mężczyzna przecząco pokręcił głową.

- Nie, nie jestem. Jak do tej pory traktowałeś mnie całkiem dobrze. Dźwięczny śmiech. - Och, nie chciałem powiedzieć, że jesteś zły na mnie. Ty przez cały czas czujesz złość. Jest coś, co nosisz w sobie, bardzo głęboko. Coś, od czego stwardniało twoje serce. Lansing odwrócił wzrok.

- Mam rację, prawda? - spytał obcy. - Jest coś, co od dawna nie daje ci spokoju. Brak odpowiedzi.

- Proszę - nalegał Szklisty. - Podziel się ze mną swym bólem.

- To było dawno temu - rzekł cicho Keith. - Ja... powinienem już dawno

powiedzieć sobie: „było - minęło”, wiem, ale...

- Ale to wciąż pali, prawda? Co się stało? Co cię tak zmieniło?

Człowiek westchnął i potoczył dookoła smętnym spojrzeniem. Ta okolica, tak piękna, tak spokojna... Nie pamiętał, kiedy ostatni raz siedział na łące wśród drzew i beztrudnie napawał się urokiem krajobrazu, po prostu... zwyczajnie odprężony.

- Stało się to z chwilą śmierci Saula Ben-Abrahama - wyszeptał.

- Z chwilą śmierci... - powtórzył Szklisty, takim samym tonem, jak wtedy, gdy Keith użył nieznanego słowa „donkiszoteria”. Potrząsnął przejrzystą głową. - Ile miał lat, gdy umarł?

- To było osiemnaście lat temu. Powinien mieć mniej więcej dwadzieścia siedem.

- Mgnienie oka - westchnął przybysz.

Na moment zaległa między nimi cisza. Mężczyzna przywołał w pamięci uczucie, jakie go ogarnęło, gdy Szklisty w podobny sposób określił dwadzieścia lat jego małżeństwa. Lecz tym razem obcy miał rację. Keith przytaknął. - Jak zginął Saul? - zapytał przybysz.

- To był... wypadek. Przynajmniej tak orzeczono. Lecz mimo to, zawsze podejrzewałem, że ta sprawa nigdy nie ujrzała światła dziennego. Rozumiesz: „ściśle tajne”. Saul i ja mieszkaliśmy na Tau Ceti IV. On był astronomem, Ja - socjologiem prowadzącym po doktoranckie badania stosunków wśród tamtejszej społeczności kolonistów. Byliśmy przyjaciółmi od szczenięcych lat. Potem dzieliliśmy ten sam pokój na uniwersytecie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego: obydwaj lubiliśmy piłkę ręczną i grę w go, obydwaj należeliśmy do studenckiego kółka teatralnego, obydwaj mieliśmy te same gusta muzyczne... Tak czy owak Saul odkrył w Tau Ceti skrót i wysłaliśmy pierwszą sondę, czyniąc z niego Pierwszą Bramę. Nowy Pekin był wtedy kolonią typowo rolniczą, a nie międzyplanetarną metropolią, jak teraz. Oczywiście kolonii nie nazywano jeszcze „Nowy Pekin”, znano ją po prostu jako „kolonię na Sylwanusie”, ponieważ założono ją właśnie na Sylwanusie, czwartej planecie systemu Tau Ceti. W każdym razie socjologów było tam jak na lekarstwo, więc wyłaziłem ze skóry, próbując stworzyć wiarygodny obraz skutków wpływu komunikacji „skrótowej” na ludzką kulturę. I nagle wystrzelił ze skrótów statek Waldahudenów. Delegacja do pierwszego kontaktu musiała być zebrana natychmiast. Specjaliści z Ziemi, nawet dysponując hipernapędem, potrzebowali co

najmniej sześciu miesięcy, aby przybyć na miejsce. Saul i ja stanowiliśmy część składu ekipy, która wyruszyła na spotkanie obcego statku, i... - Głos Keitha załamał się. On sam zamknął oczy i rozpaczliwie potrząsnął głową - Tak? - ponaglił łagodnie Szklisty.

- Twierdzili, że to był wypadek. Powiedzieli, że byli zdezorientowani. Kiedy po raz pierwszy stanęliśmy oko w oko z Waldahudenami, Saul wziął ze sobą holograficzną kamerę. Oczywiście nie celował ostentacyjnie obiektywem w te świnie - nikt nie byłby takim idiotą. Po prostu miał ją pod ręką i w odpowiedniej chwili jednym ruchem kciuka uruchomił mechanizm... - Lansing wydał przeciągłe, bolesne westchnienie. - Później oświadczyli, że kamera wyglądała jak tradycyjna waldahudeńska broń ręczna. Miała podobny kształt. Uznali, że Saul odbezpiecza miotacz, aby ich zastrzelić. Jeden z wieprzy był uzbrojony i strzelił do Saula. Trafił prosto w twarz. Jego głowa eksplodowała tuż obok mojej. Byłem cały zbрызganý jego... jego... - Keith odwrócił oczy i zamilkł na dłuższy czas. - Zamordowali go. Zamordowali mojego najlepszego przyjaciela. - Wbił wzrok w ziemię i wyrwał kępkę czterolistnej koniczyny. Popatrzył na nią z ironią i odrzucił jak najdalej od siebie.

Nie odzywali się do siebie przez kilka minut. Słyszeć było tylko cykanie świerszczy i śpiew ptaków. Ciszę przerwał Szklisty. - Musi być ciężko nosić na sercu takie brzemie - rzekł. Mężczyzna nie odpowiedział. - Czy Rissa o tym wie?

- Tak, oczywiście. Byliśmy już wtedy małżeństwem. Przybyła na Sylwanusa, aby spróbować odnaleźć przyczyny, z racji których ta planeta nie stała się kolebką życia, choć miała wszelkie ku temu warunki, zgodnie z naszym modelem ewolucji. Lecz rzadko wracam do tego, co stało się z Saulem - nie chcę o tym mówić ani z nią, ani z nikim innym. Nie mam zamiaru dodawać do cudzych kłopotów ciężaru swojego cierpienia. Każdy ma do przezwyciężenia własne problemy, - Dlatego dusisz je w sobie... Keith wzruszył ramionami.

- Próbowałem podejść do tego ze stoickim spokojem. Stłumić w sobie emocje. - I to się chwali. Człowiek był zdumiony. - Tak sądzisz?

- To wybór, którego sam bym dokonał. Lecz wiem, że w twoim przypadku to niemożliwe. Życie większości ludzi, wybac mi mój żart - tu wskazała na swoje przezroczyste ciało - jest przejrzyste jak lza. Ich prywatne sprawy to sprawy publiczne. Dlaczego jesteś inny? Keith ponownie zareagował wzruszeniem ramion.

- Nie mam pojęcia. Zawsze taki byłem - urwał i zamyślił się głęboko. Wreszcie podniósł wzrok. - Kiedy miałem mniej więcej dziewięć lat, w moim sąsiedztwie mieszkał pewien brutalny chłopak. Wielki, czternasto - albo piętnastoletni przygłup Jego ulubioną rozrywką było łapanie dzieci i wrzucanie ich w kępy ciernistych krzewów w parku. No jasne, każde kopało, wrzeszczało i płakało, gdy to robił, ale on właśnie tym się napawał. Pewnego dnia padło na mnie. Grałem akurat w berka, czy coś w tym stylu. Poczulem jak mnie podnosi, niesie kawałek - i po chwili wylądowałem w krzakach. Nie walczyłem. Nie miałem szans. Był dwa razy większy niż ja, więc nawet nie próbowałem się wyrwać. Nie krzyczałem ani nie płakałem. Gdy wrzucił mnie tam, gdzie chciał, po prostu starałem się stamtąd wyleźć. Byłem potem pocięty i podrapany w kilku miejscach, lecz nie pisnąłem ani słowa. Popatrzył na mnie może z dziesięć sekund i powiedział: „Masz jaja, Lansing”. I już nigdy mnie nawet nie tknął.

- A więc zamknięcie się w sobie jest mechanizmem samozachowawczym? - zagadnął Szklisty.

- To po prostu znoszenie tego, co musisz wytrzymać - odparł Keith obojętnie. - Jednak nie wiesz, skąd u ciebie takie podejście?

- Nie - odparł Lansing, lecz po chwili się zreflektował - Ale... cóż, faktycznie, chyba wiem. A przynajmniej podejrzewam, że wiem. Moi rodzice byli strasznie kłótniwi, nie umieli trzymać nerwów na wodzy. Nigdy nie mogłeś być pewien, które w danym momencie wywoła awanturę, i o co. Na ulicy, czy w domu - bez różnicy. Nie mogłeś nawet prowadzić zwykłej rozmowy, nie ryzykując, że z jakiegoś powodu jedno albo drugie eksploduje. Każdego wieczoru, gdy jedliśmy razem kolację, zawsze siedziałem cicho mając nadzieję, że choć raz obejdzie się bez nieprzyjemności, bez zrywania się od stołu, bez wrzasków, czy złośliwych docinków. - Westchnął i pokręcił głową. - Prawdę mówiąc, były inne kwestie sporne w związku moich rodziców, których nie rozumiałem jako dziecko. Zaczynali jako małżeństwo dwojga ludzi z perspektywą kariery, lecz automatyzacja rok po roku eliminowała coraz więcej zawodów, wymagających ludzkiego udziału. Było tak, zanim zdelegalizowano prawdziwą sztuczną inteligencję. Rząd kanadyjski zmienił prawa podatkowe tak, aby dochód w przypadku dwóch zarabiających w rodzinie był opodatkowany na sto dziesięć procent. Był to ruch, zmuszający wielu członków większości rodzin do rezygnacji z pracy. Ojciec zarabiał mniej niż Mama, więc

to on musiał przerwać pracę. I to właśnie, jestem pewien, była główna przyczyna jego wiecznego niezadowolenia. Lecz w dzieciństwie widziałem jedynie, że moi rodzice wyładowują złość i frustrację na wszystkich dookoła, nawet na własnych dzieciach. Ślubowałem sobie nigdy tak nie postępować. Szklisty był zafascynowany.

- Zdumiewające - rzekł powoli, sens... - W związku z czym? - Z tobą. - To wszystko ma

XIII

Myśli Keitha wirowały pod czaszką jak szalone. Tak wiele odkryć, tak wiele zdarzeń... Pograżony w rozmyślaniach bębnił przez moment palcami po pulpicie konsoli. - W porządku, przyjaciele - rzekł w końcu. - I co teraz? Wszyscy przy stanowiskach w pierwszym rzędzie obrócili się do tyłu. Dyrektor patrzył po kolei na wszystkich członków sztabu dowodzenia, zgromadzonych na mostku.

- Mamy niemalże kłopot z bogactwem tego rejonu - stwierdził otwarcie. - Pierwsza sprawa to zagadka gwiazd, przedzierających się przez skróty. Gwiazd, o których Jag mówi, że przybyły z przyszłości. Jakby nie była to wystarczająco trudna łamigłówka, natknęliśmy się w dodatku na życie - życie! - powstałe z ciemnej materii. - Keith z napięciem potoczył wzrokiem po twarzach słuchaczy. - Ustalone kombinacje sygnałów radiowych, zarejestrowanych przez Heka, dają nam szansę - niewielką, przynajmniej - możliwości nawiązania pierwszego kontaktu z inteligentnymi istotami. Rissa, jeszcze wczoraj taka propozycja zakrawałaby na szaleństwo, lecz przekażmy kompetencje, dotyczące badań nad ciemną materią sekcji biologii. Rissa skinieniem głowy wyraziła zgodę. Dyrektor zwrócił się teraz do Jaga.

- Z drugiej strony, gwiazdy przenikające skróty mogą przedstawiać zagrożenie dla Wspólnoty. Jeśli masz rację, Jag, że te obiekty rzeczywiście pochodzą z przyszłości, musimy się dowiedzieć, dlaczego powracają. Czy świadczy to o celowym działaniu? Jeśli tak, czy to wroga agresja? A może tylko przypadek? Olbrzymie sferyczne skupiska materii, zderzające się z portalami skrótów w przyszłości oddalonej o miliardy lat przemieszczające się w czasie i transformujące w formę gwiazd, wyrzucanych w naszej czasoprzestrzeni?

- No cóż... - szczechnął Waldahuden. - Całe skupisko nie mogłoby dokonać transferu. Najwyżej jedna z należących do niego gwiazd zdołałaby się precyzyjnie przemieścić przez

skrót.

- Pod warunkiem - wtrącił Thor z nutą sceptycyzmu - że ten sferyczny gwiazdozbiór nie jest otoczony czymś w rodzaju supersilnej sfery Dysona - polem ochronnym wokół całego skupiska gwiazd. Wyobraźcie sobie coś takiego w zetknięciu ze skrótom za kilka miliardów lat. Osłona może ulec zniszczeniu podczas przechodzenia przez portal, a gromada zamkniętych w niej do tej pory obiektów pójdzie w rozsypkę, trafiając w przestrzeni kosmicznej do innych punktów tranzytowych.

- To absurd - odszczeknął Jag. - Wy, ludzie, staracie się zawsze przeskoczyć jeden drugiego w waszych najdzikszych fantazjach. Weźmy, na przykład, wasze religie...

- Dość! - warknął przez zęby Keith, silnie uderzając otwartą dłońią o blat konsoli. - Dość tego. Żadnych kłótni. W ten sposób daleko nie zajdziemy - spiorunował wzrokiem Waldahudena. - Jeśli nie pasuje ci hipoteza Thora, sam wymyśl lepszą. Dlaczego, według ciebie, gwiazdy powracają tu z przyszłości?

Jag zmierzył wzrokiem dyrektora, lecz tylko prawa para jego oczu była skierowana na Keitha. Druga instynktownie badała otoczenie, szukając w atawistycznym odruchu pola walki. - Nie wiem - rzekł w końcu, tłumiąc emocje.

- Żądamy odpowiedzi - naciskał Lansing. Ton jego głosu balansował na granicy wściekłości.

- Z całym szacunkiem, wybaczcie, że przerwę - rzekł Rombus. - Obraza była nie zamierzona i mam nadzieję, że nikogo dotknęła. Keith gwałtownie odwrócił się do Iba. - Więc o co chodzi? - spytał zaczepnie.

- O to, że zwróciłeś się do niewłaściwej osoby - odparł spokojnie Rombus. - Lekceważenie w żadnym wypadku nie było intencją dobrego Jaga. A jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego gwiazdy są wysyłane w przeszłość, jedyną osobą, która może udzielić ci na to odpowiedzi jest ten, kto je wysyła.

- Sugerujesz, żeby spytać o to istotę z przyszłości? - parsknął dyrektor. - To może powiesz, jak mamy to zrobić?

- Teraz jest to właściwe pytanie dla dobrego Jaga - podsumował Ib, błyskając światełkami. - Jeżeli materia z przyszłości potrafi wyjść przez skrót w przeszłości, czy możemy przesłać coś z przeszłości w przyszłość, dobry Jagu?

Waldahuden zamyślił się głęboko. W końcu rozłożył dolne ramiona.

- Jak do tej pory nie, o ile mi wiadomo. Każda z wykonanych przeze mnie symulacji komputerowych udawiała, że obiekt wchodzący przez portal w czasie teraźniejszym zdąża do innego skrótu w teraźniejszości. Jeśli przyjmiemy, że gwiazdni intruzi są przesyłani w przeszłość celowo, nie mam pojęcia kto i w jaki sposób wykorzystuje do tego transfer skrótowy. Nie wiem, jak przenieść coś w przyszłość.

- Och, dobry Jagu - wtrącił Rombus. - Wybacz, lecz oczywiście jest na to sposób.
- Ciekawe jaki - mruknął Keith.

- Kapsuła czasowa - odparł Ib. - Rozumiesz, musimy stworzyć coś trwałego, co przetrwa. Niewykluczone, że bez naszej specjalnej ingerencji przedmiot ten trafi w przyszłość z naturalnym biegiem czasu. Jag i Keith spojrzeli po sobie. Lansing zareagował pierwszy.

- Ale... przecież, zgodnie z tym co mówił Jag, gwiazdy przybyły z przyszłości odległej o miliardy lat.

- Gwoli ścisłości - dodał Waldahuden - zgodnie z moją teorią przebyły w czasie około dziesięciu miliardów lat wstecz.

Dyrektor przytaknął i z wyczekiwaniem popatrzył na Rombusa.

- Ten okres przekracza dwukrotnie przeciętny wiek każdego ze światów Wspólnoty - zaznaczył.

- To prawda - przyznał Ib - ale, racz mi wybaczyć, na przekór waszym, ludzkim wierzeniom, ani Ziemia ani żadna inna planeta nie została stworzona świadomie, a nasza kapsuła czasowa będzie efektem celowego działania.

- Czasowa kapsuła, która przetrwa dziesięć miliardów lat... - szepnął Jag, wyraźnie zaintrygowany. - Być może... to całkiem możliwe, gdyby wykonać ją z maksymalnie twardego materiału, jak... jak diament, ale pozbawiony łupliwych fasetek. Lecz nawet jeśli zdołamy stworzyć taki przedmiot, nie ma gwarancji, że ktoś kiedykolwiek go znajdzie. Poza tym ów sektor galaktyki obróci się przez ten czas wokół głównego ośrodka czterdzieści kilka razy. W jaki sposób skutecznie zabezpieczymy obiekt przed odpłynięciem stąd, nim miną miliardy lat? Płaszcz Rombusa odpowiedział błyskami sensorów.

- Cóż, przyjmijmy, że ten konkretny skrót będzie istniał następne dziesięć miliardów lat. To słuszne założenie, ponieważ znajduje się tu obecnie i musi również

funkcjonować w czasie, gdy gwiazda zostanie przepchnięta przez portal. Tak więc wyposażymy naszą kapsułę czasową w zdolność do samosterowania - nanotechny projektowe powinny opracować odpowiednie urządzenia - i zaprogramujemy na utrzymywanie stałej pozycji w pobliżu skrótu.

- I pozostanie nam tylko nadzieja, że ktoś z przyszłości ją zauważy, gdy za miliardy lat będzie chciał skorzystać z tego transferu? - zapytał z powątpiewaniem Keith.
- Może stać się coś więcej, dobry Keith - Odparł Rombus. - Może wtedy ten ktoś przybędzie tutaj, by zbudować skrót. Może transfery zostały powołane do istnienia w przyszłości, a ich punkty wyjściowe umieszczono w przeszłości. Jeśli ich prawdziwym zadaniem jest wsteczne przemieszczanie gwiazd w czasie, przypomina to konkretny scenariusz. Lansing zerknął na Jaga. - Masz jakieś obiekcje? Waldahuden podniósł wszystkie ręce w geście aprobaty.

- Żadnych. - Tu zwrócił się do Rombusa. - Myślisz, że eksperyment odniesie sukces? Szybka feeria światełek w odpowiedzi. - Dlaczego nie? Po dłuższym zastanowieniu Keith przyznał mu rację.

- Myślę, że gra jest warta świeczki - rzekł. - Ale dziesięć miliardów lat... wszystkie rasy Wspólnoty mogą już dawno przestać istnieć. I, do diabła, prawdopodobnie powymierają przez ten czas. Ib nie zaprzeczył.

- Dlatego musimy zakodować wiadomość w formie symbolicznej lub w języku matematycznym. Poprośmy naszego dobrego przyjaciela Heka, by coś wymyślił. Jako radioastronom, wyspecjalizowany w badaniach nad łącznością z obcymi cywilizacjami, jest ekspertem w dziedzinie mowy symboli. Łącząc tradycje przekazu waszych dwóch ras i mojej powinniśmy pchnąć projekt na właściwą drogę.

Na mostku panowała gwarna atmosfera intensywnych przygotowań, szykował się przecież kawałek porządnej roboty. Jednak Jag i Hek okazywali wyraźne oznaki wyczerpania. Nie wykonywali teatralnych gestów w stylu rozdzierającego ziewania, którym ludzie okazywali zmęczenie, lecz ich nozdrza rozszerzały się silnie co pewien czas, będąc fizjologicznym odpowiednikiem tego samego stanu.

Keith zdał sobie sprawę, że nie upora się z tym wszystkim przez całą noc. Do diabła, przecież często zarywał nocki na uniwersytecie. Lecz ćwierć wieku temu był studentem, a teraz musiał przyznać, że czuł się wykończony.

- Dajmy sobie z tym spokój, przynajmniej w nocy - rzekł, wstając z fotela przy stanowisku operacyjnym. Jednocześnie zgasły indykatory na pulpicie konsoli.

Rissa odetchnęła z ulgą i poszła w jego ślady. Przez rozsunięte drzwi jednej ze ścian mostka skrytych za hologramem, wyszli na korytarz i skierowali się do windy. Kabina już na nich czekała. FANTOM sprowadził ją w czasie, gdy Lansingowie schodzili pochyłym chodnikiem.

- Pokład ósmy - rzucił Keith, czujnik zaćwierkał, przyjmując polecenie. W tej samej chwili, gdy obydwójce odwrócili się do drzwi, zauważyli Lianę Karendaughter, zbiegającą w kierunku windy na ich spotkanie. FANTOM zauważył ją również i przytrzymał rozsunięte grodzie, dopóki nie weszła do środka. Lianna uśmiechnęła się promiennie do dyrektora, wywołała numer swojego piętra i stanęła tuż obok. Rissa utkwiała wzrok w oszklonym, ściennym monitorze, na którym widniały oznaczenia poziomów modułu.

Keith zbyt długo był mężem Rissy, aby nie znać wymowy jej reakcji. Nie lubiła Lianny, nie znosiła chwil, gdy dziewczyna stała obok jej męża, w ogóle nie cierpiała przebywać z nią w bezpośredniej bliskości.

Winda ruszyła. Na ekranie monitora ramiona poziomów zaczęły się rozrastać. Mężczyzna głęboko westchnął. Zdał sobie sprawę, być może po raz pierwszy, że zapomniał już jak pachną perfumy. Jeszcze jedno wymaganie cholernych świń i ich superwrażliwych nosów. Perfumy, woda kolońska, pachnący płyn po goleniu - były zakazane na pokładzie *Starplex*. Keith obserwował emocje żony, odzwierciedlające się w jej odbiciu na oszklonym wyświetlaczu pięter. Widział zaciętość, podkreśloną w kącikach ust, a jej twarz wyrażała napięcie i ból...

Jednocześnie mógł do woli patrzeć na Lianę. Była niższa od niego. Lśniące, jasne włosy młodej kobiety okalały ładną, egzotyczną twarz. Gdyby znaleźli się sam na sam, poplotkowałby z nią, opowiedział jakiś dowcip, uśmiechnąłby się, może nawet musnąłby jej ramię, dodając swój własny komentarz. Była tak... tak pełna życia... Sama rozmowa z nią podnosiła na duchu. Tymczasem nie powiedział ani słowa. Wskaźnik pięter nieubłaganie sunął w dół i w końcu kabina zatrzymała się na poziomie, gdzie mieścił się apartament Lianny.

- Dobranoc, Keith - rzekła dziewczyna z uśmiechem. - Dobranoc, Riso.

- Dobranoc - odpowiedział dyrektor, a Rissa oschle skinęła głową.

Keith mógł podziwiać odchodzącą w dół korytarza Lianę jeszcze przez dwie sekundy, zanim zamknęły się drzwi windy. Nigdy nie był w jej mieszkaniu. Ciekawe, jak je urządziła?

Winda błyskawicznie ruszyła w dalszą drogę i po chwili przystanęła ponownie. Apartament Lansingów mieścił się zaledwie o parę kroków od pionu komunikacyjnego. Keith i Rissa przeszli krótki dystans bez słowa. Gdy byli już w środku, kobieta sama zaczęła rozmowę, a mąż czuł wyraźnie, że jej głos kłóci się z narzuconą swobodą. - Bardzo ją lubisz, prawda? Keith rozważył w myśli wszystkie możliwe odpowiedzi. Miał zbyt wielki respekt dla inteligencji swojej żony, żeby z głupia frant spytać: „kogo?”. Po dłuższym zastanowieniu zdecydował, że najlepszym wyjściem jest zwykła szczerłość.

- Jest bystra, czarująca, piękna, dobrze wykonuje swoją pracę. Dlaczego miałbym jej nie lubić?

- Ma dwadzieścia siedem lat - rzuciła Rissa oskarżycielskim tonem.

- „Dwadzieścia siedem! - pomyślał Keith. - Nareszcie konkretna liczba. Ale... Dwadzieścia siedem, Jezu Chryste...” - Zdjął buty i skarpetki i rzucił się na łóżko z nogami zawieszonymi w powietrzu.

Rissa usiadła naprzeciwko. Na jej twarzy malowała się głęboka rozterka, czy ciągnąć dalej ten temat. Najwyraźniej doszła do wniosku, że nie warto. - Dzisiaj odwiedziła mnie Drezynka - zaczęła. Keith kurczył i prostował palce stóp. - Tak? - mruknął bez specjalnego zainteresowania. - Rezygnuje... - Naprawdę? Czyżby dostała lepszą ofertę gdzie indziej? Rissa potrząsnęła głową

- W przyszłym tygodniu zamierza dokonać samounicestwienia. Została pozbawiona jednej szesnastej okresu życia, ponieważ zmarnowała trochę czyjegoś czasu prawie sześćset lat temu. Keith milczał przez moment. - Więc tak... - mruknął pod nosem.

- Nie wyglądasz na zaskoczonego - stwierdziła z wyrzutem Rissa.

- No cóż. Znasz procedurę. Nigdy nie miała dla mnie sensu obsesja Ibów na punkcie marnowania czasu. Przecież żyją kilka wieków.

- Dla nich to stały cykl życia. Nie traktują go jako szczególnie długi - przerwała i dodała po chwili: - Czy mógłbyś ją odwieść od tego zamiaru? Mężczyzna splótł ręce na piersi. - Myślę, że nie mam szans.

- Do diabła, Keith, ta egzekucja ma się odbyć tutaj, na pokładzie *Starplex*. Tutaj bezwzględnie ty decydujesz.

- W sprawach stacji, tak. Ale w tym przypadku... - Zerknął na sufit. - FANTOM, jak daleko sięgają moje upoważnienia?

- Zgodnie z Artykułami Prawodawstwa Wspólnoty jesteś zobowiązany zapoznać się ze wszystkimi rodzajami wyroków, jakie mogą być wymierzone poszczególnym członkom społeczności - oznajmił Główny Komputer. - Procedura Ibów, związana z wymaganiami kary skrócenia cyklu życiowego o odpowiednią do przewinienia ilość czasu jest wyraźnie wykluczona z paragrafów artykułów związanych z wymierzaniem okrutnych i patologicznych kar. W tym wypadku nie masz prawa interweniować. Keith splótł dłonie i spojrzał na żonę. - Przykro mi - rzekł. - Lecz jej przestępstwo jest tak niewielkie, tak znikome... - Mówiłaś, że sfałszowała jakieś dane?

- Tak. Kiedy była studentką. To idiotyzm zrobić coś takiego już jako absolwent, ale...

- Wiesz jak Ibowie podchodzą do marnotrawienia czasu, Risso. Jak podejrzewam, inni opierali się później na jej wynikach, racja? - Tak, ale...

- Posłuchaj. Ibowie pochodzą z planety okrytej grubą warstwą chmur. Z powierzchni nie widać ani jej satelitów ani gwiazd, a słońce jest tylko jaśniejszą plamką na tle wiecznie zachmurzonego nieba. Pomimo to przez mozolne badanie przyptywów i odpływów w tych płaskich kałużach, które zwą oceanami udowodnili obecność księżyców. Co więcej, wydedukowali nawet istnienie innych gwiazd i planet, a to wszystko zanim którykolwiek z nich wzniósł się ponad atmosferę. Idę o zakład, że to, czego dokonali za pomocą czystego rozumowania, byłoby dla ludzi niemożliwością. Tylko z powodu długiego okresu życia byli w stanie osiągnąć tak wiele. Krócej żyjąca rasa na planecie o podobnych warunkach prawdopodobnie nigdy by się nie domyśliła, że na zewnątrz istnieje coś takiego jak Wszechświat. Lecz aby osiągnąć decydujące rezultaty, musieli ufać sobie nawzajem, porównując wyniki i obserwacje. Gdyby ktoś manipulował danymi, wszystko straciłoby sens.

- Ale najprawdopodobniej nikt nawet nie zwrócił uwagi na jej późniejsze dokonania. Do tego... ja jej potrzebuję. Jest niezastąpionym członkiem mojego personelu. Jest też... moją przyjaciółką. Keith znów skrzyżował ręce na piersi. - Co chciałabyś,

żebym zrobił?

- Porozmawiaj z nią - rzekła kobieta błagalnie. - Wytłumacz jej, że wcale nie musi podlegać tak okrutnej karze. Mężczyzna podrapał się ucho. - W porządku - rzekł w końcu. - Spróbuję. Rissa promieniała. - Dziękuję ci! Jestem pewna, że Drezynka powinna być. Zaćwierkał interkom.

- Coloroso do Lansinga - oznajmił kobiecy głos. Franka Coloroso pełniła funkcję oficera składu delta w sekcji OpW. Lansing podniósł głowę. - Odbiór. Tu Keith. O co chodzi, Franko?

- Przybył watson, przywożąc z Tau Ceti raport, który według mnie powinieneś zobaczyć. Nie są to wiadomości z ostatniej chwili, że tak powiem. Dotarły przez hiperprzestrzenne radio z układu Słonecznego do Tau Ceti szesnaście dni temu. Kiedy tylko Wielka Centrala przechwyciła transmisję, natychmiast przekazała ją nam. - Dziękuję. Rzuć to, z łaski swojej, na mój ścienny monitor - Rozkaz. Koniec odbioru. Lansingowie odwrócili się w stronę ekranu.

Najpierw ujrzeni przekaz dziennika Ogólnoświatowej Stacji BBC, odczytywane przez szpakowatego Hindusa z Indu Wschodnich.

„Wzrasta atmosfera napięcia pomiędzy rządami dwóch społeczności, należących do Wspólnoty Zjednoczonych Planet. Po jednej stronie Unia Zjednoczonych Narodów Układu Słonecznego, Epsilon Indii i Tau Ceti, po drugiej ich antagoniści z Królewskiej Rady Rehbollo. Sytuacja staje się groźna, zwłaszcza, że nastroje podminowało dzisiejsze poświadczenie zamknięcia trzech następnych ambasad Rehbollo na Ziemi: w Nowym Jorku, Paryżu i Pekinie. Doliczając jeszcze cztery placówki, zamknięte w zeszłym tygodniu, tylko ambasady w Ottawie i Brukseli pozostały czynne, jedyne w Układzie Słonecznym. Personel zamkniętych dziś konsulatów ewakuował się już na waldahudeńskich statkach przez skrót Tau Ceti.”

Teraz obiektyw kamery przeskoczył na kadr potężnego, topornego pyska Waldahudena. Identyfikator u dołu ekranu głosił, że jest to Główny Pełnomocnik Daht Lasko em-Wooth. Obcy mówił po angielsku, bez pomocy tłumacza - nadzwyczajny wyczyn jak na członka jego rasy.

„Z wielkim żalem oznajmiam, że konieczność natury ekonomicznej zmusiła nas do tego posunięcia. Jak wam wiadomo, indywidualna ekonomia wszystkich ras

Wspólnoty znalazła się w ślepych zaułku, zdystansowana przez niekontrolowany rozwój międzyplanetarnej komercji. Redukcja liczby naszych ambasad na Ziemi jest w tej sytuacji po prostu wymogiem chwili.”

W następnym kadrze pojawiła się Afrykanka: energiczna, ciemnoskóra kobieta w średnim wieku, przedstawiona jako Rita Negesh, ekspert od stosunków ziemsko-waldahudeńskich, Wydziału Nauk Politycznych.

„Nie dajcie się zrobić w konia. Osobiście nie wierzę w ani jedno słowo. A tak na marginesie - myślicie, że dlaczego Rehbollo odwołuje także swoich wszystkich ambasadorów?”

- Sądzi pani, że jest to preludium do...” - niewidoczny rozmówca zawiesił głos. Negesh z dezaprobatą rozłożyła ręce.

„Popatrz tylko. Odkąd wyruszyliśmy na podbój kosmosu, optymiści twierdzili, że Wszechświat, tak wielki i bogaty, zapewni pokojowe współzycie wszystkim zamieszkałym planetom. Lecz sieć skrótów postawiła wszystko na głowie. Dała nam kontakt z obcymi rasami przed czasem. Nie byliśmy na to przygotowani. - I co dal ej? - zapytał reporter.

- Co dalej... - powtórzyła z namysłem Negesh. - Jeżeli damy się sprowokować do... do jakiegoś incydentu, unikniemy sankcji ekonomicznych. A może właśnie powinniśmy dążyć do obopólnego porozumienia. To takie proste, chociażby po to, żeby nie szarpać sobie nerwów.” Następnie ukazał się hologram okolic Lake Louis. Keith westchnął głęboko i znacząco zerknął na żonę.

- Incydent... - powtórzył z ironią. - Taak... Ale za stare z nas wygi, by dać sobą manipulować... Rissa dłuższy czas przyglądała mu się bez słowa.

- Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie... - rzekła, nieco zbity z tropu. - Myślę, że jesteśmy pod ostrzałem. Na pierwszej linii frontu...

XIV

Keith uwielbiał wjeżdżać windą do słuz cumowniczych. Kabina zatrzymywała się na trzydziestym pierwszym pokładzie, tuż nad dziesięciopoziomową strukturą centralnego dysku. Był to wstęp do spiralnej jazdy którąś z czterech podwodnych tras wokół osi sztucznego oceanu. Ściany poszczególnych poziomów stawały się

przezroczyste, w miarę jak kabina windy mijala poszczególne piętra, pasażerowie mogli więc obserwować rozległe, wypełnione wodą przestrzenie.

Keith napawał się widokiem śladu trzech delfinów, przecinających wodę falistą linią tuż pod samą powierzchnią. Półtorametrowe fale stanowiły normę dla zwolenników życia pod powierzchnią. Delfiny wybrały taką opcję, lepszą niż całkowicie spokojne morze. Promień oceanicznego kręgu wynosił dziewięćdziesiąt pięć metrów. Keith czuł się wprost przytłoczony taką ilością wody, zgromadzoną w jednym miejscu. Pułap okrywała holograficzna projekcja ziemskiego nieba; śnieżne zwały chmur sunące na tle subtelnego błękitu w odcieniu, który zawsze budził w sercu Keitha dreszcz wzruszenia. Kabina windy osiągnęła wreszcie powierzchnię oceanu i pomknęła jednym z bocznych torów sektora inżynieryjnego. Po dotarciu na krawędź zewnętrzną, okrążyła dziewięć niższych poziomów dokowych. Lansing wysiadł. Zaledwie parę kroków dzieliło go od wejścia do śluzy dziewiątej. Pierwszą osobą, którą zauważył po przekroczeniu progu, był Hek, główny specjalista od przekazów symbolicznych i szyfrowych oraz towarzyszący mu szczupły mężczyzna, szef departamentu nauk ścisłych, Azmi Shahinshah inaczej Shanu. Pomiedzy nimi spoczywał na podwyższeniu czarny sześcian o co najmniej metrowych krawędziach. Keith podszedł bliżej. - Dzień dobry panu - przywitał go krótko Azmi.

Jako wielbiciel starego kina Lansing znał melodyczne niuanse języka hinduskiego. Mimo to gubił się nieraz w bogactwie przekazywanych wrażeń, spłyconych przez wszechobecną komercjalizację. Azmi wskazał na sześcienną bryłę.

- Zbudowaliśmy kapsułę czasową ze związków grafitu z dodatkiem kilku pierwiastków promieniotwórczych. Całość ma strukturę jednolitą, z wyjątkiem samosterujących czujników hiperprzestrzennych, zorientowanych na lokalizację skrótu i światła sąsiednich systemów gwiazdnych.

- A co z naszym przekazem dla przyszłości? - zagadnął dyrektor. Hek dotknął jednej ze ścian bryły.

- Zamknęliśmy przekaz w obudowie sześcianu - jego szczekanie rozbrzmiewało echem w pomieszczeniu śluzy. - Tu jest początek. Jak widzisz, składa się z serii logicznych sekwencji. Dwie kropki plus dwie kropki daje cztery - czyli pytanie i odpowiedź. Następna sekwencja: dwie kropki plus dwie kropki i symbol. Z braku

lepszego pomysłu niech tym symbolem będzie tradycyjny znak zapytania, lecz bez kropki pod spodem. Mamy więc zdanie pytające: dwa elementy i oznaczenie braku odpowiedzi. Trzecia sekwencja: znak zapytania, dwie kropki, znak równości i cztery kropki jako wynik. Czyli jedna niewiadoma, składnik i rozwiązanie. Widzisz? Keith skinął twierdząco.

- Teraz - kontynuował Hek - gdy ustaliliśmy podstawowe reguły, możemy przystąpić do zadawania konkretnych pytań. - Wskazał na przeciwległą ścianę sześcianu, również pokrytą znakami kodu.

- Spójrz. Ta płaszczyzna zawiera dwie zbliżone informacje. Pierwsza przedstawia symbol graficzny: skrót, przez który przedostaje się gwiazda. Obok widnieje wyskalowana średnica obiektu, poprzecinana serią prostopadłych linii. Określają one stosunek binarny średnicy gwiazdy do jednostek, w jakich mierzona jest szerokość sześcianu - w razie jakichkolwiek wątpliwości, co przedstawia nasz przekaz. Po tym następuje znak równości i pytajnik. Czyli „skrót i przechodząca przez niego gwiazda oznacza - co?” A poniżej znak zapytania, znak równości i wolne miejsce, mające sugerować: „odpowiedź na powyższe pytanie brzmi...” - i faktycznie tam powinniśmy oczekiwać odpowiedzi. Keith z namysłem pokiwał głową. - Świetnie. Spisaliście się znakomicie. Azmi jeszcze raz dotknął ściany sześcianu.

- Na tej powierzchni zakodowaliśmy informacje o cyklach i wzajemnym położeniu czterech różnych pulsarów. Jeżeli twórcy skrótów w przyszłości, czy też inni odbiorcy naszej przesyłki, mają zarejestrowane nagrania z tak odległego okresu, będą mogli bez trudu ustalić rok nadania kapsuły.

- Ponadto - dodał Hek - powinni się domyślić, że sześcian został stworzony wkrótce po przejściu zielonej gwiazdy przez portal skrótów. I oczywiście z pewnością ustalą dokładną datę, gdy wysłali ją w przeszłość. Innymi słowy posiadają dwie różne możliwości na przesłanie nam odpowiedzi.

- Sądzisz, że eksperyment ma szansę powodzenia? - chciał się upewnić dyrektor.

- Jeśli mam być szczery, nie bardzo w to wierzę - odparł Azmi z uśmiechem. - To jak butelka, rzucona w fale oceanu. Nie oczekuję konkretnych rezultatów, ale chyba warto spróbować. W razie czego, zgodnie z opinią dra Magnora, jeżeli będziemy w sytuacji bez wyjścia i uznamy, że gwiazdy przedstawiają zagrożenie, zastosujemy

waldahudeńską metodę spłaszczenia czasoprzestrzeni i zlikwidujemy skróty. Te obce obiekty mogą dokonać, przypuśćmy, tysięcy transferów przez inne punkty wyjściowe i w takiej sytuacji nie możemy całkowicie ich powstrzymać. Jednak jeśli się przekonają, że jesteśmy w stanie przynajmniej częściowo pokrzyżować im plany, być może będą woleli dostarczyć nam wyjaśnień, niż prowokować konflikt.

- Bardzo dobrze - wpadł mu w słowo Lansing. - Lecz czy kapsuła zwróci na siebie wystarczającą uwagę? Skąd możecie mieć pewność, że ktokolwiek ją dostrzeże?

- To właśnie najtwardszy orzech do zgryzienia - wysapał Hek. - Istnieje kilka sposobów, by dany przedmiot wyróżniał się spośród otoczenia. Najprostsza metoda to zadbać, by miał lśniąca powierzchnię. Ale bez względu na materiał, i jakiego wykonamy sześcian, jego połysk zniknie pod grubą warstwą zgromadzonego przez miliardy lat kosmicznego pyłu. Założmy, że osiądzie choćby tylko kilka mikroskopijnych drobin na stulecie. Nawet ta znikoma ilość wystarczy, by w tak długim okresie czasu całkowicie zmatowić każdą błyszczącą powierzchnię.

Drugim, rozważanym przez nas sposobem było zbudowanie wielkiej kapsuły - tak, by swym rozmiarem przyciągała wzrok - albo niezwykle ciężkiej, aby zakrzywiała czasoprzestrzeń. Jednak wraz z powiększaniem jej wymiarów rosłoby prawdopodobieństwo kolizji.

I wreszcie ostatnia możliwość: uczynić z naszej czasowej przesyłki hałaśliwy nadajnik radiowy. Lecz tego rodzaju emiter fal wymaga źródła zasilania. Oczywiście teraz zielona gwiazda znajduje się w pobliżu, możemy więc zastosować zwykłe ogniwa słoneczne w celu generowania niezbędnej energii elektrycznej. Musimy jednak pamiętać, że gwiazda oddala się od wyjścia ze skrótu ze stałą prędkością. Za kilka tysięcy lat jej odległość przekroczy jeden rok świetlny, a to zbyt daleko, by dostarczyć wystarczającej mocy. Natomiast każda użyta przez nas bateria wewnętrzna musi zużywać paliwo. Mówiąc prościej nawet energia promieniotwórcza spadnie do zera na długo przed wyznaczoną datą. Keith w zadumie pokiwał głową.

- Lecz wspominałeś już o użyciu energii słonecznej, przetworzonej w elektryczność do zasilania systemów kontrolnych? - spytał po chwili z nową nadzieją.

- Tak. Ale osiągnięta w ten sposób moc jest zbyt słaba dla jakiegokolwiek boi sygnalizacyjnej. Musimy po prostu przyjąć, że budowniczy skróków będą posiadać czułe

detektory, które wy - kryją nasz sześcian spontanicznie - odparł Hek. - A jeśli nie wykryją? Waldahuden wzruszył czworgiem ramion.

- Jeżeli nie wykryją... cóż, dużo nie stracimy ryzykując próbę.

- W porządku - uciał dyrektor. - Jak dla mnie, brzmi całkiem nie źle. Czy to prototyp, czy autentyczna kapsuła czasowa? - wskazał sześcian na podwyższeniu.

- Z początku miał to być prototyp, lecz wszystko działa bez zarzutu - pospieszył z odpowiedzią Azmi. - Myślę, że możemy równie dobrze startować z tym urządzeniem.

Keith zerknął na Heka. - Co o tym sądzisz? - Popieram - szczechnął Hek. - Świetnie. A jak proponujecie to wystrzelić?

- Kapsuła nie posiada innego napędu prócz własnych dysz odrzutowych. Nie odważył bym się odpalić ich tutaj, w bliskim sąsiedztwie tej gromady stworów z ciemnej materii. Nasza przesyłka zostałaaby prawdopodobnie wessana przez ich pole grawitacyjne. Jednak, co potwierdziły nasze obserwacje, skupisko obcych obiektów znajduje się w powolnym, lecz nieustannym ruchu, nie pozostaną dokładnie w tym miejscu na zawsze. Zaprogramowałem standardowy transporter nośny, który wyniesie stąd kapsułę, a za sto lat wprowadzi program powrotny i wyrzuci aparaturę o mniej więcej dwadzieścia klików od skrótów. Później nasz sygnalizator będzie sam manewrował za pomocą odrzutowych silników, utrzymując stałą pozycję w stosunku do portalu.

- Znakomicie - Lansing zatarł ręce. - Czy wyrzutnia też jest gotowa? - Oczywiście - potwierdził Azmi. - Czy możemy odpalić ją stąd? - Jak najbardziej. - No to do roboty.

Wszyscy trzej wyszli ze służby, wjechali windą i weszli do całkowicie oszklonej kabiny kontrolnej, z której rozciągał się widok na przepastne wnętrza olbrzymiej hali. Azmi zajął miejsce przy głównej konsoli i uruchomił program. Zgodnie z jego poleceniem do służby wjechała zdalnie sterowana platforma z cylindrycznym pojemnikiem transportera nośnego. Automatyczne ramiona wysięgników umieściły sześcian w klamrach zacisków z przodu transportera. - Rozhermetyzować służbę - rzucił Shanu. Migoczące osłony pola siłowego odizolowały trzy z czterech ścian komory, sufit i podłogę, wypychając powietrze przez kanały wentylacyjne tylnej fasady. Po wessaniu powietrza i zgromadzeniu go w zbiornikach pole siłowe wyłączono, pozostawiając w hangarze czystą próżnię.

- Otworzyć grodzie zewnętrzne - polecił Azmi, dotykając innego przycisku.

Segmentowana powierzchnia zakrzywionej ściany wsunęła się w sufit. Ujrzeni za nią mroczną otchłań kosmosu, gdyż blask oświetlenia wewnętrznego śluzu przyćmiewał światło gwiazd. Mężczyzna wcisnął następną serię guzików.

- Aktywacja systemu elektronicznego kapsuły czasowej. - Wprowadził program, rozpoczynający wstępną sekwencję dla emitera zamontowanego w górnym segmencie tylnej ściany. Transporter z kapsułą został uniesiony z platformy, przepłynął nad pancerną podłogą, mijając po drodze wrzecionowaty kształt naprawczego śmigacza zaparkowanego wewnątrz śluzu i wyszedł w przestrzeń. - Włączyć zapłon transportera - padł następny rozkaz. Rufowa część cylindra rozjarzyła się płomieniem dysz i urządzenie wkrótce znikło z pola widzenia. - No - z zadowoleniem oznajmił Azmi. - I to jest to. - I co teraz? - zagadnął Keith. Shanu wzruszył ramionami.

- Teraz? Na razie możemy o tym zapomnieć. Albo zadziała, albo nie. Prawdopodobnie to drugie. Keith z uznaniem skinął głową.

- W każdym razie - świetna robota, chłopaki. Dziękuję wam. To szansa...
Zaćwierkały głośniki.

- Rissa Cervantes do Lansinga - oznajmił kobiecie głos z mikrofonu. Dyrektor spojrział w górę. - Odbiór. Cześć, Riso.

- Cześć, kochanie. Jesteśmy gotowi wykonać nasz pierwszy krok w kontaktach z istotami z ciemnej materii.

- Już lecę. Koniec odbioru - uśmiechnął się przepraszająco do Azmiego i Heka. - Czasami moja załoga jest niemal zbyt gorliwa...

Keith wbiegł na mostek i zajął miejsce pośrodku drugiego rzędu.

Zamiast normalnej przestrzeni kosmicznej na sferycznym hologramie widniał obraz czerwonych kręgów na oślepiająco białym tle, plan rozlokowania globów czarnej materii.

- Zatem - zaczęła Rissa - mamy zamiar nawiązać próbę kontaktu z tymi istotami za pomocą sygnałów radiowych i wizualnych. Wysłaliśmy specjalną sondę, która będzie je bezpośrednio nadawać. Znajduje się w odległości mniej więcej ośmiu sekund świetlnych od naszego statku. Będę nią sterować za pomocą lasera przekaźnikowego. Oczywiście nie wykluczone, że nasi olbrzymi sąsiedzi już dawno wykryli naszą obecność, ale nie możemy być tego pewni na sto procent. Zaś w przypadku, gdy okaże

się, że te stwory to Odźwierni lub istoty niewątpliwie wrogie, przez zwykłą ostrożność lepiej skierować ich uwagę na małą sondę, niż na *Starplex*.

- „Istoty z ciemnej materii”... - mruknął Keith. - Można na tym połamać język, no nie? Musimy ich ochrzcić jakoś inaczej. - Może „Ciemniaki”? - podsunął Rombus.

Lansing zwijał się ze śmiechu.

- To nie jest dobry pomysł - wykrztusił w końcu. Uspokoił się i chwilę pomyślał. Wreszcie, rozpromieniony, podniósł wzrok. - A co powiecie na „MACHO”? - spytał z nadzieją.

Jag z politowaniem wywrócił obydwie pary oczu i prychnął z odrazą.

- A gdybyśmy użyli nazwy „matmatów” - od „matowej materii”? - zaryzykował Thor.

- Super! - krzyknęła entuzjastycznie Rissa. - Matmatowie! To jest to. A więc Hek skatalogował grupy sygnałów, wysłane do nas przez matmatów. Jednym ze składników było jedno, nader często powtarzające się słowo. W pierwszym przekazie zamierzałam nadać je kilkakrotnie. Doszliśmy do wniosku, że to słowo bez większego znaczenia. Coś w rodzaju angielskiego „the”. Być może zapętlenie tego wyrazu nie będzie miało konkretnego sensu, lecz matmatowie odbiorą to jako naszą chęć nawiązania z nimi kontaktu. Wyraża pan zgodę na transmisję, dyrektorze? - zwróciła się do męża z udaną powagą.

- Pani słowo jest dla mnie rozkazem - odparł Lansing ze śmiechem. Rissa wcisnęła kontrolkę. - Włączyć transmisję.

Płaszcz sensoryczny Rombusa zamigotał jak noworoczna choinka.

- To działa! - zakrzyknął odpowiednik jego głosu w translatorze. - Natężenie konwersacji dramatycznie wzrasta. Teraz nadają dosłownie jeden przez drugiego. Wszyscy naraz...

- Mam nadzieję, że skoncentrowali się na naszej sondzie jako nadajniku - mruknęła Rissa.

- W każdym razie według mnie już ją zauważyli - rzucił Thor, patrząc na hologram, gdzie pięć olbrzymich globów oderwało się od grupy i sunęło w stronę urzędnika.

- Zaczynamy główną rozgrywkę - kobieta niepewnie pokręciła głową. -

Zwróciliśmy ich uwagę, lecz co z naszą „niczą porozumienia”?

Keith wiedział, nikt zresztą w to nie wątpił, że właśnie jego żona należała do składu delegacji, która po raz pierwszy nawiązała kontakt z rasą Ibów. Zaczęło się wtedy od odmiany rzeczowników - i pierwszego wymigotanego słowa, przetłumaczonego jako „stół”, a dla Ibów oznaczającego ich „krajną”. I dalej jakoś poszło. Nie obyło się bez problemów. Ciało Ibów było zbyt odmienne od anatomii dwunożnych istot ludzkich. Pojęcia takie, jak: „wstać”, „chodzić”, „biec”, „usiąść”, „krzesło”, „ubranie”, „kobieta”, „mężczyzna” - nastęrczały najwięcej trudności i nie miały odpowiedników u nowo poznanych istot. A jako że Ibowie żyli pod niebem, okrytym wieczną warstwą chmur, były im obce również słowa: „dzień”, „noc”, „miesiąc”, „rok”, „konstelacja” - które nie miały racji bytu w ich świecie. Z kolei Ibowie próbowali przełożyć pojęcia nadające sens ich istnieniu. Biologiczna wspólnota, współczulne widzenie oraz wiele metaforycznych określeń, dotyczących ruchów, określanych przez człowieka po prostu jako „jazda w tył” albo „jazda w przód” - było dla Ziemiaków kompletnie niezrozumiałych.

Jednak doświadczenia z Iłbami to pestka w porównaniu z nawiązaniem kontaktu z istotami wielkości sporej planety. Och, doprawdy... Ibowie nie mieli przynajmniej żadnych problemów ze zrozumieniem metaforycznych wyrażeń typu: „Im gorzej zjesz - tym więcej wiesz” lub „Zakazany owoc smakuje najlepiej”. Podobnie zresztą ludzie doskonale rozumieli określenia: „zjeżdżać na łeb na szyję” i „jechać pod górkę”.

Jowiszowe monstra mogły być inteligentne, albo i nie. Mogły widzieć, albo nie posiadać wzroku; wszystko rozumieć, lub kompletnie nie pojmować głównych praw matematyki i fizyki...

- Non stop trwa paplanina ponad dwustu głosów - przypomniał Rombus.

- W porządku. Ale wciąż nie wiemy, czy to tylko dialog sfer między sobą, czy oczekiwana przez nas odpowiedź - odparła Rissa i wcisnęła następny guzik. - Spróbuj teraz zapętlić inną, powtarzającą się u matmatów sekwencję.

Tym razem kakofonia radiowa została zdominowana przez jednego matmata, który najwyraźniej uciszył pozostałych. Matmat powtarzał konsekwentnie trzy słowa sekwencji nadanej przez sondę.

- Czas wypić piwo, którego nawarzyliśmy... - stwierdziła sentencjonalnie Rissa. - Jak to? - zdumiał się Keith.

- No tak... - mruknęła pod nosem jego żona. - Pierwsze pytanie, zadane na wstępie w przekazie sondy, brzmiało: „Kim jesteście?”. Razem z Hekiem wyciągnęliśmy z FANTOMa próbki wszystkich słów matmatów i wymyśliliśmy sygnał mający nadawać konkretnej rzeczy konkretną nazwę, lecz nie posiadający, jak do tej pory, odpowiednika w słownictwie matmatów. W tym przypadku mamy nadzieję, że rolę spełni nazwa *Starplex*...

Rissa kilkakrotnie powtarzała wspomnianą sekwencję. I w końcu upór wydał owoce. Ten sam glob, który zagłuszył pozostałe, przekazał odtworzone słowo w kierunku nadajnika.

- „Nie przyjdzie góra do Mahometa - przyjdzie Mahomet do góry” - roześmiała się z ulgą.

- Stokrotnie przepraszam, ale... chyba mam uszkodzony translator - wyznał Rombus ze skruchą. Rissa wciąż chichotała.

- Nie jest uszkodzony, przyjacielu. Chciałam tylko powiedzieć, że się udało. Złapali przynętę - a my wreszcie złapaliśmy kontakt! Keith wskazał na projekcję. - Który z nich przemawia? Macki Rombusa zatańczyły po przyciskach.

- To ten - oznajmił, gdy błękitne halo otoczyło jeden z czerwonych kręgów, a Ib jeszcze trochę pomajstrował przy konsoli. - Momencik. Pozwólcie, że zademonstruję wam lepszy widok. Teraz, gdy mamy oświetlenie zielonej gwiazdy, mogę zdobyć wyraźniejszy obraz poszczególnych matmatów. - Czerwone koło znikło, zastąpione przez szaroczną podobizną gadatliwej sfery.

- Czy mógłbyś wzmocnić kontrast? - spytał dyrektor wyrażając wzrok.

- Z przyjemnością - odparł Rombus z galanterią i po chwili fragmenty globu, do tej pory szarawe lub przydymione, ukazały się wyraźnie w całej okazałości, kontrastując na brzegach z rażącą bielą.

Lansing z napiętą uwagą chłonał zjawisko. Dzięki zwiększeniu kontrastu stały się widoczne dwie smugi konwekcyjne, biegnące od bieguna do bieguna, połyskujące w okolicach równika. - Jak kocie oko - podsumował Keith.

- Jasne! - podchwyciła Rissa. - Faktycznie tak wygląda, spójrzcie tylko. - Pochyliła się nad swoim pulpitem. - No dobra, Kocie Oczko, zobaczmy jakie jesteście inteligentne... - wyprostowała się, nie spuszczać oka z hologramu. Pojawił się na nim

czarny pasek, mniej więcej metrowej długości i na piętnaście centymetrów szeroki. Ten pasek przedstawi serię rozbłysków lamp sygnalizacyjnych naszego urządzenia - wyjaśniła Rissa. - Do tej pory, od momentu wysłania sondy, były wyłączone. A teraz patrzcie... - włączyła program.

Czerń paska na trzy sekundy przeszła w jaskrawy róż, znów pociemniała przez następne trzy sekundy, błysnęła dwukrotnie w szybkich odstępach czasu, przygasła, po czym trzykrotnie błysnęła różowym światłem.

- Gdy pas jest różowy - mówiła dalej Rissa - włączam wszystkie lampy. Jednocześnie nadaję wtedy przez radio sondy biały szum. Gdy lampy gasną, w eterze panuje cisza. Przeстрои - łam pokładowe mikrofony na częstotliwość używaną przez Kocie Oko.

Jak na razie w głośnikach panowała cisza, lecz Keith kątem oka obserwował indykatory na pulpicie Rombusa, sygnalizujące wzmożoną paplaninę na wielu innych częstotliwościach.

Jego żona zaczekała pół minuty i powtórzyła próbę: jeden błysk - dwa błyski - trzy błyski.

Tym razem odpowiedź była natychmiastowa. FANTOM odtworzył ją przez głośniki w formie potrójnej, charakterystycznej sekwencji popiskiwań.

- I tak oto - mruknęła Lianna - jesteśmy w siódmym niebie, że nasz matmat umie mówić: „raz, dwa, trzy”.

- O ile - zripostował Thor - nasz matmat nie pyta: „Czego, do cholery?”.

Rissa wybuchła śmiechem i jeszcze raz powtórzyła sygnał, który błyskawicznie nadała sonda. Kocie Oko zareagował identycznie jak poprzednio.

- W porządku. Koniec zabawy. - Rissa wprowadziła następny program. - Czas na prawdziwy test. Pasek indykatora nadał: „trzy - dwa - jeden”. Matmat odpowiedział trzema wzorami sygnałów. Keith nic był pewien, czy się nie przesłyszał, ale...

- Wszystko gra! - wykrzyknęła Rissa. - Załapał! To te same słowa, które Kocie Oko powiedział wcześniej, lecz w odwrotnej kolejności. Rozumie nasz przekaz, dysponuje więc co najmniej elementarną inteligencją.

Dla pewności powtórzyła sekwencję i tym razem FANTOM przetłumaczył odpowiedź i przemówił po angielsku: „trzy - 170. dwa - jeden” syntetycznym męskim

głosem ze staroświeckim francuskim akcentem. Od tej pory akcent ten miał być zarezerwowany dla matmatów.

Obsada sztabu alfa na mostku z fascynacją śledziła poczynania pani biolog, która wytrwale parła naprzód z nauczaniem matmata dalszych cyfr, od czterech do stu. Ani ona, ani FANTOM nie wykryli jakichkolwiek powtarzających się wzorów w konstrukcji słów obcej istoty, które pozwoliłyby poznać jej zasadę liczenia. Wyglądało na to, że każda z liczb jest wyrażana określeniem, nie mającym nic wspólnego z pozostałymi. Rissa przystanęła na stu, aby rozmówca nie znudził się tą zabawą i nie zerwał z nią kontaktu definitywnie.

Następną fazę testu stanowiły proste działania na liczbach. Sekwencja: dwa błyski, sześćiosekundowa przerwa (dwa razy dłuższa niż poprzednio), znów dwa błyski, a po upływie następnych sześciu sekund błysniecie czterokrotne.

Kocie Oko bezbłędnie powtórzył „dwa, dwa i cztery”, podczas pięciu powtórzeń transmisji. Jednak za szóstym razem celowo usunięto drugi ze składników zastępując go przedłużoną przerwą. Czyli - równanie zjedna niewiadomą. FANTOM nie czekał na polecenie Rissy. Gdy matmat znów przemówił, komputer przetłumaczył od razu: „dwa plus dwa równa się cztery”, włączając dwa nowe pojęcia do słownika. Rissa w mgnieniu oka wyciągnęła od obcego odpowiedniki: „minus”, „pomnożyć”, „podzielić”, „więcej”, „mniej”.

- Według mnie - oświadczyła uśmiechając się z triumfem - nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z przedstawicielem wysoce rozwiniętej inteligencji.

Keith nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy jego żona postanowiła z pomocą matematyki nadal powiększać zasób słów w bazie danych. Wkrótce znała już w języku matmatów stwierdzenia: „prawidłowo” i „nieprawidłowo” (albo „tak” i „nie”) które, jak miała nadzieję, oznaczały także w innym kontekście „dobrze” i „źle”. Wspólnie z Rombusem na różne sposoby manewrowali ruchami sondy (bacząc pilnie, by płomienie sterujących dysz odrzutowych nie musnęły matmata) i dzięki temu doszli do pojęć: „w górę”, „w dół”, „w prawo”, „w lewo”, „do przodu”, 171 „do tyłu”, „zbliżać się”, „cofać”, „obrócić się”, „wywracać koziółki”, „wirować”, „szybko”, „wolno” i tak dalej.

Puszczając sondę trajektorią wokół Kociego Oka, Rissa zdobyła odpowiednik słowa „orbita”, do którego w krótkim czasie dołączyły: „gwiazda”, „planeta”, „księżyc”.

Z kolei przy użyciu kolorowych filtrów w lampach sygnalizacyjnych poznała określenia różnych barw. Następnym posunięciem Rissy było wysłanie pierwszego, dość prymitywnego przekazu w formie zdania, popartego ruchem sondy, którą na wszelki wypadek ochrzczono imieniem macierzystej bazy: „»Starplex« leci w kierunku zielonej gwiazdy”. Kocie Oko zrozumiał od razu.

- Prawidłowo - przekazał w odpowiedzi i wysłał swoją własną sekwencję.

- Kocie Oko oddała się od *Starplex*. - Tu wprowadził słowa w czyn. - Prawidłowo - podsumowała Rissa.

Po skończeniu dyżuru zespołu alfa, Keith poszedł do siebie, żeby wziąć kąpiel i coś przekąsić. Jego żona zaś jeszcze do późna w nocy pracowała nad rozbudowaniem i uporządkowaniem słownika matmatów.

Ani razu Kocie Oko nie okazał najmniejszego śladu zniecierpliwienia czy zmęczenia. Gdy na mostku pojawił się personel składu gamma aby przejąć obowiązki. Rissa była wykończona. Przekazała Hekowi dalszą pracę nad tłumaczeniem. Czuwali na zmianę, przez cztery dni - szesnaście zmian obsady mostka - mozolnie wpisując słownik matmatów do bazy danych komputera. Kocie Oko przyczyniał się do tego z niezłomną energią. Gdy znów główny skład zebrał się na mostku Rissa z dumą oświadczyła, że mogą już przeprowadzić prosty dialog. - Spytaj go, jak długo tu jest - zaproponował Keith. Rissa pochyliła się nad mikrofonem. - Jak długo tutaj jesteś? - zapytała. Odpowiedź nadeszła bez zwłoki.

- Według okresu od początku rozmowy do teraz: sto setek setek setek setek setek okresów. FANTOM zaraz pospieszył z objaśnieniem.

- Podaję w przybliżeniu: cztery tryliony dni, czyli co najmniej dziesięć miliardów lat standardowych.

- Jasne. Próbuje się wyrazić w sposób symboliczny - uznała Rissa. - Jak sądzę chodzi mu o to, że jest tu bardzo, bardzo długo.

- Dziesięć miliardów lat to spory szmat czasu - zauważył z powagą Jag. - Odpowiada wiekowi naszego Wszechświata.

- Gdybyś ty miał dziesięć miliardów lat, też byłbyś taki cierpliwy - wtrącił Thor i zachichotał.

- Spróbuj go o to zapytać w jakiejś innej formie - zaproponowała Lianna.

- Chciałam zapytać, jak długo wy wszyscy przebywacie w tym miejscu? - zaryzykowała Rissa, schylając się do mikrofonu.

- Ten czas trwania dotyczy całej grupy - odparł bez emocji głos z translatora. - Jeden, który mówi ma sto setek setek pięćdziesiątek okresów czasowych.

- Co oznacza około pięciuset tysięcy lat standardowych - nie omieszkał wyjaśnić FANTOM.

- Może próbuje nam powiedzieć, że skupisko w ogóle liczy sobie dziesięć miliardów lat - rzekła z namysłem Rissa. - A on sam ma tylko pół miliona lat? - Ładne mi „tylko” - burknęła Lianna.

- To podaj mu nasz zgrzybiały wiek - Keith aż pękał z ciekawości na reakcję obcego.

- Masz na myśli *Starplex*? - dopytywała Rissa. - A może Wspólnotę? Albo czas historyczny naszych gatunków?

- Jesteśmy teraz przedstawicielami zjednoczonych cywilizacji - stwierdził Lansing. - Najlepszym odnośnikiem będzie najstarsza rasa Wspólnoty. - Zerknął na maleńkie halo Rombusa. - Ibowie w swojej obecnej symbiotycznej formie biologicznej nie zmienili się od około miliona lat, mam rację? Rombus zamigotał z entuzjazmem.

Rissa z wahaniem przysunęła twarz do mikrofonu i wznowiła przekaz.

- Według czasu od początku rozmowy do teraz, istnieliśmy sto setek setek setek okresów. Ten, który mówi ma sto okresów plus sto okresów. - Wyłączyła nadajnik i zwróciła się do przyjaciół. - Jako, że okres wynosi mniej więcej cztery dni, próbowałam mu przekazać, że jako Wspólnota mamy za sobą milion lat, a nasz *Starplex* liczy sobie tylko dwa lata.

Kocie Oko brawurowo odtworzył sekwencję sygnałów, potwierdzających jego osobisty czas istnienia, podał słowo „minus”, powtórzył śmiesznie mały wiek *Starplex*, a następnie, po „równa się” podał... jeszcze raz swój własny wiek.

- Rozbrajająca szczerłość - mruknęła Rissa. - Jak mi się wydaje, chce nam powiedzieć, że w porównaniu z nim wiek największego osiągnięcia naszej cywilizacji znaczy tyle co nic.

- Cóż, ma rację - Keith uśmiechnął się szeroko. - Ciekawe, co się czuje, będąc takim staruszkem...

XV

Keith tylko w wyjątkowych sytuacjach odwiedzał sektory zamieszkałe przez Ibów. Grawitacja na tych obszarach wynosiła 1,41 normalnego ciężenia ziemskiego (oraz 1,72 przyjętego na pokładzie stacji ciężenia standardowego). Lansing czuł się tak ociążały, jakby ważył co najmniej sto piętnaście kilogramów, zamiast swoich osiemdziesięciu dwóch. Mimo wszystko mógł od biedy wytrzymać tam przez krótki czas, lecz nie należało to do przyjemności.

Korytarze w tym rejonie były bardziej przestronne, niż w innych sektorach statku, natomiast ich odgałęzienia odpowiadały niższym pomieszczeniom mieszkalnym.

Keith wcale nie musiał się schylać, lecz robił to w jakimś atawistycznym odruchu. I jeszcze to powietrze: suche i gorące.

Znalazł wreszcie pokój, którego szukał. Drzwi oznaczono charakterystycznym symbolem z żółtych światełek, przedstawiających zarys prostokąta z małymi kółkami pod spodem. Lansing nigdy w życiu, nie licząc muzeum, nie widział pojazdu szynowego na kołach, lecz piktogram faktycznie wyglądał jak starodawna dreżyna. - FANTOM, daj jej znać, że tu jestem - rzucił w eter.

Czujnik komputera zaświergotał w odpowiedzi i po chwili, za zgodą Dreżynki, drzwi się rozsunęły.

Kwatery mieszkalne Ibów nie były adekwatne dla ludzkich standardów mieszkalnych. Po pierwsze: pokój wydawał się zbyt obszerny. Biuro Lansinga miało powierzchnię osiem na dziesięć metrów. Wbrew pozorom powierzchnia mieszkalna Ibów nie przekraczała tej normy. Nie posiadała po prostu oddzielnej sypialni a podłogę pokrywała mocna, gumowana wykładzina.

W ojczystym świecie Ibów przed nastaniem ery przemysłowej nie istniały domy, lecz bywały sytuacje, w których rama oraz inne części składowe musiały pozwolić kółkom na tymczasowe odłączenie i pozostać na miejscu.

Dreżynka posiadała imitację takiego kopczyka w kącie swojego gabinetu, lecz służyła ona jedynie jako zabytkowa ozdoba.

Dla Keitha dekoracje ścian były chaotyczne i co najmniej dziwaczne. Jakies fasolowate kształty składające się z wielokadrowych, często zdeformowanych ujęć tego

samego obiektu, fotografowanych pod różnym kątem. Nie miał pojęcia, co przedstawia pierwsze zdjęcie na odległej ścianie, jednak doznał szoku, gdy zdał sobie sprawę, że zdjęcia umieszczone nieco bliżej przedstawiają ludzkie i waldahudeńskie płody z jeszcze nie ukształtowanymi w pełni kończynami i dziwacznymi półprzezroczystymi głowami w różnych fazach rozwoju. Mimo że, Drezynka była biologiem i obce formy życia stanowiły główny przedmiot jej fascynacji, wybór takiej dekoracji pokoju, jego zdaniem, był co najmniej niesmaczny.

Drezynka wyjechała na powitanie dyrektora z przeciwległego kąta pokoju. Trzeba było mieć stalowe nerwy żeby spokojnie obserwować Ibów, nadjeżdżających z dalszej odległości. Uwielbiali rozwijać maksymalną prędkość i hamować zniemacka tuż przed człowiekiem. Keith nigdy nie słyszał, by ktoś został staranowany przez Iba, lecz zawsze się obawiał, że może być tym pierwszym. Drezynka zamigotała z sympatią.

- Doktor Lansing! Cóż za nieoczekiwany zaszczyt. Proszę, proszę. Nie mogę niestety zaoferować krzesła, a wiem, że ciężenie tu dla was, ludzi, jest zbyt wysokie. Racz jednak skorzystać z mojego wygodnego kocyka. - Ruchem macki wskazała zabytkowy cokolik w rogu pomieszczenia.

Mężczyzna w pierwszej chwili zamierzał odmówić ale, do diabła, podwyższona grawitacja już solidnie dawała mu się we znaki. Ociężałym krokiem przemierzył pokój i przysiadł na brzegu małego nasypu.

- Dziękuję - sapnął z ulgą. Nie wiedział od czego zacząć, zdawał sobie sprawę, jak ciężką obrazą jest dla Iba marnowanie jego czasu.

- Rissa prosiła mnie, abym się z tobą zobaczył. Mówiła, że zamierzasz umrzeć dokonując rozpadu - Keith z miejsca przeszedł do meritum sprawy.

- Kochana, słodka Rissa... - rozczuliła się Drezynka. - Jej troska mnie wzrusza. Lansing z zakłopotaniem lustrował otoczenie.

- Chciałbym, żebyś wiedziała - rzekł ciszej po krótkim namyśle - że wcale nie musisz tego robić. Nie musisz dokonywać na sobie wyroku... przynajmniej dopóki jesteś na pokładzie *Starplex*. Wszyscy członkowie załogi tego statku należą do składu personelu ambasady w misji dyplomatycznej. Ochronię cię immunitetem poselskim. - Popatrzył z wyczekiwaniem na istotę. Gdyby miała twarz, gdyby miała normalne oczy... Oczy z których mógłby coś odczytać... - Jesteś wzorowym pracownikiem - dodał. - Nic nie stoi

na przeszkodzie, żebyś pełniła swoje obowiązki na pokładzie *Starplex* do końca swojego naturalnego cyklu życiowego.

- To miło z pańskiej strony, doktorze Lansing. Bardzo miło. Jednak muszę być uczciwa wobec samej siebie. Proszę zrozumieć, że chociaż nikomu nie wspominałam o mojej nieuchronnej autodestrukcji, przygotowałam się do tego mentalnie i psychicznie przez lata, przez wieki. Rozplanowałam szczegółowo rozkład moich obowiązków dokładnie do tego momentu. Nie wiedziałabym nawet, co począć z dodatkowymi pięćdziesięcioma latami

- Mogłabyś kontynuować swój eksperyment. Kto wie? A gdyby dodatkowe pół wieku badań nad problemem nieśmiertelności przyniosłoby korzyść również tobie? Mogłabyś nigdy nie umrzeć.

- Wieczność wyrzutów sumienia, doktorze Lansing? Wieczność poczucia winy i wstydu? O nie, dziękuję. Bezwzględnie podporządkowałam się mojemu nieuniknionemu przeznaczeniu.

Keith przez moment milczał, trawiony wewnętrzną rozterką. Argumenty i kontrargumenty ścierały się w jego głowie. Zmienić taktykę? Zmienić podejście? W końcu dał temu spokój. Nie powinien się wtrącać. Ta sprawa nie wchodziła w zakres jego obowiązków. Ze zrozumieniem skinął głową.

- Czy przynajmniej mógłbym coś dla ciebie zrobić, zanim podejmiesz ten dramatyczny krok? Czy potrzebujesz na przykład jakichś specjalnych ulg czy ekwipunku?

- To ceremonia - odparła Drezyńska. - Zwykle dokonuje się jej w samotności. U nas, na Monotonii, inni Ibowie zwykle w niej nie uczestniczą. Oznaczałoby to zwiększenie poczucia winy skazanego o ich osobisty, zmarnowany czas. Wierzę jednak, że tutaj przybędą moi najbliżsi przyjaciele. W związku z tym miejsce naszego ostatniego spotkania nie musi być duże. Skoro pozwalasz mi dokonać wyboru prosiłabym, o ile to możliwe, o udostępnienie mi jednej ze służ cumowniczych na odprawienie ceremonii. Gdy rytuał się dokona, niech bioczęści mojego ciała powędrują prosto w przestrzeń kosmiczną.

- Jeżeli tylko o to prosisz... Zgadzam się, oczywiście - odparł cicho dyrektor.

- Jestem panu wdzięczna, doktorze Lansing. Dozgonnie wdzięczna.

Keith odwrócił wzrok, szybko wstał i ruszył do wyjścia. Odszedł pochyłym

zimnym korytarzem w kierunku drzwi wiodących do sektorów ZOO w strefie centralnej. Zazwyczaj, gdy opuszczał obszar mieszkalny Ibów, powracając do rejonów o niższej grawitacji, czuł się odprężony, leciutki jak piórko. Lecz nie tym razem.

- Pulsacja tachionów! - oznajmił nieoczekiwanie Rombus ze swojego stanowiska operacyjnego OpZ. - Coś przechodzi przez skrót. Mały obiekt o wymiarach mniej więcej metr na metr „Pewnie watson” - pomyślał Keith. - Daj go na wizję, Rombus.

Fragment sferycznego holo ograniczony błękitną linią, przedstawiał teleskopowe powiększenie obiektu wystrzelonego przez skrót. - Witaj w domu! - rzucił Thor z szerokim uśmiechem.

- Niech ktoś lepiej wezwie Heka albo Shanu Azmiego - zdecydował dyrektor.

- Zrobione! - oświadczyła po chwili Lianna. - Już są w drodze.

Główne wejście rozsunęło się i specjalista od stosunków ludzko-waldahudeńskich wkroczył na mostek. Niemal równocześnie rozsunęły się tylne drzwi za galerią dla audytorium i nadbiegł Shahinshah Azmi, jeszcze w sportowym podkoszulku i z rakieta tenisową w ręku. Keith triumfalnie wskazał na ekran - Spójrzcie tylko, co do nas wróciło! Czworo oczu Waldahudena rozszerzyło się ze zdumienia. - To... To nie do wiary! - wysapał.

- Rombus - rzucił Lasing. - Sprawdź czy jest nieszkodliwy. Jeśli tak, przyholuj go z pomocą ramion emitera do służby szóstej. - Skanuję... nic groźnego. Wysyłam manipulatory.

- Nie zapomnij o polu siłowym, gdy wciągniesz go na pokład. - Z całym szacunkiem - nie zapomnę.

- Szkoda, że nie przyleciał tydzień temu... - mruknął Azmi. - Dlaczego? - zaintrygowała się Rissa.

- Oszczędziłby nam całej roboty. - Mrugnął, a kobieta wybuchła śmiechem.

- Shanu, Hek, co powiecie na małą wyprawę do szóstej? - zaproponował Lasing. - Idę z wami - energicznie oświadczyła Rissa.

- Wyświadczysz nam zaszczyt, o pani! - Keith skłonił się ze śmiechem.

We czwórkę ruszyli do służby cumowniczej. Tam przystanęli, odgradzeni zaporowym polem siłowym. Sześcian wpłynął do hangaru niesiony przez niewidzialne ramiona emiterów. Gdy osiadł na platformie, otoczyło go pole ochronne, segmentowane

grodzie śluzy wysunęło się z sufitu, odcinając komorę od przestrzeni kosmicznej. Komputer przywrócił warunki, umożliwiające badaczom wejście do środka i dokładne obejrzenie przedmiotu.

Kapsuła przemierzyła otchłanie eonów. Jej powierzchnia sprawiała wrażenie wyszorowanej stalową wełną, mimo to wszystkie wygrawerowane symbole prostego przekazu pozostały nietknięte. Była widoczna jedynie treść ich własnej przesyłki, gdyż Rombus osadził urządzenie w takiej pozycji, że oczekiwana odpowiedź znalazła się pod spodem.

- FANTOM - z niecierpliwością polecił dyrektor. - Zmień położenie sześcianu w poziomie o ćwierć obrotu tak, aby była widoczna powierzchnia podstawy.

Wysięgnik emitera obrócił czasową kapsułę. Na ścianie, gdzie pozostawiono miejsce na odpowiedź, widniały czarne symbole na białym tle, w niepojęty sposób wtopione w gładką, kwadratową powierzchnię. - Bogowie! - wychrypiął Hek. Rissa otworzyła usta, niezdolna wydobyć słowa. Keith stanął jak wryty.

Przy samej górnej krawędzi nadesłanego przekazu czerniał ciąg zwykłych, arabskich cyfr: 10-646-397-281

Natomiast pod spodem widniała krótką wiadomość w języku angielskim, o takiej treści:

„Zawracanie gwiazd w czasie jest konieczne i niegroźne. Przyniesie korzyść nam wszystkim. Nie obawiajcie się”.

Poniżej, nieco mniejszymi literami, napisano imię i nazwisko: „Keith Lansing”... - To nie do uwierzenia - wykrztusił Keith.

- Hej, spójrzcie tylko! - szczechnął Hek, przysuwając pysk do sześcianu i badając tekst z miną znawcy. - To nie jest prawidłowy zapis, prawda?

Keith bacznie zlustrował pismo. Faktycznie, druk który powinien być pochylony w prawo, pochylał się w lewo. Podobnie jak charakterystyczne w angielskim apostrofy.

- A co to za seria numerów na samej górze? - zainteresowała się Rissa.

- Wygląda jak rejestracja statku kosmicznego - zaryzykował dyrektor, ale Hek stanowczo zaprzeczył.

- Ależ skąd. To symbol matematyczny. Może oznacza... No, powiedzmy... Centralny Komputer? Kobieta z namysłem powoli pokręciła głową.

- O, nie. To nie tak. Gdy ludzie piszą list, właśnie w tym miejscu umieszczają datę...

- Ale w jaka jest kolejność w skali czasu? - niecierpliwił się Waldahuden. - Najpierw godzina, potem dzień, następnie miesiąc i na końcu rok? Zupełnie nie pasuje. A może w odwrotnej kolejności? Na przykład dziesięć lat, potem sześćset czterdzieści sześć dni... Też kompletna bzdura. Wasz ziemski rok ma przecież tylko czterysta dni, czy coś takiego.

- Nie - głos Rissy zadrżał. - Prawda jest inna. To rok. Cały ciąg cyfr, który widzimy to data roku nadania. Dziesięć miliardów, sześćset czterdzieści sześć milionów, trzysta dziewięćdziesiąt siedem tysięcy, dwieście osiemdziesiąt jeden... - Lat?! - parsknął Hek.

- Lat - potwierdziła w zadumie i dodała: - Ziemijskich lat. Tego właśnie... Roku Pańskiego od narodzin Chrystusa, proroka.

- Wiele już w życiu widziałem sposobów ludzkiego zapisywania liczb - nie dawał za wygraną Hek. - Wiem dobrze, że rozdzielacie dla ułatwienia wielkie liczby na grupy tysięczne. Mój naród robi tak samo, z tym, że grupuje je po dziesięć tysięcy. Jednak z tego, co pamiętam, używacie tych... no, jak im tam? Tych zakręconych ogonków...

- Przecinków. Stosujemy przecinki albo przerwy - poprawiła Rissa. Ledwie trzymała się na nogach, z wysiłkiem zrobiła parę kroków i wsparta o ścianę służy obrzuciła towarzyszy błędnym spojrzeniem.

- Ale... - wyszeptała. - Ale żeby język angielski przetrwał do epoki, oddzielonej tak ogromną przestrzenią czasową? Aby był aktualny po milionach, miliardach lat, odkąd... - tu zerknęła na męża - ktokolwiek używał tego języka? Doprawdy, można im wybaczyć, że zapomnieli sposobu zapisywania wielkich liczb, kierunku nachylenia druku czy prawidłowego stawiania apostrofów. - To jakaś mistyfikacja - zaoponował Keith.

- Wcale nie. Wszystko pasuje jak ulał - wykrzyknął zniemacka milczący dotąd Azmi, wymachując podręcznym skanerem. - Wbudowaliśmy w strukturę naszego sześcianu kilka pierwiastków promieniotwórczych o niezwykle długim czasie rozpadu. Nasza kapsuła liczy sobie teraz dziesięć miliardów lat ziemskich, z dokładnością plus minus dziewięćset milionów. Jediną metodą na sfalszowanie danych byłoby stworzenie konstrukcji o tych samych parametrach, przy zastosowaniu odpowiednich izotopów w

identycznym stosunku i proporcji, aby uzyskać tak oczywisty wiek. Lecz wszystko, co do najdrobniejszych detali, wskazuje, że to nasza własna kapsuła. Różni się jedynie otartą powierzchnią i, oczywiście, stopniem radioaktywnego rozpadu.

- A moje nazwisko, tu pod spodem, to co? - Lansing oskarżycielsko wskazał palcem na podpis. - Czy to nie oczywista pomyłka?

- Być może twoje nazwisko będzie nierozdzielnie kojarzone ze *Starplex* - mruknął Hek. - W końcu jesteś pierwszym dyrektorem, choć szczerze mówiąc my, Waldahudeni, zawsze byliśmy zdania, że przypisujesz sobie zbyt wiele zasług. A może to żaden podpis, tylko adres, czy coś w rodzaju pozdrowienia...

- Nie - ucięła kategorycznie Rissa. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w męża, a jej głos dygotał z wrażenia. - To naprawdę od ciebie.

- Ależ... Czyś ty oszalała?! - Keith stracił nad sobą panowanie - Nie ma żadnych szans, abym mógł żyć za dziesięć miliardów lat.

- Z wyjątkiem efektu relatywistycznego - wtrącił Hek. - Albo powtórnego wskrzeszenia.

- Albo... - wyjąkała roztrzęsiona Rissa i słowa uwięzły jej w gardle. Mąż spojrzał na nią zaczepnie. - Tak? Lecz kobieta już biegła w stronę wyjścia ze śluzy. - Gdzie biegniesz? - zaszczekał Waldahuden.

- Muszę znaleźć Drezynkę! - odkrzyknęła od progu. - Chcę jej powiedzieć, że wynik naszych eksperymentów nad przedłużeniem życia ma szansę prześcignąć najbardziej szalone marzenia! ZETA DRACONIS Szklisty podniósł się z poletka koniczyny.

- Jak sądzę potrzebujesz nieco wypoczynku - rzekł. - Niedługo tu powrócę.

- Poczekaj! - zatrzymał go Keith. - Należy mi się pewne wyjaśnienie. Chcę wiedzieć kim jesteś. Kim naprawdę jesteś. Obcy nie odpowiedział, tylko z lekka przekrzywił głowę. Mężczyzna z desperacją zerwał się na nogi.

- Mam prawo wiedzieć. Odpowiedziałem na każde twoje pytanie. A teraz bądź łaskaw odpowiedzieć na to moje jedno jedyne pytanko.

- Sam tego chciałeś, Keith - odparł spokojnie przybysz, splatając ręce na piersi. - Jestem tobą, Gilbertem Keithem Lansingiem, ale z odległej przyszłości. Nawet nie masz pojęcia, jak długo łamałem sobie głowę, żeby sobie przypomnieć, co oznacza to cholerne

„G” w nazwisku. Lansingowi opadła szczęka.

- Ty... Nie, to niemożliwe. Nie możesz być mną - wyjąkał.

- Och, to prawda, zapewniam cię. Jestem tobą. Tylko... no cóż, troszkę starszym. - Szklisty z dźwięcznym śmiechem przesunął opuszkami palców po gładkiej, przejrzystej czaszce. - Widzisz? Całkiem wyłysiałem. Oczy Keitha zwięzły się podejrzliwie.

- Z jak odległej przyszłości pochodzisz? Oczywiście według aktualnego czasu?

- Jak sobie życzysz. - Ton głosu obcego był wprost delikatny. - Twój aktualny czas pozostał za nami. Jesteś w mojej teraźniejszości. Bardziej odpowiednie byłoby pytanie z jak odległej przeszłości ty pochodzisz. Lansing zachwiał się niebezpiecznie.

- Chcesz mi wmówić... Chcesz powiedzieć, że teraz nie jest 2094? - wydyszał. - Dwa tysiące dziewięćdziesiąt cztery czego?

- Rok ziemski 2094. Dwa tysiące dziewięćdziesiąty czwarty Anno Domini - czyli 2094 rok pański po narodzinach Chrystusa.

- Kogo? Ach, poczekaj. Mój czytnik pamięciowy już zadziałał. Pozwól mi to przemyśleć. Znam rok bieżący liczony od chwili narodzin wszechświata lecz... Tak! Według twoich standardów odliczania jest rok dziesięć miliardów sześćset czterdzieści sześć milionów trzysta dziewięćdziesiąt siedem tysięcy, dwieście osiemdziesiąt pierwszy.

Keith zatoczył się o pół kroku w tył pod wpływem nagłego olśnienia. - To ty odesłałeś naszą kapsułę czasową - wyszeptał. - To prawda. - A jak... Jak ja się tu znalazłem?

- W chwili, gdy twój pojazd przeniknął skrót zamknąłem cię w strefie zastoju. W przestworzach wszechświata mijał czas... lecz nie dla ciebie. Wreszcie musiał nadejść ten rok, gdy zdjąłem blokadę. Nie obawiaj się jednak. Zamierzam odesłać cię tam, skąd przybyłeś. - Szklisty zrobił krótką przerwę. - Czy pamiętasz tę różową mgławicę, którą ujrzaleś, gdy przeszedłeś przez portal? - zapytał. - To wszystko, co pozostało z gwiazdy zwanej Słońcem. Keith wytrzeszczył oczy z przerażenia i rozdziawił usta.

- Nie denerwuj się - pospieszyło z pociechą domniemane wcielenie. - Nikt nie odniósł najmniejszej szkody, gdy słońce przeszło w nową, wszystko zostało perfekcyjnie zaaranżowane i dopracowane. Widzisz, gwiazda tego typu w sposób naturalny nigdy nie transformuje w nową. Najwyżej może przeistoczyć się w białego karła. Lecz my lubimy

być praktyczni. Rozsadziliśmy Słońce, a jego metaliczne pierwiastki wzbogaciły międzygwiazdną przestrzeń. Lansing czuł jeden wielki zawrót głowy.

- A jak... jak zamierzacie przenieść mnie z powrotem do mojego czasu? - jęknął.

- Przez skrót, oczywiście. Komunikacja czasowa w przeszłość działa szybko i bez zarzutu. Nie potrafimy jedynie transferować w przyszłość. To właśnie dlatego musieliśmy cię tu sprowadzić w strefie zastoju, trwającej ponad dziesięć miliardów lat. Jak na ironię, fakt przemieszczenia w czasie w przód, a nie wstecz, prowadzi do nierozwiązywalnych paradoksów i jednocześnie dowodzi, że to niemożliwe. Odeślemy cię z powrotem do punktu wyjścia. Nie musisz się zamartwiać, że opuściłeś przyjaciół w potrzebie. Bez względu na to, jak wiele godzin wspaniałomyślnie nam poświęciłeś, zostaniesz przeniesiony do Tau Ceti w oczekiwanym przez siebie czasie. - To niemożliwe! Szklisty lekko wzruszył ramionami. - To siła nauki - rzekł krótko. - Magia... - wyszeptał Keith. Jego przyszły sobowtór powtórzył poprzedni gest. - To jedno i to samo - stwierdził z cichym śmiechem.

- Ale... Ale... - człowiek plątał się w słowach - jeżeli naprawdę jesteś mną, jeśli rzeczywiście pochodzisz z Ziemi, to po co ten cały cyrk? Dlaczego stworzyłeś tę symulację? - Co takiego?

- Symulację Ziemi. Aż roi się w niej od błędów. Całe pola czterolistnej koniczyny, która jest unikalnym, spotykanym pojedynczym okazem mutanta. Do tego ptaki, jakich jeszcze w życiu nie widziałem. Odpowiedziała mu kaskada perlistego śmiechu.

- Och, to moja wina - wyjaśnił pogodnie Szklisty. - Stworzyłem symulację w oparciu o kilka naszych ocalałych, starożytnych nagrań, lecz byłem prawdopodobnie trochę rozkojarzony. Pozwól, że zajrzę w mój czytnik pamięciowy... Ha, jasne, mój błąd. To naprawdę doskonale odtworzona imitacja Ziemi, ale milion dwieście tysięcy lat po twoim urodzeniu. Rośliny i zwierzęta, uznane przez ciebie za ewenement, to gatunki, które za twoich czasów jeszcze nie istniały. Na dobrą sprawę nie rozpoznalbyś również gwiazdnych konstelacji, gdybym z stworzył symulację nocy.

- Dobry Boże - westchnął Keith. - Że też nawet nie pomyślałem o ewolucji. Jeśli jesteś dziesięć miliardów lat starszy ode mnie, w takim razie jesteś też starszy od każdej współczesnej mi formy życia na Ziemi. Szklisty twierdząco skinął głową.

- Za twoich czasów formy ziemskiego życia miały za sobą cztery miliardy lat

ewolucji. Lecz obecnie istoty żywe na tej planecie są ewolucyjnym produktem czternastu miliardów lat. Nigdy byś nie uwierzył, jaki poziom rozwoju osiągnęły morskie ukwiały czy bakterie powodujące koklusz. A tak na marginesie, kilka dni temu jadłem lunch z kimś, kto ewoluował od bakcyła koklusu. - Żartujesz! - Nie żartuję. Keith ścisnął rękami skronie. - Przecież to niemożliwe... - jęknął.

- Możliwe. To tylko kwestia czasu. Długiego, nieprawdopodobnie długiego czasu. Mężczyzna opuścił ręce.

- A co z ludźmi? - szepnął prawie błagalnie. - Czy nadal się rodzą? Czy mają dzieci? Czy zrezygnowali z tego, gdy odkryto drogę do nieśmiertelności?

- Nie, Ludzkość kontynuowała cykl rozwoju i przemian. Nowi ludzie, którzy ewoluowali przez ostatnie dziesięć miliardów lat, mają niewiele wspólnego z tak starożytnym człowiekiem, jak ja. Są... zupełnie inni.

- Jednak jeżeli ty jesteś mną, dlaczego tak się zmieniłeś? Mam na myśli twoje przejrzyste ciało. Szklisty wzruszył ramionami.

- Czysta technologia. Ciało z krwi i kości, jako takie, dawno poszło w niepamięć. A tak na marginesie, mogę przekształcać własną cielesną powłokę jak tylko mi się spodoba. Przezroczysty jest teraz w modzie. Swoją drogą uważam, że ten odcień akwamaryny jest całkiem elegancki, nie uważasz?

XVI

Rissa, Hek i pozostały skład specjalistycznej ekipy do spraw kontaktów z obcą inteligencją kontynuowali wymianę informacji z matmatem, nazwanym Kocie Oko. Dialog stał się bez porównania bardziej płynny z chwilą, gdy w translacyjnej bazie danych zarejestrowano więcej nowych słów i pojęć, oraz ustalono znaczenie terminów zapisanych wcześniej. Gdy Keith ponownie zjawił się na mostku, zastał żonę całkowicie pochłoniętą dialogiem, najwyraźniej natury filozoficznej, z olbrzymią istotą. Cały skład alfa był pogrążony w pracy. Jedynie stanowisko OpZ było puste. Rombus przebywał gdzieś na zewnątrz. Jego obowiązki przejął delfin, pływający w otwartym basenie, umieszczonym po prawej stronie sali.

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy z twojej świadomej egzystencji - mówiła Rissa do mikrofonu wmontowanego w pulpit konsoli. - Wykryliśmy istnienie w pobliżu wielkiego

skupiska niewidzialnej materii z powodu efektów grawitacyjnych, lecz nie wiedzieliśmy, że jest żywa.

- Dwa typy materia - odparł matmat ze swym staroświeckim francuskim akcentem, nadanym mu przez FANTOMa.

- Tak. - Rissa podniosła wzrok i pomachała mężowi ręką na powitanie.

- Nie oddziaływanie ostre - mówił dalej Kocie Oko. - Tylko grawitacja to samo.

- Zgadza się - potwierdziła. Obraz na wielkim hologramie ukazywał ogromną istotę unoszącą się przed audytorium. - Większość jak my - oznajmił obcy.

- Olbrzymia większość całej materii jest taka, jak wy. To prawda - odparła Rissa. - Ignorowanie was. - Wy nas ignorowaliście? - Jesteście nieistotni.

- Czy byliście świadomi istnienia form żywych z naszego typu materii?

- Nie. Bez wypadku szukania życia na planetach. Zbyt mali jesteście.

- Chcieliśmy nawiązać z tobą współpracę - zaryzykowała Rissa. - Współpraca?

- Dla wzajemnej korzyści. Jeden plus jeden równa się dwa. Ty plus my równa się więcej niż dwa. - Rozumiem. Więcej niż suma części. - Dokładnie tak - Rissa uśmiechnęła się z ulgą. - Współpraca uzasadniona.

- Czy macie słowo określające tych, co podejmują współpracę, dającą obopólne korzyści?

- Przyjaciele - rzekł matmat, a FANTOM przetłumaczył słowo, które zostało po raz pierwszy zapisane. - Nazywamy ich przyjaciele. - Jesteśmy przyjaciółmi - zapewniła Rissa. - Tak.

- Czy ten rodzaj materii, z jakiego jesteście stworzeni, a który my nazywamy ciemną materią, cały posłużył na budowę istot żywych? - Nie. Tylko drobny ułamek.

- Jednak, jak powiedziałeś, żywa ciemna materia istnieje w tym miejscu od bardzo długiego czasu. - Od początku.

- Od początku czego? - pani biolog miała prawdziwą naturę badacza.

- Od - przerwa - stworzenia wszystkich gwiazd - zdecydował Kocie Oko.

- Od prapoczątków wszystkiego? My nazywamy to wszechświatem. - Od początku wszechświata - zgodził się matmat.

- Tu natrafiliśmy na interesujący punkt w dyskusji - zauważył Jag. - Sam fakt, że wszechświat miał początek. Miał, oczywiście, lecz kto może o tym poświadczyć? Zapytaj

go. Rissa pochyliła się nad mikrofonem. - Jaki był wszechświat na samym początku?

- Ściśnięty - bez namysłu odparł Kocie Oko. - Najmniejszy z najmniejszych.

Jedno miejsce, bez czasu.

- Praatom - szczechnął Jag. - Fascynujące. Wszystko się zgadza, tylko zachodzę w głowę, jak taki stwór mógł to wydedukować?

- Korzystają z łączności radiowej - przypomniała Lian - na, odwracając się do Waldahudena ze stanowiska OpW. - Prawdopodobnie doszli do odpowiednich wniosków tą samą drogą, co my: badając kosmiczne mikrofalowe promieniowanie tła i poczerwienienia widma szumów radiowych z odległych galaktyk. Jag chrząknął coś i zamilkł. Rissa kontynuowała swój dialog.

- Powiedziałeś, że ani ty sam, Kocie Oko, ani cała, zebrana tu grupa matmatów nie jest aż tak sędziwa. Skąd możesz wiedzieć, że wasze życie wzięło początek wraz z początkiem wszechświata i trwa aż do teraz? - Musiało - rzekł krótko obcy. Jag prychnął z pogardą.

- Filozofia - parsknął - a nie żadna nauka. Oni po prostu chcą w to wierzyć.

- My, bynajmniej, nie istniejemy tak długo - powiedziała Rissa do mikrofonu. - Nie natrafiliśmy do tej pory na jakiegokolwiek przejawy życia z naszego typu materii starsze niż cztery miliardy lat. - FANTOM przetworzył lata ziemskie na jakieś jednostki czasowe, które matmat mógł zrozumieć. - Powiedziano wam wcześniej. Jesteście nieistotni. Jag podniósł pysk w górę.

- Pytanie: Od czego się wywodzi przetłumaczone słowo „nieistotni”? - zaszczekał nerwowo do FANTOMa.

- Matematycznie - wyjaśnił komputer, dobierając dla każdego z osobna odpowiedni język - przyjęliśmy założenie, że różnica pomiędzy 3,7 a 4,0 jest „istotna” natomiast różnica pomiędzy 3,99 a 4,00 jest „nieistotna”.

- W takim kontekście sens tego słowa można wyrazić inaczej. Na przykład bardziej metaforycznie. „Nieistotność” oznaczałaby „późniejsze pojawienie się” - stwierdził Waldahuden, zwracając się do Rissy. Thor odchylił głowę, zerkając na niego przez ramię. - Nie bardzo lubimy dostawać po uszach, co? - huknął.

- Nie próbuj mnie obrażać ty... człowieku! - zjeżył się Jag. - To chyba jasne, że musimy być ostrożni, dobierając znaczenie dla obcych słów. Poza tym niewykluczone, że

ma na myśli próbnik sygnalizacyjny, który ma najwyżej pięć metrów długości, może więc faktycznie zostać uznany za nieistotny.

Clarissa przyznała mu rację i ponownie przemówiła do mat-mata.

- Kiedy mówisz, że jesteśmy nieistotni - czy masz na myśli nasze rozmiary?

- Nie rozmiar mówiącej części. Nie rozmiar części, która wysłała mówiącą część.

- Aleśmy go przechytrzyli! - zarechotał Thor. - Nasz przyjaciel doskonale wie, że sonda została wysłana ze statku.

Rissa zakryła ręką sitko mikrofonu. Ten gest był dla FANTOMa jednoznacznym sygnałem do tymczasowego wstrzymania transmisji. Jednak po chwili zmieniła zdanie.

- To już i tak nie ma znaczenia - mruknęła do siebie i cofnęła rękę.

- Czy dlatego jesteśmy nieistotni, że nasza egzystencja nie ma tak długiej historii jak wasza?

- To nie kwestia upływu czasu. To kwestia czasu absolutnego. Jesteśmy tu od początku, wy nie. Wniosek: my jesteśmy istotni, wy nie. To oczywiste.

- No proszę. Jak mogłem o tym zapomnieć - rzekł Keith z udaną powagą. - Ale grzeczni chłopcy nie chcą być pierwsi, tylko lepsi. Rissa ponownie zakryła mikrofon, patrząc wymownie na męża.

- Weź pod uwagę, że filozofia, w razie czego, jest naszą najmocniejszą stroną. Nie chciałabym obrazić go przez przypadek, ani dać mu powodu do zerwania kontaktu.

Lansing w milczeniu skinął głową, dając tym samym znak do ponownego nawiązania dialogu.

- Przypuszczalnie istnieją inne kolonie matmatów - zagadnęła. - Miliardy kolonii - brzmiała odpowiedź. - Czy jesteście z nimi w kontakcie? - Tak.

- Sygnały radiowe mają niewielki zasięg i są zbliżone do częstotliwości mikrofalowego promieniowania tła. Nie powinny być wykrywalne z dalekiego zasięgu. - To prawda.

- W takim razie jak porozumiewacie się z innymi gromadami matmatów?

- Radio pierwsze dla miejscowej rozmowy. Radio drugie dla rozmowy z innymi grupami. Lianna zrobiła wielkie oczy i odwróciła się w stronę Rissy.

- Czy mnie słuch nie myli? Czy on właśnie powiedział, że matmaci są naturalnymi nadajnikami hiperprzestrzennych fal radiowych? - Przekonajmy się - odparła

Rissa. - Radio pierwsze nadaje z prędkością światła, zgadza się? - Tak. - Radio drugie nadaje szybciej od światła, tak? - Tak.

- Jezu - mruknął Keith. - Jeżeli korzystają z hiperprzestrzennego radia, dlaczego nie natrafiliśmy na ich sygnały wcześniej?

- W hiperprzestrzeni istnieje nieskończona ilość poziomów radiowych - wyjaśniła Lianna. - Każda z ras Wspólnoty posiada radio hiperprzestrzenne nie dłużej niż piętnaście lat, a cała Wspólnota nadaje jedynie na ośmiu tysiącach pasm. Prawdopodobnie nigdy byśmy nie natrafili na którąś z częstotliwości, używanych przez matmatów. - Ponownie spojrzała na Rissę. - Porozumiewanie się hiperprzestrzenną drogą radiową wymaga olbrzymich ilości energii. Dobrze by było poruszyć ten temat. Może mają sposób na porozumiewanie się przy wykorzystaniu o wiele mniejszych mocy. Rissa skinęła głową.

- My również używamy podobnego typu radia. Czy możesz powiedzieć więcej, na jakiej zasadzie działa wasze?’

- Powiem wszystko - odrzekł Kocie Oko. - Lecz niewiele do mówienia. Myślimy w jeden sposób, myślenie jest prywatne. Myślimy inaczej, myślenie nadaje radio pierwsze. Myślimy trzecią, najtrudniejszą drogą, myślenie jest transmitowane przez radio drugie. Keith wybuchnął śmiechem.

- To tak, jakby spytać człowieka, jak działa mowa. Po prostu mówimy, to wszystko. To jest...

- Przepraszam, że przerywam, doktorze Lansing, lecz polecił mi pan przypomnieć sobie i doktor Cervantes o państwa umówionym spotkaniu o godzinie 14:00. Lansing posmutniał w mgnieniu oka.

- O cholera... - mruknął pod nosem. - Cholera jasna... - znacząco spojrzał na żonę. - Zbieramy się, kochanie. Rissa tylko skinęła głową.

- FANTOM, sprowadź na dół Heka, żeby kontynuował dialog z Kocim Okiem - poleciła.

Gdy tylko nadszedł Hek obydwoje wstali ze swoich stanowisk i opuścili salę.

Lansingowie wyszli z windy i skierowali się do nadnaturalnie szerokich drzwi, oznaczonych jaskrawopomarańczowym numerem 20. Blokada puściła. Weszli, a odgłos ich kroków rozbrzmiewał echem w pustym korytarzu. Keith doskonale znał ten dźwięk. Nieodłącznie przypominał mu stukot butów z ostrogami na twardej podłodze saloonu ze

starych westernów.

Większość grodzi na *Starplex* rozsuwała się na obie strony, lecz te drzwi były jednocześnie, a ich płaszczyzna w chwili otwarcia znikła w lewej ścianie, odgradzając przechodzących od widoku otwartego, sztucznego morza.

Rissa chciała coś powiedzieć, lecz widok który zobaczyła totalnie ją zamurował.

Ponad stu Ibów wjechało do śluzy, posuwając się w górę po oddzielnych torach, tworząc coś w rodzaju parkingu dla wózków inwalidzkich.

- FANTOM, ilu właściwie ich jest? - zapytał Lansing ścisząc głos.

- Dwustu dziewięciu, proszę pana - odparł główny komputer. - Ścisła czołówka Zintegrowanych Bioistnień. Rissa z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Przecież powiedziała, że zaprasza tylko najbliższych przyjaciół... - szepnęła.

- Cóż, kochanie. - Keith zdecydowanie wkroczył do pomieszczenia. - Drezynka zawsze była bardzo uczuciowa. Chyba wszyscy Ibowie na *Starplex* uważali ją za bliską przyjaciółkę.

Oprócz nich było obecnych tylko sześcioro ludzi. Wszyscy należeli do naukowo badawczego personelu sekcji egzobiologii. Znalazł się nawet jeden Waldahuden, ale skąd? Tego nawet Keith nie wiedział. Niecierpliwie zerknął na zegarek. 13:59:47. Najwyższy czas.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie - rozległ się przetworzony głos Drezynki we wszczepionym translatorze w uchu Lansinga. I tak w miarę łatwo ją zrozumiał. Sekwencja migotania siatki sensorycznej nie sprawiała trudności. Nic nadzwyczajnego. W każdym razie nie dla Keitha. FANTOM prznosił znaczenie słów przez bezpośrednie połączenie nerwowo słuchowe lewego ucha. Prawe nie słyszało nic - być może ze względu na grobowe milczenie zgromadzonych w pomieszczeniu Ibów.

Drezynka była oddalona od Lansingów co najmniej o piętnaście metrów. Na opancerzonych grodziach śluzy FANTOM wyświetlał olbrzymią, holograficzną projekcję Drezynki, aby jej wszyscy współpracownicy mogli zrozumieć słowa skierowanego do nich przekazu. Jeden z szczegółów był ewenementem. Barwa jej błysków przechodziła w jaskrawą zieleń. Keith nie miał wcześniej okazji zaobserwować tego koloru emitowanego przez Ibów. Spojrzał pytająco na żonę.

- Nie uważasz, że to oznacza jakieś głębokie przeżycie emocjonalne? - zagadnął. -

Zbyt jest przejęta obecnością członków swojej rasy. Drezynka zamigotała ponownie.

- Wszelkie fragmenty, będące częścią całości - rzekł głos tłumacza - są częścią Jedności. Teraz zaś przekształcą się z dużego w małe. To zobowiązuje, jak zapowiedziano. Oczywiście rytualne słowa Drezynki były skierowane głównie do przedstawicieli jej własnego gatunku. Keithowi wydawało się, że rozumie przynajmniej część przesłania. Chociażby poczucie przynależności Iba jako jednostki do jego wspólnoty rasowej, nawet jeśli chodzi o poszczególne części ciała. Lansing z całego serca chciałby osiągnąć z tymi istotami stopień zrozumienia jaki, co prawda w negatywnym stopniu, łączył go z Jagiem. Jednak w tym przypadku odnosił nieco surrealistyczne wrażenie. Wiedział, że będzie świadkiem cudzej śmierci, lecz nie czuł bólu, czy żalu. A jednak Rissa z trudem powstrzymywała łzy. Być może Drezynka była jej bliższa, niż kiedykolwiek przypuszczał.

- Droga wolna - stwierdziła Drezynka z pozorną obojętnością. Odtoczyła się od pozostałych o dobre kilkadziesiąt metrów, opuszczając centrum sali. - Właściwie po co to wszystko? - szepnął Keith. Jego żona wzruszyła ramionami, kryjąc wzruszenie i smutek. Mimo to FANTOM przekazał rzeczową odpowiedź.

- To konieczność. W trakcie rozpadu ciała symbiotycznego części składowe, a zwłaszcza kółka, mogą popaść w panikę. Będą szukać ucieczki i dołączyć do organizmu innego Iba. Trzeba odsunąć je na bezpieczną odległość, aby nie zdażyły podjąć takiej próby.

Keith skinął z roztargnieniem, gdyż jego uwagę już przyciągnęło coś innego. Zaczęło się.

Pośrodku hangaru wznosił się tradycyjny cokolik Ibów. Drezynka wjechała nań dostojnie, wnosząc nieco podnośnik, podtrzymujący ramę. Sieć sensoryczna, widoczna doskonale na gigantycznym hologramie jej postaci, wyświetlanym przez FANTOMa, przybrała barwę jaskrawopurpurową, której Keith, podobnie jak uprzedniej, jadowitej zieleni, nie widział nigdy wcześniej. Jasność niezliczonych światełek przybierała na sile, osiągając natężenie porównywalne z rozbłyskiem wybuchu nowej. Następnie światełka blakły, jedno po drugim, aby po dwóch minutach zagasnąć całkowicie.

Rama Drezynki wysunęła się do przodu, siatka sensoryczna pomięta, zsunęła się na podłogę. Keith sądził, że jest martwa - lecz nie. Jakimś ostatnim podrygiem skoczyła

w górę, jakby poderwana zdecydowanym szarpnięciem ręki, lecz kolory jej światełek zagasły, przypominała zatem bardziej zwykły, nylonowy woal, który opadł bezwładnie na ziemię.

Jednak Drezyńska nadal żyła. Minął czas, potrzebny na unicestwienie lśniącego dawniej płaszcza. W ludzkim pojęciu uchodziła teraz za ślepa i głucha (co prawda posiadała nieznaną człowiekowi, wrodzony magnetyczny zmysł, który został usunięty przez nanochirurgów na jej rodzinnej planecie z powodu zmian grawitacyjnych na pokładzie statku kosmicznego).

W końcu jedno z kół Drezyńskiej odpadło od osi ramy. Każde poturlało się w innym kierunku. System odżywczy, dzięki osi utrzymujący je przy życiu, pozwalał na ich całkowitą od siebie niezależność. Delikatne szprychy, łudzaco podobne do wiotkich, chwytanych macek, bezwładnie wysunęły się z oprawy, zapewniającej niezbędne do życia składniki.

Równie nagle odpadło drugie koło, z chwilą, gdy FANTOM oznajmił, że zaraz to nastąpi, wykonało niekontrolowany obrót i odskoczyło. Zataczając spory okrąg, pomknęło, próbując poniewczasie zawrócić. Należy pamiętać, że każde z kół, jako odrębna forma życia, posiadało własne komórki czuciowe, nie pomijając zmysłu wzroku. Dlatego, póki symbiotyczne ciało macierzyste lub ciało innego Iba znajdowało się w ich polu widzenia, poty szukało z nim kontaktu, aby dokonać zjednoczenia. Bez kółek można było Iba spisać na straty. Jednym ze sławetnych przykładów był dla Keitha niejaki Doktor Motylek. Lansingowi utkwił w pamięci niepowtarzalny widok obcego, z wyciągniętymi przed siebie mackami, ściskającymi z premedytacją lśniąco oksydowaną czernią i srebrem narzędzia chirurgiczne. Ostrza jedynie dotknęły kół, które natychmiast stanęły. Sytuacja trwała nie dłużej niż ułamek sekundy, instynkt samozachowawczy odniósł zwycięstwo i desperacja Iba przerodziła się w nagły spokój. Kółka, rzecz jasna, już bezpieczne, poszły w ruch.

Keith następnie zwrócił uwagę na dramat, rozgrywający się w centrum komory słuzy. Motek, czyli macki Iba, śmignęły po podłodze, kierując się ku zamierającej tkance siatki sensorycznej, podnosząc ją i próbując przywrócić poprzedni stan organizmu. Niestety, mimo że leżała w pobliżu, była martwa. Całkowicie martwa. Co prawda wzniosła się nieco ponad poziom podłoża, lecz jedynym świadectwem jej aktywnego

istnienia było leciutkie migotanie zamierających sensorów. Jedynym odnośnikiem okazała się błękitna pompa, połączona z centrum nerwowym. Keith z fascynacją obserwował jej reakcje oddechowe, uzależnione od ośrodka nerwowego. Po upływie czterdziestu sekund układ nerwowy tracił kontrolę nad pompą. Jej ruchy pozostały jedynie odruchem warunkowym, zależnym od wzrostu ciśnienia w systemie nerwowym. W przedsmaku śmierci pompa spazmatycznie zatrzymywała mieszankę oddechową, rozszerzając się do nadnaturalnych rozmiarów. Wydawała przy tym agonalny dźwięk, porównywalny jedynie do zasuwanego w warunkach dekompresji grodzi śluzu głównej, kojarzący się z ostatnim tchnieniem konającego.

Pozostawał jedynie bąbel, osadzony w okowach siodłowanej ramy.

- Jak długo może przeżyć bąbel bez ramy? - zapytał Keith z czystej, głupiej ciekawości. Risa zwróciła ku niemu oczy pełne łez. - Nie wiem... - szepnęła. - Minutę... Może dwie. Zacisnął kurczowo palce na jej dłoni, nie wiedząc, czy ją przeprasza, czy dzieli jej ból. Trzy minuty - i dokonało się.

Bąbel zgasł w ciszy. Nie towarzyszył temu jakikolwiek ruch czy dźwięk. Mimo to Ibowie najwyraźniej wiedzieli, kiedy było już po wszystkim i, jak jeden mąż, poczęli oddalać się od śluzu. Ich macki były ciemne, nie rozmawiali.

Lansingowie odeszli na końcu. Keith wiedział, że wkrótce trzeba będzie się zatroszczyć o wyrzucenie szczątków Drezyнки w przestrzeń kosmiczną.

Keith rozmyślał nad własną przeszłością. Jeżeli ma w perspektywie życie... Tak nieprawdopodobnie długie życie...Ilu trzeba miliardów lat, aby zapomnieć o błędach przeszłości?

Obydwoje tej nocy cierpieli na bezsenność. Śmierć Drezyнки wstrząsnęła Rissą. Natomiast Lansinga dręczyły własne demony. Leżeli tuż obok siebie wpatrzni w mrok. Rissa ze wzrokiem utkwionym w suficie, Keith wpatrzony w laserowy krążek wokół plastikowej płytki, którą zakrywał tarczę budzika, wmontowanego w pulpit biurka. Nagle usłyszał cichy głos żony. - A jeśli... - szepnęła do siebie. - O co chodzi, kochanie? - zapytał i odwrócił się na plecy. Długo milczała i już chciał ponowić pytanie, gdy Clarissa odwróciła się do niego.

- Jeśli zapomnisz o niektórych zasadach pisania liter lub apostrofów, to czy będziesz pamiętał o mnie... o nas? Masz przed sobą dziesięć miliardów lat. Nie potrafisz

sobie tego nawet wyobrazić.

- To... nie do pojęcia - odparł i z niedowierzaniem pokręcił głową. Teraz on zamilkł na dłużej. - Ludzie zawsze fantazjowali na temat wiecznego życia - rzekł po chwili. - Aczkolwiek „wieczny” brzmi bardziej zachęcająco niż wyznaczanie choćby najodleglejszej daty swojej śmierci. Łatwiej mi się pogodzić z nieśmiertelnością, lecz konkretna perspektywa życia dziesięciu miliardów lat nie mieści mi się w głowie.

- Dziesięć miliardów lat... - powtórzyła Rissa jak echo - Słońce dawno przestanie istnieć. Ziemia będzie martwa - przerwała. - Ja będę martwa.

- Może tak. Może nie. Wszystko może się zdarzyć, jeżeli to efekt eksperymentów nad przedłużeniem życia. Twoje badania, prowadzone tu, na *Starplex* mają ogromne szansę. Poza tym, z jakiej racji miałbym być jedynym człowiekiem, który na nich skorzysta? Być może obydwójce przetrwamy te dziesięć miliardów lat. Rissa najwyraźniej walczyła z myślami.

- Przetrwamy, ale czy będziemy razem - zadała w końcu jedno, dręczące ją pytanie.

- Nie wiem - Keith westchnął ciężko. - To nie mieści się kompletnie w mojej wyobraźni - w tym momencie zrozumiał, że popełnił gafę, więc starał się to naprawić. - Mimo wszystko... Jeżeli stoję w obliczu tak długowiecznej przyszłości, chciałbym spędzić ją razem z tobą.

- Naprawdę chciałbyś? - rozpromieniła się, lecz zaraz dodała z cieniem niepokoju: - Czy sądzisz, że możemy jeszcze doświadczyć nowych wrażeń? Nauczyć się o sobie czegoś nowego po upływie tego czasu?

- Pamiętaj, że być może... nie mamy do czynienia z cielesną egzystencją - przerwał jej Keith z namysłem. - Może moja świadomość została zapisana w pamięci komputera? Przypominasz sobie chyba ten kult na Nowym Nowym Jorku, dążący do stworzenia kopii zawartości ludzkiego mózgu w postaci sztucznej inteligencji? A może... może jednostkowe umysły wszystkich ludzkich istot stały się częścią jednej, gigantycznej super - świadomości, lecz jednocześnie zachowały własną, indywidualną osobowość? Wszystko jest możliwe...

- Nie w tym rzecz, czy pojęcie indywidualności zachowa znaczenie po upływie dziesięciu miliardów lat. Tak wielkiej liczby nie potrafisz nawet ogarnąć myślą, gdyż

masz za sobą zaledwie jedną dwustumilionową wieki, jaki osiągnąłeś, gdy odesłałeś nam zwrotną wiadomość - westchnęła smutno. - Dlaczego wzdychasz? - To nic... - szepnęła. - Nie, słyszałem wyraźnie. Coś cię dręczy.

- Cóż... Ciężko będzie ci przeżyć ten czas w stanie przekwitania, które teraz przechodzisz - wyznała po dobrych kilkunastu sekundach. - Nie chcę być świadkiem tego, co będziesz wyprawiał za, chociażby, pięć miliardów lat...

Keitha zamurowało. Wreszcie wybuchnął nienaturalnym, wymuszonym śmiechem, lecz nie wiedział, co odpowiedzieć.

Zapadła długa, cisza. Wystarczająco długa, by Lansing uznał, że Rissa zapadła w sen. Lecz on sam nie mógł zasnąć pod natłokiem sprzecznych myśli, kłębiących się w głowie.

- Dulcyneo? - wyszeptał tak cichutko, by, w razie czego, jej nie przebudzić. - Hmm? - mruknęła.

Keith zawahał się. Może powinien zostawić ten temat w spokoju, lecz skoro już zaczął... - Wkrótce będzie nasza rocznica. - W przyszłym tygodniu - westchnął głos w ciemności. - To już dwadzieścia lat i...

- Dwadzieścia cudownych lat, kochanie. Zawsze lubiłeś precyzyjne określenia. Zakłopotany mężczyzna znów zareagował sztucznym śmiechem.

- Przepraszam. Masz rację kochanie. Dwadzieścia cudownych lat - przyznał i zamyślił się. - Pamiętam, że zamierzaliśmy tego dnia odnowić nasze ślubowania małżeńskie... - Naprawdę? - spytała nieco uszczypliwie. Lansing wyczuł ironię w jej głosie.

- Och... już nic. Zapomnij, proszę, że cokolwiek mówiłem - rzekł z udaną swobodą. - W każdym razie, jak do tej pory przeżyliśmy obydwójce dwadzieścia cudownych lat, czy mogłoby być inaczej?

W mroku, na tle poświaty budzika Keith widział jedynie zarys profilu Rissy. Dostrzegł tylko, że lekko skinęła głową i zwróciła twarz w jego stronę, próbując uchwycić jego wzrok, spojrzeć mu głęboko w oczy, wyczytać z nich prawdę, poznać, co go tak gnębi. I nagle pojęła wszystko. Odwróciła się do niego plecami i zamarła w bezruchu. - W porządku... - szepnęła prawie nie dosłyszalnie. - O co chodzi, kochanie?

- W porządku. O ile nie chciałeś przez to powiedzieć: „jak długo będziemy żyć

obydwoje”... Były to ostatnie słowa, które zamienili ze sobą tej nocy.

Keith siedział przy swoim stanowisku operacyjnym na mostku. Przed nim, nad pulpitem konsoli, unosiły się cztery holograficzne projekcje jego podwładnych: trojga ludzi i delfina. Dyrektor miał w zasięgu wzroku całą przednią część sali i nie uszło jego uwagi, że w pewnej chwili drzwi frontowe otworzyły się i do środka wkroczył Jag. Nie zajął jednak swego stałego miejsca. Stał przed Keithem i czekał, aż ten skończy naradę, prowadzoną z pracownikami na holo. Waldahuden wykazywał oznaki wzburzenia, co Lansing natychmiast zauważył, przerywając połączenie z pozostałymi. - Jak wiadomo, matmatowie znajdują się w ciągłym ruchu: I [i. - oznajmił. - Szczerze mówiąc, jestem zdumiony ich aktywnością. Współpracują ze sobą, każda sfera dostosowuje do pozostałych własne siły przyciągania i odpychania, aby cała grupa poruszała się w skoordynowany sposób. Jednak zdążyli już całkowicie zmienić swoją konfigurację. Pojedyncze obiekty, wcześniej niedostępne naszej obserwacji, znajdują się teraz na peryferiach skupiska. Dokonałem pewnych pomiarów, mających wykazać, który z matmatów następny może dokonać reprodukcji i mam zamiar sprawdzić moją teorię. Dlatego chcę, żebyś umieścił *Starplex* dużo dalej, na tyłach pola ciemnej materii.

- FANTOM, pokaż nam schemat okolicznej przestrzeni - polecił dyrektor.

W powietrzu pomiędzy Keithem a Jagiem pojawiło się holo, przedstawiające wielką kolonię matmatów, na której tle połyskiwała zielona gwiazda. *Starplex*, skrót, gwiazda i skupisko sfer rozmieściły się niemal w linii prostej.

- Jeżeli przeniesiemy bazę poza kolonię matmatów, stracimy z pola widzenia portal skrót - zauważył Keith. - Możemy przeoczyć moment przylotu watsona. Nie wystarczy, że po prostu wyślesz tam sondę?

- Moja hipoteza jest oparta na precyzyjnych pomiarach zmian koncentracji masy niemal w ułamku sekundy. Potrzebuję hiperskopów naszego statku do bezpośredniej obserwacji z pokładu pierwszego lub siedemnastego - stwierdził Waldahuden kategorycznie. Lansing rozważył sytuację i w końcu zdecydował.

- Dobrze... - uruchomił kanał łączności. Natychmiast nad konsolą błysnęły znajome hologramy Thora i Rombusa.

- Rombus, skonsultuj się z każdym, kto obecnie prowadzi badania przestrzeni zewnętrznej. Musimy wiedzieć, kiedy w najbliższym terminie przemieścić bazę, nie

komplikując im pracy. A ty, Thor, gdy będziesz wiedział, że wszystko gra, z miejsca leć na tyły gromady matmatów. Jag udzieli ci odpowiednich wskazówek. - Służę z najwyższą przyjemnością - odparł Ib. - I ukłony dla wujaszka - zarechotał Thor.

Jag z powagą podniósł i opuścił głowę, imitując ludzki gest uznania. Waldahuden nigdy nie zdobyłby się na słowo „dziękuję”. Keith odniósł wrażenie, że wieprzek jest podejrzenie uprzejmy.

XVII

Na mostku panował spokój. Sześć stanowisk operacyjnych bujało na tle aksamitnej czerni nakrapianej gwiazdami holograficznej przestrzeni. Była 05:00 czasu pokładowego, ostatnia godzina dyżuru zmiany delta.

Funkcje przeznaczoną dla dyrektora tymczasowo obejmował Ib zwany Pucharkiem. Dwóch jego pobratymców zajmowało stanowisko kierownika Operacji Wewnętrznych i nawigatora. Rolę fizyka pełnił delfin o wdzięcznym przezwisku Melonogłowy, zaś głównego specjalistę nauk biologicznych zastępował Waldahuden. Kobieta, Denna van Hausen, zajmowała się wszelkimi obowiązkami związanymi z Operacjami Zewnętrznymi.

Pola siłowe emitowane z niewidzialnego sufitu tworzyły próżniowe przegrody o milimetrowej grubości. Oddzielały poszczególne stanowiska eliminując między nimi zakłócenia transmisji radiowych. Ib przy konsoli OpW prowadził naradę z holograficznymi miniaturami trzech przedstawicieli swojej rasy i trzema Waldahudenami. Kobieta przy stanowisku OpZ czytała spokojnie powieść, wyświetlaną na jednym z monitorów nad jej pulpitem.

Nagle trzasnęła blokada emiterów pól wyciszających i rozdzwonił się alarm.

- Nadlatuje niezidentyfikowany statek - oznajmił FANTOM.

- Jest! - krzyknęła van Hausen wskazując na punkt w pobliżu gwiazdy. - Dopiero co wyszedł spoza fotosfery.

Główny komputer oznaczył obcy pojazd maleńkim czerwonym trójkątem. Tak niewielki obiekt byłby niewidoczny z tej odległości.

- Może to po prostu łącznik? - zaryzykował Pucharek. Jego głos podbarwiono charakterystycznym akcentem z odcieniem londyńskiego slangu.

- Wykluczone - kategorycznie stwierdziła kobieta. - Jest co najmniej wielkości naszego patrolowca.

- Może warto przyjrzeć się mu bliżej? - zamigotał pytająco Pucharek. Sterujący stacją Ib obrócił *Starplex* tak, aby sensory optyczne siedemnastego pokładu były wycelowane w nadlatującego intruza. W czworokątnej ramce ukazał się powiększony obraz obiektu, oświetlonego z jednej strony przez zielone słońce. Ciemny zarys drugiej strony jego sylwetki otaczało szmaragdowe halo.

Pucharek zwrócił się do Kreeta, Waidahudena siedzącego na prawo od niego.

- Kształt centralnego silnika wygląda znajomo. Przypomina wzory waldahudenskie, nieprawdaż?

Kreet był święcie przekonany, że każdy wyrób jego rasy, czy to statek, czy budowla, czy jakikolwiek pojazd, powinien być w każdym calu niepowtarzalny. Waldahudenowie nie uznawali produkcji masowej, więc bez przekonania wzruszył czworgiem ramion. - Może tak, może nie - mruknął.

- Denno, czy nadają jakiś sygnał rozpoznawczy? - zapytał Ib.

- Nawet gdyby nadawali, zostałby zagłuszony przez emisję szumów gwiazdy - stwierdziła van Hausen.

- Mimo to spróbuj, proszę, nawiązać kontakt z tym statkiem.

- Transmituję. Lecz wciąż znajdują się w odległości ponad pięćdziesiąt milionów klików od naszej bazy - zauważyła uczona. - Uplynie co najmniej sześć minut, zanim doczekamy się odpowiedzi, do tego... O mój Boże!. - słowa uwięzły jej w gardle.

Drugi pojazd wychynął spoza gwiazdnego horyzontu. Wielkością przypominał pierwszy wehikuł, lecz posiadał odmienny, bryłowaty kształt. Mimo to charakterystyczna konstrukcja centralnego silnika sugerowała waldahudeńską robotę. - Lepiej sprowadźmy tu Keitha - zamigotał Pucharek.

- Dyrektor Lansing wzywany na mostek! - przekazał niezwłocznie Ib przy stanowisku OpW.

- Spróbuj nawiązać kontakt także z drugim statkiem - rzekł Pucharek do Denny.

- Rozkaz - kobieta rzuciła okiem na ekran. - I... dobry Jezu! Równie dobrze mogę od razu nadawać do trzeciego!

Istotnie, po tej samej trajektorii co poprzednie maszyny nadlatywał trzeci pojazd.

W połowie lśnił szmaragdowym blaskiem światła gwiazdy, odbitym od polerowanego metalu, w połowie skryty był w mroku. W chwilę później pojawił się statek czwarty... i piąty. - To już cała cholerna armada! - zaklęła van Hausen.

- Waldahudenów to są statki na pewno - kwaknął Melonogłowy, wychylając mordkę ze swojego basenu, umieszczonego po lewej stronie stanowiska fizyka. - Oznaczenia dysz odrzutowych najbardziej charakterystyczne.

- Ale czego tu szuka pięć... sześć... osiem! Osiem waldahudeńskich statków? - zaniepokoił się Pucharek. - Denno, czy wiesz już, dokąd one zmierzają?

- Zakreślają paraboliczną trajektorię wokół gwiazdy - kobieta zerknęła na przyrządy. - Trudno powiedzieć, gdzie mają zamiar dotrzeć, lecz aktualne położenie *Starplex* oscyluje w granicach ośmiu stopni od ich przewidywanego kursu.

- Po nas oni przylatują - zaczął Melonogłowy. - My powinniśmy...

W tym momencie na tle okalającego salę hologramu błysnął otwór drzwi. Do środka wpadł nieogolony, rozespany Keith Lansing.

- Wybacz tak wczesną pobudkę... - Pucharek odtoczył się ze stanowiska, przekazując miejsce dyrektorowi - ... lecz mamy towarzystwo.

Keith podziękował łbowi skinieniem głowy i zaczął, aż wielofunkcyjny fotel wynurzy się z komory pod podłogą. Już w chwili opuszczania zapadni przed konsolą, siedzenie dostosowało swój kształt do ludzkiej sylwetki. Dyrektor mógł zająć swoje stałe miejsce. - Próbowaliście nawiązać z nimi kontakt? - zagadnął.

- Tak jest - zameldowała Denna. - Jednak najbliższą odpowiedź możemy odebrać za czterdzieści osiem sekund.

- To statki Waldahudenów, o ile mnie wzrok nie myli? - upewnił się Lansing. Podnośnik uniósł całe stanowisko operacyjne na wymaganą przez niego wysokość.

- Na to wygląda - pospieszył z odpowiedzią Pucharek. - Choć, oczywiście, waldahudeńskie statki są przedmiotem handlu na terenie całej Wspólnoty. Nie możemy mieć żadnej pewności, kto stanowi ich załogę. Keith przetarł zaspane oczy.

- Jakim sposobem tyle maszyn dotarło tu bez naszej wiedzy? - mruknął z zadumą.

- Musiały wyjść ze skrótu w tej samej chwili, gdy straciliśmy go z pola widzenia za tarczą zielonej gwiazdy - stwierdził bez wahania Ib.

- Chryste, no jasne! - Lansing błyskawicznie otrząsnął się z resztek snu. Zerknął

na odczyt sprawdzając, kto sprawuje kontrolę nad każdym ze stanowisk. - Dwukropek, sprowadź tu Jaga.

Macki Iba przy pulpicie OpW śmignęły do przyrządów. Czas mijał.

- Kanał łączności przejął. Teraz przypada dla Jaga cykliczny okres snu - oznajmił wreszcie Dwukropek.

- Zlekceważ to - Keith zmarszczył brwi. - Ściągnij go tutaj natychmiast. Denno, jest jakaś odpowiedź na nasze sygnały? - Żadnej.

Dyrektor podniósł wzrok na wyświetlacze cyfrowych zegarów na tle migoczącego gwiazdami holo.

- W każdym razie już czas na następną zmianę - burknął pod nosem i zwrócił się do Iba. - Wezwij cały sztab dowodzenia.

- Sztab zmiany alfa wzywany na mostek - nadał zaraz Dwukropek. - Lianna Karendaughter, Thorald Magnor, Rombus, Jag i Clarissa Cervantes proszeni o natychmiastowe stawienie się na głównych stanowiskach.

- Dziękuję - Lansing odetchnął. - Denno, otwórz teraz jeden kanał dla wszystkich nadlatujących statków. - Gotowe. - Dyktuję: „Mówi G. K. Lansing, Dyrektor jednostki badawczej *Starplex*, należącej do Wspólnoty Zjednoczonych Planet. Przedstawcie cel waszego przylotu.”

- Nadaję - van Hausen manipulowała przy konsoli. - Dystans pomiędzy nimi a naszą bazą gwałtownie się zmniejsza. Jeżeli zareagują na twoje ostatnie wezwanie otrzymamy odpowiedź za niecałe trzy minuty.

Drzwi sali rozsunęły się akurat w tej części hologramu, która w ramce ukazywała powiększony obraz nadlatujących intruzów. Do środka wkroczył Jag. Nie zdążył nawet wyszczotkować futra. - Coś się stało? - szczechnął.

- Może tak, może nie - Keith przyglądał mu się badawczo. - Osiem waldahudeńskich statków leci prosto na *Starplex*! Może coś o tym wiesz? Lekceważący ruch czworga ramion. - Tyle co nic. - Odmawiają odpowiedzi na nasze wezwania, do tego...

- Powiedziałem, że nie mam o tym pojęcia - warknął Waldahuden, odwrócił się i odnalazł wzrokiem zaznaczony fragment holo. Każde z jego oczu niezależnie śledziło inny pojazd.

- Jaki to rodzaj statków? - dociekał Lansing. - Statki zwiadowcze?

- Niewykluczone. Na to wskazuje ich rozmiar - z namysłem odparł Jag.

- Ilu jest członków załogi na pokładzie każdego z nich? - drążył Keith.

- Pojazdy kosmiczne to nie moja specjalność - odszczeknął Jag.

Dyrektor zmierzył wzrokiem Waldahudena przy stanowisku nauk biologicznych.

- Hej, ty tam - Kreet, czy jak cię tam zwa? - Ilu waszych może być w każdej maszynie?

- Może sześciu... Nie więcej - odparł waldahudeński uczonec.

Dwie pary grodzi na mostku rozsunięły się równocześnie, przez jedne wszedł Thor Magnor, drugie przekroczyła Clarissa Cervantes. Ib opuścił miejsce przy sterach, Waldahuden - biolog przekazał stanowisko żonie dyrektora.

- Osiem statków zbliża się do *Starplex* - poinformował nowoprzybyłych Lansing. Rissa skinęła głową na znak, że już o tym wie.

- FANTOM przedstawił nam sytuację po drodze - rzekła - lecz, co istotne, żadne dodatkowe statki nie powinny przedostać się tutaj przez skrót dopóki nie wyrazimy zgody.

Stała przy swojej konsoli czekając, aż fotel dostosuje swój kształt.

- Może trafili tu przez przypadek? - gubił się w domysłach Thor, wciskając parę guzików, by wydostać fotel spod podłogi. - Gdy w sieci pojawia się nowy skrót, wybór wszelkich dopuszczalnych kątów wejścia, by osiągnąć planowany punkt docelowy, wymaga większej precyzji. Mogli przeoczyć niedokładność w swoich obliczeniach. Może zamierzali wyjść zupełnie gdzie indziej...

- Jeden pilot może popełnić błąd - wpadł mu w słowo Keith. - Ale ośmiu?

- Czas konieczny na przybycie powrotnego sygnału właśnie upłynął - oznajmiła Denna. - Gdyby chcieli dać odpowiedź na nasze ostatnie wezwanie, powinni to zrobić właśnie teraz.

Wjechał Rombus i ruszył do stanowiska OpZ, lecz nie zajął swego miejsca, tylko cichutko przystanął za plecami Denny, nie przerywając jej pracy. Keith zwrócił się do pilota przy sterach.

- Thor, gdybym nakazał odwrót... czy zdołalibyśmy uciec przed tymi statkami? Pilot bezradnie wzruszył ramionami.

- Wątpię. Blokują wejście do skrótów, więc musielibyśmy znaleźć inną drogę. Czy widzisz obręcz wokół obudowy centralnego silnika tych maszyn? Świadcą o wyposażeniu każdej z nich w rodzaj waldahudeńskiego hipernapędu klasy Gatob. Oczywiście żaden nie użyje hipernapędu w tak bliskim sąsiedztwie zielonej gwiazdy, lecz jeśli spróbujemy ucieczki, niewykluczone, że znajdziemy się w odległej przestrzeni, wystarczająco spłaszczonej by użyć hipernapędu. Nie minie sekunda, a będą siedzieć nam na karku. Lansing w ponurym milczeniu zmarszczył brwi.

- Zmieniają szyk na oskrzydlający - zauważył Thor. - Powiedziałbym, że to formacja bojowa, poprzedzająca atak... - Atak? - zamigotał Rombus z niedowierzaniem. - Nadchodzi wiadomość - oznajmiła Denna. Następną część holograficznego nieba wyrwała z tła ramka świetlnej obwódki. Wewnątrz pojawił się pysk Waldahudena otoczony brązowym, miedziano-prążkowanym futrem.

- „Do Lansinga dowodzącego »Starplex«” - odezwał się głos z translatora. - „Jestem Gawst. Zapamiętaj dobrze to imię: Gawst”. - Keith skinieniem wyraził zgodę. Wiedział, że dla Waldahudena płci męskiej prestiż był ponad wszystkim. Obcy tymczasem mówił dalej. - „Przybyliśmy eskortować »Starplex« w drodze powrotnej przez skrót. Musicie...”

- Ile potrzeba czasu, by dotarła do niego odpowiedź? - mruknął Keith do Denny. - „...przekazać nam swój statek...” Van Hausen zerknęła na odczyt. - Czterdzieści trzy sekundy - odparła szeptem.

- „...Współpracujcie - kontynuował Gawst - a nic złego nie spotka waszego pojazdu i jego załogi”.

- Thor, czy możemy ruszyć w stronę portalu po stałej trajektorii, a potem, w ostatniej chwili zmienić kierunek tak, żeby wyjść ze skrótów w innym miejscu, niż się spodziewają? - Lansing z nadzieją spojrzał na pilota. Oficer pokręcił przecząco głową.

- Te małe jednostki zwiadowcze mogłyby tego dokonać, lecz pojemność *Starplex* wynosi trzy miliony metrów sześciennych. Nie nauczę słonia latać. - Ile minie czasu, zanim nas dopadną?

- Lecą na 0,1-c - stwierdził Thor. - Będą tu za niecałe dwadzieścia minut. Keith pochylił się nad mikrofonem.

- „Lansing do Gawsta. »Starplex« jest własnością Wspólnoty. Żądania odrzucone.

Bez odbioru”. Rombus, daj mi znać, kiedy dotrze do nich ta odpowiedź. Macie jakieś propozycje, Przyjaciele? Właśnie na mostek wbiegła Lianna.

- Propozycja numer jeden - wydyszała, zajmując miejsce przy swoim stanowisku.

Odwrót. Im dalej będziemy od skrót, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że uda im się zmusić nas do transferu. - Znakomicie. Thor, zbie...

- Wybacz, że przerywam, Keith - wtrącił Rombus. - Twoje oświadczenie zostało odebrane.

- I bardzo dobrze. Thor, zbierajmy się stąd. Daj odrzut na pełną moc.

- Wyprowadzę bazę po krzywej. Nie chcemy przecież wpaść w skupisko ciemnej materii, co? - zauważył pilot. - To zbyt poważna przeszkoda na kursie i niewielkie pojazdy łatwiej dadzą sobie z nią radę, niż my.

- Zgoda - potwierdził dyrektor. - Rombus, sprawdź, czy możesz przerzucić do Tau Ceti łącznika z zapisem o dzisiejszych problemach naszej wyprawy. Muszę ostrzec premier Kenyatta.

- Rozkaz. Jednak aby dotrzeć stąd do skrót łącznie będzie potrzebował ponad godziny, więc... Wybacz, właśnie nadchodzi wiadomość od Gawsta.

- Lansing - w głosie Waldahudena czaiła się groźba. - *Starplex* został zbudowany w stocznich Rehbollo i tam jest zarejestrowany, dlatego należy do Waldahudenów. Postaraj się nie utrudniać zadania, a oszczędzisz nam i sobie problemów. Kiedy odtransportujemy statek na Rehbollo, uwolnimy wszystkich członków załogi i deportujemy w trybie natychmiastowym do ich ojczystych układów planetarnych.

- Powtórzyć odpowiedź - syknął Keith. - Dyktuję: „Budowa »Starplex« była sponsorowana przez wszystkie planety Wspólnoty, a rejestracja to czysta formalność. Każdy ze statków posiada oznaczenie planety, na której został zbudowany. Twierdzisz, Gawst, że to prawo nie obowiązuje. Pamiętaj, że w razie potrzeby nasz statek potrafi się obronić przed bandytami. Bez odbioru”.

- Obronić się?! - Thor potrzęsnał rudą czupryną w geście rozpaczy. - Keith... Człowieku, przecież my nie posiadamy żadnego uzbrojenia.

- Doskonale o tym wiem - rzucił Lansing z desperacją. - Lianna! Podaj mi wykaz całego wyposażenia na pokładzie, które mogłoby zostać użyte jako broń. Cokolwiek, co jest emitorem energii, materiałem wybuchowym, substancją do wysadzenia obiektów w

powietrze lub do ich anihilacji. Chcę mieć spis natychmiast.

- Już się robi, szefie - Lianna pospiesznie pochyliła się nad pulpitem. Ruchy jej rąk były tak szybkie, że prawie niedostrzegalne.

- Projektanci *Starplex* nie pogodzili jego gabarytów ze zdolnością do szybkiego lotu - tłumaczył pilot. - Jesteśmy w sytuacji wieloryba, osaczonego przez harpunników.

- Więc załatwimy intruzów ich własną taktyką. Wykorzystamy do obrony *Starplex* nasze patrolowce i statki badawcze. - Keith pochłaniał wzrokiem listę, którą Lianna wyświetliła na trzecim monitorze: terenowe lasery geologiczne, górnicze materiały wybuchowe, emitery nośne używane w automatycznych próbnikach.

- Lianno, ustal z Rombusem jak wiele z tego sprzętu maksymalnie da się zamontować na naszych pięciu najszybszych patrolowcach. Macie na to piętnaście minut. Już wasza w tym głowa, żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik.

Denna mogła wreszcie opuścić stanowisko OpZ. Jej miejsce przy konsoli zajął Rombus. Jego macki błyskawicznie powędrowały do przycisków, zaś część płaszcza sensorycznego rozpostarł bezpośrednio na tablicy rozdzielczej, aby mieć swobodny dostęp do przyrządów.

- Nawet z tym całym sprzętem zebrany do kupy nasze stateczki nie dadzą rady zestrzelić prawdziwej jednostki bojowej - podsumował Thor.

- Wcale nie zamierzałem od razu brać ich pod ostrzał - Keith szelmowsko zmrużył oko. - Pamiętaj tylko, że nasze patrolowce, w przeciwieństwie do *Starplex*, nie zostały zbudowane przez Waldahudenów.

- Zakładając, że wstrzymają się z otwarciem ognia do pojazdów Ibów, ale... - zaczął pilot, lecz Lansing przerwał mu niecierpliwie.

- Nie o tym myślałem. Waldahudeńscy inżynierowie nie konstruowali naszych statków, więc ich nie znają...

- Rany! W dodatku u nas pilotami są delfiny! - ryknął radośnie Thor.

- Otóż to. FANTOM! - rzucił dyrektor do głównego komputera. - Połączenie bezpośrednie, interkom i holo: Butlo - nos, Cienkopłetwy, Ostrogon, Skośnooki, Pręgobok, odbiór!

Delfiny po kolei meldowały obecność, a projekcje ich głów pojawiły się w szeregu nad pulpitem konsoli. - „Obecny!” - „O co chodzi?” - „Cienkopłetwy, do usług”.

- „Słucham, Keith?” - „Cześć!”

- Lada chwila zostaniemy zaatakowani przez flotę Waldahudenów - oznajmił bez ogródek Keith. - Nasze statki patrolowe są bardziej zwrotne, o ile sterują nimi delfiny. Mamy do wyboru: albo stawić czoło niebezpieczeństwu, albo beczynnienie czekać z założonymi rękami. Czy jesteście gotowi... - nie zdążył dokończyć. - „Statek jest teraz rodzinnym oceanem - my obronimy!” - „Jeśli potrzeba - pomogę ja też!” - „Gotów dać wsparcie”. - „Jasne!” - „Ja... Tak, gotów”.

- Cudownie - Lansing zatarł dłonie. - Ruszajcie do śluz wylotowych. Rombus przydzieli wam statki. Thor zerknął na hologram Keitha.

- Z pewnością teraz nasze jednostki zyskały szybkość manewrów, lecz delfiny nie mają pojęcia o posługiwaniu się bronią - zauważył. - Na pokładzie niezbędny jest strzelec. Siatka Rombusa zamigotała gwałtownie. - Istoty inteligentne poniosą śmierć jeżeli użyjemy broni! - zaprotestował Ib.

- Nie możemy stać beczynnienie i nawet nie ruszyć palcem we własnej obronie - oświadczył Thor. - Już lepiej oddać im nasz statek - przekonywał Rombus. - Nigdy - Keith był nieubłagany. - Ale zabijać...

- Nie trzeba nikogo zabijać - uciął dyskusję dyrektor. - Możemy celować w układ napędowy, żeby unieszkodliwić pojazdy Waldahudenów nie pozbawiając życia członków załogi. A co do strzelców... Wśród nas są jedynie naukowcy i dyplomaci - zastanawiał się przez chwilę. - FANTOM, zrób przegląd danych osobistych personelu bazy. Wybierz pięciu najlepszych kandydatów na potencjalnych strzelców.

- Wytypowałem. Są to: Wong Wai-Jeng. Smith-Tate Hellena. Leed Jelisko em-Layth. Cervantes Clarissa. Dask Honibo em-Kalch. - Rissa...? - powtórzył Lansing z zapartym tchem.

- Jeśli w grę wchodzi obsługa laserów geologicznych, proponuję zatrudnić Śnieżynkę - wtrącił Thor. - Jest przecież starszym geologiem.

- My, Ibowie fatalnie celujemy - z miejsca zastrzegł Rombus. - Żeby dobrze wymierzyć, lepiej mieć jeden punkt widzenia.

- FANTOM, znajdź przedstawicieli innych gatunków w miejsce Waldahudenów i natychmiast połącz mnie ze wszystkimi, których wytypowałeś - polecił dyrektor. - Gotowe. Łączę.

- Tu dyrektor Lansing. FANTOM zdecydował, że z racji doświadczenia i zręczności będziecie najlepszymi kandydatami do obsługi sprzętu bojowego na pokładzie pięciu naszych statków, pilotowanych przez delfiny - ogłosił Keith przez interkom. - Nie mogę wam nic rozkazać. Zgłaszajcie się na ochotnika. Wyrażacie zgodę?

Za projekcją delfinów pojawił się drugi rząd holograficznych głów. - „Ja... Dobry Boże, tak, zgadzam się”. - „Możesz na mnie liczyć”. - „Wątpię, czy się nadaję, lecz... tak”. - „Jestem gotów”. Rissa zwróciła się w stronę męża. - Zrobię, co w mojej mocy, Keith. - Risso... - w głosie mężczyzny czaił się ból.

- Nie tragizuj, kochanie. Muszę mieć pewność, że przeżyjesz te miliardy lat - rzekła z uśmiechem. Dotknął jej ramienia.

- Rombus, przydziel każdemu statek. FANTOM, jak najszybciej sprowadź pozostałych. - Rozkaz.

- Cóż, przyjaciele, odwaliliśmy kawałek dobrej roboty... - oparł się na konsoli, z twarzą w dłoniach.

- O Jezu!!! - ryknął nagle Thor. Na holo rozkwitła niewielka eksplozja. - Te dranie zestrzeliły naszego łącznika!

- Jag, sprecyzuj, jakiego rodzaju broni użyli - rzucił Keith. - Przynajmniej dowiemy się, czym dysponują. Fizyk zerknął na czworokąt monitora.

- Standardowe waldahudeńskie lasery policyjne - stwierdził, wstając z miejsca. Wskazał gestem Melonogłowego, sprawującego funkcję głównego oficera fizyków podczas zmiany delta i stuknął w kilka przycisków.

- Przekazuję sekcję fizyki delfinowi na stanowisku pierwszym - ogłosił odwracając się do dyrektora. - Być może... Być może lepiej, żebym nie brał w tym dalej udziału. Gawst nie powołał się, co prawda, na imię Królowej Trath, więc przypuszczam, że on i jego towarzysze działają bez królewskiej zgody, mając na celu wyłącznie pomnożenie własnego prestiżu. Mimo wszystko to jednak Waldahudeni. Chyba powinienem raczej wrócić do swojego apartamentu.

- Nie tak szybko, Jag! - Keith zerwał się z fotela. - Ile czasu zostało do startu naszych statków? - rzucił do Lianny. - Dziesięć, może jedenaście minut. Lansing ponownie zmierzył wzrokiem Waldahudena.

- Namówiłeś mnie, żebym przesunął *Starplex* tak, żebyśmy nie mogli zobaczyć

floty twoich ziomków, gromadzącej się po drugiej stronie zielonej gwiazdy - syknął oskarżycielsko.

- Zgłaszam sprzeciw - oświadczył Jag, splatając za plecami obie pary rąk. - Nie obowiązuje cię lojalność wobec Waldahudenów? - Jestem lojalny tylko wobec Królowej Trath, lecz nie ma 919 żadnych dowodów, że to ona wydała rozkaz skonfiskowania tego statku.

- Lianno, sprawdź, ile łączników informacyjnych Jag otrzymał przez ostatnie dwa dni? - polecił dyrektor.

- Już sprawdzam. Trzy. Dwa zostały nadane przez WHAT...

- Który mieści się tuż obok rodzinnego systemu Waldahudenów... - mruknął Keith.

- ... A trzeci jest tradycyjną jednostką telekomunikacyjną użyteczności publicznej, nadesłaną z Rehbollo.

- Dotyczy spraw osobistych - zastrzegł Jag. - Informuje o chorobie wśród członków mojej rodziny... Lansing puścił jego słowa mimo uszu. - Lianno! Przesłuchaj wszystkie trzy łączniki - zażądał. - Chcę znać treść tych przekazów.

- Zapisałem od razu te dane, których potrzebowałem - oświadczył Waldahuden. - Przygotowałem łączniki do ponownego użytku... kasując wcześniejszy zapis, rzecz jasna.

- Już my znajdziemy sposób, by co nieco odczytać... - przerwał mu Keith z błyskiem w oku. - Prawda, Lianno?

- Zobaczę - dziewczyna pochyliła się nad konsolą. - W porządku, łączniki nadesłane do Jaga, są wciąż na pokładzie - rzekła po chwili. - Oprócz tych trzech posiadamy ich ponad sto. Wszystkie gotowe do następnego użycia. - Jej palce zastukały po kontrolkach na pulpicie. - Odtworzyłam zawartość wszystkich trzech. Są czyste. - Kompletnie nic nie da się odzyskać?

- Nie. Zawartość bazy danych została skasowana i zastąpiona pierwszą lepszą ścieżką radiową. Nic się nie zachowało.

- Do wymazywania używam zwykle fal zakresu siódmego. !?- zaproponował Jag.

- Czyli tylko dwa poziomy powyżej pasma ziemskich standardów wojskowych - wpadł mu w słowo dyrektor.

- To pozwala na szybszą orientację w sytuacji - głos Waldahudena był pełen

goryczy. - Zawsze wyróżniałeś moje zamiłowanie do porządku. - Coś kręcisz - uciał Keith. - Nie wierzę, że twoja prośba o przesunięcie bazy to przypadek. Waldahudeni nie mogliby zaatakować nas całą zgrają, gdybyśmy widzieli, jak ich statki, jeden po drugim, wyskakują ze skrótów. - Mówię ci, to przypadek. Lecz dyrektor już łączył się ze stanowiskiem OpW.

- Lianno! Natychmiast odbierz przywilej dowodzenia Jagowi Kandaro em-Pelsh. Wstrzymaj wszystkie prowadzone przez niego badania. Kilka ostrych sygnałów potwierdziło przyjęcie polecenia. - Zrobione - zameldowała Lianna. - Nie masz prawa tego robić! - warknął Jag.

- Więc spróbuj mnie zaskarżyć - rzekł zimno Keith, piorunując Waldahudena wzrokiem. - Byłem jednym z tych, którzy głosowali przeciw opieraniu regulaminu *Starplex* na ziemskich standardach wojskowych. Gdyby nasz wniosek wtedy nie przeszedł, mielibyśmy przynajmniej porządny areszt, żeby cię tam wsadzić. - Odwrócił głowę i spojrzał prosto w czujniki kamer, jarzące się nad galerią dla audytorium. - FANTOM: wpisz nowy protokół. Hasło: „areszt domowy”. „Z upoważnienia najwyższej instancji, Lansing G. K. Warunki: Osobom podlegającym aresztowi domowemu nie wolno przebywać na terenie strefy roboczej. FANTOM uniemożliwi im wstęp do rejonów prac badawczych. Zabronione jest dla nich również korzystanie z wyposażenia łączności zewnętrznej oraz kierowanie poleceń do głównego komputera powyżej poziomu czwartego wewnętrznego”. Zrozumiano? - Tak jest. Protokół zatwierdzony.

- Rejestruj dalej: „od tej chwili, to jest od godziny 7:52, aż do mojego oficjalnego osobistego odwołania, Jag Kandaro em-Pelsh podlega aresztowi domowemu”. - Przyjęto.

- Teraz możesz opuścić mostek - rzucił do Jaga dyrektor, tonem nie znośnym sprzeciwu. Waldahuden znów ostentacyjnie założył ręce na plecach.

- Nie wierzę, że masz prawo wyrzucić mnie z tej sali - szczerknął butnie. - Jeszcze przed chwilą sam chciałeś stąd wyjść - zauważył Keith. - Oczywiście miało to sens, póki posiadałeś uprawnienia dowódcy. Zawsze mogłeś wystrzelić szalupę i zwać do wrogiej armady.

Rombus niespodziewanie opuścił swoje stanowisko Operacji Zewnętrznych i przystanął obok konsoli dyrektora. Zamigotał siatką sensoryczną, a światełka na obrzeżu jego płaszcza nabrały niecodziennego, wściekłego żółtego odcienia, będącego wyrazem

złości.

- Popieram Keitha - rzekł głos z zimnym, angielskim akcentem. - Podkopałeś cały plan i zmarnowałeś czas naszej ciężkiej pracy. Opuść mostek dobrowolnie, Jag, albo wyprowadzę cię stąd siłą.

- Nie jesteś do tego zdolny - odparł lekceważąco Waldahuden. - To wbrew waszemu kodeksowi zasad atakować inną rozumną istotę.

- Jesteś pewien? To spójrz, co zrobię... - Ib ruszył w stronę Waldahudena, jak żywy parowóz.

Jag przybrał wyzywającą pozę i stał nieporuszony... do czasu. Rombus z zastraszającą szybkością zmniejszał dzielący ich dystans. Kwarcowe obręcze jego kół połyskiwały w holograficznym świetle migoczących wokół gwiazd. Podobne do powrozów macki Iba, zwykle zwinięte w motek, wystrzeliły w powietrze jak kłębowisko rozjuszonych węży. Na ten widok Jag bez słowa obrócił się na pięcie. Gwiazdną przestrzeń przed nim przecięła jasna smuga korytarza i wymaszerował z sali. Drzwi zasunęły się bezszelestnie.

Keith skinieniem głowy wyraził wdzięczność niespodziewanemu sojusznikowi.

- Thor, jaka jest pozycja waldahudeńskich statków? - zapytał pilota. Thorald Magnor zerknął na szefa przez ramię.

- Przyjmując, że nie dysponują czymś lepszym od standardowych laserów policyjnych, osiągną strefę rażenia za mniej więcej trzy minuty - odparł. - Kiedy będziemy mogli wystrzelić nasze patrolowce?

- Dwa są gotowe do odpalenia już teraz - zamigotał w odpowiedzi Rombus, podjeżdżając z powrotem do swojego stanowiska. - Pozostałe trzy, według mojego założenia, mogą wyruszyć w ciągu następnych czterdziestu sekund.

- Chcę odpalić całą piątkę od razu. Mają się znaleźć przy słuzach wyjściowych za dwieście czterdzieści sekund. - Rozkaz.

- I tak będą mieli przewagę osiem do pięciu - mruknął Thor. Lansing zmarszczył brwi.

- Wiem. Ale cóż... mamy tylko pięć najszybszych jednostek dostosowanych do pilotażu przez delfiny. Rombus, kiedy tylko nasze pojazdy wyjdą w przestrzeń wzmocnij do maksimum pola siłowe wokół bazy. Wyłącz maszyny, skieruj całą moc na zasilanie

ekranów ochronnych. - Rozkaz.

- Lianno, mam zamiar przesłać wiadomość do Tau Ceti w następnym łączniku. Tym razem nie używaj do tego głównej wyrzutni. Wyślij go na orbitę transferową, którą trafi do portalu skrótowego tylko siłą własnego rozpędu. Chciałbym, żeby przeleciał całą drogę bez użycia silników.

- W takim wypadku dotarcie do skrótowego zajmie łącznikowi trzy dni - zauważyła dziewczyna.

- Brałem to pod uwagę. Oblicz odpowiednią trajektorię. Ile mamy czasu do odpalenia naszych statków? - Dwie i pół minuty - odparł Rombus.

Keith schylił się, wcisnął osobisty przełącznik i odgradził swoje stanowisko czterema podwójnymi ścianami pola siłowego, tworząc płaszczyzny dźwiękoszczelnej próżni.

- FANTOM, przeanalizuj wszystkie zapisane przez komputer polecenia i wyszukaj wszystkie, nadane przez Gafa Kandaro em-Welh i jego pobratymców. Zwróć szczególną uwagę na zapisy nigdy nie przetłumaczone z Waldahudeńskiego. - Przeszukuję. Znalazłem. - Przedstaw tytuły i przetłumacz na angielski. Lansing wyczyścił centralny ekran.

- Umieść w łączniku artykuły: drugi, dziewiętnasty, i... niech spojrzę. Lepiej dodaj też dwudziesty pierwszy. Zszyfruj wszystko pod hasłem Kassabian. K-A-S-S-A-B-I-A-N. Nagraj, a następnie dołącz do przekazu łącznika to, co podyktuję jako niezaszyfrowaną wiadomość: „Keith Lansing do Valentyny Uljanow, Provost, Nowy Pekin.

Val, zostaliśmy napadnięci przez flotę Waldahudenów i nie byłbym zdziwiony, jeśli wkrótce zaatakują również was. Dowiedziałem się, że istnieje teoretyczny sposób na unicestwienie skrótowego przez spłaszczenie wokół niego czasoprzestrzeni, co spowoduje oddzielenie portalu od punktów zaczepienia w przestrzeni normalnej. Jeżeli uznacie, że ziemską flotę zostanie zmiażdżoną przez potęgę Waldahudeńskiej inwazji, być może będziecie zmuszeni rozważyć także ewentualność zniszczenia waszego skrótowego. Oczywiście skutkiem tego stanie się całkowita separacja od reszty galaktyki układów: Słonecznego, Epsilon Indi i Tau Ceti oraz odcięcie Waldahudenom drogi odwrotu. Przemyśl wszystko dokładnie zanim podejmiesz decyzję, moja stara przyjaciółko. W

razie czego wymaganą procedurę możesz zaczerpnąć z artykułów, załączonych do tego zapisu. Zostały przeze mnie zaszyfrowane. Kluczem do szyfru jest nazwisko kobiety, którą obydwójce darzyliśmy tak ogromną sympatią podczas pobytu na Nowym Nowym Jorku przed wieloma laty. Koniec.” - Wykonałem - potwierdził FANTOM.

Keith nacisnął wyłącznik. Zapewniające prywatność, izolujące pola siłowe zniknęły. - Wystrzel łącznika, Lianno - polecił dyrektor. - Rozkaz.

Lansing przez chwilę śledził wzrokiem maleńki kanister, który dryfując oddalał się od bazy. Serce tłukło mu się w piersi. Wiedział, że jeśli Val zamknie skróty, stanie się coś o czym nie wspomniał ani słowem. Wszyscy Ziemianie na pokładzie *Starplex* nigdy już nie ujrzą rodzinnego domu.

- Zaczynamy - oznajmił Rombus. - Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. „PDQ” wystrzelony. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony *Rumowy Jeździec*. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Marc Garneau”. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Dakterth”. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Długi Marsz”.

Dziesięć płomiennych smug odrzutu dwusilnikowych patrolowców zabłysło na holograficznym niebie, gdy statki odbijały stanowiska. - Pozostałe trzy, według mojego założenia, mogą wyruszyć w ciągu następnych czterdziestu sekund.

- Chcę odpalić całą piątkę od razu. Mają się znaleźć przy słuzach wyjściowych za dwieście czterdzieści sekund. - Rozkaz.

- I tak będą mieli przewagę osiem do pięciu - mruknął Thor. Lansing zmarszczył brwi.

- Wiem. Ale cóż... mamy tylko pięć najszybszych jednostek dostosowanych do pilotażu przez delfiny. Rombus, kiedy tylko nasze pojazdy wyjdą w przestrzeń wzmocnij do maksimum pola siłowe wokół bazy. Wyłącz maszyny, skieruj całą moc na zasilanie ekranów ochronnych. - Rozkaz.

- Lianno, mam zamiar przesłać wiadomość do Tau Ceti w następnym łączniku. Tym razem nie używaj do tego głównej wyrzutni. Wyślij go na orbitę transferową, którą trafi do portalu skrótu tylko siłą własnego rozpędu. Chciałbym, żeby przeleciał całą drogę bez użycia silników.

- W takim wypadku dotarcie do skrótu zajmie łącznikowi trzy dni - zauważyła dziewczyna.

- Brałem to pod uwagę. Oblicz odpowiednią trajektorię. Ile mamy czasu do odpalenia naszych statków? - Dwie i pół minuty - odparł Rombus.

Keith schylił się, wcisnął osobisty przełącznik i odgradził swoje stanowisko czterema podwójnymi ścianami pola siłowego, tworząc płaszczyzny dźwiękoszczelnej próżni.

- FANTOM, przeanalizuj wszystkie zapisane przez komputer polecenia i wyszukaj wszystkie, nadane przez Gafa Kandaro em-Welh i jego pobratymców. TANTOC szczególną uwagę na zapisy nigdy nie przetłumaczone z Waldahudeńskiego. - Przeszukuję. Znalazłem. - Przedstaw tytuły i przetłumacz na angielski. Lansing wyczyścił centralny ekran.

- Umieść w łączniku artykuły: drugi, dziewiętnasty, i., niech spojrzę. Lepiej dodaj też dwudziesty pierwszy. Zszyfruj wszystko pod hasłem Kassabian. K-A-S-S-A-B-I-A-N. Nagraj, a następnie dołącz do przekazu łącznika to, co podyktuję jako niezaszyfrowaną wiadomość: „Keith Lansing do Valentyny Uljanow, Provost, Nowy Pekin.

Val, zostaliśmy napadnięci przez flotę Waldahudenów i nie byłbym zdziwiony, jeśli wkrótce zaatakują również was. Dowiedziałem się, że istnieje teoretyczny sposób na unicestwienie skrótów przez spłaszczenie wokół niego czasoprzestrzeni, co spowoduje oddzielenie portalu od punktów zaczepienia w przestrzeni normalnej. Jeżeli uznacie, że ziemskie floty zostaną zmiażdżone przez potęgę Waldahudeńskiej inwazji, być może będziecie zmuszeni rozważyć także ewentualność zniszczenia waszego skrótów. Oczywiście skutkiem tego stanie się całkowita separacja od reszty galaktyki układów: Słonecznego, Epsilon Indi i Tau Ceti oraz odcięcie Waldahudenom drogi odwrotu. Przemyśl wszystko dokładnie zanim podejmiesz decyzję, moja stara przyjaciółko. W razie czego wymaganą procedurę możesz zaczerpnąć z artykułów, załączonych do tego zapisu. Zostały przeze mnie zaszyfrowane. Kluczem do szyfru jest nazwisko kobiety, którą obydwójce darzyliśmy tak ogromną sympatią podczas pobytu na Nowym Nowym Jorku przed wieloma laty. Koniec.” - Wykonałem - potwierdził FANTOM.

Keith nacisnął wyłącznik. Zapewniające prywatność, izolujące pola siłowe zniknęły. - Wystrzel łącznika, Lianno - polecił dyrektor. - Rozkaz.

Lansing przez chwilę śledził wzrokiem maleńki kanister, który dryfując oddalał

się od bazy. Serce tłukło mu się w piersi. Wiedział, że jeśli Val zamknie skrót, stanie się coś o czym nie wspomniał ani słowem. Wszyscy Ziemianie na pokładzie *Starplex* nigdy już nie ujrzą rodzinnego domu.

- Zaczynamy - oznajmił Rombus. - Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. „PDQ” wystrzelony. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony *Rumowy Jeździec*. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Marc Garneau”. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Dakterth”. Trzy. Dwa. Jeden. Wystrzelony „Długi Marsz”.

Dziesięć płomiennych smug odrzutu dwusilnikowych patrolowców zabłysło na holograficznym niebie, gdy statki odbijały od centralnego dysku bazy. Nadlatujące maszyny Waldahudenów znajdowały się już na tyle blisko, by obserwować je bezpośrednio, bez oznaczenia ich pozycji za pomocą barwnych trójkątów.

- Ekrany pól siłowych wzmocnione do maksimum - zameldował Rombus.

- Zrób okienka w ekranach ochronnych i wyślij mój rozkaz przez komunikator laserowy bezpośrednio do każdego z naszych statków - rzucił pospiesznie Keith. - Niech nikt nie waży się strzelać, dopóki napastnicy pierwsi nie otworzą ognia. Być może nasz pokaz siły skłoni ich do odwrotu.

- Przecież już rozwalili jeden z naszych łączników - burknął Thor, lecz dyrektor był zdecydowany.

- Lecz jeśli broń ma być użyta przeciwko istotom inteligentnym, to Waldahudeni muszą wykonać pierwszy ruch. - Nadchodzi wiadomość - oznajmiła Lianna. Na wizji pojawił się pysk Gawsta. - Ostatnia szansa, Lansing. Poddaj *Starplex*.

- Nie odpowiadaj - polecił Keith patrząc na jeden z własnych monitorów. *Starplex* wciąż był zwrócony dolnym systemem teleskopów w stronę zielonej gwiazdy i nadciągających wrogów.

- Statek Gawsta pędzi wprost na nas - zauważył Thor. - Pozostałe siedem utrzymuje stałe pozycje w odległości około dziewięciu tysięcy klików od naszej bazy. - Wszyscy na miejsca. Bez paniki - rozkazał dowódca.

- On strzela! - krzyknął sternik. - Na szczęście prosto w ekrany ochronne. Żadnych uszkodzeń. - Jak długo możemy odchyłać wiązkę jego lasera? Lianna spojrzała na czytnik.

- Pole wytrzyma jeszcze cztery, najwyżej pięć strzałów. - odparła.

- Nadlatują pozostali. Próbują nas okrążyć. - ostrzegawczo rzucił Thor.

- Czy mam wydać naszym statkom rozkaz do natarcia? - zapytał Rombus lecz Keith nie odpowiadał. - Dyrektorze, czy mam wydać rozkaz do natarcia? - powtórzył z naciskiem. - Ja... nie wierzę, żeby Gawst rozpoczął autentyczny atak...

- Ustawiają się wokół nas w równych odstępach - pilot jakby nie słyszał słów Lansinga. - Jeżeli wszystkie osiem waldahudeńskich maszyn wystrzeli równocześnie na tej samej częstotliwości, nastąpi przeciążenie pola ochronnego. Nie będzie gdzie skoncentrować energii.

Hologramy delfinów pilotów i towarzyszących im strzelców wciąż unosiły się nad konsolą dyrektora.

- Pozwól mi załatwić tego, który jest najbliżej - usłyszał głos Rissy, lecącej wraz z Butlonosem na pokładzie *Rumowego Jeźdźca*.

Keith na moment zacisnął powieki. Gdy je otworzył, w jego oczach lśniła desperacja. - Zrób to. - Cel: główny silnik - krzyknęła Rissa.

Na sferycznym holo rozbłysła szkarłatna linia. FANTOM zaznaczył nią trajektorię niewidzialnej wiązki geologicznego lasera, biegnącą od dzioba patrolowca w stronę nadlatującego napastnika. Promień rozorał osłonę maszyny na całej długości, a z waldahudeńskiego pojazdu bluznął jezor plazmy.

- Hej! - zwołała Rissa z triumfalnym śmiechem. - Zawsze miałam przecucie, że rzucanie do celu strzałkami przyda się nie tylko do zabawy.

- To nie koniec. Gawst znów otworzył ogień do *Starplex* - ostrzegł Thor. - A jeden z jego statków siedzi na ogonie *Rumowego Jeźdźca*.

- Butlonos, zwiewaj stamtąd natychmiast! - ponaglił Keith.

Rumowy Jeździec wykonał zgrabny łuk, imitując ruch grzbietu delfina w jego zbiorniku. Skorygował kurs. Laserowa wiązka strzeliła w kierunku nowego wroga, który gwałtownie skręcił w bok, chcąc uniknąć trafienia.

- Gawst posiada na statku dwa lasery, jeden na prawej burcie, drugi na lewej - informował dalej pilot, - Obydwa skierował teraz na nasz dolny radioteleskop. Rany... ten gość ma niezły łeb. Pakuje swoje promienie w ogniskową parabolicznego zwierciadła naszej anteny, prosto w główny zespół przyrządów. 910

- Zakończ *Starplex* - rozkazał Lansing. - Musimy go spławić.

Gwiazdy na holograficznym niebie zatańczyły raz w prawo raz w lewo.

- Ciągle nas trzyma - zameldował Thor. - Idę o zakład... Cholera! Dopiął swego.

Mimo wszystkich ekranów ochronnych, spora wiązka lasera przeniknęła do środka i zwierciadło anteny ją zogniskowało. Rozwalił układ czujników na siedemnastym pokładzie, na domiar złego...

Nie dokończył. *Starplex* zadygotał gwałtownie, aż Keith się przeraził. Na pokładzie bazy jeszcze nigdy nie poczuł takiego wstrząsu.

- Siedem pozostałych waldahudeńskich jednostek po kolei otwiera do nas ogień - oznajmił oficer przy sterach.

- Keith do wszystkich patrolowców: odciągnijcie uwagę Waldahudenów. Zmuszcie ich do przerwania ostrzału *Starplex*.

- Przeciążenie naszych pól ochronnych nastąpi za szesnaście sekund - zameldowała Lianna.

Na holograficznej projekcji Keith obserwował manewry „PDQ” i „Długiego Marszu” w chwili, gdy przystępowały do ataku na dwie obce maszyny. Waldahudeni próbowali oddzielić się od napastników pojedynczymi ekranami pól siłowych i utrzymać ogień na główną bazę, lecz stateczki krążyły wokół nich jak szalone, zmuszając do ciągłego przesuwania osłon. Towarzyszyły temu nieustanne rozbłyski wystrzałów. Rozdzwonił się alarm.

- Możliwość awarii ekranów ochronnych - zabrzmiał w głośnikach beznamiętny głos FANTOMa.

Nagle jeden z waldahudeńskich pojazdów eksplodował w zupełnej ciszy. To „Marc Garneau” pozostawił swego przeciwnika i ruszył na pomoc „PDQ”. Broniący się statek na swoje nieszczęście nie dysponował osłoną pola na dziobie. Keith spuścił głowę. Pierwsze ofiary tej bitwy... Nikt się nie dowie, czy, za pomocą ręcznie sterowanego lasera, strzelec Helena Smith-Tate celowała w obsadzony załogą korpus maszyny, czy też po prostu chybiła, strzelając w ośrodek napędu.

- Dwa załatwione, jeszcze sześć do kropnięcia - podsumował Thor. Lianna podniosła głowę znad konsoli. - Awaria ekranów ochronnych - oznajmiła.

Lasery pięciu pilotowanych przez delfiny statków zaczęły dziko walić gdzie popadnie. Holograficzną przestrzeń cięły animowane przez komputer, ostre smugi

promieni - czerwone dla sił Wspólnoty, niebieskie dla napastników. Nagle pojazd Gawsta zaczął wirować wokół poziomej osi. Keith nie wierzył własnym oczom. - Co on, u diabła, wyczynia?

Wszystko stało się jasne, gdy FANTOM przedstawił obraz promieni z dwóch dział laserowych. Gdy wrogi statek wszedł w ruch rotacyjny, wiązki utworzyły wokół niego lity cylinder świetlny, przeistaczając bliźniacze punktowe działka w bardziej skuteczną broń o szerszym promieniu rażenia. Gawst wycelował teraz wyżej, w stronę spodu centralnego dysku *Starplex*, tuż poniżej jednego z czterech głównych generatorów.

- Jeżeli dobrze przeprowadzi akcję - mruknął Thor - uda mu się wyciąć generator numer dwa z taką łatwością, jak geolog draży środek próbki... Lansing zgrzytnął zębami. - Przesuń gdzieś statek! - wrzasnął. Gwiazdne pola ruszyły z miejsca.

- Już się robi... lecz Gawst przyczepił się do nas promieniem traktorowym. Co możemy... „Starplexem” znów zakołysało, zaczął wyć następny alarm. Lianna okręciła się z fotelem i wbiła wzrok w twarz dyrektora.

- Powstał wyłom wewnątrz pokładu czterdziestego w miejscu, gdzie spód strefy oceanicznej styka się z głównym szybem. Spływająca nim woda zalewa dolne pokłady.

- Chryste! - jęknął Keith. - Czyżby Ibowie coś pokręcili, gdy instalowali zabezpieczenia awaryjne niższych modułów mieszkalnych?

Płaszcz Rombusa ponownie przybrał złowieszczy, jadowicie żółty kolor, migocząc wściekłą feerią światełek. - Słucham? - spytał ostro. Keith nerwowo rozłożył ręce. - Chciałem tylko powiedzieć...

- Praca została wykonana perfekcyjnie - przerwał mu Ib z naciskiem. - To projektantom tego statku nigdy nie przyszło do głowy, że będziemy brać udział w bitwie.

- Przepraszam - Keith próbował ukryć zmieszanie. - Lianno, jaka jest procedura na wypadek takiej sytuacji?

- Nie ma żadnej procedury - padła krótka odpowiedź. - Strefa oceaniczna była uważana za praktycznie niezniszczalną. - Czy możemy zatrzymać wodę za pomocą pól siłowych?

- Nie na długo - odparła Lianna z powątpiewaniem. - Pola siłowe, których używamy w śluzach cumowniczych, zdołają oddzielić powietrze pod normalnym ciśnieniem od panującej na zewnątrz próżni. Lecz każdy metr sześcienny wody waży

tonę. Zewnętrzne emitery pól siłowych również nie wytrzymałyby tak wielkiego ciśnienia. Nawet gdyby Gawst nie rozładował nam ekranów ochronnych, to i tak nie dałoby się skierować ich do wnętrza statku.

- Jeżeli wyłączymy sztuczną grawitację na centralnym dysku i wszystkich dolnych pokładach, woda przestanie spływać - zauważył Thor.

- Świetny pomysł! - podchwycił Lansing. - Zrób to, Lianno.

- Naruszenie bezpieczeństwa - oznajmił głos FANTOMa - Polecenie odrzucone.

Keith spiorunował spojrzeniem dwa obiektywy kamery głównego komputera na swojej konsoli. - Co jest, do diab...

- To z powodu Ibów - pospiesznie wyjaśnił Rombus. - Podstawą funkcjonowania naszego systemu krążenia są siły grawitacyjne. Umrzemy, jeśli usuniecie ciężenie.

- Psiakrew! Lianna, jak długo potrwa ewakuacja wszystkich Ibów, zamieszkujących poziomy od czterdziestego pierwszego do siedemdziesiątego do górnych segmentów pokłady? - Trzydzieści cztery minuty.

- Zajmij się tym od zaraz. Trzeba również ewakuować wszystkie delfiny z pokładu oceanicznego... lecz przekaż im, by miały w pogotowiu aparaty tlenowe na wypadek, gdybyśmy musieli przenieść je niżej, do obszarów zalanych wodą - zdecydował Lansing.

- Jeżeli rozpoczniesz ewakuację od pokładu siedemdziesiątego - dodał Thor. - będziesz mogła wcześniej zneutralizować tam ciśnienie i przyspieszyć całą robotę.

- Nic nam to nie da - stwierdziła dziewczyna. - Woda spływa w tak szybkim tempie, że sama siła rozpędu zepchnie ją w dół, nawet bez pomocy grawitacji.

- A co z odcięciem sieci elektrycznej? - przypomniał dyrektor.

- Już odłączyłam systemy elektryczne w strefach zagrożonych zalaniem.

- Jeżeli ocean bazy spłynie całkowicie, ile wypełni segmentów w dolnych modułach? - Sto procent - odparła Lianna bez wahania. - Naprawdę? - Keith poczuł dreszcz. - Chryste...

- Pokład oceaniczny zawiera sześćset osiemdziesiąt sześć tysięcy metrów sześciennych wody - wyjaśniła, porównując dane na ekranie monitora. - Przy pełnym zatopieniu, nawet łącznie z obszarami międzypokładowymi, całkowita pojemność modułów poniżej dysku centralnego wynosi jedynie pięćset sześćdziesiąt siedem tysięcy

metrów sześciennych...

- Raczcie wybaczyć, lecz odnoszę wrażenie, że „PDQ” jest w tarapatkach - wtrącił Rombus, wskazując na hologram jedną ze swoich macek. Dwie waldahudeńskie maszyny osaczyły statek ze *Starplex*, biorąc go w krzyżowy ogień laserów.

Rozbiegane oczy Keitha patrzyły to w stronę holo, gdzie rozgrywał się dramat, to w stronę monitora, na którym śledził postępy narastającej powodzi.

- Zaraz, zaraz! - zamigotał entuzjastycznie Ib. - Na pomoc „PDQ” nadlatuje nasz „Dakterth” i już siedzi intruzom na ogonie. To powinno rozdzielić ich skoncentrowany ostrzał. - Jak przebiega ewakuacja? - dopytywał Keith. - Zgodnie z planem - uspokoiła go Lianna.

- Czy woda przedostała się także na zewnątrz, w przestrzeń? - Nie. Spływa tylko do wnętrza statku. - Na ile wodoszczelne są drzwi wewnętrzne?

- Cóż... - rzekła z namysłem dziewczyna. - Rozsuwane drzwi pomiędzy kwaterami blokują się automatycznie w chwili zamknięcia, lecz nie są zbyt wytrzymałe. Jak by nie było, skonstruowano je w ten sposób, by każdy mógł wyważyć kopniakiem ich płytę z suwnic w razie natychmiastowej ucieczki na wypadek pożaru. Nie wytrzymają naporu takiej masy wody. - Co za geniusz to wymyślił? - parsknął Thor. - Za pewne ten sam, co pomagał projektować „Titanica”... - mruknął Lansing w odpowiedzi.

Starplex jeszcze raz zakołysał, przechylając się w przód i w tył. Na hologramie cylindryczny fragment statku grubości dziesięciu pokładów wycięty z centralnego dysku pożegłował w mrok.

- Gawst właśnie wykroił nasz generator numer dwa - raportowała Lianna. - Ewakuowałam tę część sektora inżynieryjnego z chwilą, gdy wróg przystępował do działania, więc nie ponieśliśmy ofiar. Lecz jeżeli stracimy jeszcze jeden generator, *Starplex* nie będzie w stanie uruchomić hipernapędu, nawet gdybyśmy znaleźli się wystarczająco daleko od gwiazdy, żeby tego dokonać.

Nagła świetlna eksplozja przykuła uwagę Keitha. „Dakterth” odstrzelił właśnie główny silnik jednego z napastników atakujących „PDQ”. Walcowaty kształt odpłynął w dal. Wydawało się, że zderzy się wkrótce z cylindrycznym, wydrążonym przez Gawsta fragmentem, ale było to tylko złudzenie, spowodowane perspektywą.

- A gdybyśmy tak wypuścili wodę w przestrzeń kosmiczną? - zaproponował

Rombus. - Musielibyśmy wyciąć własny otwór w centralnym dysku - odparła Lianna.

- Jaki byłby do tego najdogodniejszy punkt? - zainteresował się Keith. Młoda kobieta wertowała schemat.

- Tylna ściana szesnastej śluzy cumowniczej - zdecydowała po chwili. -

Oczywiście z tyłu ciągnie się również sektor inżynieryjny. Lecz akurat w tym miejscu zlokalizowana jest w sektorze stacja filtrów dla pokładu oceanicznego. Innymi słowy, to stanowisko jest już wypełnione wodą aż do samej tylnej ściany śluzy, trzeba więc tylko wyciąć w niej otwór i umożliwić swobodny przepływ.

Dyrektor ważył w myśli jej słowa. Wreszcie pojął dokładnie ich sens.

- W porządku. Poślij na dół, do śluzy szesnastej kogoś z laserem geologicznym - polecił i zwrócił się do Rombusa. - Wiem, że dla Ibów ciężenie jest niezbędne, jednak gdybyśmy tak wyłączyli sztuczną grawitację i zamiast tego wprowadzili statek w ruch wirowy?

- Siła odśrodkowa? - Lianna uniosła brwi. - Ludzie chodziliby po ścianach. -
Owszem. Coś nie tak?

- Hm... Jako, że każdy pokład ma kształt krzyża, siła pozornej grawitacji będzie wzrastać w miarę posuwania się ku końcowi każdego ramienia.

- Lecz ta sama siła może powstrzymać ściekającą z centralnego dysku wodę - przerwał jej Keith. - Zamiast zalewać dolne pokłady, woda, szukając ujścia, napierałaby wtedy na ściany oceanicznego zbiornika. Thor, czy potrafisz nadać stacji takie obroty przy użyciu napędu odrzutowego ACS? - Da się zrobić. Lansing ponownie skierował wzrok na Rombusa.

- Jak dużej grawitacji potrzebujecie wy, Ibowie, dla funkcjonowania układu krążenia? Mieszkaniec Monotonii podniósł macki.

- Testy wskazują, że jest wymagana co najmniej jedna ósma grawitacji standardowej.

- Poniżej pokładu pięćdziesiątego piątego, nawet na końcach ramion krzyża nie uda się wytworzyć sztucznego ciężenia o takiej wartości przy użyciu najwyższej, dopuszczalnej częstotliwości obrotów - wtrąciła dziewczyna.

- Lecz wtedy, zamiast czterdziestu pozostaje tylko piętnaście poziomów, z których trzeba ewakuować Ibów - zauważył Keith. - Lianno, poinformuj wszystkich o naszych

zamierzeniach. Thor, gdy poniżej pięćdziesiątego piątego pokładu nie będzie żadnego Iba, wprowadź statek w ruch. Zwiększaj sztuczną grawitację stopniowo, żebyśmy mogli się przyzwyczaić. - Zrobi się, szefie.

- Ludzie niech lepiej opuszczą pokoje na końcach ramion z powodu okien - dodała Lianna. Keith uniósł brwi.

- Dlaczego? - zapytał. - Wyprodukowano je z przezroczystego kompozytu węglowego. Nie pękną, choćby się po nich skakało.

- Oczywiście, że nie pękną - potwierdziła młoda uczona z lekkim rozbawieniem. - Lecz ich powierzchnia jest nachylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni gdyż taki kąt tworzy krawędź segmentu modułów mieszkalnych. Trudno będzie na nich stanąć kiedy zostanie przesunięte oddziaływanie pozornej grawitacji ponieważ pochyłe okna utworzą skośną podłogę. Dyrektor przytaknął. - Racja. Już teraz przekaż tam instrukcje. - Rozkaz.

Holograficzna głowa Butlonosa, pilotującego *Rumowego Jeźdźca*, poruszyła się niespokojnie.

- W zanieczyszczeniach jesteśmy - kwaknął delfin. - Silniki przegrzane. Keith pochylił się nad niewielkim holo.

- Zróbcie, co w waszej mocy. W razie potrzeby oddalcie się od bazy. Może nikt nie będzie was ścigał. *Starplex* zadygotał w posadach.

- Gawst przystąpił do nacinania centralnego dysku od spodu wokół generatora numer trzy - oznajmił Rombus. - A drugi z jego statków zaatakował dysk od góry i właśnie wycina generator numer jeden. - Startuj z rozkręcaniem stacji, Thor.

Pola gwiazdne na sferycznym hologramie mostka zawirowały wokół nich. Statek zaczął się obracać.

- Wzięliśmy Gawsta przez zaskoczenie - rzucił z satysfakcją pilot. - Jego lasery ślizgają się bez ładu i składu po całej dolnej powierzchni centralnego dysku.

- Jessica Fong jest już na miejscu, wewnątrz śluzy szesnastej, Keith - przekazała Lianna. Daj ją na wizję.

Ramka odgrodziła wycinek holograficznej panoramy nieba, wirującej teraz z zawrotną szybkością. Wnętrze wydzielonego fragmentu ukazywało śluzę cumowniczą z zawieszoną w nieważkości kobietą w kombinezonie, przymocowaną liną asekuracyjną do tylnej ściany komory śluzy. Lina była maksymalnie napięta, ponieważ siła odśrodkowa

odrzucała ciężar w kierunku zewnętrznych grodzi. Dziewczyna unosiła się dziesięć metrów nad poprzecinaną pasami startowymi podłogą. Taka sama odległość dzieliła ją od sufitu, pokrytego świetlnymi płytami i okratowanymi szybami wyciągów.

- Teraz łączność - polecił Keith. - Słuchaj, Jessico. Za tylną ścianą śluzy, wewnątrz sektora inżynierskiego znajduje się stacja filtrów dysku oceanicznego wypełniona wodą, połączona bezpośrednio z oceanem. Musisz wydrążyć duży otwór w ścianie działowej. Bądź ostrożna, gdy to zrobisz, strumień wody zwali się wprost na ciebie.

- Przyjęłam - odparła krótko Jessica. Sięgnęła do pasa i popuściła więcej liny. Keith obserwował z zapartym tchem, jak dziewczyna płynie przez komorę. Nie marnowała ani chwili, w co sekundowych odstępach dodatkowy odcinek sznura przybliżał ją do zamkniętego wylotu śluzy. Dotarła wreszcie do przeciwległej ściany i zamocowała zatrzask swojego zabezpieczenia na łukowatej, wewnętrznej powierzchni grodzi wyjściowych. Przez pełen grozy moment Lansing obawiał się, że Jessica straciła przytomność wskutek zderzenia, lecz dziewczyna błyskawicznie przyszła do siebie po chwilowym zamroczeniu. Teraz mocowała się z ciężkim geologicznym laserem, próbując utrzymać go w stabilnym położeniu. Miała trudności z ustawieniem celownika. Gdy wypaliła, jej pierwszy strzał przeciął linę asekuracyjną mniej więcej pośrodku. Piętnaście metrów nylonowego sznura uderzyło w ścianę tuż obok niej. Reszta smagneła przestrzeń pod sufitem jak cienki żółty wąż. Dziewczyna tkwiła teraz pośrodku drzwi wylotowych jak przyszpilona, pod wpływem siły odśrodkowej.

Następny strzał Jessiki był równie szalony jak poprzedni, trafił bowiem w węzeł sieci świetlnej i komora śluzy pogrążyła się w mroku. - Jessica! - Wciąż tutaj jestem, Keith. Boże, ależ ze mnie niezdara. Wnętrze ramki na holo wypełniała czerń. Czerń, w której zalśnił rubinowy punkcik, gdy laser natrafił wreszcie w przeciwległą ścianę. Lansing obserwował metal, który rozjarzył się, zmiękł, pofałdował... A potem...

Usłyszał dźwięk wody tryskającej pod ciśnieniem, jak z gaśnicy. Jessica posyłała wiązkę za wiązką, formując strzałami gigantyczny czworobok w poprzek płaszczyzny. Centymetr za centymetrem, otwór za otworem...

Rozbłysły światła awaryjne, zatapiając komorę w szkarłatnym półmroku. Przez wyrwę runął nawał morskiej wody. Stanowiący ostatnią przegrodę, podziurkowany

prostokąt metalu wygiął się gwałtownie, a następnie oderwał, dryfując w powietrzu przez śluzę. Za nim eksplodował potężny, oceaniczny gejzer.

Keith skulił się z przerażenia. Fragment metalowej płyty zmierzał bez wątpienia prosto w kierunku Jessiki, smaganej wściekłymi strugami wody. Jednak dziewczyna również dostrzegła nadciągające niebezpieczeństwo. Za jej plecami strzelił jaskrawy płomień, osmalając powierzchnię ściany. Okazała się na tyle przezorna, by włożyć kombinezon, wyposażony w osobisty napęd odrzutowy. Odpaliła silnik i uskoczyła w samą porę. Śluzę zalała woda, uderzająca z impetem o prowadzące w przestrzeń drzwi wylotowe i wznosząca się powracającą falą ku środkowi komory. Wkrótce Jessica znów została przyparta do łukowatych grodzi.

Kiedy śluzą była prawie pełna, dyrektor ponownie przemówił do swojej wysłanniczki.

- Wszystko gra. Teraz powoli obróć się i przepal otwór o średnicy mniej więcej dziesięciu centymetrów w drzwiach zewnętrznych. Trzymaj emiter wiązki dokładnie na styku z wytapianym fragmentem, bo nie chciałabyś chyba pławić się we wrzątku. -
Rozkaz - odparła krótko. Jej kombinezon kosmiczny spełniał teraz rolę skafandra do nurkowania. Stała na powierzchni płyty, trzymając zakończony szarym, metalowym stożkiem laser geologiczny. Wymierzyła i nacisnęła spust. Płyta w tym miejscu rozjarzyła się wiśniową czerwienią, zbieła od żaru, a wtedy... wtedy...

Starplex wirował jak bąk. Wierzchołek skryty był w mroku, seledynowe światło gwiazdy błyskało na obudowie stacji.

Pięć pozostałych, sprawnych waldahudeńskich statków zbliżało się do bazy. Dwa nadlatywały z góry, trzy z dołu, zmierzając w stronę zewnętrznego kręgu śluz cumowniczych. Bez wątpienia stacja obracała się zbyt szybko, by któryś z obcych pilotów dostrzegł maleńki punkt, lśniący pośrodku płyty, oddzielającej śluzę szesnastą. Punkt, który rozżarzał się coraz bardziej, migotał oślepiająco, wreszcie buchnął jasnym płomieniem. Wtedy...

Woda strzeliła w przestrzeń, rozpylona przez wirujący w zawrotnym tempie ogromny statek. W chwili zetknięcia z kosmiczną próżnią natychmiast zamarała tworząc tu, pomiędzy obcą zieloną gwiazdą, a skupiskiem ciemnej materii spore granulki lodu.

Miliony... miliardy lodowych kuleczek pryskały ze *Starplex* i pędziły w przestrzeń

z ogromną prędkością, wyrzucane impetem napierającej wody i siłą odśrodkową, spowodowaną ruchem wirowym stacji. Fontanna niezliczonych diamentów na tle aksamitnej czerni nocy, mieniających się zielenią, zapożyczoną od blasku szmaragdowego słońca...

Najbliższy pojazd Waldahudenów natrafił na chmurę lodowej zapory. Jego prędkość, w połączeniu z prędkością własną zamrzniętych grudek, spowodowała autentyczne czołowe zderzenie. Tor pierwszych kawałków lodu został odchylony przez osłony siłowe, chroniące przed uderzeniami pojedynczych mikrometeoroidów, lecz nie przed całą lawiną...

Odłamki, stwardniałe w próżni na kamień, weszły w obudowę maszyny jak nóż w masło, rozcinając kadłub od góry do dołu. Wyrzucone powietrze natychmiast zamrzło, dołączając do kosmicznej burzy gradowej. Na mostku zawrzało.

- Teraz, Thor! - wrzasnął rozgorączkowany Keith. - Zmień nachylenie!

Pilot nie dał się prosić. Wachlarz lodowych pocisków strzelił łukiem w innym kierunku, zmiatając i rozdzierając na kawałki następnego wroga. W chwilę później trzeci statek został trafiony w zbiornik paliwa. Na holo bezgłośny wybuch zajaśniał w mroku jak płomienny kwiat.

Thor ponownie zmienił kąt nachylenia *Starplex*, kierując śmiercionośną fontannę w czwarty pojazd. Jednak tym razem pilot odpowiedział przemyślną strategią. Obrócił statek o 180 stopni, omiatając odłamki lodu stożkowatym płomieniem odrzutu, po czym odpalił główny silnik. Zamrznięte bryłki topiły się i parowały, zanim zdążyły dotknąć osłon kadłuba. Fortel rokował sukces, lecz pilot innej jednostki albo nie zrozumiał jego intencji, albo owładnięty paniką próbował ratować własny ogon. Pędząc na oślep do skrótów wpadł w sam środek krzyżowego ognia silników maszyny towarzysza. Statek, ogarnięty białym żarem płomieni, eksplodował. Pozostały już tylko dwie waldahudeńskie jednostki, w tym jedna Gawsta.

Rozszerzający się krąg wodnych drobin porwał i odrzucił od *Starplex* szczątki pechowego myśliwca. Szczęście nie dopisało również załodze, która dokonała sprytniej sztuczki z wykorzystaniem odrzutu. Poszarpany fragment obudowy wraku staranował Waldahudenów. Pod wpływem impetu uderzenia stracili panowanie nad sterami i statek poszybował w kierunku skupiska ciemnej materii. W odległości kilku milionów

kilometrów od najbliższego obiektu nawigator prawie odzyskał kontrolę nad myśliwcem, lecz było już za późno. Pojazd został schwytany w pole grawitacyjne gazowej kuli. Miał lecieć wiele godzin po śmiertelnej trajektorii, zanim w błysku zderzenia dopełni się jego los. Przy tej prędkości nawet przelotny kontakt z ciemną materią zmieni maszynę w kupkę popiołu.

Tylko jednostka Gawsta pozostała nietknięta. Tkwiła uparcie na obranej pozycji, zakleszczona chwytakiem promienia traktorowego pod dyskiem centralnym. Thor w żaden sposób nie potrafił wymieść stamtąd intruza. Pocieszał się myślą, że ostatecznie może podtrzymywać rotację *Starplex* dopóki Gawst nie wyczerpie zapasu paliwa...

- Oj... Ojej... - FANTOM przetłumaczył rozpaczliwe mruganie światełek Rombusa. Pilot spojrział w górę za ruchem macki Iba. - A niech to szlag... - zaklął.

Spoza tarczy zielonej gwiazdy wynurzyło się... jeden, dwa, trzy... jeszcze pięć waldahudeńskich myśliwców w szyku bojowym. Gawst nie był taki głupi, aby rzucać na pierwszy ogień cały potencjał swojej floty. Wśród nowo przybyłych sunął potężny krążownik, dziesięć razy większy od lekkich statków szturmowych.

Patrolowce sterowane przez delfiny trzymały się w bezpiecznej odległości od bazy, by uniknąć kolizji z fontanną odłamków. Teraz sformowały szyk bojowy i ruszyły na przeciwnika, z determinacją dążąc do starcia, zanim wróg zaatakuje *Starplex*. I tu stała się rzecz niepojęta. Keith zacisnął dłonie, aż zbieleły mu kostki palców. - Co to jest, do diabła...? - wymamrotał. Thor wybałuszył oczy. - O Jezu... - zamruczał. - Jeeezu!

Na obszarze pola ciemnej materii zapanowało niezwykle poruszenie. Olbrzymie globy zaczęły wirować, z początku powoli, potem coraz szybciej. Skupisko rozsnuło się jakby na wstęgi żwiru, przetykane setkami obiektów wielkości planet. Kule rozmieszczone wzdłuż pasm przypominały kostki rozpostartych eterycznych palców, w połowie lśniące zielono w świetle samotnego słońca, w połowie atramentowoczarno. Palce ciemnej materii wyciągały się w przestrzeń, aż osiągnęły długość milionów kilometrów.

Patrolowce *Starplex* rozpiezchły się na wszystkie strony, byle dalej od nadciągających strumieni. Zanim Waldahudeni zorientowali się w swoim położeniu, ich formacja wypadła z kursu i weszła w strefę zakłóconej grawitacji. Keith z zapartym tchem obserwował, jak statki floty agresora łamią szyk, zakreślając chaotyczne,

zygzakowate linie.

Pasma rosły z zaskakującą prędkością. Lansing nadal nie mógł się pogodzić z faktem istnienia makroorganizmów, żyjących swobodnie w kosmosie. Lecz rzeczywista obecność gigantycznych istot, poruszających się z dowolną prędkością wedle własnej woli, mówiła sama za siebie...

Podkomendni Gawsta zrozumieli, że wpadli po uszy. Nietrudno było przewidzieć, czym grozi szarża na *Starplex*. Jeden ze statków zboczył z toru po karkołomnej krzywej i salwował się ucieczką. Drugi myśliwiec, chcąc pójść w jego ślady, odpalił dysze hamujące, które zabłyśły czterema rubinowymi punktami na tle czerni. Wtedy matmaci rozpoczęli polowanie, wyciągając ku obcym zwirowe macki.

Gdyby statki użyły hipernapedu, miałyby szansę na ocalenie. Lecz siła ciężenia zielonej gwiazdy wspomagana skutecznym, choć słabszym źródłem grawitacji emitowanym przez matmatów, wykluczały taką możliwość.

Myśliwce na końcu klucza dzieliła od wypustek ciemnej materii odległość zaledwie kilku kilometrów. Keith zdrętwiał, gdy ujrzał na własne oczy, jak w jednej z macek otwiera się szczelina i obcy pojazd znika w tumanie żwiru.

Za pomocą hipotetycznego schematu Thor przedstawił pozycję myśliwca wewnątrz strumienia brył. Macka znieruchomiała i zaczęła się cofać, porywając uwięzionych w jej wnętrzościach Waldahudenów...

Wkrótce uderzyła następna, pozerając pierwszą z brzegu maszynę. Trzeci statek podjął próbę desperackiej eskapady. Lansing dostrzegł krótki błysk odbezpieczonej blokady, odrzucającej w przestrzeń zbędny balast uzbrojenia. Matmaci nieubłaganie kontynuowali pościg.

W tym samym czasie dwa strumienie ciemnej materii, powracające po schwytaniu swych ofiar, jednocześnie skręciły się i wygięły w łuk niczym jadowite węże.

Trzeci myśliwiec został schwytany i szary paluch skurczył się, unosząc go w swym wnętrzu. Dwie mordercze macki sunęły teraz w stronę waldahudeńskiego krążownika, aby odciąć mu drogę ucieczki. Tylko piąty szturmowiec zdołał umknąć ze strefy zagrożenia, choć serce Keitha załomotało, gdy ujrzał, że Rissa z Butlonosem ruszyli w pościg za zbiegiem. Dyrektorowi mignęła przed oczami twarz syna. - Przecież to jeszcze dzieciak... - pomyślał. - Duży dzieciak, pomimo swych dziewiętnastu lat i

koziej bródki... Jak bardzo załamałby się na wieść, że matka zginęła w bitwie?

Wężowe wypustki ciemnej materii były coraz bliżej. Zaczynały już otaczać podwójną pętlą największy pojazd agresorów. Jednocześnie macka, która połknęła ostatnią ofiarę, śmignęła naprzód jak bicz. Myśliwiec, przelatujący w jej zasięgu, został zmieciony i koziołkując runął w przestrzeń. Błysnęły punkciki żaru wspomagających dysz odrzutowych ACS, lecz na ratunek było za późno. Szaleńcza rotacja wytrąciła pojazd z równowagi... Keith znieruchomiał z otwartymi ustami. - Dobry Boże...!

Impet uderzenia rzucił statek prosto w kierunku zielonej gwiazdy.

Maszyna dryfowała w próżni obracając się bezwładnie, a dystans dzielący ją od słonecznej korony malał z zastraszającą szybkością. Wreszcie pilot zdołał opanować stery, lecz statek zanadto się zbliżył do pałającej kuli o średnicy 1,5 miliona kilometrów. Protuberancje bluznęły w stronę nadlatującego pocisku, który wyparował w górnych warstwach atmosfery... Lansinga przeszył mimowolny dreszcz. - Rombus, zawracamy naszą flotę! - zawołał. - Otwieram kanał łączności.

- Wracać na *Starplex*! - krzyczał dyrektor. - Do wszystkich patrołowców!

Natychmiast wracać do bazy!

Po odebraniu polecenia cztery jednostki błyskawicznie zmieniły kurs. Tylko jeden wciąż ścigał uparcie swoją zwierzynę. - Rissa! - wrzasnął Keith rozpaczliwie. - Wracaj! Nieoczekiwanie drugi bicz ciemnej materii smagnął nocne niebo, ciskając następnego intruza w stronę ognistego piekła. Lansing niespokojnie kręcił głową to w prawo, to w lewo. Przerażonym wzrokiem śledził na ekranie dwie, rozgrywające się w tym samym czasie, tragedie. Statek Rissy oddalał się coraz bardziej od *Starplex*, gnając na oślep za przeciwnikiem, a nieszczęsny waldahudeński myśliwiec, pędził na łeb na szyję ku nieuchronnej zagładzie.

Rumowy Jeździec pikował śrubą, spadając na wrogów. Broń podwładnych Gawsta była bezsilna wobec nieuchwytnego prześladowcy, gdyż ogień sprzężonych działek laserowych przeważnie chybiał celu, lub odbijał się od ekranów ochronnych patrolowca. Wtem desperacka obrona została przerwana. Załoga waldahudenskiej jednostki musiała struchleć ze zgrozy na widok makabrycznego spektaklu, transmitowanego na monitorach.

Los pchniętego bezlitosną macką statku był przesądzony. Załodze udało się jeszcze wystrzelić szalupy ratunkowe, lecz słaby ciąg silników nie zdołał wynieść kapsuł

na gwiazdną orbitę. Zapewne ostatnim obrazem, jaki malował się przed oczyma umierających Waldahudenów były klepsydrowate plamy na oślepiającym kręgu słońca; grafitowoszare kleksy w rozszalałym oceanie płynnego jadeitu.

„PDQ” i „Dakterth” powracały do bazy. Musiały dokonać podejścia od góry albo z dołu, aby uniknąć kontaktu z aureolą ostrych, lodowych odłamków wokół *Starplex*. Rombus za pomocą wysięgników ściągnął pojazdy na tarczę centralnego dysku. Nie było mowy o wprowadzeniu ich do śluzy. Uniemożliwiał to wirujący gradowy pierścień - lecz po obydwu stronach głównego elementu stacji zamontowano klamry bezpieczeństwa do awaryjnego cumowania statków. *Rumowy Jeździec* nie przerywał polowania. Keith schylił się nad mikrofonem.

- Rissa! - wrzasnął rozdzierająco. - Na Miłość Boską. Rissa wracaj!

Laser *Rumowego Jeźdźca* nieoczekiwanie wypalił. Zgodnie z instrukcją FANTOM podkreślił na holo trajektorię promienia, który ciał gwiazdną przestrzeń jak błyskawica. Rissa trafiła w cel bezbłędnie, odcinając główny silnik od kadłuba maszyny jednym płynnym pociągnięciem. Oderwany fragment z rozprutym zbiornikiem poszybował w noc. Otaczał go rozpylony obłok wyciekającego paliwa, tworzący wokół cylindra szmaragdowy nimb.

W ułamku sekundy niebo rozświetlił oślepiający błysk, który przyćmił nawet upiorne światło zielonego słońca. Nadtopiony silnik eksplodował. Butlonos z miejsca wykręcił po zawrotnej krzywej i umknął przed rozrastającą się kulą plazmy. Po czym, kierując się wiązką naprowadzającą triumfalnie ruszył w stronę *Starplex*. Waldahudeński pojazd, pozbawiony dysz napędowych, oddalał się szerokim łukiem, niezdolny do jakiegokolwiek manewru.

I znów żwirowy palec przeszył firmament, posyłając jeszcze jeden myśliwiec w śmiertelną podróż. Gdy statek przelatywał obok, Keith dostrzegł głębokie wyrwy, ziejące w osłonie kadłuba - ślady po wysadzonych celowo fragmentach obudowy. Załoga wołała zakończyć życie w kosmicznej próżni niż ugotować się żywcem w tyglu słonecznego pieca.

Tymczasem rozprawa matmatów z waldahudeńskim krążownikiem dobiegała końca. Dwa strumienie, splecione przed dziobem giganta, zaczęły wirować coraz szybciej wokół wspólnej osi, tworząc soczewkową spiralę o kształcie formującej się galaktyki.

FANTOM zlokalizował aktualną pozycję statku, porwanego przez jedno z ramion wirującej masy. Obroty przyspieszały do chwili, gdy spłaszczony krąg cisnął maszynę w przestrzeń, jak dyskobol miotający dyskiem. Największa z jednostek wroga odzyskała sterowność zanim uderzyła w słońce. Nawigator zaczął korygować kurs, kierując białe płomienie dysz odrzutowych w kierunku zielonego słońca. W tym samym momencie gigantyczna protuberancja wystrzeliła ponad fotosferę i strawiła statek.

- Cztery patrolowce są bezpiecznie przypięte do pancerza bazy - zameldował Rombus. - *Rumowy Jeździec* przybędzie za jedenaście minut. Z piersi Keitha wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Doskonale... Teraz musimy przetransportować ewakuowanych z dolnych segmentów. Zaczynamy?

- Właśnie wjeżdża ostatnia winda - odparła Lianna. - To potrwa jakieś trzydzieści sekund.

- W porządku. Przełącz dolne pokłady na zero-g, zanim dotrze tam woda. Thor, wstrzymaj rotację *Starplex*. - Rozkaz.

- Dyrektorze, statek Gawsta wciąż jest przyczepiony do naszej stacji - wspomniał Rombus. - Zakleszczył chwytak na powierzchni obudowy. Keith zachichotał pod nosem.

- Nieźle... Mamy jeńca wojennego - mruknął i dodał głośno. - Dobra robota. Thor, Lianna, Rombus - jesteście wspaniali - przerwał tknięty nagłą myślą. - Dzięki Bogu matmaci stanęli po naszej stronie. Sądzę, że nigdy nie zaszkodzi podtrzymywać kontakt z istotami tworzącymi przeważającą część wszechświata, dlatego... - Jezu... - usłyszeli tragiczny jęk Thora.

Lansing poderwał głowę. Spojrzał na twarz oficera... i na ekran. Radość okazała się przedwczesna. Macki ciemnej materii sunęły w kierunku *Starplex*. - Teraz kolej na nas - zamigotał Ib.

- Przecież dowodzimy potęgą niezrównanie większą od wszystkich waldahudeńskich statków razem wziętych - zaproponował pilot po krótkim namyśle. - Może nie dadzą rady usmażyć nas na tej gwiazdnej patelni... Rombus z miejsca pozbawił goi złudzeń.

- Tylko jedna trzecia matmatów uczestniczyła w ataku na siły Waldahudenów. Gdyby wszyscy stanęli przeciwko nam... FANTOM, czy istnieje taka możliwość? - Tak.

- Przywołać Kocie Oko - rozkazał Keith niespokojnie. - Lepiej z nim porozmawiam. Ib dostroił aparaturę i zamrugał siatką sensoryczną.

- Ustalam wolną częstotliwość... Nadaję... Żadnej odpowiedzi. Dyrektor pochylił się w stronę pilota. - Thor, spływajmy stąd... - Kurs...?

- Kierunek skrót - odparł Keith bez zastanowienia, lecz zaraz oprzytomniał. Przecież mordercze macki już interweniowały w strefie pomiędzy *Starplex* a niewidzialnym punktem transferu.

- Stop! Zmień to - rzucił pośpiesznie. - Leć w przeciwnym kierunku. Trzymaj kurs jak najbliższej zielonej gwiazdy. Poprowadź stację wokół niej. FANTOM, ściągnij tutaj Jaga.

- Zakazał mu pan opuszczać ten pokój, dyrektorze - przypomniał bezbarwny głos komputera.

- Wiem. Daję ci nowe instrukcje. Sprowadź go tutaj, i to zaraz. Minęła dłuższa chwila, zanim FANTOM przekonał Jaga. - Jest w drodze - rzekł wreszcie.

- Masz jakiś pomysł? - zagadnął dowódcę Rombus. Palce ciemnej materii nadlatywały z trzech stron, zamykając się wokół *Starplex* niczym pięść, zgniatająca robaka.

- Wiem, jak się stąd wydostać... O ile ten sposób nas nie zabije.

Na tle nieba błysnęła szczelina drzwi. Do środka wszedł Jag. Początkowo na pysku Waldahudena malował się wyraz pokory. Niewątpliwie śledził przebieg bitwy od początku do końca i był mimowolnym świadkiem zagłady swoich pobratymców. Mimo to, gdy popatrzył na Keitha, w jego głosie odezwała się dawna, lekceważąca nuta. - Czego chcesz? - spytał nieufnie.

- Chcę... - odparł zimno dowódca, trzymając nerwy na wodzy - ... puścić *Starplex* wokół orbity zielonej gwiazdy. Dotrzemy do skrótu okrężną drogą. - Dobry Boże... - Thor pomyślał, że się przesłyszał. Chrząknięcie Jaga było równie wymowne.

- Czy taki manewr jest realny? Jakie są szanse powodzenia? - dyrektor wyczekująco patrzył na naukowców.

- Nie... Nie wiem - zawahał się fizyk. - W normalnych warunkach dokładne obliczenia zajęły by mi kilka godzin.

- Masz do dyspozycji nie godziny, a minuty - uciął Keith. - Czy są szanse

powodzenia? - powtórzył z naciskiem. - Nie wiem... Tak... Chyba tak. Lansing zerknął w stronę basenu. - Melonogłowy! Przywróć do sieci stanowisko Jaga.

- Tak jest - delfin plusnął pod wodę, a Waldahuden zasiadł na swym stałym miejscu.

- Centralny Komputer - szczechnął. - Wyświetlić krzywą kursu na monitorze.

- Nie przysługuje ci prawo wydawania komend poza pasmem osobistym - oznajmił beznamiętnie FANTOM.

- Polecenie anulowane - Keith wpisał nowe instrukcje. - Areszt domowy zawieszony aż do odwołania. Żądany schemat pojawił się na ekranie.

- Magnor! - Jag zerknął na pilota spod przymrużonych powiek. - Tak?

- Mamy najwyżej dziesięć minut zanim nas dopadną. Będziesz musiał odpalić wszystkie dysze kadłubowe. Przetwórz, projekcję mojego szóstego monitora na zapis o większej czułości.

- W porządku - ruda czupryna sternika pochyliła się nad pulpitem.

- Dasz radę utrzymać ten kurs? - splaszony palec Waldahudena sunął wzdłuż krzywej na wykresie lotu. - Masz na myśli sterowanie ręczne? - Jak najbardziej. Nie mamy czasu na programowanie trasy. Wahanie pilota nie trwało nawet sekundy. - Więc ja... Jasne, że dam radę - wyrzucił jednym tchem. - Więc zrób to. Zaczynaj natychmiast. Thor zwrócił na dowódcę pytające spojrzenie. - Dyrektorze...?

- Ile mamy czasu do przycumowania *Rumowego Jeźdźca* na powierzchni dysku? - Lansing oderwał wzrok od ekranu. - Cztery minuty... - padła odpowiedź Rombusa.

- Nie mamy czasu, żeby na nią czekać - wpadł mu w słowo Waldahuden.

Keith zrobił gwałtowny ruch w stronę Jaga, jakby chciał rzucić mu się do gardła. Opanował się w ostatniej chwili.

- Są inne propozycje? - powiódł spojrzeniem po obecnych.

- Mogę przytrzymać *Rumowego Jeźdźca* promieniem traktorowym - zamigotał pospiesznie Ib. - Co prawda, nie zdołam wprowadzić go do śluzy dopóki nie pokonamy skrótu. Możemy jednak holować statek do samego portalu, a Butlonos jest na tyle doświadczonym pilotem, że z pewnością dokona transferu. - Zrób tak - Lansing odetchnął. - Thor, ruszamy. *Starplex* zakreślił łuk w kierunku zielonej gwiazdy. - Silniki na pełną moc - pilot przystąpił do akcji.

- Pozostał jeszcze jeden problem do rozwiązania... - Jag zatrzymał spojrzenie na twarzy dyrektora. - Istnieje szansa, że zdołam przeprowadzić stację przez skrót. Lecz nie mamy czasu na transfer pod ściśle sprecyzowanym kątem, a uszkodzenie hiperskopu na poziomie siedemnastym nie pozwala mi ustalić punktu wyjścia. To może być gdziekolwiek...

- Wkrótce „gdziekolwiek” będzie oznaczać „z pewnością lepiej, niż tutaj” - odparł Keith bez namysłu. - Po prostu wyciągnij nas stąd.

Starplex rozpoczął dramatyczny rajd wokół zielonego słońca. Ponad połowę wielkiego hologramu zajmował łuk szmaragdowej półkuli. Detale ziarnistej powierzchni i klepsydrowate plamy rysowały się coraz wyraźniej. Mniejszy fragment projekcji spowijały obłoki gazu, zaś w tle pęczniały macki ciemnej materii, przesłaniając część nieboskłonu.

- Rombus, czy masz dokładny zamiar „Rumowego Jeźdźca?” - Keith tłumił narastający niepokój.

- Statek jest wciąż oddalony od nas o czterysta kilometrów, a matmaci ruszyli do ataku... lecz wciąż trzymam jego pozycję.

- Dobra robota - dyrektor odetchnął z ulgą. - Czy jest możliwy kontakt z Kocim Okiem lub któryś z jego pobratymców? - Ignorują nasze wezwanie - odparł Ib.

- Nie możemy podejść do gwiazdy tak blisko, jak bym chciał. - Jag zmienił temat rozmowy. - Na pokładzie oceanicznym pozostało zbyt mało wody, by zapewnić skuteczną osłonę, a nasze ekrany ochronne są przepalone. Istnieje trzydziestoprocentowa pewność, że matmaci nas dopadną.

Serce w piersi Keitha łomotało coraz mocniej. Stacja okrążyła gwiazdę parabolicznym łukiem. Zachłanne macki wciąż wyciągały się do łupu. Położenie *Rumowego Jeźdźca* oznaczono na ekranie za pomocą maleńkiego kwadratu, a żółtą barwą podkreślał promień traktorowy, celujący w jego kierunku. *Starplex* dotarł do szczytu paraboli. Gwiazdy umknęły w bok - to Thor skręcił, gdy stacja musnęła pułap słonecznej atmosfery.

Stacja mknęła teraz z zawrotną prędkością po drugiej stronie gwiazdy, pikując w kierunku skrót. Na holo FANTOM podświetlił animowane ramię promienia traktorowego i zaznaczył wartość zużycia dodatkowej energii. Kurs *Starplex* był tylko

minimalnie odchyłony od kursu *Rumowego Jeźdźca*, więc patrolowiec mógł podążać śladem stacji po orbicie siłą własnego rozpędu.

- Dwie minuty do transferu. Naprowadzam. - Macki Iba śmigają nad konsolą.

- Nigdy jeszcze nie przechodziliśmy przez skrót z taką prędkością. Nikt nie jest na to przygotowany - zauważył Jag. - Personel powinien się zabezpieczyć, lub przynajmniej mieć w pobliżu jakieś stałe oparcie. Keith przyznał mu rację. - Lianno, nadaj ostrzeżenie dla załogi.

- „Do całego personelu!” - przez głośniki popłynął głos Lianny przetworzony we wszystkich językach. - „Zapiąć pasy bezpieczeństwa wobec możliwości silnych wstrząsów”. Wtem duży, nieregularny obiekt przesłonił część wizji.

- Statek Gawsta! - zawołała dziewczyna. - Odczepił się od naszego pancerza. Pewnie myśli, żeśmy oszaleli.

- Mogę go złapać drugim promieniem - zaofiarował się Rombus. Keith wybuchnął śmiechem.

- Zostaw go. Niech leci. Jeśli woli mieć przeprawę z mat - matami. Idzie nam na rękę.

- Osiemnaście sekund - odliczał Ib. Z niewidzialnej podłogi wysunęły się pomarańczowe klamry i zamknęły chwyt na obręczach jego kół. - 1,4 stopnia w prawo, Magnor - zaszczekał Waldahuden. - Ominiesz skrót. - Kurs korygujący. - Szesnaście sekund.

- Wszyscy na miejsca! - zdążyła krzyknąć Lianna. - Wkrótce... Wtem... Mrok. Poczucie nieważkości. - A niech to cholera! - głos Thora w ciemności.

- Szczekanie... Jag mówi coś po swojemu... Dlaczego FANTOM nie tłumaczy? Jakież migoczące plamki... jedyne źródło światła w pokoju. To przecież Rombus...

- Siadło zasilanie! - ryknął nawigator. - O krok od skrót...

Zapłonęły czerwone lampy alarmowe i natychmiast włączył się awaryjny system grawitacyjny, dla Ibów - sprawa życia i śmierci. Z dwu przeciwległych stron sali dobiegały odgłosy rozbryzgów ciężkich kropli. Woda w zbiornikach dla delfinów przybrała kształt olbrzymich kopulastych słupów, które runęły pod wpływem powracającego ciężenia. Uderzały przy tym z pluskiem o podłogę, zalewając wszystko dookoła. Sferyczny hologram zniknął. Mostek otaczały jednostajne, szaroniebieskie płyty

syntetycznych ścian. Keith jakoś utrzymał się w swoim fotelu, lecz Jag leżał rozplaszczony na podłodze. Najwidoczniej stracił równowagę, gdy niespodziewanie powróciła grawitacja.

Trzy stanowiska w pierwszym rzędzie - OpW, Ster i OpZ - błyskały kontrolkami, budząc się do życia. Drugi rząd nie ucierpiał prawie wcale, dzięki mocy akumulatorów.

- Zgubiliśmy *Rumowego Jeźdźca*... - rzekł cicho Rombus - Oderwał się od stacji, gdy ustało zasilanie promienia.

- Przerwać transfer!!! - wrzasnął Keith, lecz Thor smutno pokręcił głową. - Za późno. Lecimy do skrótów siłą rozpędu. Mąż Rissy rozpaczliwie zacisnął powieki. - Którędy poleciał *Rumowy Jeździec*?

- Nie dowiemy się, dopóki skanery nie przeszukają pokonanego przez nas odcinka. - Płaszcz Iba przygasł. - Cóż... Mam na myśli część trasy, od kiedy złapaliśmy go na hol. Powinien znajdować się za nami, gdzieś na linii kursu.

- „Generator numer jeden odstrzelony” - wpisała Lianna, sprawdzając odczyty na monitorze. - „Strata wojenna. Przeniesienie funkcji na ocalałe generatory”.

- Od... Wy... Przy... Przyjąłem. Prze...noszę - wydukał FANTOM.

Holograficzny bąbel odtwarzał projekcję. Mostek otoczyła oślepiająca biel, zastąpiona po chwili obrazem kosmosu. Na nieboskłonie nadal królowało zielone słońce, a w tle sunęły nieubłagane macki ciemnej materii. Keith na próżno wypatrywał jakiegokolwiek śladu *Rumowego Jeźdźca*, choć *Starplex* leciał teraz o wiele wolniej. W ciszy zadudnił bas Thora.

- Transfer za dziesięć sekund. Odliczam. Dziewięć. Osiem...

Spod sufitu dobiegało wezwanie Lianny, skierowane przez głośniki do ogólnej wiadomości publicznej.

- Za szesnaście sekund ciążenie wróci do normy. Przygotujcie... - ... Dwa. Jeden. Kontakt!

Zamigotały czerwone diody ostrzegawcze. Skrót otoczył stację liliowym pierścieniem, gdy mikroskopijny punkt rozrastał się, wchłaniając nadlatującą bryłę. Z tyłu widniało znajome niebo z szafirowym słońcem i strumieniami ciemnej materii w tle, na przedzie zaś otwierała się bezgwiezdna pustka. Cały przeskok trwał zaledwie kilka chwil, gdy *Starplex* z szaloną prędkością mknął przez skrót.

Gdy Keith pojął co się stało, przeszył go zimny dreszcz. Światelka na płaszczu Rombusa zatańczyły w sekwencji zdumienia. Lianna stłumiła cichy jęk. Jag odruchowo gładził sierść.

Wokół rozciągała się bezgwiazdna pustka. Jedyne w oddali majaczył jasny, niewyraźny owal, a wysoko w górze bieleły trzy maleńkie, eliptyczne krążki i garstka ledwie widocznych, rozrzuconych bezładnie plamek.

Wynurzyli się zatem w martwej, międzygalaktycznej próżni. Białe elipsy nie były gwiazdami, lecz całymi galaktykami. A żadna z nich nie przypominała Drogi Mlecznej...

XVIII

Gdy *Rumowy Jeździec* oderwał się nagle od *Starplex*, Rissa poczuła, jak przerażenie zaciska jej krtań. - Co się stało?! - krzyknęła.

Butlonos nie miał czasu na odpowiedź. Miotał się i obracał w zbiorniku, walcząc o utrzymanie kontroli nad statkiem. Na centralnym ekranie zatrwającą pęczniała zielona gwiazda. Rissa nie odrywała wzroku od rozszalałego oceanu szmaragdowych, nefrytowych i malachitowych płomieni.

Stłumiła falę paniki i próbowała samodzielnie dociec, gdzie tkwił błąd. W żadnym wypadku Keith nie odciąłby źródła zasilania promienia, więc albo Gawst przeciął hol wiązką interferencyjną, albo w bazie nastąpiła awaria zasilania. Tak czy inaczej, patrolowiec oddalał się od macierzystej stacji, dryfując w kierunku tarczy obcego słońca. Rissa odwróciła się do przezroczystej ściany, oddzielającej kabinę powietrzną od zbiornika wodnego. Ujrzała, jak delfin boleśnie wygina się w łuk i uderza głową o przeciwną ścianę, jakby tym rozpaczliwym gestem mógł zmusić statek do posłuszeństwa.

Rissa ponownie spojrzała na monitor i serce skoczyło jej do gardła. *Starplex* zniknął właśnie w portalu skrótu, przenosząc się licho wie dokąd. Wielkie, ciemne okna stacji potwierdzały jej wcześniejsze przypuszczenia. Musiała nastąpić awaria mocy. Rissa mogła tylko żywić nadzieję, że pozbawiony zasilania pojazd wyjdzie z sieci w okolicach Nowego Pekinu lub Monotonii, gdzie pospieszą mu z pomocą statki Wspólnoty. Z drugiej strony jeśli powrót przez któreś ze sprawdzonych przejść będzie niemożliwy, a badania wszystkich aktywnych skrótów nie zostaną zakończone przed wyczerpaniem się

baterii *Starplex* - stacja utknie w ślepych zaułku bez szansy na ocalenie.

Rissa miała jedynie kilka chwil na rozmyślenia nad losem męża i kolegów. *Rumowy Jeździec* wciąż pędził prosto w słońce. Dziobowe okno znacznie pociemniało, filtrując oślepiający blask zielonego piekła. Butlonos, z elektrodami przyczepionymi do płetw i ogona, nie ustawał w walce. Nagle wywinął koziołka w zbiorniku i zielona gwiazda zesza z pola widzenia. Delfin obrócił statek i skierował główne silniki w kierunku ognistej tarczy i włączył je, hamując lot. Pojazd zadygotał. Rissa ujrzała, jak jej towarzysz w pośpiechu odbezpiecza system awaryjny, naciskając klawisze końcem pyska.

- Rekiny! - zakwilił przeraźliwie Butlonos. Z początku Rissa sądziła, że to jakieś przekleństwo w języku delfinów, lecz wkrótce zrozumiała, co miał na myśli. Macki ciemnej materii - szare kule, rozmieszczone wzdłuż wyziewów kwarkowego zwiru niczym supły na rzemieniach „kota o dziewięciu ogonach” - zagarnęły niemal połowę nieba.

Delfin rzucił się w prawo. Statek powtórzył jego ruch. Po chwili widok przesłonił ostro zarysowany, mroczny kształt. - Maszyna Gawsta - ćwierknął delfin.

- Diabli nadali... - Rissa oparła dłonie na uchwyty celownika lasera geologicznego. Nie zamierzała strzelać, dopóki Gawst nie zaatakuje, ale... Na pancerzu myśliwca zabłyśły dwa rubinowe punkty. Rissa przesunęła kciuk na sprzężony spust działka. Butlonos zauważył jej ruch.

- Silniki ACS - stwierdził. - Nie lasery. On też próbuje uciec daleko od matmatów.

Obraz za oknem znów uległ zmianie, gdy delfin zwiększył pułap lotu. *Rumowy Jeździec* był w matni. Za rufą jarzyła się zielona gwiazda. Z przodu napierał statek wroga. Od prawej burty, z góry i z dołu, nadciągały ziarniste macki ciemnej materii. Pozostała jedyna droga ucieczki. Butlonos szturchał przyciski czubkiem pyska. - Do skrót! - zaświergotał piskliwym trylem.

Palce Rissy stukały o klawiaturę. Na jednym z ekranów pojawiła się mapa hiperprzestrzeni z widoczną chmurą wirujących tachionów wokół punktu wyjściowego.

- Bardziej zwrotni jesteśmy niż *Starplex* - podkreślił po swojemu delfin. - I wyjście możemy wybrać.

- Czy mógłbyś powiedzieć, gdzie jest teraz Keith i cała reszta? - zapytała Rissa po

krótkim namyśle. Nie. Skrót obraca się. Mogę określić ich kąt wejściowy, lecz nie ma czasu na obliczenia, czy my w tym samym miejscu wyjdziemy.

- A więc... Więc w takim razie lecimy do Nowego Pekinu. - zdecydowała kobieta.
- Może *Starplex* w końcu kiedyś tam trafi, żeby dokonać naprawy... O ile w ogóle zdoła dokądkolwiek dolecieć.

Butlonos wykonał w wodzie karkołomny skręt. *Rumowy Jeździec* strzelił w górę, zakreślił pętlę i pikował w dół, wpadając do skrót od tyłu. - Transfer za sekund pięć.

Rissa wstrzymała oddech. Ekrany monitorów ziały pustką. Kompletną pustką... Eksplozja purpury. Inne niebo. Olbrzymi, czarny pojazd kosmiczny.

Pojazd, ostrzeliwujący flotyllę statków Wspólnoty Zjednoczonych Planet.

Cztery... Nie, pięć poszarpanych wraków, otoczonych kłębami wyrzucanej mieszanki tlenowej, dryfowało na tle gwiazdnego firmamentu.

Wszystko skąpane było w krwawym blasku czerwonego karła, który niedawno wyłonił się ze skrót.

Rissa ujrzała oczyma wyobraźni tytuł rozdziału podręcznika z przyszłości: „Pogrom na Tau Ceti”.

Siły waldahudeńskie, atakując ziemską kolonię, postawiły na zagarnięcie jedyne skrót, należące wyłącznie do Ziemi. Gigantyczny statek pancerny z łatwością likwidował, jedną po drugiej, niewielkie jednostki dyplomatyczne, stacjonujące w tym sektorze.

Skuteczną ochronę przed odwetem obrońców zapewniały ekrany ochronne, osłaniające dziób krążownika. *Rumowy Jeździec* pojawił się za rufą olbrzyma...

Rissa nigdy wcześniej nie zabijała... Ba, nawet nigdy nikogo nie zraniła, nawet... „Pogrom Tau Ceti”... Nastawiła celownik i szarpnęła za spusty.

Nie było tu FANTOMa, który wyświetliłby trajektorię sprzężonej wiązki, a waldahudeński pojazd znajdował się zbyt daleko, żeby dostrzegła czerwone plamki, przesuujące się po jego panczerze... Sunące w stronę zbiorników paliwa... Rozpruwające cysterny... Zapalające ich zawartość... Wybuch... Eksplodująca kula światła, jak supernowa...

Frontowe okno gaśnie... Butlonos zakreśla luk w zbiorniku, wyprowadzając *Rumowego Jeźdźca* poza zasięg fali uderzeniowej.

Rissa zdjęła palce ze spustów lasera. Obraz za oknem już się przecierał, a ona wciąż dygotała na całym ciele. Ilu Waldahudenów przebywało na pokładzie tak wielkiego statku? Stu? Tysiąc? Jeśli rzeczywiście chcieli dostać się do Układu Słonecznego, aby zaskoczyć szturmem Ziemię, Marsa i Księżyc - mogli zmieścić na krążowniku około dziesięć tysięcy żołnierzy. Wszyscy zginęli. Co do jednego...

W okolicy uwijały się, co prawda, inne waldahudeńskie jednostki, lecz były to tylko lekkie, jednoosobowe myśliwce, zdezorientowane po utracie czarnego statku bazy. Kobieta ciężko westchnęła.

- Uczyniłaś dobrze - zaćwierkał łagodnie Butlonos. - Ty zrobiłaś to co musiałaś. Nie odpowiedziała.

Statki Wspólnoty właśnie formowały szyk - Nowy Pekin był kolonią ludzi i delfinów - i zaatakowały mniejsze pojazdy agresora. „Rumowym Jeźdźcem” lekko zarzucało, gdy przechodził przez obłok rozrzedzonej atmosfery, otaczającej zniszczony krążownik.

Zapisał nadajnik na konsoli. Rissa poszukała wzrokiem świecącej diody, podobnej do kropelki krwi, lecz nie ruszyła się z miejsca. Delfin przez moment łapał na nią wyczekująco, a potem wcisnął odpowiedni guzik na własnym pulpicie. Przez głośniki popłynął kobiecy głos.

- „Tu Liv Amundsen, dowódca służb policyjnych Wspólnoty Zjednoczonych Planet na Tau Ceti, do jednostki pomocniczej stacji »Starplex«.” - Rissa zerknęła na monitory. Statek Amundsen był wciąż oddalony o całe trzy świetlne minuty, za daleko by prowadzić bezpośredni dialog,

- „...Sprawdziliśmy twój kod transferowy. Dzięki Bogu, przybyłeś w samą porę. Ponieśliśmy bolesne straty - ponad dwustu zabitych. - Lecz ty ocaliłeś Nowy Pekin. Idę o zakład, że zawieszą ci medal na piersi, kimkolwiek jesteś. Odbiór.”

Medal... Rissa przetarła czoło. Jezu Chryste, już przyznają medale... - Rissa? - kwaknęła Butlonos. - Czy chcesz, żebym ja... Potrząsnęła głową.

- Nie. Ja to zrobię - wcisnęła klawisz. - „Tu doktor Clarissa Cervantes. Jestem na pokładzie »Rumowego Jeźdźca« z delfinem pilotem o imieniu Butlonos. »Starplex« również został napadnięty przez siły Waldahudenów. Dokonał transferu w nieznanym kierunku, lecz prawdopodobnie będzie potrzebował awaryjnych suchych doków. Czy

możecie je udostępnić?”

Oczekując odpowiedzi na wysłaną transmisję, Rissa obserwowała przepływające gwiazdy. „Odparcie ataku waldahudeńskich najeźdźców” - błysnął w jej umyśle kolejny tytuł z przyszłej kroniki dziejowej. Jaki będzie następny rozdział? Zginęło dwustu kolonistów... Ziemiaków lub przybyszów z innych układów... Delfiny nie pojmują żądy zemsty, ale czy ludzkość potrafi się jej wyrzec? Czy była to tylko pojedyncza utarczka, czy stoimy na progu międzygalaktycznej wojny?

- „Niestety, doktor Cervantes” - nadeszła oczekiwana niecierpliwie odpowiedź. - „Waldahudeni wzięli nasze komory dokowe na pierwszy ogień”.

„Jasne...” - pomyślała Rissa z goryczą. - „Jeszcze jedna powtórka z Pearl Harbor...”

- „Zaproponuj dowódcy »Starplex«, żeby skierował statek do portu na Monotonii. Niech zachowa ostrożność podczas transferu. Pamiętaj, że ze skrótu wyłonił się tam niedawno subgigant klasy G. My możemy jedynie zaoferować pomoc w naprawie małych jednostek, takich jak twoja. Odbiór”.

Kobieta podniosła wzrok na ekran. Bitwa miała się ku końcowi. Policyjne statki Wspólnoty wciąż jeszcze ścigały grupkę waldahudeńskich niedobitków. Kilku najeźdźców wołało się poddać, odrzucając silniki w przestrzeń.

- Więcej paliwa potrzebujemy - przypomniał śpiewnie Butlonos. - I dysze muszą być wychłodzone. Przeciżyłem je bardzo.

- „W porządku” - rzuciła Rissa do mikrofonu. - „Już do was lecimy. Koniec odbioru”. Skinęła głową delfinowi, który obrócił się w zbiorniku, a statek w przestrzeni powtórzył jego ruch.

Serce Rissy wciąż łomotało. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o tym, co zrobiła.

XIX

- Lianno! Raport o zniszczeniach - polecił Keith.

- Kończę wykaz strat, odniesionych podczas bitwy. Transfer przebiegł bez komplikacji. - Straty w ludziach?

Lianna przechyliła głowę, wsłuchana w treść raportu, przekazywanego przez

implant w jej uchu.

- Żadnych ofiar. Wiele złamań kości. Kilka przypadków wstrząsu. W sumie nic poważnego. Co do Jessiki Fong - opuściła służbę szesnastą w dobrym stanie, jeśli nie liczyć pękniętego biodra, złamanej ręki i mnóstwa siniaków.

Dyrektor odetchnął z ulgą. Przebiegł wzrokiem po hologramie, doszukując się jakichś szczegółów w białych plamkach na tle nieskończonej czerni. - Boże... - szepnął zrezygnowany.

- Wszyscy bogowie - odparł cicho Jag - są daleko, daleko stąd... Thor obrócił się w fotelu i spojrzął na Waldahudena. - To przestrzeń międzygalaktyczna, tak? Jag przytaknął, podnosząc górną parę rąk.

- Ale... Nigdy nie słyszałam o wyjściu z sieci, położonym tak daleko - zaoponowała Lianna.

- Skrótów istnieją jedynie w skończonym czasie - odparł fizyk. - Być może sygnały z międzygalaktycznej przestrzeni nie dotarły jeszcze do żadnego ze światów Wspólnoty.

- Lecz w jaki sposób skrót w ogóle może istnieć w międzygalaktycznej przestrzeni? - wtrącił pilot. - Gdzie jest jego punkt zaczepienia?

- To bardzo dobre pytanie... - Jag pochylił głowę, śledząc z napięciem dane, rejestrowane przez przyrządy. - A! Tutaj go mam. Sprawdź dokładnie obraz swojego hiperprzestrzennego skanera, Magnor. Około sześć świetlnych godzin stąd znajduje się spora czarna dziura. Thor gwizdnął cicho, a Keith poruszył się niespokojnie. - Czy stanowi dla nas jakieś zagrożenie? - zapytał. - Nie bardzo, szefie. Dopóki siedzimy od niej z daleka. Tymczasem Jag manipulował przy kontrolkach na pulpicie. Na holo pojawił się wyodrębniony ramką obszar, pusty i mroczny, jak reszta otaczającej go przestrzeni.

- W normalnych warunkach widoczny jest dysk przyrostu wokół czarnej dziury. Lecz tu nie ma nic, co mogłoby zostać przyciągnięte przez jej pole grawitacyjne. - Waldahuden zamyślił się. - Myślę, że to jakaś starożytna czarna dziura. Potrzebowała miliardów lat, by dotrzeć aż tutaj. Prawdopodobnie jest pozostałością układu gwiazdy podwójnej. Gdy większy z komponentów przeszedł w supernową, powstała asymetryczna fala uderzeniowa, która wyrzuciła czarną dziurę poza rodzimą galaktykę. - Ale... Co uaktywniło skrót? - przerwała Lianna. Cztery dłonie Jaga uniosły się w górę.

- Czarna dziura przyciąga wszelką, przelatującą w pobliżu materię. Prawdopodobnie jakieś ciało zostało nagle wessane przez skrót - Jag silił się na beztroskę, lecz nie dało się ukryć, że jest tym wszystkim przybity. - I tak mieliśmy dużo szczęścia. - mruknął. - Skrót w międzygalaktycznej przestrzeni są równie rzadkie, jak muł bez śladów stóp.

Keith spojrział na szczerą twarz Thora. Szukał spokojnych, wyważonych słów. Wciąż był dyrektorem *Starplex*, bez względu na to, że stacja bardziej przypominała teraz tratwę płynącą w nieznanie, niż laboratorium badawcze. Czuł na sobie wzrok całej załogi, szukającej w nim oparcia.

- Kiedy będziemy gotowi do powrotnego transferu? - zapytał. - Kiedy wrócimy po Rissę i Butlonosa?

- Wciąż mamy problemy z elektrycznością - westchnęła Lianna. - Nie chciałabym ruszać statku, dopóki nie dojdziemy z tym do ładu. Potrzebuję co najmniej trzech godzin... - Trzech godzin?! - przerwał jej Lansing. - Ależ to... - Postaram się pospieszyć - zapewniła.

- A gdybyśmy wysłali im z pomocą jeden z patrolowców? - Keith z nadzieją popatrzył po zebranych.

Na mostku zaległa cisza. Rombus bezszelestnie podjechał do stanowiska dowodzenia i delikatnie oparł jedną z macek na ramieniu dyrektora.

- Mój przyjacielu... - FANTOM przełożył w formie szeptu stonowany blask światła na siatce sensorycznej Iba. - Wiesz, że nie możesz tego uczynić. Nie możesz narażać drugiego statku na niebezpieczeństwo.

Jestem dyrektorem... i mam chyba prawo podejmować własne cholerne decyzje - kłął w duchu Keith. Potrząsnął głową, próbując stłumić gniew. Jeżeli cokolwiek stało się Rissie...

- Masz rację - rzekł głośno. - Dziękuję. - w tej chwili jego wzrok padł na Jaga i skrywana wściekłość wybuchła ze zdwojoną siłą. - Powinienem z powrotem cię przymknąć, ty...

- Świnio - usłużnie dokończył Jag, prowokacyjnie krzywiąc pysk w parodii angielskiego słowa. - No dalej, wyduś to wreszcie.

- Moja żona jest gdzieś... nie wiadomo gdzie - wysapał Lansing. - Być może

umiera. Butlonos również. Co, do diabła, chciałeś przez to osiągnąć?! - Do niczego się nie przyznaję.

- Naprawa tego statku pochłonie miliardy. Wspólnota skieruje przeciw tobie oskarżenie, masz to jak w banku... Nigdy nie zdołasz udowodnić, że moja propozycja przesunięcia *Starplex* miała cokolwiek wspólnego z późniejszym biegiem wypadków. Możesz mnie lżyć, ile dusza zapragnie, człowieku, jednak nawet wasze zacofane sądy wymagają konkretnych dowodów winy. Istota z ciemnej materii, będąca przedmiotem moich badań, naprawdę pozostawia niezwykle ślad w hiperprzestrzeni. I naprawdę był on niewidoczny, dopóki nie przenieśliśmy *Starplex* na bliższy punkt obserwacyjny - każdy astronom to potwierdzi...

- Twierdziłeś, że matmat wchodzi w fazę podziału - oskarżycielsko rzucił dyrektor. - Reprodukacja nie nastąpiła.

- Twoją domeną jest socjologia, Lansing. W naukach ścisłych musimy czasem pogodzić się z faktem, że niektóre z naszych teorii zostaną obalone. - To był podstęp...

- To był eksperyment - uciał Waldahuden. - Cała reszta to tylko domysły. Próbuje dalej szkalować mnie publicznie, a zaskarżę cię o zniesławienie. - Sukinsynu! Jeśli Rissa umiera...

- Jeśli doktor Cervantes umiera, będę niepokieszony - przerwał zimno Jag. - Życzę jej powodzenia. Z tego, co nam wiadomo, ona i Butlonos bezpiecznie umknęli przez skrót. To moi towarzysze ponieśli dzisiaj śmierć. Nie twoi... Lianna podniosła wzrok znad konsoli.

- On ma rację, Keith - wtrąciła łagodnie. - Straciliśmy sprzęt i mamy kilku rannych na pokładzie. Lecz nikt z załogi *Starplex* nie zginął.

- Może z wyjątkiem Rissy i Butlonosa - Lansing wziął głębszy oddech, siląc się na spokój. - Wszystkiemu winna jest mamona, co Jag? Gdy ruszył handel między galaktyczny, najbardziej ucierpiała wasza ekonomia. Wy, chłopaki z Rehbollo, nigdy nie tworzyście dwóch identycznych rzeczy... - Byłaby to zniewaga Boga Rzemieślników!

- Byłby to dowód wydajnej pracy, a wasze fabryki i robotnicy do wydajnych nie należą. Pozostaje pokaz siły. *Starplex*, nawet rozebrany na części, ma nieocenioną wartość - to dla was niezła gratka, nie mówiąc o podbudowaniu prestiżu. Jeśli wojna wybuchnie o taka stawkę... Cóż, reklama jest dźwignią handlu.

- Żadna rozumna istota nie chce wojny - odparł fizyk, lecz Keith podjął decyzję.
- FANTOM! - rozkazał. - Jag powraca pod areszt domowy. - Przyjąłem.
- Może sprawia ci przyjemność wymierzanie kary - szcęknął Waldahuden - ale wciąż znajdujemy się na pokładzie stacji badawczej. Jesteśmy pierwszymi mieszkańcami Wspólnoty, jacy kiedykolwiek trafili w międzygalaktyczną przestrzeń. Powinniśmy oznaczyć nasze aktualne położenie - a ja jestem najbardziej wykwalifikowaną osobą, by podjąć się tego zadania. Odwołaj nakaz aresztu, zamknij się i zostaw mnie w spokoju, a spróbuję ustalić, gdzie jesteście.

- Szefie... - mruknął Thor widząc, że Keith zielenieje. - On ma rację, to jasne. Dajmy mu podzielać.

Lansing boczył się dłuższą chwilę. W końcu wyraził zgodę krótkim skinieniem głowy. Wskutek przedłużającego się milczenia Thor sam postanowił przemówić do komputera.

- FANTOM - powiedział w powietrze. - Anuluj nakaz aresztu domowego dla Jaga.

- Odwołanie polecenia wymaga osobistego potwierdzenia Dyrektora Lansinga - oświadczył automat. Z piersi Keitha wydarło się westchnienie

- Potwierdzam. Mimo to, FANTOM, kontroluj każdą wydaną przez niego komendę. Jeżeli będzie odbiegać od próby ustalenia naszej pozycji, natychmiast daj mi znać. - Przyjąłem. Areszt domowy anulowany. Lansing pytająco spojrzął na pilota. - Nasz aktualny kurs? Thor porównał odczyty na ekranach przyrządów.

- Nadal dryfujemy zmodyfikowaną wersją parabolicznego ślizgu, który wykorzystaliśmy do okrążenia zielonego słońca. Oczywiście tor uległ odchyleniu, kiedy wyrwaliśmy się spod wpływu pola grawitacyjnego gwiazdy...

- Magnor! - szcęknął Jag. - Jesteś mi potrzebny do przeprowadzenia rotacji *Starplex* metodą Gafa Wayfarera. Straciliśmy jeden układ hiperskopów, lecz musimy mieć paralaktyczny skan hiperprzestrzeni całego nieba. Thor bez słowa zabębnił palcami po klawiaturze. Holograficzny bąbel wokół mostka rozpoczął złożoną serię obrotów. Podrygi i piruety stacji nie przyprawiły załogi o zawrót głowy tylko dlatego, że firmament był całkiem pusty, jeśli nie liczyć kilku wyblakłych plamek bieli. Pilot podjął przerwana rozmowę.

- Co do kwestii powrotu, Keith. Ustawienie naszego wyjścia w hiperprzestrzeni jest identyczne, jak u wszystkich skrótów - zgodne z południkiem zerowym. Jak by nie było, ten diabelski wynalazek funkcjonuje w ten sam sposób od milionów lat świetlnych. Kiedy Lianna doprowadzi do porządku sieć elektryczną, powinienem bez trudności zawrócić nas stąd do każdego aktywnego skrótu, jaki wymienisz.

- W porządku - uznał dyrektor. - Lianno, jakie szkody mieliśmy podczas bitwy?

- Pokłady od pięćdziesiątego czwartego do siedemdziesiątego zatopione - przemówiła. - Całe wyposażenie, od czterdziestego pierwszego w dół, uszkodziła woda. Wszystkie segmenty pod spodem centralnego dysku przyjęły potężne uderzenie radiacji, gdy okrążaliśmy zieloną gwiazdę przy stuosiemdziesięciostopniowym nachyleniu. Radzę uznać całą dolną połowę stacji za niezdatną do zamieszkania - dodała po namyśle. - Obie sekcje niższych modułów mieszkalnych są teraz do niczego. - Co z ekranami ochronnymi? - Emitery pola zostały przepalone, lecz grupa techników mojego działu właśnie nad nimi pracuje. W ciągu godziny uzyskamy minimalną osłonę. Swoją drogą mieliśmy szczęście, wyszliśmy w przestrzeni międzygalaktycznej. Szansa kolizji I mikrometeoroidami jest tu znikoma.

- Gawst wyciął generator numer cztery. Jaki jest stan uszkodzenia?

- Mój zespół założył tymczasowe zabezpieczenia na obrzeżach wyciętej dziury. Izolacja powinna wytrzymać do czasu remontu w orbitalnej stocznicy - orzekła Lianna. - Co z resztą generatorów? - Złącza elektryczne generatora numer trzy są w rozsypce. Wysłałam tam już ekipę monterów, lecz nie wiem, czy mamy na składzie wystarczający zapas światłowodów o odpowiednim przekroju. Być może, aby skończyć naprawę musimy sami wyprodukować niezbędne przewody. W każdym razie nie da się uruchomić głównych silników, dopóki nie podłączymy ich do sieci. Do tego inna waldahudeńska maszyna zdążyła uszkodzić generator numer jeden. To ten, który nagle stanął, powodując przerwę w dopływie energii. Tak czy owak - myślę, że damy radę zlikwidować usterki. - Stan śluz cumowniczych?

- Komora szesnasta wypełniona zamrożoną wodą - zameldowała Lianna i dodała: - Poza tym, na pięć statków, wciągniętych w wir walki, trzy wymagają naprawy. - Wciąż możemy bezpiecznie przebywać w kosmosie?

- Tak. Planuję około trzech tygodni na dokładny remont, lecz nie ma żadnego

bezpośredniego zagrożenia. Keith z zadowoleniem skinął głową.

- W takim razie, Thor, gdy tylko Lianna uzna, że jesteśmy gotowi do lotu, chciałbym żebyś opracował transfer, który wyrzuci nas tam, skąd przybyliśmy. To znaczy w pobliżu zielonej gwiazdy. Rdzawe brwi pilota powędrowały w górę.

- Rozumiem, że pragniesz ocalić *Rumowego Jeźdźca*, Keith. Ale jeśli przeżyli, Butlonos z pewnością już wyprowadził statek przez skrót.

- I owszem. Lecz nie dlatego chcę wracać - Lansing przesunął wzrok na Rombusa.
- Miałeś rację przed kilkoma minutami, mój samobieżny przyjacielu. Powiniennem w pierwszym rzędzie spełnić swój obowiązek. *Starplex* został stworzony przede wszystkim z myślą o nawiązaniu kontaktów z obcą inteligencją. Nie pozwolę, aby Wspólnota, idąc w ślady Odźwiernych, zerwała łączność z powodu nieporozumienia. Chciałbym jeszcze raz pomówić z matmatami. - Próbowali nas zabić! - zaoponował Thor. Keith uciszył go gestem dłoni.

- Nie jestem na tyle głupi, by dać im powtórna szansę wrzucenia stacji w to piekielne słońce. Czy potrafisz opracować dla *Starplex* kurs, którym dokonamy transferu, zrobimy pętlę wokół zielonej gwiazdy i zanurkujemy z powrotem do skrót pod kątem, który wyprowadzi nas przez portal Monotonii 368A?

- Potrafię to zrobić, a jakże - odparł sternik po chwili namysłu. - Ale dlaczego przez M 368A, a nie Nowy Pekin?

- Wiemy jedynie, że atak na *Starplex* nie jest odosobnionym przypadkiem. Nowy Pekin może być obleżony. Musimy wylądować w punkcie neutralnym - Lansing zawiesił głos. - Do rzeczy. Jeśli wprowadzimy mój plan w życie - czy matma - tom uda się znów nas dopaść? Thor potrząsnął rudą grzywą.

- Nie. Nawet jeśli zaczęli się tuż przy wyjściu, a my rozwiniemy pełną prędkość, nie mają szans. W dyrektora wstąpiła nowa nadzieja.

- Rombus! - zwrócił się do Iba. - W czasie, gdy Lianna zajmie się podłączeniem do sieci niezbędnych urządzeń, przerzucę próbnik w okolicę zielonej gwiazdy. Nastaw hiperprzestrzenny skaner, abyś mógł rozpoznać matmatów po wgłębieniach, jakie tworzą w hiperprzestrzeni. Wprowadź również szeroko widmowy skan radiolokacyjny na wypadek powrotu waldahudeńskiej kontrofensywy. A także... - Keith starał się zapanować nad głosem - zaprogramuj detektor na rozpoznawczy kod transpondera

Rumowego Jeźdźca.

- Minie co najmniej pół godziny, zanim będzie można to zrobić - przypomniała Lianna.

Lansing zagryzł wargi i pomyślał o żonie. Jeśli zaginęła, na rozwiązanie zagadki pozostały mu te wszystkie miliardy lat, jakie ma przed sobą. Popatrzył na plamki galaktycznego światła bujające w otchłani. Nie miał pojęcia, w którym kierunku obrócić wzrok, na czym skoncentrować myśli... Czuł się nieprawdopodobnie mały, nieważny i niewiarygodnie samotny. Na hologramie nie widniał żaden punkt zaczepienia; nic konkretnego, nic określonego. Jedynie otchłań... Wszechogarniająca, miazdząca pustka.

Nagle obok, po lewej stronie rozległ się dziwny dźwięk. Coś, jakby zdławiony psi kaszel, który FANTOM przełożył jako „wyrażanie krańcowego zdumienia”. Keith z miejsca obrócił się w stronę astrofizyka i na widok Waldahudena opadła mu szczęka.; Jeszcze nigdy nie widział, żeby futro Jaga wyczyniało coś podobnego... - O co chodzi? - zagadnął. - Ja... Ja już wiem, gdzie jesteśmy - wychrypiął Jag. Keith uniósł brwi. - Taak?

- Zdajesz sobie sprawę, że w okolicy Drogi Mlecznej i Andromedy istnieje około czterdziestu mniejszych galaktyk, związanych z nimi grawitacyjnie, prawda? - Grupa Lokalna - burknął Keith zirytowany.

- Właśnie - podchwycił Waldahuden. - Zatem rozpocząłem od poszukiwań pewnych zjawisk, charakteryzujących Grupę Lokalną, takich jak superjasny S Doradus w Wielkim Obłoku Magellana. Bez rezultatu. Wobec tego przewertowałem katalog najbliższych, pozagalaktycznych pulsarów - oczywiście odpowiednich wiekowo - i użyłem ich niepowtarzalnych impulsów radiowych do sprecyzowania własnego położenia... - Tak, tak - przerwał niecierpliwie człowiek. - I co?

- I obecnie najbliżej nas znajduje się ta galaktyka... - Jag wycelował palec w maleńki punkt na hologramie pod swoimi stopami - Jest oddalona o mniej więcej pięćset tysięcy lat świetlnych stąd. Zidentyfikowałem ją jako CGC 1008. Posiada kilka wyjątkowych cech.

- Dobra - przerwał mu ostro Keith. - Jesteśmy pół miliona lat świetlnych od CGC 1008. Do rzeczy. Co oznacza odległość od CGC 1008 od Drogi Mlecznej dla nas, astrofizycznych matolów?

Jag wykrztusił kilka stłumionych, ledwie słyszalnych szczęknięć.

- Jesteśmy... - wydukał głos translatora - ...sześć miliardów lat świetlnych od domu.

- Sześć... miliardów?! - Thor gwałtownie odwrócił się twarzą do Waldahudena. Jag bezradnie podniósł górną parę rąk. - Taka jest prawda - odparł zrezygnowany.

- To... To wprost nie mieści się w głowie - jęknął Lansing. Waldahuden powtórzył swój gest.. - Sześć miliardów lat świetlnych - mruknął. - Sześćset tysięcy razy więcej, niż średnica Drogi Mlecznej. Dwa tysiące siedemset razy więcej, niż odległość od Drogi Mlecznej do Andromedy - łypnął na Keitha. - Dla was, w języku astrofizycznych matolów, bardziej, niż cholernie daleko...

- Czy możemy stąd zobaczyć Drogę Mleczną? - spytał dyrektor. Jag rozłożył ramiona jak wiatrak.

- O, tak - szczechnął cicho. - Tak, doprawdy. Centralny Komputer! Powiększ sektor 112.

Błękitna obwódka zakreśliła fragmencik sferycznego holo. Jag opuścił stanowisko i ruszył w tym kierunku. Przez moment mrużąc oczy kontemlował sytuację.

- Tutaj - dźgnął palcem w ekran. - Tak, to tutaj. A tuż obok - Andromeda. A to jest M 33, trzecia pod względem wielkości galaktyka Grupy Lokalnej. Rombus z zakłopotaniem zamrugnął światełkami.

- Najmocniej błagam o wybaczenie, lecz musiała zajść jakaś pomyłka. To nie są galaktyki spiralne. Bardziej przypominają dyski.

- Ja się nie mylę - warknął Jag. - To Droga Mleczna. Tyle, że jesteśmy oddaleni o sześć miliardów lat świetlnych i widzimy ją tak, jak wyglądała sześć miliardów lat temu.

- Wiesz, co mówisz? - wpadł mu w słowo Keith.

- Jak najbardziej. Kiedy tylko pulsary wskazały mi w przybliżeniu właściwy kierunek, bez trudu zidentyfikowałem galaktykę Drogi Mlecznej, Andromedy i tak dalej. Obłoki Magellana są zbyt młode, by ich światło dotarło tak daleko. Jednak gromady kuliste zawierają prawie wyłącznie stare gwiazdy pierwszej generacji i udało mi się rozpoznać określone skupiska, powiązane zarówno z Drogą Mleczną, jak i z Andromedą. Wiem, co mówię. Ten soczewkowaty dysk to nasz rodzinna Galaktyka.

- Przecież Droga Mleczna ma ramiona spiralne - zaproponowała Lianna. Jag spojrzał na nią wyniośle.

- Tak, Droga Mleczna niewątpliwie ma dzisiaj ramiona spiralne. I nie mam też wątpliwości, że gdy była sześć miliardów lat młodsza nie miała ramion spiralnych. - Jak to możliwe? - Thor nie krył zdumienia.

- To intrygujące pytanie - odparł waldahudeński astrofizyk. - Osobiście byłem przeświadczony, przyznaję, że nasza Galaktyka już w połowie swego obecnego wieku posiadała spiralny kształt...

- W porządku - uciał Keith. - Droga Mleczna w pewnym momencie wygrała ramiona na loterii...

- Wcale nie w porządku! - zaperzył się Jag. - To faktycznie nie ma żadnego sensu. Nigdy nie stworzyliśmy wiarygodnego modelu, motywującego formowanie się spiralnych ramion. Większość hipotez bazowała na różnicach obiegu - gwiazdy bliższe centrum galaktyki robią kilka okrążeń, gdy gwiazdy na dalekich orbitach kończą zaledwie jeden obrót wokół jądra. Lecz ramiona, powstałe w taki sposób były by fenomenem tymczasowym, trwającym nie więcej, niż miliard lat. Och... W ogóle powinniśmy odnotować najwyżej kilka takich galaktyk, a mamy prawo sądzić, że na każde cztery wielkie galaktyki przypadają aż trzy spiralne - ten współczynnik potwierdza aktualne obserwacje. Galaktyki eliptyczne powinny zdominować spiralne liczbowo, a jest dokładnie na odwrót. - Zapewne gdzieś w teorii tkwi błąd. Jag wznosił górną parę rąk na znak zgody.

- Otóż to - przytaknął. - My, astrofizycy, od stuleci łamaliśmy sobie głowę nad stworzeniem modelu, nazwanego „modelem zagęszczenia fal”, aby wyjaśnić obfitość galaktyk spiralnych we wszechświecie. Głównym założeniem były zakłócenia falowe w formie spirali, która przepływa środkiem galaktycznego dysku, ciągnąc za sobą gwiazdy - porwane, czy nawet uformowane przez wir. Jednakże ta teoria nigdy nie odniosła pełnego sukcesu. Po pierwsze nie tłumaczy wielkiej różnorodności form spiralnych. Po drugie, nie daje odpowiedzi, skąd biorą początek owe domniemane „zagęszczone fale”. Wybuchy supernowych czasem się nakładają. Lecz w modelu można równie łatwo doprowadzić do wzajemnej anihilacji połączonych eksplozji, jak przekształcić energię wybuchu w źródło fal dalekiego zasięgu. - Jag odetchnął. - Mieliśmy także inne problemy z modelami ukształtowania naszej galaktyki. W roku 1995 ziemscy astronomowie odkryli, że odległe galaktyki, których wiek w chwili obserwacji wynosił zaledwie dwadzieścia procent

aktualnego wieku wszechświata, wirują w tempie porównywalnym z szybkością obrotów Drogi Mlecznej. Innymi słowy dwa razy szybciej, niż zakłada teoria dla galaktyk w tym wieku. Keith namyślał się przez chwilę.

- Jeżeli to, co właśnie widzimy, jest zgodne z prawdą - rzekł głośno - galaktyki spiralne, podobne do naszej, musiały ewoluować z prostego dysku, prawda? Powtórny, twierdzący ruch kończyn Waldahudena.

- Prawdopodobnie. Wasz uczone Edwin Hubble wychodził z założenia, że narodziny każdej galaktyki biorą początek od pierwotnego sferycznego skupiska gwiazd. Stopniowo rozkręca się ono w spłaszczony dysk, a następnie rozwija ramiona, które z czasem otwierają się w przestrzeni coraz dalej i dalej. Aczkolwiek posiadamy teraz naoczny dowód, że taka ewolucja ma faktycznie miejsce - tu wskazał gwiazdny dysk wewnątrz fluoryzującej ramki - wciąż nie umiemy wytłumaczyć, dlaczego to zachodzi i dlaczego formy spiralne w ogóle przetrwały.

- Mówiłeś, że trzy czwarte wszystkich wielkich galaktyk są spiralne? - spytała nagle Lianna.

- Taak... - FANTOM zastąpił chrapliwe szczerzenie wymówionym przeciągłym słowem. - Dotychczas nie zdobyliśmy niepodważalnych dowodów na proporcje występowania galaktyk eliptycznych i nieeliptycznych w całej rozciągłości wszechświata. Trudno określić strukturę zamglonych obiektów, odległych o miliardy lat świetlnych. Lokalnie obserwujemy przewagę galaktyk spiralnych, wypełnionych przez młode, błękitne gwiazdy, podczas gdy występujące tam elipsoidy koncentrują głównie stare, czerwone gwiazdy. Zatem przyjęliśmy zasadę, że każda bardzo oddalona galaktyka, emitująca błękitne światło - biorąc, rzecz jasna, poprawkę na podczerwienienie widma - jest spiralna, emitująca zaś czerwony blask, jest eliptyczna. Lecz doprawdy, nigdy nie mieliśmy stuprocentowej pewności.

- To niemożliwe - szepnęła Lianna, wpatrzona we fragment projekcji. - Jeżeli... Jeżeli tak wyglądała nasza galaktyka sześć miliardów lat temu, to nie powstał jeszcze żaden z zamieszkałych światów Wspólnoty, prawda? A może istnieje... Czy sądzisz, że istnieje tam teraz jakiegokolwiek życie?

- Cóż... „teraz” oznacza dla nas po prostu „teraz” - odparł astrofizyk. - Lecz jeśli pytasz, czy w obrębie Drogi Mlecznej istniało życie w chwili, gdy zaczęło płynąć ku nam

światło, odpowiedziałbym - nie. Galaktyczne jądra są niezwykle radioaktywne. Może nawet bardziej, niż na ogół sądzimy. Galaktyka eliptyczna, taka jak ta, jest jednym wielkim jądrem. W tak gęstym skupisku gwiazd występuje zbyt silna emisja twardego promieniowania, aby zdołały powstać trwałe molekuly genetyczne - Jag zawahał się. - Oznacza to, jak przypuszczam, że tylko galaktyki w średnim wieku mogą stać się kolebką życia organicznego. Wczesne formy, pozbawione ramion, pozostaną jałowe.

Na mostku zapadła cisza, zakłócana jedynie od czasu do czasu słabym popiskiwaniami panelu sterowniczego na tle poszumu wentylatorów. Wszyscy medytowali w zadumie nad maleńką plamką światła, która pewnego dnia da im życie. Uświadamiali sobie fakt, że zawędrowali w przestrzeń kosmiczną nieporównanie dalej, niż ktokolwiek przedtem. Rozmyślali nad przytłaczającym ogromem mrocznego pustkowi. Sześć miliardów lat świetlnych...

Na fali wspomnień powrócił do Keitha czytany przed laty artykuł poświęcony Bormanowi, Lovellowi i Andersowi - pierwszym astronautom z Apollo 8. Okrążali oni Księżyc w Wigilię 1968 roku, recytując braciom, pozostałym na Ziemi, wersety biblijnego Genesis. Byli pierwszymi ludzkimi istotami, rzuconymi na tyle daleko od rodzinnego globu, by mogli go zakryć rozpostartą dłonią. Ten właśnie moment, bardziej niż jakikolwiek inny - ten wizerunek, perspektywa, krajobraz - oznaczał dla ludzkości koniec dzieciństwa; zrozumienie, że cały ludzki świat jest tylko maleńką piłeczką, zawieszoną w otchłani nocy. A teraz, pomyślał Keith, być może - tylko być może - ten widok jest symptomem nadejścia wieku średniego: nieruchoma ramka, która ozdobi kartę tytułową drugiego rozdziału biografii ludzkości. Ziemia nawet nie była już maleńka, ulotna, znikoma... Mężczyzna podniósł rękę i rozprostował palce na tle hologramu, nakrywając dłonią gwiazdne wysepki. Przez moment siedział nieruchomo, po czym opuścił rękę i pozwolił oczom błędzić po bezkresnych przestrzeniach wszechobecnej pustki. Jego wzrok padł przypadkiem na Jaga. Waldahuden robił dokładnie to, co Lansing uczynił przed chwilą - przysłonił otwartą dłonią plamkę Drogi Mlecznej.

- Wybacz, Keith - słowa Lianny były pierwszym dźwiękiem, który przerwał milczenie, panujące na mostku od kilkunastu minut. Był to głos cichy, pokorny, jak modlitwa w murach katedry. - Instalacja elektryczna jest naprawiona. Możemy wystrzelić ten próbnik dokądkolwiek zechcesz. Dyrektor w zadumie skinął głową.

- Dziękuję - mruknął. Jeszcze raz utkwił tęskny wzrok w bladym krążku młodej Drogi Mlecznej na tle mrocznego bezmiaru.

- Rombus - szepnął. - Zobaczmy, co z naszym powrotem do domu...

XX

- Sonda wystrzelona! - zakomenderował Ib. Na holograficznej kuli Lansing śledził odbijający od stacji srebrzystozielony cylinder, oświetlony przez śledzące reflektory nastawne, rozmieszczone na obudowie *Starplex*. Próbnik pomknął naprzeciw niewyraźnych kleksów odległych galaktyk. Wkrótce dotknął portalu skrótu i zniknął.

- Całe zadanie powinno trwać najwyżej około pięciu minut - zapewnił dyrektora Rombus.

Mężczyzna skinął bez słowa, próbując wziąć się w garść. Sam nie wiedział, czego bardziej pragnie: żeby sonda przekazała meldunek o wykryciu kodu transpondera Rissy - oznaczającego, że przynajmniej aparatura *Rumowego Jeźdźca* jest wciąż nienaruszona, czy żeby nie przesłała żadnego raportu - co pozostawiałoby nadzieję, że stateczek być może wymknął się bezpiecznie przez skrót. Czas mijał, a zdenerwowanie Keitha wzrastało. Niecierpliwie podniósł wzrok na zegarowe trio, zawieszony w przestrzeni nad ukrytymi drzwiami po lewej stronie. - Ile czasu minęło? - Siedem minut - odparł Rombus. - Czy ten twój próbnik nie powinien już wrócić? Światelka na siatce sensorycznej Iba pomknęły w górę. Lansing rozzłościł się nie na żarty. - Więc gdzie, do diaska... - Impuls tachionów! - zamigotał rombus. - Nadlatuje.

- Nie czekaj, aż przycumuje - polecił Keith. - Sprowadź dane przez radio i wyświetl na monitorze.

Próbnik wyemitował skan, przypominający raczej niskiej rozdzielczości wideo, niż holograficzną projekcję. Fragment sferycznego holo, zakreślony błękitną linią, ukazał płaski obraz, zarejestrowany przez sondę.

- Co to, do... - Keith pohamował się i krzyknął do Iba. - Rombus! Czy dobrze wyliczyłeś kąt wejścia? - Oczywiście. Co do ułamka stopnia.

Jagi mimowolnie cisnął waldahudeńskie przekleństwo. FANTOM nie przetłumaczył błuźnierstwa, lecz Lansing czuł, że sam chętnie kłąby, na czym świat stoi. - To nie jest miejsce, z którego przybyliśmy - wykrztusił. Futro Jaga znieruchomiało.

- Zgadza się - burknął. W ramce widniał rój ciasno stłoczonych, czerwonych gwiazd. - Przypuszczalnie, jak sądzę, nie jest to nawet obszar należący do Drogi Mlecznej. Przypomina wnętrze gromady kulistej. Dziesiątki tego typu gromad towarzyszą CGC 1008, niewykluczone, że to jedna z nich. - To znaczy...

- To znaczy, że nie możemy wrócić do domu - dokończył Thor, odrywając dłonie od konsoli sterowniczej. - Nie znamy właściwego adresu.

- Południkowo-równoleżnikowy system koordynacyjny nie może działać bezbłędnie przy tak ogromnych odległościach - dodała Lianna. Głos Keitha zabrzmiał niemal błagalnie. - Nawet przy pełnym hipernapędzie... Jag prychnął.

- Nawet przy pełnym hipernapędzie - zaszczekał - pokonanie sześciu miliardów lat świetlnych zajęłoby około dwustu siedemnastu milionów lat standardowych.

- Dobrze - rzucił z desperacją Lansing. - W takim razie spróbujemy przerzucić sondy przez skrót metodą penetracyjną. Rombus, zacznij od przebijania tachionowej sfery wokół portalu od bieguna północnego, następnie sunąc w dół posyłaj próbniaki co pięć stopni długości i pięć szerokości. Być może, jeśli nam się poszczęści, ujrzymy coś znajomego na skanach, które prześlą z powrotem.

Ib zaczął odpalać sondy, lecz wkrótce okazało się, że przenikają albo do gromady kulistej, albo do innego regionu kosmosu, gdzie na niebie króluje kolistą mgławica.

- W zasięgu tego punktu transferowego istnieją tylko dwa aktywne skróty - stwierdził Rombus. - Nasz pierwszy próbnik na szczęście powrócił. Trafił na jedną z dwóch szans.

- Nie mamy większego wyboru, co? - mruknął dyrektor. - Tutaj - peryferia czarnej dziury w międzygalaktycznej przestrzeni. Tam - wnętrze gromady kulistej lub towarzystwo pierścieniowej mgławicy. - Nie! - szczeknął Jag. - Co „nie”? - Nie... Nie możemy zdać się na ten wybór. Lansing odetchnął z ulgą. - Świetnie. Dlaczego nie? - jego głos był pełen nadziei.

- Ponieważ Bogini Aluwialnych Osadów jest moją patronką - palnął Waldahuden ze śmiertelną powagą. - Ona mnie nie opuści!

Keith oklapł. Ugryzł się w język, żeby ochłoniąc zanim powie coś paskudnego.

- Musi istnieć droga powrotna - perorował natchniony Jag. - Przybyliśmy tu, zatem trzeba nam stąd zawrócić. Podołamy temu, jeśli tylko... - Szybkość! - wrzasnęła

Lianna. Lansing spojrział na nią zdumiony. - Szybkość! Przeszliśmy przez portal z ogromną szybkością... - tłumaczyła pospiesznie. - Być może zakres prędkości w chwili rozpoczęcia transferu decyduje, do której grupy skrótów będziesz mieć dostęp. Zawsze dokonywaliśmy transferu przy stosunkowo niskich prędkościach, aby uniknąć wstrząsów. Poza tym skrót trzeba przejść na ślepo, nie wiedząc co się znajduje po drugiej stronie. Jednak tym razem wpadliśmy do portalu przy ciągłej ułamkowej prędkości światła. Może w ten sposób otworzyliśmy przejście na inny poziom skrótowej sieci...

Keith wbił wzrok w Jaga. Waldahuden z dezaprobatą wzniósł wszystkie cztery górne kończyny.

- To równie dobre wytłumaczenie, jak każde inne - burknął.

- Rombus, wystrzel następną sondę - zdecydował dyrektor. - Opracuj długą trajektorię, aby zdołała rozwinąć prędkość, równą prędkości *Starplex* w momencie transferu. Ustal dokładną szerokość i długość, odpowiadającą punktowi, z którego wyszliśmy. - Czynie to z nieziemską rozkoszą - obwieścił Ib. Wystrzelony próbnik pomknął w przestrzeń, rozpędził się i przeszył skrót. Wszyscy zamarli z zapartym tchem. Nawet pompa Rombusa, działająca niezależnie od bąbla, chroniącego krystaliczny mózg najwyraźniej wyczuła, że dzieje się coś ważnego. Jej centralny otwór tymczasowo wstrzymał stały rytm otwierania, rozciągania, kurczenia i zamykania.

Sonda powróciła. Macki Iba śmignęły po pulpicie konsoli, wydając przy tym głośnie plaśnięcia. Wnętrze obszaru ogrodzonego ramką, wypełnił obraz zarejestrowany przez próbnik. Thor uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Już straciłem nadzieję, że znów będzie mi dane oglądać to чудо! - huknął i dźgnął paluchem w stronę holo zielonej gwiazdy. Lansing westchnął przeciągle. Kamień spadł mu z serca.

- O dzięki!... - wydyszał. - Dzięki Bogini Aluwialnych Osadów.

- Zgodnie z zapisem hiperskopowym sondy, matmaci odsunęli się od portalu na znaczną odległość - zameldował Rombus.

Znakomicie - Keith zatarł ręce. - Thor, lecimy do domu. Prowadź nas kursem, który omówiliśmy wcześniej. Chcę zamienić słówko z Kocim Okiem...

Starplex gnał przez międzygalaktyczną otchłań w kierunku skrót. W trakcie podejścia statek - mikroskopijny wśród ogromu pustki - rozwijał coraz większą szybkość, Thor podtrzymywał silniki na pełnych obrotach. W chwili dotknięcia portalu liliowy pierścień przepuścił stację, która przemierzyła sześć miliardów lat świetlnych - 60 000 000 000 000 000 kilometrów - w mgnieniu oka. Zebrani na mostku urządzili spontaniczną owację, gdy na kulistym hologramie znów zamigotały niezliczone krocie gwiazd. Keitha zapiekły oczy jak wtedy, kiedy ostatnim razem powracał na Ziemię.

Thor bez zwłoki przystąpił do ręcznego nastawiania przyrządów. Nie monitorowali zielonej gwiazdy na tyle długo, by obliczyć trajektorię jej oddalania się od skrót, więc orientacja pilota co do jej położenia była niezbyt dokładna. Jednak wkrótce naprowadził statek na paraboliczny kurs, opracowany przez Lansinga. Parabola zakreślała szerszy łuk niż poprzednio, wykluczając niebezpieczeństwo płynące z bliskiego sąsiedztwa szmaragdowego słońca, dominującego na firmamencie.

- Skan transpondera *Rumowego Jeźdźca* - polecił dyrektor.

- Rozkaz - Lianna dostroiła aparaturę. - Przykro mi, Keith - rzekła po chwili. - Tu nic nie ma.

Lansing zacisnął powieki. Przecież mogła się uratować, przekonywał sam siebie, mogła przedostać się do innego portalu... mogła...

- Impulsy tachionów! - zamigotał Rombus, co FANTOM przełożył jako okrzyk.

Keith okręcił się z fotelem, aby spojrzeć na skrót, który właśnie ogromniał w opływający purpurą kształt - klasyczny zarys poprzecznego przekroju statku Wspólnoty. - To *Rumowy Jeździec*! - ryknął Thor.

- Nadchodzi sygnał. - Lianna sięgnęła do przycisków i hologram uszczęśliwionej twarzy Rissy wypełnił przestrzeń w ruchomej ramce.

- Czołem, przyjaciele! - zawołała Rissa. - To dopiero spotkanie! - Rissa! - Keith zerwał się na równe nogi. - Cześć kochanie - jego żona uśmiechnęła się promiennie.

- Rombus! Czy mogą do nas przycumować na linii kursu, którym lecimy? - zapytał Lansing gorączkowo. - Mogą. Jeśli ich wezmę na hol promieniem traktorowym. Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu. - Proszę, zrób to!

- W porządku, koledzy - przekazał Ib. - Szykujcie się na przyjęcie chwybaka. Szary pysk Butlonosa wyskoczył tuż za projekcją Rissy.

- My gotowi jesteśmy! - zakwilił delfin radośnie. - Do domu wracamy! - Chwył zamknięty - oznajmił pilot. Dyrektor odzyskał spokój i przeszedł do następnej kwestii. - Thor - zagadnął - czy masz zamiary na Kocie Oko?

- Tak. Jest około dziesięciu milionów klików przed nami. Po lewej stronie, mniej więcej na godzinie dziewiątej od zielonej gwiazdy.

- Zlokalizowałam wolną częstotliwość w paplaniu matmatów na wypadek, gdybyś chciał z nim mówić - podsunęła Lianna. - Ktoś musi mieć ostatnie słowo.

- Doskonale - zgodził się Keith. - Trzymaj połączenie. Gdy tylko Rissa wejdzie na pokład, będę chciał wznowić kontakt.

- Wprowadzimy *Rumowego Jeźdźca* do służby numer siedem w ciągu mniej więcej trzech minut - poinformował Ib.

Lansing prawie wyłaził ze skóry. Próbował zabić czas sprawdzając raporty o stanie prac, lecz jego umysł nie rejestrował sensu słów. Nadszedł wreszcie upragniony moment. Rozstąpił się holograficzny nieboskłon i w drzwiach stanęła Rissa, podświetlona blaskiem z korytarza. Keith podbiegł do żony, padli sobie w objęcia i ucałowali się. Reszta zespołu na mostku uczciła jej powrót gromką owacją. Chwilę później w jednym z dwu odkrytych basenów wynurzył się Butlonos. Rissa uklękła przy krawędzi zbiornika i poklepała jego wypukłe czoło.

- Dzięki, że przytargałeś nas całych i zdrowych do domu, stary - mruknęła. Keith przystanął obok nich i w kilku słowach nakreślił sytuację.

- Robimy szybką paraboliczną rundę. Nie podejrzewam, żeby matmaci tym razem zdołali nas dorwać, lecz chcę nawiązać z nimi łączność - dowiedzieć się, dlaczego, do wszystkich diabłów, nas zaatakowali.

Rissa w milczeniu skinęła głową, wstała, pocałowała go jeszcze raz i podeszła do swojego stanowiska. Dotknęła kilku przycisków i uruchomiła program translacyjny. - Czy wciąż mamy wolną częstotliwość? - zapytał Keith. - Tak - odparła Lianna.

- W porządku. Zaczynamy pogaduszki. Lianna, otwórz kanał od mojej konsoli z przekładem automatycznym, ale każde wypowiedziane przeze mnie zdanie nadawaj z pięciosekundowym opóźnieniem. - Popatrzył na żonę. - Będę mówił bezpośrednio do Kociego Oka, lecz jeśli cokolwiek powiem źle lub uznasz, że nie zostanie to właściwie przetłumaczone, natychmiast przerwij i wycofamy wiadomość przed transmisją. Rissa

przypadła. - Gotowe - oznajmiła Lianna.

- „»Starplex« do Kociego Oka” - rozpoczął Lansing. - „»Starplex« do Kociego Oka. Jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy przyjaciółmi.” - Zerknął na licznik. Przy prędkości światła powinno upłynąć trzydzieści pięć sekund, nim przekaz dotrze do Kociego Oka i drugie tyle, zanim nadejdzie ewentualna odpowiedź.

Lecz odpowiedź nie nadeszła. Keith przeczekał dodatkową minutę, i następną. Wdusił przycisk i spróbował jeszcze raz. - „»Starplex« do Kociego Oka”...

Wtedy, z czterdziestosekundowym opóźnieniem w stosunku do pełnego obiegu sygnału, usłyszeli odpowiedź. Były to tylko dwa słowa, wymówione ze starannym francuskim akcentem: „Przyjaciele nie”. - Tak. Jesteśmy przyjaciółmi - powtórzył Keith.

- Przyjaciele nie ranią - nadał matmat, bez opóźnienia wymaganego na dojście transmisji.

Lansing był kompletnie zaskoczony. Czy jakoś zranili matmatów? To wprost nie do pomyślenia, by potrafili mogli uszkodzić tak olbrzymie istoty. Chociaż... może sondy pobierające próbki spowodowały ból. Keith zachodził w głowę, jak ma wyrazić przeprosiny. Słownik opracowany przez Rissę nie obejmował tego typu pojęć. - Nie mieliśmy zamiaru was zranić - powiedział w końcu. - Nie bezpośrednio - odparł Kocie Oka. Keith rozłożył ręce i potoczył wokół zdumionym spojrzeniem. - Czy ktokolwiek coś z tego rozumie?

- Według mnie on chce powiedzieć, że wszelkie wyrządzone przez nas szkody nie były dla matmatów „bezpośrednim zranieniem” - rzekła Lianna z zadumą. - Nie zraniliśmy ich samych, lecz naruszyliśmy - lub zamierzaliśmy naruszyć - coś bardzo dla nich ważnego... Lansing trącił przełącznik transmisyjny.

- Nie mieliśmy zamiaru niczego uszkodzić. A wy... Wy rozmyślnie próbowaliście nas zabić. - Ścigaliśmy was. Nie ścigaliśmy was. Dyrektor wyłączył mikrofon.

- „Ścigaliśmy was. Nie ścigaliśmy was”... - powtórzył i bezradnie wzruszył ramionami. - Są jakieś propozycje? Lianna podniosła ręce do góry. Jag poruszył czterema chwytymi kończynami. Płaszcz sensoryczny Rombusa zgasł. Keith odblokował nadajnik. - Chcemy znów być przyjaciółmi.

Oczekiwanie na przekaz trwało coraz krócej w miarę, jak paraboliczny kurs przybliżał *Starplex* do Kociego Oka. - My też znów chcemy być przyjaciółmi - odparł

matmat. Lansing namyślał się przez chwilę.

- Powiedziałeś, że w jakiś sposób was zraniliśmy. Nie chcieliśmy wyrządzić żadnej szkody. Aby taka sytuacja więcej nie zaistniała, czy moglibyście wytłumaczyć, na czym polegał nasz błąd? Długa cisza w eterze szarpała nerwy. - Walczyliście ze sobą - odrzekł w końcu matmat. - Zaniepokoiła was bitwa? - podchwycił Keith. - Tak. - Obawialiście się, że wybuchy mogą was zranić? - Nie. - Więc dlaczego cisnęliście te statki prosto w słońce? - Ze strachu. - Przed czym?

- Przed tym, że wasze działania mogłyby zniszczyć... punkt, który nie jest punktem. - Czyli skrót? Baliście się, że zniszczymy skrót? - Tak.

- Żadna eksplozja nie zdoła unicestwić skrót. Jest wytrzymały. - Nie wiedzieliśmy.

- Zapytaj, dlaczego ich to obchodzi - szepnął z cicha Jag. Dowódca kiwnął głową.

- Dlaczego w ogóle troszczycie się o skrót? Czy sami z niego korzystacie? - Korzystamy? Nie. Nie korzystamy. - Więc jaki macie powód? - Potomstwo.

- Skróty spełniają ważną rolę w waszych praktykach rozrodczych?

- Nie. Jeden z naszych potomków - przemówił głośnik słowami obcego.

Dyskusja utknęła w martwym punkcie. Poczucie zawodu ogarnęło zarówno matmata, jak i Keitha. Kocie Oko funkcjonował jako nieodłączną część społeczności, której członkowie prowadzili ze sobą rozmowy przez tysiąclecia. Orientowali się w kontekście swych wzajemnych spostrzeżeń, znali przeszłość. Szczegółowe wyjaśnianie myśli było dla nich nienormalne - może nawet obraźliwe...

- Jeden z waszych potomków? - podjął Lansing tonem zachęty. - Tak. Dotknął punktu, który nie jest punktem.

- Mój Boże... Chcesz powiedzieć, że jedno z twoich dzieci przeszło przez skrót?! - Tak. Zaginęło.

- Chryste... - Thor odwrócił się do Keitha. - Już wiemy, co uaktywniło ten portal. Przelazło przez niego małe matmatów! Dyrektor z powrotem opadł na fotel.

- Więc gdyby nasza walka przypadkiem zniszczyła skrót, wasze dziecko już nigdy nie odnalazło by drogi do domu?

- Całkowita racja. Gdy zjawiliście się po raz pierwszy, myśleliśmy, że

przybyliście, aby sprowadzić naszego potomka do domu. - Nigdy o to nie prosiliście. -
Źle prosić.

- Według matmatów to w złym guście - Rissa uniosła brwi. Jej mąż rozłożył ręce.

- Nie wiedzieliśmy o wypadku waszego dziecka. Jak dawno temu wpadło do
skrótów?

- Czas od waszego pierwszego przybycia, pomnożony przez dwa. Keith zerknął w
lewo, na Jaga.

- Mały nie powinien zbyt się oddalić od punktu wyjściowego. Jest jakiś sposób
żeby ustalić, którym portalem wyszedł?

- Cóż... - mruknął Waldahuden. - Młode musiało opuścić już aktywne wyjście.

Lecz jak sami mogliśmy się przekonać, przechodząc przez ten skrót, istnieje o wiele
więcej aktywnych wyjść, niż przypuszczaliśmy. Być może są ich tryliony, skoro
przenikają międzygalaktyczną przestrzeń i inne galaktyki. Ponadto skrót wiruje, więc bez
uzgodnienia co do sekundy kiedy potomek matmatów dokonał transferu, nawet podejście
pod tym samym kątem nie będzie w stanie nam pomóc. Ten mały może być
gdziekolwiek.

- Lecz jeżeli zdołalibyśmy znaleźć małego i bezpiecznie przyprowadzić do
domu... - rzekł Keith z namysłem. - Hm... Byłby to nie tylko dobry uczynek. Zrobimy
także pierwszy krok, by ugruntować dobre stosunki z matmatami. - Rozejrzał się z
zadowoleniem. - Wszyscy za?... - włączył mikrofon. - Czy dziecko ma jakieś imię?
Wyjątkowe słowo określające tożsamość?

- Tak. Nazywa się... - głos komputera wyjaśnił syntezowany dźwięk z głośnika:
„...” - Pojęcie nieprzetłumaczalne. Lansing machnął ręką w stronę kamer FANTOMA. -
Nazwij go... nazwij go Junior - zdecydował. - Przyjąłem.

Mężczyzna poszukał wzrokiem Iba, który oczywiście nawet nie musiał się
odwracać, by odwzajemnić spojrzenie. - Rombus, co myślisz o takiej misji? - zagadnął
Keith. - Czarno to widzę. Możemy trafić z deszczu pod rynnę... - wyznał Rombus. - Ale,
jak już wspomniałeś, umacnianie braterskich stosunków to główne zadanie *Starplex*.
Moja rada - przynajmniej spróbujmy.

- Może poprosimy jednego z nich, by nam towarzyszył? - zaproponowała Lianna.

- Nie ma mowy żebyśmy wspólnie zdołali dokonać transferu. - Thor odwrócił się

twarzą do dziewczyny. - Nie zapomnij, że nawet najmniejsza z tych istot dorównuje masą Jowiszowi. Bez precyzyjnego wyliczenia kąta wejścia, nasz wielki kolega może wylądować w zupełnie innym punkcie, czyli będziemy mieć na głowie dwóch zaginionych matmatów, zamiast jednego. Lansing odblokował mikrofon.

- Spróbujemy odnaleźć waszego potomka - oznajmił. - Czy bylibyście uprzejmi go zawołać? Nagramy to i odtworzymy w każdym miejscu, gdzie mógłby przebywać. Zawołajcie go i przekonajcie, żeby nam towarzyszył. Powiedzcie, że nie zrobimy mu krzywdy i chcemy tylko odprowadzić go do domu. - Nagracie?

- To coś w rodzaju ustnego przekazu. Wy mówcie - my powtórzemy.

- Zaczynamy - uprzedził głos z megafonu. Keith rejestrował w pamięci FANTOMa błagalne nawoływania.

- Gotowe. Wszystko nagraliśmy - zawiadomił Keith gdy Kocie Oko zakończył transmisję.

- Znajdź nasze dziecko - rzekł Kocie Oko. - Ja... słowa niedostępne.

Program ćwiczeń translacyjnych nie obejmował tego tematu. Lecz Keith zrozumiał. Skinął głową.

XXII

Keith siedział w swoim biurze, rozpatrując projekty odnalezienia potomka matmatów. Był pierwszy dzień miesiąca. Holo na jego biurku przestawiło się automatycznie, ukazując teraz Rissę w szortach i bezrękawniku podczas wycieczki przez Wielki Kanion. Projekcja obrazu Emilly Carr przełączyła się na widok Lakę Superior autorstwa A.Y. Jackson.

- Przybył Jag Kandaro em-Pelsh - zaanonsował FANTOM.

- Wpuść go - rzucił Keith nie podnosząc wzroku znad sprawozdania, które czytał.

Wmaszerował Jag i usadowił się w fotelu. Obie pary ramion skrzyżował na masywnej piersi.

- Ja chcę lecieć na poszukiwanie młodego matmatów - oświadczył. Dyrektor odchylił się do tyłu i zmierzył Waldahudena spojrzeniem. - Ty? Płytki zębowe Jaga szcęknięły wyzywająco. - Ja.

Lansing głęboko wciągnął powietrze, wykorzystując czas powolnego wydechu na

zebranie myśli. - To delikatna misja - zaznaczył.

- A ty nie ufasz mi ani trochę - dodał z przekąsem astrofizyk. Poruszył górnymi rękami - Zdaję sobie z tego sprawę, lecz atak na *Starplex* nastąpił bez upoważnienia Królowej Trath. Z kolei agresja na Tau Ceti, o której opowiedziała nam Rissa, była aktem odwetu. Zakończenie konfliktu jest teraz w zasięgu ręki - o ile wy, ludzie, nie zechcecie go rozdmuchać. Pytanie, co wybierzemy, Lansing? Dajemy temu spokój? Czy walczymy dalej? Osobiście jestem gotów do zgody, jak gdyby... - Jak gdyby nigdy nic?

- Alternatywą jest wojna. A ja nie chcę wojny i wierzę, że ty też jej nie pragniesz.
- Ale...

- Wybór należy do ciebie - przerwał ostro Jag. Zaofiarowałem współpracę. Jeśli chcesz tylko... - jak brzmi ta ludzka metafora? - ...wyrwać swój kawał mięsa, odmawiam współpracy. Jednak odnalezienie młodego i sprowadzenie go do domu będzie wymagać najwyższej specjalizacji w zakresie mechaniki skrótów. Magnor jest niezły w tej dziedzinie, lecz ja jestem lepszy. Doprawdy, na obszarze całej Wspólnoty nie ma lepszego specjalisty niż ja. Wiesz, że to prawda. Gdyby było inaczej - nie wyznaczono by mnie na ten statek. - Thor jest godny zaufania - odrzekł Keith po prostu. Prawa para waldahudeńskich oczu przeszywała wzrokiem Lansinga, w chwilę później spoczęło na nim również spojrzenie lewej pary oczu.

- Wybór należy do ciebie - powtórzył Jag. - Masz moje sprawozdanie. - Wskazał sprawozdanie, które dyrektor wciąż ścisnął w dłoni. - To ja zaproponowałem, żeby wysłać patrolowic w ramach poszukiwań małego matmata. I powinienem się znaleźć na pokładzie tego statku.

- Jedyne, czego naprawdę chcesz - wpadł mu w słowo Keith - to dostęp do matmatów dla twojej rasy. Co więcej, sprowadzenie ich dziecka do domu przysporzyłoby ci więcej prestiżu. Waldahuden poruszył dolnymi rękami.

- Twoje słowa są dla mnie krzywdzące, Lansing. Doprawdy, matmaci nawet jeszcze nie wiedzą, że na pokładzie tej stacji znajduje się tysiącosobowa załoga, a co dopiero o tym, że jest to reprezentacja czterech różnych ras.

Lansing namyślał się przez chwilę. Do diabła, nie cierpiał być popędzany. Lecz ta cholerna świ... lecz Jag miał rację. - W porządku - zdecydował wreszcie. - Zgoda. Ty i Butlonos, jeśli wyraża zgodę. Czy *Rumowy Jeździec* jest w jako takim stanie do następnej

wyprawy?

- Doktor Cervantes i Butlonos oddali go do naprawy w Wielkiej Centrali - rzekł Waldahuden. - Rombus Twierdzi, że statek jest gotów do kosmicznej podróży. Dyrektor podniósł wzrok. - Interkom: Keith do Thora.

Hologram głowy Thoralda Magnora pojawił się w powietrzu nad pulpitem biurka. - Tak, szefie? - Co z naszą jazdą przez skrót?

- Nie ma sprawy - odparł pilot. - Oddalenie zielonej gwiazdy pozwala teraz na dowolny kąt wejścia. Chcesz, żebym zaprogramował lot? Lansing potrząsnął głową.

- Nie dla całej stacji. Tylko dla *Rumowego Jeźdźca* i pojedynczej, jednoosobowej kapsuły. Zamierzam powrócić do Wielkiej Centrali, żeby spotkać się z Premier Kenyatta - ponownie spojrzął na Waldahudena. - Bez względu na to, co powiedziałaś, Jag, słono przyjdzie za to zapłacić.

To był ostateczny, wielki rajd przez dwadzieścia skrótów wokół galaktyki - szybka inspekcja wszystkich aktywnych punktów wyjściowych. *Rumowy Jeździec*, z Jagiem i Butlonosem na pokładzie, wystrzelił z doków *Starplex* i po tradycyjnym akrobatycznym popisie Butlonosa pomknął w stronę skrót.

Jak zwykle portal napęczniał w chwili kontaktu ze statkiem. Purpurowy obszar nieciągłości przesunął się od dziobu do rufy, wyrzucając pojazd w innym sektorze kosmosu. Wyjście z pierwszego portalu nie przyniosło nic szczególnego. Były tam tylko gwiazdy, nieco mniej stłoczone, niż po drugiej stronie.

Jag uważnie śledził aparaturę. Robił skan hiperprzestrzeni, poszukując jakiegokolwiek skupienia dużej masy w promieniu dnia świetlnego od skrót. Odnalezienie potomka matmatów stanowiło nie lada problem. Niewidzialna ciemna materia z powodu wszystkich specyficznych właściwości była niezwykle trudna do wykrycia, podobnie jak emitowane przez nią bardzo słabe sygnały radiowe. Lecz nawet u młodego matmata ciężar dochodził do 1037 kg. Taka masa musiała tworzyć w lokalnej czasoprzestrzeni wgłębienie, wykrywalne w hiperprzestrzeni. - Nic? - zapytał Butlonos. Jag tylko rozłożył dolne ramiona.

Delfin wygiął się w zbiorniku i *Rumowy Jeździec* zawrócił łukiem w kierunku portalu. - Znowu my lecimy - ćwierknął Butlonos.

Statek pikował w cel... - i wystrzelił w sąsiedztwie pięknego systemu gwiazdy

podwójnej. Strumienie gazu z rozdętego, spłaszczonego czerwonego giganta ciągnęły w stronę jego maleńkiego, błękitnego towarzysza.

Jag sprawdził przyrządy. Nic. *Rumowy Jeździec* wykonał podwójną pętlę, śmignął w dół, kierując się na skrót i zanurkował, skąpany przez mgnienie oka w radiacji Soderstroma. Spektakl binarnej pary ustąpił miejsca panoramie nowego firmamentu. Połowę nieba zasnuwała żółto różowa mgławica, zaś w jej sercu tętnił pulsar, na przemian rozjarzający się i przygasający w kilkusekundowych odstępach. - Nic - rzucił Jag. Delfin ponownie zawrócił do skrót. Ekspansja punktu. Pierścień purpury. Dwa nie dopasowane fragmenty nieba. Inny sektor kosmosu.

Sektor, w którym rozpanoszyła się inna zielona gwiazda, wypchnięta ze skrót. Butlonos skręcił w popłochu, by uniknąć zderzenia.

Tym razem skaning zabrał więcej czasu. Pobliskie słońce przesłaniało pole hiperprzestrzennej penetracji skanera. W końcu Jag zdecydował, że tu również nie znajdują młodego matmata.

Następny obrót delfina - i *Rumowy Jeździec* przeszył śrubą wlot do transferu. Wypadli w pobliżu jądra galaktyki przez portal Prekursora - pioniera wszystkich skrótów sieci. Niewykluczone, że uaktywnili go sami jej twórcy. Niebo płonęło żarem bezliku stłoczonych, czerwonych słońc. Butlonos szturchnął kontrolkę końcem pyska. Natężenie pola ekranów ochronnych wzrosło do maksimum. Znajdując się tak blisko serca galaktyki, mogli dostrzec brzeg fioletowego akrecyjnego dysku wokół centralnej czarnej dziury. - Nie tutaj - szczechnął Waldahuden.

Delfin zawrócił statek po zwykłej linii prostej. Nie groziło im, co prawda, pochwycenie w żarłoczne grawitacyjne sidła, jednak wolał nie ryzykować.

Teraz wynurzyli się w obcym, na pierwszy rzut oka, pustym regionie kosmosu. Jednak hiperprzestrzenne skanery sygnalizowały obecność materialnej, niewidocznej masy.

- Ty nie przypuszczasz, tu? - ćwierknął z ożywieniem Butlonos. Jag wzruszył czworgiem ramion.

- Nie zaszkodzi spróbować - mruknął, programując pokładowe radio na odbiór w zakresie pasma dwudziestu jeden centymetrów.

- Dziewięćdziesiąt trzy odrębne częstotliwości w ciągłym użytku - rzekł głośno. -

Jeszcze jedna społeczność matmatów.

Od pierwszego napotkanego skupiska istot z ciemnej materii dzieliły ich dziesiątki tysięcy lat świetlnych, lecz z drugiej strony rasa matmatów liczyła sobie miliardy lat. Niewykluczone, że wszyscy jej przedstawiciele mówili tym samym językiem. Jag przeskanował kakofonię, wychwytyjąc dominującą grupę częstotliwości. Wszystkie były zajęte, więc zaczął nadawać na nieco wyższym zakresie.

- Poszukujemy kogoś zwanego Junior - komputer statku wymienił oryginalne imię młodego matmata. Zapadła cisza, dłuższa niż wymagany czas obiegu sygnału, jednak w końcu nadeszła odpowiedź. - Nie ma tu nikogo o tym imieniu. Kim jesteście?

- Nie czas na pogawędki. Ale wrócimy - Jag przerwał łączność. Statek wykonał w tył zwrot i pomknął do skrótu.

- Ich to brzydko zaskoczyło - zauważył delfin, gdy przeszli przez transfer.

Wyskoczyli w sąsiedztwie globu wielkości Marsa, równie suchego, lecz o barwie żółtawej, nie czerwonej. W oddali lśniło słońce planety, błękitnobiała gwiazda o średnicy dwa razy większej od pozornej średnicy Słońca, widzianego z Ziemi. - Tutaj nic - rzucił Jag.

Tym razem Butlonos pozwolił sobie na luksus i poprowadził *Rumowego Jeźdźca* w taki sposób, aby kula żółtej planety dokładnie zaćmiła słoneczną tarczę. Korona - feeria purpury, granatu i bieli - przedstawiała cudowne zjawisko, a jej rozpiętość niebie przeszła oczekiwania Jaga i Butlonosa. Przez moment napawali się widokiem, po czym dokonali następnego transferu.

Także z tego punktu wyjściowego wychynęła niedawno gwiazda, lecz bynajmniej nie zielona. Podobnie jak w przypadku Tau Ceti, był to czerwony karzeł, mały i ostygły. Jag przejrzał odczyt skanerów. - Nic - warknął.

Jeszcze raz skrót otworzył się jak karminowe usta, by przełknąć statek. Kompletna ciemność. Żadnych gwiazd.

- Obłok pyłowy - stwierdził Jag, falując futrem ze zdumienia. - Ciekawe. Nie było go tutaj, gdy ostatnim razem przechodzono tym wyjściem... - przeszedł do analizy. - Głównie drobiny węgla, jakkolwiek występuje również kilka złożonych molekuł, zawierających formaldehydy i śladowe ilości aminokwasów, do tego... - myślę, że Cervantes będzie chciała tu wrócić - wykrywam DNA. - W obłoku? - ćwierknął Butlonos

z niedowierzaniem.

- W obłoku - potwierdził Jag. - Samopowielające się cząsteczki, bujające swobodnie w kosmosie. - Ale nie matmata, racja? - Racja - mruknął Waldahuden.

- Kiedy indziej rozmyślania - delfin okręcił statek, odpalił dysze rufowe i wycofał statek przez wejście skrótu.

Jeszcze jeden nowy sektor, z którego dopiero co wystrzeliła obca gwiazda. Tym razem intruz był błękitnym słońcem typu-O, nakrapianym mnóstwem purpurowych plam słonecznych. Takiej masy piegów nie powstydziliby się rudzielec w czasie lata. *Rumowy Jeździec* został teraz wyrzucony akurat na skraju jednego ze spiralnych ramion Drogi Mlecznej. Po jednej stronie nieba było aż gęsto od lśniących, młodych gwiazd, rozsianych z rzadka po drugiej stronie. Wysoko w górze widniała gromada kulista, milionowe skupisko sędziwych, czerwonych słońc. A także...

- Bingo! - zawołał Jag, lub przynajmniej wyszczeakał coś, co mogło tak brzmieć po angielsku. - Jest tutaj! - Ja go widzę - przytaknął Butlonos. - Ale...

- A niech to susza wypali! - zaklął Waldahuden. - Został schwytany! - Racja. Schwytany w sieć - zgodził się delfin.

I rzeczywiście. Młode z pewnością musiało zabłąkać się tutaj zaledwie na kilka dni wcześniej, zanim przybyła błękitna gwiazda, wypchnięta z portalu w przybliżonym kierunku, co matmat. Wszystko wskazywało na nieuniknione zderzenie. Co prawda mały okazał się zaskakująco ruchliwy, jak na swobodnie dryfującą planetkę, lecz przyciąganie gwiazdy było olbrzymie. Istotę z ciemnej materii dzieliło od jej powierzchni zaledwie czterdzieści milionów kilometrów - mniej niż odległość Merkurego od Słońca.

- Nie ma mowy, żeby zdołał osiągnąć prędkość ucieczki - orzekł Jag. - Nawet nie jestem pewien, czy da radę utrzymać się na orbicie. Ruch wirowy może porwać go do środka. Z drugiej strony, ten matmat nigdzie nie ucieka.

- Zrób sygnał - doradził Butlonos i włączył nadajnik statku, żeby transmitować nagraną wiadomość na wszystkich częstotliwościach, których używali członkowie społeczności matmatów.

Znawali się mniej więcej trzysta milionów kilometrów od gwiazdy. Transmisja potrzebowała z górą piętnastu minut, aby dotrzeć do matmata, a żadna odpowiedź nie mogła nadejść szybciej, niż przed upływem następnego kwadransa. Czekali. Jag z

nerwów wyłaził ze skóry, zaś Butlonos zabawiał się malowaniem sonarowej karykatury zdenerwowanego Jaga. Żadna odpowiedź nie nadeszła.

- Cóż... - rzekł z namysłem Waldahuden. - Gwiazda emituje zbyt silny szum radiowy, więc może nie zdołaliśmy wychwycić przekazu matmata. Albo on nie mógł nas usłyszeć. - Albo - podchwycił Butlonos - matmat może nie żyje.

Pysk Jaga zadrgał i wydał dźwięk, podobny do strzału z torby. Faktycznie, była to jedyna możliwość, którą odsuwał od siebie jak najdalej. W bliskim sąsiedztwie gwiazdy panował nieprawdopodobny upał. Na półkuli matmata, zwróconej w stronę słońca, mógł osiągnąć ponad 350 stopni Celsjusza - wystarczająco, by stopić ołów. Ani Jag, ani Delacorte nie zgromadzili jeszcze wszystkich szczegółowych informacji na temat metachemii kwarków lśniących. Ale tak wysoka temperatura uszkodziłaby wiele zwykłych cząsteczek złożonych.

Myśli Jaga zaprzętnął inny problem. Na czym polegają, o ile w ogóle istnieją, obrządku pogrzebowe matmatów? Czy chcieliby sprowadzić do domu te planetarne zwłoki? Zerknął na Butlonosa. Delfin unosił się na powierzchni wody udając nieżywego. Jag miał cichą nadzieję, że matmaci są równie wrażliwi...

- Wracamy - zdecydował Waldahuden. - Nie możemy działać na własną rękę.

Rumowy Jeździec pomknął jedną z trajektorii wynalezionych przez Butlonosa i przeszył cel pod dokładnym kątem, pozwalającym osiągnąć punkt wyjściowy, którym rozpoczęli całą serię skoków. *Starplex* trwał na posterunku, połyskując zielenią na tle nocy w szmaragdowym blasku gwiazdy czwartej generacji. W oddali czuwały istoty z ciemnej materii, zespolone pajęczyną gazowych macek. Pozostawało pytanie - co zrobić? rzeź jedną krótką chwilę Jag współczuł Lansingowi. Nie chciałby znaleźć się w nurtach rzeki, która teraz uderzy...

Keith był w swoim apartamencie. Szykował się do wyjazdu na konferencję z premier Kenyatta w Sztabie Głównym Wielkiej Centrali. Zadzwoił brzęczyk.

- Rombus chciałby się z panem widzieć - zaanonsował FANTOM. - Prosi o siedem minut pańskiego czasu.

Rombus? Tutaj? Keith naprawdę potrzebował teraz spokoju, by w samotności przemyśleć kwestie, które poruszy na spotkaniu. Z drugiej strony, sam fakt naruszenia prywatności domowej przez Iba był wystarczająco niezwykły, by wzbudzić ciekawość

Lansinga.

- Czas ofiarowany - odpowiedział zgodnie z kanonami etykiety mieszkańców Monotonii.

- Czy mam przygasić światła podczas wizyty gościa Iba, proszę pana?

Keith wyraził zgodę skinieniem głowy. Jaskrawe panele stropowe pociemniały, a lśniąca biel lodowca na ściennym hologramie Lakę Louis przeszła w przyćmioną szarość.

Rozsunęły się skrzydła drzwi i wjechał Rombus. Jego płaszcz zamigotał w sekwencji powitania. - Witaj Keith. - Cześć, Rombus. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Wybacz, że się wtrącam... - rozpoczął przyjemny głos z brytyjskim akcentem - lecz dziś na mostku poniósł cię gniew.

- Przepraszam, jeśli byłem opryskliwy - odparł Lansing zakłopotany. - Jag doprowadził mnie do szewskiej pasji... Lecz nie powinienem obracać złości przeciwko wam.

- Ach, doskonale skrywałeś złość. Wątpię, byś kogokolwiek uraził. Keith uniósł brwi. - Więc o co chodzi? Rombus milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad oczywistymi sprzecznościami, którym hołduje moja rasa? Mamy obsesję - jak mówicie wy, ludzie - na punkcie czasu. Nienawidzimy go marnować. Mimo to nie szczędzimy czasu na uprzejmości, a także, co zauważyło wielu z was, dokładamy starań, aby nie ranić uczuć.

- Owszem, rozmyślałem nad tym - potwierdził dyrektor. - Jak się wydaje, strata czasu na wymianę grzeczności podlega innym kryteriom, niż wiele poważnych przewinień.

- Właśnie - ciągnął Ib. - Dokładnie tak, z punktu widzenia człowieka. Lecz my postrzegamy to w inny sposób. Łączymy współpracę - nasze przysłowie mówi, że jesteśmy „piastami jednego koła” lub, jak wy mówicie, „palcami u jednej ręki” - z filozofią oszczędności czasu. Pospieszna i nieprzyjazna rozmowa marnotrawi więcej czasu, niż dłuższa, lecz ugodowa dyskusja. - Dlaczego?

- W następstwie przykrego spotkania, poświęcasz mu później więcej czasu w swoim umyśle. Wciąż na nowo roztrząsasz przebieg zdarzeń, rozmyślasz nad swoim każdym słowem, czy gestem - Ib przygasał na chwilę. - Ujrzałeś na przykładzie Drezynki, jak według naszego prawa karzemy przypadki bezmyślnego marnowania czasu. Jeśli

któryś z moich współbraci zmarnotrawi dziesięć minut mojego czasu, postępowanie nakazuje skrócić jego życie również o dziesięć minut. Czy wiesz jednak, że jeżeli Ib zasmuci mnie opryskliwością, niewdzięcznością, czy rozmyślną złośliwością, prawo może zażądać wyższej kary - i odbiera winowajcy zmarnowany przez niego czas, pomnożony szesnastokrotnie? Podobnie jak Waldahudeni, posługujemy się wielokrotnością szesnastki tylko dlatego, że na tej liczbie opiera się nasz system rachunkowy. W rzeczywistości nie da się ściśle określić czasu, straconego na rozmyślanie o przykrym zdarzeniu. Po wielu latach bolesne wspomnienie może... znów nasuwa mi się metafora. Chciałem powiedzieć: „może nieoczekiwanie do ciebie podjechać”, ty powiedziałabyś: „znieńcka podnieść swój wredny pysk”. Zawsze lepiej rozwiązać napiętą sytuację drogą porozumienia, bez wzajemnej urazy.

- Wiec mówisz, że serio powinniśmy przykręcić śrubę Waldahudenom? Zwrócić im szesnastokrotnie za wyrządzone szkody? - Lansing energicznie kiwnął głową. - To faktycznie ma sens!

- Nie zrozumiałeś mnie... niewątpliwie z powodu mojej wątpliwej jasności wyrażania uczuć. Mówię: zapomnij o tym, co zaszło pomiędzy tobą a Jagiem; pomiędzy Ziemią a Rehbollo. Ogarnia mnie rozpacz na myśl, jak wiele twórczej inwencji - jak wiele czasu - zmarnujecie wy, ludzie, podczas tego konfliktu. Nie zważaj na wyboje, lecz staraj się je wygładzić - Rombus przerwał, dając Keithowi chwilę namysłu, po czym zakończył: - Cóż, wykorzystałem siedem minut, które mi ofiarowałeś. Wypada mi już odejść. - Ib potoczył się w stronę wyjścia.

- Tam zginęli ludzie! - krzyknął zanim Keith. - Myślisz, że tak łatwo puścić to płazem? Rombus zahamował.

- Jeśli macie trudności, to tylko dlatego, że sami do nich doprowadziliście. Czy widzisz jakiegokolwiek rozwiązanie, które przywróci zmarłych do życia? Znasz jakiś rodzaj odwetu, który nie pociągnie za sobą więcej ludzkich ofiar? - błysnęła feeria świetlnych punkcików. - Daj spokój... ETA DRACONIS

Szklisty wpatrywał się w Keitha, a Keith wpatrywał się w Szklistego. Coś w zachowaniu istoty podsuwało człowiekowi myśl, że to przedsmak decydującej rozmowy.

- Podczas swej wstępnej przemowy wspomniałeś, że Wspólnota aktualnie jednoczy trzy planety? - zagadnął Szklisty. Lansing przytaknął. - Zgadza się. Ziemię,

Rehbollo i Monotonię. Obcy przekrzywił głowę.

- Praktycznie w tym całym wszechświecie z twoich czasów istnieje zaledwie siedem tysięcy planet zamieszkałych przez miejscowe formy życia, planety te zaś są rozrzucone wśród miliardów galaktyk. Droga Mleczna, oczywiście w twojej współczesności, wykracza daleko ponad przeciętną: skupia na swym obszarze wszystkie z trzynastu inteligentnych ras.

- Zrobię listę - wtrącił Keith z uśmiechem. - i nie spocznę, póki ich nie odzujemy.

- Odszukasz je w końcu, rzecz jasna. Lecz dopiero wtedy, kiedy będą gotowe, żeby je odnaleźć. Udostępnienie przez punkty transferowe międzygwiazdnych podróży nie jest jedynie skutkiem ubocznym przetaczania gwiazd z powrotem w przeszłość. To raczej integralna część planu. A także kłapa bezpieczeństwa, utrzymująca w odosobnieniu dane sektory przestrzeni, dopóki ich rdzenni mieszkańcy nie dojrzeją do samodzielnych lotów kosmicznych. Oczywiście, jeśli dysponujesz właściwym kluczem, jak ja, możesz swobodnie przenikać wszystkie portale, nawet te pozornie uspięne. To ważne, gdyż my, jako twórcy skrótów, będziemy zmuszeni rozpowszechnić ich użytek. Lecz metodę ich funkcjonowania bez pomocy klucza zaprojektowano w celu wychowania międzygwiazdowego społeczeństwa. Wprowadzono ją dla rozwoju wspólnej pokojowej przyszłości, leżącej w interesie nas wszystkich... - Szklisty zamilkł. Kiedy podjął rozmowę, w jego głosie pobrzmiwał cień smutku. - Mimo to nie zdołasz zapisać, ile nieznanymi ras pozostało wam do odkrycia. Usunę twoje wspomnienia z czasu, spędzonego w tym miejscu. Serce zatrzepotało w piersi Lansinga. - Nie rób tego - wykrztusił.

- Obawiam się, że to konieczne. Przestrzegamy polityki izolacji.

- Czy wy... Czy zawsze tak robicie? Porywacie ludzi z przeszłości?

- Z zasady nie, ale cóż... Ty jesteś przypadkiem wyjątkowym. Ja jestem przypadkiem wyjątkowym. - Z jakiej racji?

- Jestem jednym z pierwszych ludzi, którzy stali się nieśmiertelni. -

Nieśmiertelny... - głos Keitha zamarł.

- Czyżbym o tym nie wspomniał? Ach, rzeczywiście. Zatem nie czeka cię jedynie bardzo długie życie. Będziesz żył wiecznie.

- Nieśmiertelny... - powtórzył w osłupieniu mężczyzna. Chciał coś dodać, lecz brakło mu słów. - O rany... - wykrztusił.

- Lecz, jak już mówiłem, ty... ja... my stanowimy szczególny przypadek nieśmiertelności. - Jak to?

- Faktycznie istnieją tylko trzy starsze ode mnie ludzkie istoty w całym wszechświecie. Widocznie posiadałem - jak wy to nazywacie? - „predyspozycje”, które umożliwiły wczesne zastosowanie terapii, dającej w wyniku nieśmiertelność.

- Rissa prowadziła badania nad przejawami starzenia. Przypuszczam, że osiągnęła sukces jako współtwórca technik, wiodących do nieśmiertelności. - Ach... Zapewne tak się stało - rzekł cicho Szklisty. - Nie pamiętasz?!

- Nie... I w tym cały problem. Widzisz, pierwszym krokiem do wynalezienia nieśmiertelności było nakłonienie komórek do nieustannego podziału, nie ograniczonego limitem zaprogramowanej śmierci.

- Stała Hayflicka - mruknął Keith. Dowiedział się wszystkiego na ten temat podczas rozmów z Rissą. - Co, proszę?

- Stała Hayflicka. Zjawisko, które ogranicza liczbę podziałów komórki.

- Ach, tak - skojarzył przybysz. - No cóż, przewyżczyli to. Przełamali również odwieczną, naturalną granicę, określając skończoną liczbę komórek mózgu w chwili narodzin oraz fakt, że nie podlegają one naturalnej wymianie. Aby zdobyć klucz do nieśmiertelności, należało zainspirować mózg do nieustannego tworzenia nowych komórek w miarę wyczerpywania się starych, więc...

- Więc jeśli nastąpi wymiana - wpadł mu w słowo Keith - wspomnienia, zmagazynowane w oryginalnych komórkach, są stracone! Szklisty skinął gładką głową.

- Otóż to. Naturalnie, teraz przenosimy dawne wspomnienia do matryc leptonowych. Pojemność naszej pamięci jest nieograniczona. Nie posiadam jedynie dostępu do milionów książek. W chwili obecnej pamiętam zawartość milionów książek, które przeczytałem przez lata. Jednak ja zostałem nieśmiertelnym, zanim wprowadzono tę metodę. Moje wcześniejsze wspomnienia, wszystko, co zdarzyło się przez pierwsze dwieście lat mojego życia - przepadło.

- Jeden z moich najlepszych przyjaciół to Ib zwany Rombusem - rzekł Lansing z namysłem. - Ibowie umierają, gdy ich wcześniejsze wspomnienia ulegają skasowaniu.

Zabija ich napływ świeżych informacji, zacierający pamięć podstawowych, codziennych funkcji autonomicznych. Szklisty przytaknął.

- To niewątpliwie eleganckie rozwiązanie - zauważył. - Bardzo trudno żyć bez poczucia własnej tożsamości, bez pamięci minionego czasu.

- To dlatego poczułeś zawód, gdy powiedziałem ci, że mam zaledwie czterdzieści sześć lat?

- Właśnie. To oznacza jeszcze półtora wieku z mojego życia, o którym nie możesz mi opowiedzieć. Chyba że kiedyś zlokalizuję inną z moich wersji z... powiedzmy, z roku 2250 według twojego kalendarza. - Mimo to zachowałeś w pamięci najbardziej decydująca część. Pamiętasz moje fizyczne dzieciństwo. Pamiętasz moich biologicznych rodziców. Zanim zacząłem z tobą rozmawiać, nie byłem nawet pewien, że ich miałem. Zapamiętałeś moją pierwszą miłość. Te wszystkie wspomnienia utraciłem niewiarygodnie dawno. Ponadto te doświadczenia ukształtowały moje zachowanie, utrwaliły cechy charakteru, odkryły newralgiczne strony mojej psychiki, uświadomiły mi, kim naprawdę jestem - Szklisty zawiesił głos. - Rozważałem przez tysiąclecia, dlaczego obrałem taką, a nie inną drogę postępowania, czemu zadreżam się przykrymi myślami, czemu przyjmuję wobec innych postawę mediatora lub rozjemcy, dlaczego skrywam własne uczucia. I ty dałeś mi odpowiedź: Kiedyś, dawno temu byłem nieszczęśliwym dzieckiem, średnim bratem, małym stoikiem. Nie mogłem dojrzeć przeszłości za linią horyzontu mego życia. Ty otworzyłeś mi oczy. Ofiarowałeś mi bezcenny dar... - urwał i dorzucił prawie beztrąsko: - Dziękuję ci z głębi mego wiecznie regenerowanego serca.

Śmiech Keitha przypominał jęklive poszczekiwanie foki, a drugi Keith zawtórował mu dźwiękiem szklanych dzwoneczków. Wydawane przez nich odgłosy jeszcze wzmogły obopólną wesołość.

- Obawiam się, że na ciebie już czas - westchnął Szklisty. Mężczyzna przytaknął, a po chwili milczenia jego sobowtór ciągnął dalej. - Nie zamierzałem udzielać ci dobrych rad, Keith. Nie moja w tym głowa. Bądź co bądź dzieli nas dziesięć miliardów lat. Pod wieloma względami jesteśmy całkowicie odmiennymi ludźmi. To, co korzystne dla mnie na tym etapie życia, może nie być dobre dla ciebie. Lecz jestem wdzięczny, nieopisanie wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś. Będąc twoim dłużnikiem, chciałbym w ramach rewanżu podsunąć ci pewną myśl. Lansing nadstawił uszu. Czekał. Jego rozmówca

rozciągnął przezroczyste ramiona.

- Byłem świadkiem wielu upadków i wzlotów ludzkiej etyki seksualnej przez całe wieki, Keith - rozpoczął. - Widziałem, gdy ofiarowywano seks tak swobodnie jak uśmiech, i pamiętam, gdy strzeżono go, jakby był cenniejszy niż pokój. Znałem ludzi, trwających w celibacie przez miliard lat. Znałem również takich, którzy zmieniali partnerów ponad milion razy. Rozpowszechniały się stosunki płciowe zarówno pomiędzy przedstawicielami odmiennych gatunków z tego samego globu, jak i pomiędzy tymi, którzy ewoluowali na innych planetach. Z kolei wielu moich znajomych usunęło całkowicie genitalia, by uniknąć następstw takiej miłości. Inni przekształcili się w autentycznych hermafrodytów, zdolnych do prokreacji we własnym zakresie. Jeszcze inni są zmiennopłciowi. Mam przyjaciela, który przeistacza się z mężczyzny w kobietę co tysiąc lat, jak w zegarku. Były czasy, gdy ludzie hołdowali praktykom homoseksualnym, heteroseksualnym, kazirodczym, propagowali rozmaite formy wielożeństwa i prostytutkę, bestialstwo i sadomasochizm. Lecz były też czasy, gdy to wszystko uznano za bezprawie. Widziałem związki małżeńskie, zawierane przy z góry ustalonej dacie wygaśnięcia umowy, spotkałem także małżeństwa, które przetrwały pięć miliardów lat. Ty także, mój przyjacielu, pożyjesz wystarczająco długo, by ujrzeć to wszystko na własne oczy. Jednak pomimo tych doświadczeń, dla ludzi sumienia, takich jak ty i ja, pozostaje jedna niezmienna zasada: jeśli ranisz kogoś, kogo kochasz, popełniasz zbrodnię. Nieśmiertelny pochylił głowę.

- Nie pamiętam Clarissy. Nie pamiętam jej ani trochę. Nie mam pojęcia co się z nią stało. Jeżeli również zyskała nieśmiertelność, być może wciąż istnieje i być może zdołam ją odnaleźć. Darzyłem miłością około tysiąca innych ludzi... śmiesznie mała liczba w porównaniu z przeciętną większością naszych współbraci, choć dla mnie w sam raz. Jednak nie ulega wątpliwości, że Rissa musiała być dla nas kimś bardzo, bardzo wyjątkowym. Świadczy o tym sposób, w jaki o niej mówisz. Szklisty przerwał i Keith odniósł niesamowite wrażenie, że oczy człowieka przyszłości - niewidoczne w gładkim, przejrzystym owalu jajowatej głowy - intensywnie wpatrują się w jego oczy, poszukując utajonej za nimi prawdy.

- Potrafię cię przejrzeć, Keith. Gdy mówiłeś wcześniej, żeby dać sobie z tym spokój i przejść do innego tematu, było dla mnie jasne co ukrywasz... nad czym

rozmyślasz. Zapadła cisza. Nawet leśna fatamorgana wokół nich emanowała spokojem. - Nie rań jej, Keith. Zranisz jedynie sam siebie... - To twoja rada? - upewnił się Lansing. Szklisty lekko wznosił ręce. - Tak jest - odparł poważnie. Mężczyzna popadł w zamyślenie. - Jak mam ją zapamiętać? - zapytał z powątpiewaniem. - Przecież oświadczyłeś, że wykasujesz mi z pamięci to spotkanie. - Tę myśl pozostawię nietkniętą. Naprawdę zapomnisz o mnie całkowicie i dojdiesz do wniosku, że sam na to wpadłeś - co oczywiście jest zgodne z prawdą. Keith dumał nad wyborem najważniejszych słów. - Dziękuję. - rzekł w końcu. Szklisty odpowiedział ukłonem. - Czas na ciebie - przypomniał szczerze zasmucony.

Stali naprzeciw siebie z zakłopotaniem mierząc się wzrokiem. Keith zaczął wyciągać dłoń, lecz po chwili opuścił ją z powrotem. Wreszcie po krótkim wahaniu skoczył naprzód i chwycił Szklistego w objęcia. Ku jego najwyższemu zdumieniu przejrzysty człowiek był w dotyku miękki i ciepły. Uścisk trwał zaledwie kilka sekund.

- Być może któregoś dnia znów się spotkamy - rzekł, robiąc krok w tył. - O ile przyjdzie ci ochota złożyć wizytę w dwudziestym pierwszym wieku... Być może to uczynię. Jesteśmy o krok od rozpoczęcia czegoś niesłychanie ważnego. Wspominałem ci na początku, że los wszechświata wisi na włosku i ja - to znaczy ty także, oczywiście - mamy do odegrania kluczową rolę w tym przedsięwzięciu. Skończyłem z socjologią całe wieki temu. Jak zapewne przypuszczasz, wykonywałem tysiące zawodów przez milenia, zaś teraz jestem... nazwałbyś mnie fizykiem. Moja nowa profesja będzie na koniec wymagać podróży w przeszłość.

- Na miłość Boską, zapamiętaj przynajmniej nasze pełne nazwisko - parsknął śmiechem Lansing. - Widnieje w spisie książki adresowej Wspólnoty, lecz nigdy mnie nie odnajdziesz, jeśli je zapomnisz.

- O nie. Tym razem obiecuję, że nie zapomnę ani ciebie, ani przeszłości, którą ze mną dzieliłeś - Szklisty przerwał. - Żegnaj, mój przyjacielu...

Imitacja lasu, wraz ze stojącym w miejscu słońcem, dziennym, bladym księżycem i czterolistnymi koniczynkami szczęścia stopniała, odsłaniając sześcienne wnętrza śluzy. Keith ruszył w kierunku swojej kapsuły.

Szklisty stał nieruchomo w komorze, gdy pojawiło się wyjście w przestrzeń. Znowu magia... nie potrzebował kombinezonu. Lansing wgniół przycisk i niewielka bańka

pomknęła w noc, zabarwioną różowym blaskiem sześciopalczastej mgławicy, która niegdyś była Słońcem. W tyle zaś majaczył coraz słabiej zielonkawobłękitny kosmiczny smok. Mężczyzna skierował pojazd w stronę niewidzialnego punktu transferu, a w momencie gdy statek wszedł w kontakt, Keith poczuł delikatne mrowienie wewnątrz czaszki. Właśnie o czymś myślał - o czymś... Nieważne. Cokolwiek to było, wyleciało mu z głowy.

Ach, oczywiście. Pierścień radiacji Soderstroma na sekundę otulił kapsułę i przed oczami Lansinga rozpostarła się panorama nieba systemu Tau Ceti. Stacja Wielkiej Centrali, zawieszona w przestrzeni po prawej stronie, sprawiała co najmniej dziwne wrażenie w szkarłatnych promieniach świeżo przybyłej karłowatej gwiazdy.

Jak zwykle, gdy powracał w to miejsce, Keith pozwolił sobie na chwilkę niewinnej rozrywki czyli odnalezienie Bootes, a następnie zlokalizowanie Słońca.

Energicznie kiwnął głową i uśmiechnął się szeroko. Zawsze miło wiedzieć, że dobre, stare Słoneczko nie przeszło w nową...

XXIII

Stacja Wielkiej Centrali zawsze przypominała Keithowi cztery obiadowe talerze rozstawione w czworobok, lecz dziś, z niewiadomej przyczyny, kojarzyła mu się z listkiem czterolistnej koniczyny, zawieszonym w gwiazdnej przestrzeni. Każdy z płatków, czy talerzy, miał kilometr średnicy i osiemdziesiąt metrów grubości, co czyniło ze stacji największą w historii konstrukcję, wyprodukowaną na obszarze Wspólnoty. Podobnie jak w przypadku o wiele mniejszego dysku centralnego *Starplex*, na zewnętrznym obwodzie kolistych elementów rozmieszczono wejścia do śluz cumowniczych, z których wiele nosiło znaki firmowe korporacji handlowych stacjonujących na Ziemi. Komputer pokładowy kapsuły podróżnej Lansinga odebrał instrukcje od kontrolera ruchu przy Wielkiej Centrali i skierował pojazd do okrągłego tunelu dokowego, sąsiadującego z olbrzymią karbowaną płytą grodzi, oznaczonych stylizowanym żółtym symbolem Towarzystwa Zatoki Hudsona, wkraczającego obecnie w piąty wiek swej działalności.

Dzięki przezroczystej osłonie kapsuły Keith mógł bez przeszkód zlustrować

otoczenie. Na tle firmamentu dryfowały bezwładnie martwe statki. Holowniki zmierzały do komór dokowych, wlokąc za sobą szczątki maszyn. Jeden z ogromnych talerzy był całkowicie wygaszony, jakby został potężnie trafiony w czasie bitwy.

Gdy tylko kapsuła została zabezpieczona, Lansing wszedł na teren stacji. W przeciwieństwie do *Starplex*, na którym wprowadzono udogodnienia dla ras Wspólnoty, Wielka Centrala należała wyłącznie do ludzi z Ziemi i warunki panujące na pokładzie ściśle odpowiadały ziemskim standardom. Na dyrektora oczekiwał wysłannik rządu. Miał złamaną rękę. Prawdopodobnie doznał urazu podczas bitwy, gdyż siatkę usztywniającą nakładano z reguły po upływie siedemdziesięciu dwóch godzin od wypadku. Adiutant zaprowadził Keitha do reprezentacyjnego biura Petry Kenyatta, Premier Ludzkiego Rządu w prowincji Tau Ceti.

Kenyatta, Afrykanka około pięćdziesiątki, wstała aby powitać gościa. - Witam, doktorze Lansing - wyciągnęła prawą dłoń. Keith potrząsnął nią. Uścisk kobiety był silny, prawie bolesny. - Jestem zaszczycony. - Proszę usiąść.

- Dziękuję. Zanim mężczyzna zdążył usadowić się w fotelu - na zwyczajnym, nie samoprzekształcalnym siedzeniu - ponownie syknęły rozsuwane drzwi i weszła inna kobieta, nieco młodsza od Kenyatty.

- Przedstawiam panu Komisarza Amundsen; jest zwierzchnikiem sił policyjnych Narodów Zjednoczonych na Tau ceti. Keith uniósł się lekko. - Bardzo mi miło.

- Rzecz jasna, termin „siły policyjne” to zwykły eufemizm, wymyślony przez nas na użytek niewtajemniczonych - dorzuciła Amundsen, zajmując miejsce. Lansing poczuł nagły skurecz żołądka.

- Nasze posiłki z Układu Słonecznego i Epsilon Indii są już w drodze - poinformowała Komisarz. - Będziemy gotowi do inwazji na Rehbollo, kiedy tylko się tu zjawią. - Inwazji na Rhebollo? - powtórzył Keith wstrząśnięty.

- Jasne - parsknęła oficer. - Chcemy dorwać te cholerne świnię w pół drogi do Andromedy. Dyrektor potrząsnął głową.

- Przecież jest już po wszystkim. Atak z zaskoczenia udaje się raz. Oni nie mają zamiaru wracać.

- W ten sposób upewnimy się najlepiej?- poparła koleżankę Kenyatta.

- Narody Zjednoczone nie wyrażą na to zgody! - zaproponował Keith.

- Narody Zjednoczone - oczywiście nie - zachnęła się Amundsen. - Delfinom brak stanowczości w tych sprawach. Lecz mamy pewność, że Ludzki Rząd będzie głosował za naszym rozwiązaniem.

Zbulwersowany mężczyzna zwrócił się do wyższej rangą kobiety.

- Byłoby ogromnym błędem zaognić konflikt, pani premier. Waldahudeni wiedzą, jak zniszczyć skrót.

Nie odpowiedziała, lecz szafirowe oczy Amundsen rozszerzyły się ze zdumienia.

- Chyba się przestyszałam. Co pan powiedział?

- Potrafią odciąć nas od reszty galaktyki. Wystarczy, że przerzucą jeden ze swoich statków do Tau Ceti, aby tego dokonać. - Na czym polega technika?

- Na... Nie mam zielonego pojęcia. Lecz nie wątpię, że jest skuteczna.

- Tym ważniejszy powód, aby ich zniszczyć - ucieła Afrykanka.

- Jak im się udało was zaskoczyć? - zagadnęła szefowa policji. - Tutaj, do Tau Ceti, przenieśli transferem jeden ogromny statek bazę, który z miejsca wypuścił sforę myśliwców. Z tego, co rozumiałam z opowiadania doktor Cervantes, gdy tu gościła, wysłali tropem *Starplex* pojedynczy myśliwiec. Jak to się stało, że nie zauważyliście przybycia pierwszego napastnika? - Nowo przybyła gwiazda odgradzała nas od skrót.

- Kto zażądał przesunięcia stacji na taką pozycję? - drażyla Amundsen. Keith zawahał się.

- Ja - zdecydował w końcu. - Ja wydaję wszystkie rozkazy na pokładzie *Starplex*. Prowadziliśmy astronomiczne prace badawcze i musieliśmy odsunąć statek od skrót, aby je ułatwić. Na mnie spada pełna odpowiedzialność.

- Nie ma strachu - syknęła Amundsen, wyszczerzając zęby w trupim uśmiechu. - Świnie nam za to zapłacą.

- Niech pani ich tak nie nazywa - przerwał Lansing ku swemu własnemu zdumieniu. - Co?

- Proszę nie nazywać ich w ten sposób. To są Waldahudeni. - ostatnie słowo wymówił jak szczeknięcie, z doskonałym akcentem i chrapliwością. Kobieta była zaskoczona. - A wie pan, jak oni nas nazywają? Mężczyzna zaprzeczył nieznacznym gestem.

- Gargtelkin - oznajmiła z przekąsem. - „Ci, którzy kopulują poza sezonem”.

Keith z trudem opanował śmiech. Po czym spowaźniał. - Nie możemy doprowadzić do wojny z Waldahudenami. - To oni zaczęli - padła odpowiedź.

Lansing powrócił myślami do swej starszej siostry i młodszego brata. Przypomnił sobie stary, czarno-biały film, a w nim pojedynek hymnów i Marsylianek zagłuszającą Wacht am Rhein. Zaś najsilniej utkwiał mu w pamięci obraz młodej Drogi Mlecznej, nakrytej dłonią jego wyciągniętej ręki. - Nie - stwierdził krótko.

- Co pan rozumie przez „nie”? - zaperzyła się Amundsen i powtórzyła z naciskiem. - To oni zaczęli wojnę.

- Myślę, że to wszystko jedno. Bez różnicy. Istnieją żywe istoty zbudowane z ciemnej materii. Są skróty w międzygalaktycznej przestrzeni. Pojawiają się gwiazdy, powracające z przyszłości. A pani chce dochodzić, kto zaczął? To nieważne. Skończmy z tym. Skończmy z tym tu i teraz.

- Przecież właśnie o tym mówimy - wtrąciła Premier Kenyatta. - Trzeba skończyć z tym raz na zawsze. Trzeba przyłać świniom w ich włochate dupska.

Mężczyzna wzdrygnął się. Oto kryzys wieku średniego - dla nich wszystkich, ludzi i Waldahudenów.

- Pozwólcie mi na lot do Rehbollo. Pozwólcie mi na rozmowę z Królową Pelsh. Zostałem wytypowany do misji dyplomatycznej. Proszę mnie wysłać, abym omówił warunki pokoju. Pozwólcie mi zbudować pierwszy most.

- Zginęli ludzie - odparła nieubłaganie Amundsen. - Właśnie tu, w Tau Ceti, ludzkie istoty poniosły śmierć.

Keith przywołał wspomnienie Saula Ben-Abrahama. Lecz nie był to straszliwy obraz, wciąż powracający w jego pamięci... Obraz czaszki Saula wybuchającej tuż przed jego oczami fontanną czerwieni niczym krwawy kwiat. Teraz wspominał Saula żywego, z wielką czarną brodą, rozciętą szerokim łukiem uśmiechu, Saula, ściskającego w garści kufel piwa domowej roboty. Saul Ben-Abraham nigdy nie chciał wojny. Wyruszył do statku obcych z przesłaniem pokoju i przyjaźni.

A drugi Saul? Saul Lansing-Cervantes - chłopak niezdolny do powtórzenia najprostszej melodii, pielęgnujący idiotyczną kozia bródkę, zawodnik jednej z drużyn baseballowych Harvardu, wielbiciel czekolady - jako obiecujący genialny fizyk, zostałby z miejsca powołany na stanowisko operatora hipernapędu, gdyby doszło do wojny.

- Wcześniej też zginęli ludzie, a nie szukaliśmy zemsty - warknął. Rombus miał rację. Daj temu spokój, powiedział. Daj sobie spokój z tym wszystkim. Lansing poczuł, że wreszcie opuszcza go milcząca zawziętość, którą dusił w sobie od osiemnastu lat. Ogarnął wzrokiem obydwie kobiety.

- W imię poległych - i tych wszystkich, którzy musieliby zginąć w przyszłej wojnie - musimy zdławić iskrę, nim wybuchnie pożar.

Dyrektor wrócił do kapsuły podróźnej, opuścił Wielką Centralę i pognął z powrotem do skrótu. Spór pomiędzy nim a Premier Kenyattą i Komisarz Amundsen trwał wiele godzin. Jednak Keith nie dawał za wygraną. Znalazł wiatrak, którego szukał i z którym musiał się zmierzyć. To była gra warta świeczki... walka o pokój. Nierealne marzenie?

Pomyślał o pełnym cudów życiu prapradziadka. O samochodach i samolotach, laserach i lądowaniu na Księżycu... Pomyślał o cudach w swoim własnym życiu. I o wszystkich cudach, które jeszcze nastąpią.

Nic nie jest niemożliwe. Nawet pokój. Każda technika na dostatecznie wysokim poziomie niczym się nie różni od magii.

Na dostatecznie wysokim poziomie... Rasy dorosły. Osiągnęły stan dojrzałości. Był do tego przygotowany. Przynajmniej on jeden. Inni też muszą to zrozumieć.

Borman, Lovell i Anders przysłaniali Ziemię rozpostartą dłonią. Zaledwie ćwierć wieku później ten sam świat rozpoczął proces rozbrojenia. Einstein nie dożył tych czasów, lecz jego nierealne marzenie, aby zagnać nuklearnego dzina z powrotem do butelki, stało się rzeczywistością.

A teraz zarówno ludzie, jak i Waldahudeni mogli zamknąć w dłoniach całą galaktykę i dane im będzie wspólnie przeżyć wiele jej obrotów.

Pomiędzy rasami trzeba zaprowadzić pokój. Keith mógł tego dokonać. Jakby nie było, co innego pozostało do roboty średniemu z trojga dzieci, mającemu przed sobą miliardy lat życia?

Kapsuła dotknęła skrótu, purpurowe hoło wchłonęło przejrzystą kulę, która wynurzyła się z powrotem w sąsiedztwie zielonej gwiazdy.

Wysoko w górze trwał na posterunku *Starplex*, jak srebrzysto-miedziany brylant na tle rozgwieżdżonego nieba. Lansing dostrzegł otwarte grodzie śluzy cumowniczej

numer siedem i znikający w nich brązowy klin *Rumowego Jeźdźca*, kończącego właśnie proces lądowania. Widocznie Jag i Butlonos przywieźli najświeższe wiadomości, dotyczące poszukiwań dziecka matmatów. Z bijącym sercem Keith włączył program, kierujący przebiegiem cumowania kapsuły.

Dyrektor wpadł na mostek. Co prawda opuścił stację tylko na krótki czas, lecz teraz nade wszystko pragnął uściskać Rissę, która nadal pełniła swoje obowiązki, mimo że przypadał dyżur zmiany delta. Trzymał żonę w objęciach przez kilka sekund, chłonąc ciepło jej ciała. Pucharek grzecznie odtoczył się od stanowiska dyrektora, na wypadek gdyby Keith chciał teraz zająć miejsce przy konsoli. Mężczyzna gestem skłonił go do powrotu, a sam usiadł w fotelu na audytorium z tyłu sali.

Ledwie zdążył to zrobić, znów rozwarły się drzwi mostka. Keith rozpoznał kaczkowaty chód Jaga.

- Matmat jest w potrzasku - szczechnął Waldahuden, pokonując drogę do zwolnionego akurat stanowiska fizyka. - Utknął na bliskiej orbicie gwiazdy, która wynurzyła się z tego samego skrót.

- Nadałeś wezwanie przez radio? - zagadnęła Rissa. - Jakiś odzew?

- Żadnego - odparł Jag. - Lecz gwiazda to prawdziwy zagłuszacz. Nasz przekaz mógł zaginąć w szumach podczas emisji lub straciliśmy odpowiedź gdzieś w eterze.

- Spróbuj usłyszeć szept podczas huraganu... - Lansing potrząsnął głową. - Nic z tego.

Butlonos wystrzelił jak korek na powierzchnię basenu przy sterburcie. - Tym bardziej - ćwierknął - jeśli matmat nieżywy. Keith popatrzył z uwagą na wydłużoną mordkę delfina.

- Słuszny argument - przyznał. - Jak możemy ocenić szansę przeżycia tej istoty? Rissa spochmurniała.

- Nikt z nas nie przetrwałby nawet ułamka sekundy bez wielowarstwowej osłony lub najsilniejszych ekranów ochronnych w bliskim sąsiedztwie gwiazdy. Ten mały jest całkiem bezbronny.

- Nie dość na tym - wtrącił Jag. - To czarny obiekt. Mimo że materia złożona z kwarków lśniących jest przezroczysta dla promieniowania elektromagnetycznego, pokrywający jego powierzchnię pył nie odbija nawet znikomej części promieniowania

światła i ciepła gwiazdy. Młode mogło ugotować się od środka. - Więc co mamy teraz zrobić? - Keith rozłożył ręce.

- Po pierwsze - odparł astrofizyk - powinniśmy umieścić je w cieniu. Trzeba zbudować odbijający parasol z folii i rozwinąć go pomiędzy matmatem a słońcem.

- Czy nasze laboratorium nanotechniczne da sobie z tym radę na miejscu? - zapytał dyrektor. - Prawdę mówiąc, powinienem zlecić technikom z Nowego Pekinu wykonanie osłony i przerzucenie jej tutaj. Lecz widziałem, jaki u nich bałagan, gdy leciałem na konferencję.

Przy stanowisku OpW urzędował młody człowiek, rodowity Amerykanin.

- Dla pewności skonsultuję się z Lianną - odparł. - Jednak sądzę, że sobie poradzimy. Choć nie będzie to proste. Parasol musi mieć rozpiętość ponad stu tysięcy klików. Nawet płaszcz o grubości jednej molekuly pochłonie mnóstwo materiału.

- Bierzcie się do roboty - uciął Keith. - Ile czasu wam to zajmie?

- Przy odrobinie szczęścia sześć godzin. W najgorszym wypadku dwanaście. Rissa poruszyła się niespokojnie.

- Nawet jeśli osłonimy dziecko - co dalej? Przecież jest w pułapce. Lansing zerknął na Jaga.

- Czy możemy użyć parasola jako żagla słonecznego, aby wiatr słoneczny wypchnął matmata z gwiazdnej orbity?

- Dziesięć do trzydziestej siódmej kilogramów? - prychnął Waldahuden. - Nie ma mowy.

- Dobra, w porządku... A co powiesz na to? - zaryzykował dyrektor. - Otoczymy młode pewnego rodzaju siłowym pancierzem ochronnym, potem detonujemy gwiazdę, która przejdzie w nową i...

Przerwało mu istne staccato ujadania - waldahudeński śmiech.

- Masz nieposkromioną wyobraźnię, Lansing. Owszem, prowadzono badania teoretyczne nad kontrolowaniem reakcji przejścia w nową. Sam liznąłem nieco wiedzy na ten temat. Lecz nie jesteśmy w stanie zbudować żadnego ekranu, który ochroni matmata, oddalonego zaledwie o czterdzieści milionów kilometrów od nowej. Wyobraźnia Keitha faktycznie była nieposkromiona.

- Dobra. Spróbujmy inaczej. Przypuśćmy, że wepchniemy nową gwiazdę z

powrotem do skrót. Gdy przejdzie przez portal, zniknie jej przyciąganie grawitacyjne i uwolni małego.

- Gwiazda nie płynie w kierunku skrót, lecz się od niego oddala - parsknął Jag. - Portalu nie przesuniemy. Gdyby zawrócenie gwiazdy leżało w naszej mocy, równie dobrze moglibyśmy wyrwać obiekt wielkości Jowisza z bliskiej orbity wokół słońca. A nie możemy. - Wywrócił oczami. - Może jeszcze jakieś genialne pomysły?

- Tak - odparł po chwili Lansing, patrząc wyzywająco na Waldahudena. - A jakże!

Gdy dyrektor skończył mówić, Jag jeszcze przez jakiś czas siedział z otwartym pyskiem, demonstrując wszem i wobec dwa im błękitno-białe łuki przejrzystych płytek zębowych. W końcu zdobył się na odpowiedź.

- Ja... Wiem, wspominałem, że takie rzeczy są możliwe... - szczechnął niepewnie. - Jednak nigdy nie prowadziłem doświadczeń na taką skalę. Keith wyrozumiale skinął głową. - To oczywiste. Dopóki nie masz lepszej propozycji...

- Cóż - przerwał mu z brooklyńską swadą astrofizyk. - Możemy pozostawić młode matmatów na około gwiazdnej orbicie. Zakładając, że jeszcze żyje, mogłoby teoretycznie - od momentu, gdy rozwiniemy przeciwsloneczny parasol - spędzić tam resztę swej, choćby nie wiem jak długiej, naturalnej egzystencji. Lecz jeżeli twój plan zawiedzie, matmat zginie - Jag zniżył głos. - Wiem, że wciąż kieruje mną żądza sławy, Lansing. I skoro moja rola w tym zadaniu jest kluczowa, niewątpliwie osiągnę swój cel, o ile mu sprostamy. Lecz decyzja nie należy do nas. Właściwie przed tak ryzykownym przedsięwzięciem powinienem zapytać o zgodę naszego... naszego pacjenta. W tym wypadku jest to niemożliwe z powodu zakłóceń radiowych. Proponuję, żebyśmy zrobili to, co członkowie zarówno mojej jak i twojej rasy w podobnych okolicznościach. Zapytajmy najbliższych krewnych. Keith rozważył propozycję i z wolna przytaknął.

- Jasne, masz rację. Powodzenie tego przedsięwzięcia będzie miało przecież decydujący wpływ na nasze stosunki z mat - matami. Psiakrew, nieraz jestem zawzięty, jak dzika świnia.

- Nie ma sprawy - rzucił lekko Jag i zdecydował nie traktować jako obelgi niefortunnie dobranych słów dyrektora. - Plotka głosi, że będziesz miał bardzo dużo czasu, aby zdobyć więcej mądrości. Lansing przemówił do mikrofonu.

- „»Starplex« do Kociego Oka. »Starplex« do Kociego Oka”.

Przez ten absurdalny francuski akcent Keith był prawie pewien, że usłyszy bonjour.

- Witaj, *Starplex* - odparł matmat. - Nie wypada pytać, ale czy...

- Tak - przerwał mu z uśmiechem mężczyzna. - Mamy wiadomości o waszym potomku. Już go zlokalizowaliśmy. Krąży po bliskiej orbicie wokół błękitnej gwiazdy, lecz nie potrafi wyrwać się stamtąd o własnych siłach. -? Żle - odrzekł Kocie Oko. - Żle. Keith przytaknął i dodał pośpiesznie:

- Ale mamy plan, który może - powtarzam, może - umożliwić nam ocalenie dziecka. - Dobrze - odparł matmat. - Ten plan pociąga za sobą duże ryzyko. - Określ.

Keith pytająco spojrział na Jaga, który wzruszył czworgiem ramion.

- Nie potrafię - wyznał człowiek. - Wcześniej nigdy nie podejmowaliśmy takich prób na większą skalę. Prawdę mówiąc, dopiero niedawno się dowiedziałem, że jest to teoretycznie możliwe. Może poskutkuje, może nie - i nie ma sposobu, żeby sprawdzić, która możliwość jest bardziej prawdopodobna. - Dostępny lepszy pomysł? - Nie. W gruncie rzeczy to nasz jedyny pomysł. - Przedstaw plan.

Lansing opisał plan przynajmniej na tyle, na ile pozwalał ograniczony zasób pojęć stworzonego wspólnie słownika. - Trudne - uznał Kocie Oko. - Tak.

Na częstotliwości używanej przez matmata nastąpił długi okres ciszy, lecz na pozostałych kanałach zapanował wzmożony ruch?- społeczność istot z ciemnej materii dyskutowała nad wszelkimi wariantami. Wreszcie Kocie Oko przemówił ponownie.

- Spróbujcie, ale... ale... dwieście osiemnaście minus jeden to o wiele mniej, niż dwieście siedemnaście. Keith westchnął. - Wiem...

„PDQ” (pilotowany przez walenia Melonogłowego) i *Rumowy Jeździec* (z Jagiem i Butlonosem na pokładzie) pomknęły przez skrót do sektora, który uwięził młode matmatów. Wspólnym wysiłkiem obydwu statki rozpostarły parasol o grubości jednej molekuly. Silniki neutralizujące, zamontowane na obrzeżu osłony, rozciągnęły ją, powstrzymując jednocześnie wiatr słoneczny przed zdmuchnięciem konstrukcji. Gdy tylko glob znalazł się w cieniu, temperatura jego nasłonecznionej półkuli zaczęła gwałtownie spadać.

Następnie *Starplex* przetrzucił transferem 112 pośpiesznie skonstruowanych boi, niosących pojemniki, zawierające specjalne wyposażenie. Patrolowce, za pomocą

promieni traktorowych wprowadziły je na połączone orbity wokół matmata.

Na jednym z wysokich, wąskich monitorów Jag wyświetlił hiperprzestrzenną mapę, przedstawiającą poziom lokalnego pola grawitacyjnego z ośrodkiem w centrum gwiazdy. Linie wykresu były idealnie prostopadłe do powierzchni gwiazdy. Odchyłały się jedynie tuż przed nadejściem orbitującego obiektu z ciemnej materii, który tworzył własne, mniejsze pole grawitacyjne.

Kiedy boje znalazły się na swoim miejscu „PDQ” przeleciał obok skrót, bez dokonywania transferu i podtrzymawał kurs przez pół dnia. Wreszcie wszystkie obiekty stanęły w równym rzędzie. Rozpoczął go *Rumowy Jeździec*, następne było młode matmatów, czterdzieści milionów kilometrów dalej płonąła błękitna gwiazda. Trzysta milionów kilometrów za nią znajdował się skrót. Szereg kończył „PDQ”, oddalony o miliard kilometrów. Melonogłowy zatrzymał go całe siedemdziesiąt dwie minuty świetlne od gwiazdy - wystarczająco daleko, by uznać jej najbliższą okolicę za dostatecznie pustą.

- Gotowy? - zaszczekał Jag do Butlonosa, unoszącego się w zbiorniku sterowniczym. - Gotowy! - odszczeknął delfin po waldahudeńsku.

Jag stuknął w przycisk i boje krążące wokół małego matmata ożyły. Każda z nich była wyposażona w generator sztucznej grawitacji, zasilany energią słoneczną czerpaną wprost z błękitnego słońca - ich potężnego przeciwnika. Powoli, unisono boje zwiększały moc. Równie wolno zaczęło rosnać spłaszczające się zagłębienie w ścianie pola grawitacyjnego gwiazdy.

- Ostrożnie - mrucał Jag, z zapartym tchem wbijając wzrok w hiperprzestrzenną mapę. - Ostrożnie...

Zagłębienie robiło się coraz bardziej płaskie. Z największą uwagą czuwano, by nie spłaszczyć pola grawitacji matmata. Gdyby masa młodego została zniesiona, straciłoby spójność i eksplodowało jak balon.

Moc generatorów wciąż rosła, a zakrzywienie czasoprzestrzeni malało i nagle...

Odchylona od strony boi linia pola grawitacyjnego gwiazdy utworzyła prostą. Matmat znalazł się w warunkach, odpowiadających środowisku międzygwiazdnej pustki.

- Całkowita izolacja - uznał Jag. - A teraz spróbujmy go stąd wyciągnąć. -
Włączyć hipernapęd - polecił Butlonos.

Gdy boje antygrawitacyjne, rozmieszczone sferycznie wokół młodego matmata, uruchomiły hiperprzestrzenne generatory pola, cała kula przybrała postać globu wielkości Merkurego, unoszącego się swobodnie w przestrzeni. W ułamku sekundy glob zapadł w nicłość i zniknął.

Boje zaprogramowano, aby odciągnęły matmata od błękitnej gwiazdy możliwie najszybciej. „PDQ” oczekiwał w pobliżu punktu, gdzie niedawny więzień miał wypłynąć z hiperprzestrzeni, wystarczająco daleko od obcego słońca, aby pole hipernapędu mogło się zapaść bez przeszkód.

Rumowy Jeździec ruszył w tym samym kierunku, używając dysz odrzutowych. Gdy mijał skrót, odebrał od Melonogłowego wiadomość radiową, na wyższym zakresie częstotliwości.

- „PDQ” do Butlonosa i Jaga. Dziecko matmatów przybyło. W rzeczywistość przestrzeń wskoczyło tuż przed moim nosem. Zapadnięcie pola hipernapędu oczekiwane nastąpiło. Lecz dziecko żadnych oznak życia nie wykazuje i na moje wezwania nie odpowiada.

Futro Jaga zafalowało melancholijnie. Nikt nie wiedział na sto procent, czy młode przetrwa bez osłony swą błyskawiczną podróż w hiperprzestrzeni. Nawet jeśli przedtem tliła się w nim jeszcze iskierka życia, ta jazda mogła go zabić. Jak na złość, była to zagadka bez odpowiedzi.

Technika spłaszczania przestrzeni zawsze niosła z sobą pewne ryzyko. Dlatego oni sami, zamiast użyć hipernapędu *Rumowego Jeźdźca*, woleli skorzystać z silników odrzutowych, lecąc na spotkanie „PDQ”. Dla zabicia czasu, i aby odsunąć myśli o losie nieszczęsnego matmata, Jag wdał się w pogawędkę z Butlonosem, który, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wyjątkowo prowadził statek po przepisowej linii prostej. - Wy, delfiny - zagaił - lubicie ludzi...

- Raczej tak - pisnął Butlonos po waldahudeńsku. Uwolnił płetwy od przekaźników sensorycznych i przełączył statek na sterowanie automatyczne.

- Dlaczego? - warknął ostro Jag. - Studiowałem historię Ziemi. Ludzie zanieczyszczają oceany, w których pływacie; polują na was i zamykają w zbiornikach; chwytają was w sieci do połowu ryb. - Żaden z nich czegoś takiego mi nie zrobił - odparł delfin. - Nie, ale...

- To właśnie różnica: my nie uogólniamy. Wyjątkowi źli ludzie wyjątkowe złe rzeczy nam robią. Tych, co robią, my nie lubimy. A resztę ludzkości według siebie oceniamy.

- Lecz to chyba oczywiste, że z chwilą odkrycia waszej inteligencji powinni zacząć traktować was lepiej.

- Ludzie odkryli, że inteligentni my jesteśmy, zanim my odkryliśmy, że oni są.

- Co? - zdumiał się Waldahuden. - Przecież to było widać, jak na dłoni. Budowali miasta i drogi, a także... - Nic z tego nie widzieliśmy.

- Faktycznie, przypuszczam, że nie... Ale pływali łodziami, sporządzali sieci, nosili ubrania.

- Nic z tego nas nie zastanowiło. O tych rzeczach my nie mieliśmy żadnego pojęcia, nie było z czym ich porównać. Mięczak muszlę buduje; ludzie tkaniną się okrywają. Osłona mięczaka mocniejsza. Powinniśmy uznać, że mięczak bardziej inteligentny? Mówisz, że ludzie rzeczy budują. My pojęcia budowania nie znamy. Że to oni łodzie budują - nie wiedzieliśmy. My myśleliśmy, może łodzie żyją, lub kiedyś były żywe. Niektóre jak pływające drewno smakowały, niektóre puszczały w wodę chemikalia tak jak niektóre żywe rzeczy robią. Czy wynalazek to jazda na grzbiecie łodzi? Uzналиśmy, że ludzie są jak pasożyty na skórze rekina. - Ależ...

- Oni naszej inteligencji nie dostrzegali. Dobrze nas obserwowali - i nie widzieli. My też obserwowaliśmy - i nic.

- Ależ z chwilą uznania ich inteligencji musieliście zdać sobie sprawę, jak bardzo was krzywdzą.

- Owszem, niektórzy dawniej nas krzywdzili. Ludzie uogólniają i całą swoją rasę winią. Ja się nauczyłem, pojęcie winy przodków - grzech pierworodny - w wielu ich wierzeniach najważniejsze. Każde delfinom za krzywdy wynagrodzić. Dla nas to sensu nie ma.

- Jednak teraz współpracujecie z ludźmi na każdym kroku, co moim współbraciom przychodzi z najwyższym trudem. Jak tego dokonaliście?

- Akceptując ich słabości - zaszczekał cienko Butlonos. - I chwając ich siłę. Jag nie odpowiedział.

Rumowy Jeździec dotarł do celu i zahamował miliard kilometrów za skrótem,

czyli 1,3 miliarda kilometrów od gwiazdy. Jag z Melonogłowym omówili przez radio dokładną trajektorię przemieszczenia matmata. Boje ponownie ruszyły, popychając i ciągnąc wielką, planetopodobną istotę, która, jak przewidywano, zaczęła z powrotem sunąć w kierunku błękitnego słońca, wpadając w jego pole grawitacyjne, wcześniej zneutralizowane. Jednak tym razem na drodze matmata pojawił się skrót. Jeśli plan się powiedzie, potomek matmatów dotknie portalu z lekkim przyspieszeniem dzięki przyciąganiu gwiazdy. Umieszczenie matmata w sąsiedztwie skrótów zabrało cały dzień, choć silniki odrzutowe boi pracowały na pełnych obrotach. Melonogłowy przerzucił do *Starplex* łącznika, ostrzegając, że wkrótce młode powróci na drugą stronę.

Tuż przed wejściem do portalu boje zmniejszyły prędkość, aby matmat dokonał transferu powoli. Przede wszystkim należało zapobiec wyjściu młodego wprost na zieloną gwiazdę w pobliżu *Starplex*. Po wyhamowaniu dostrojono trajektorię i wprowadzono go na precyzyjnie obliczony kurs.

Najpierw przez skrót przemknęło niewielkie stadko boi grawitacyjnych, potem przyszła kolej na „pacjenta”. Matmat dotknął niewidzialnego punktu, który rozciągnął się do rozmiarów napierającego globu. Gigantyczną czarną sferę otoczył płomiennopurpurowy nimb. Jag zachodził w głowę, jakie myśli, o ile młodociana istota żyje, kłębią się w jej umyśle podczas szokującej podróży.

A jeśli matmat żyje i dopiero pod wpływem wstrząsów odzyskał przytomność - co będzie, gdy wpadnie w panikę? Co będzie, jeżeli nie zdoła pojąć sensu swojej obecności częściowo w jednym, a częściowo w innym sektorze kosmosu? Może wstrzymać siłą własny transfer. Jag brnął w rozważaniach dalej. Jeśli stwór wtedy zdechnie i utknie w przejściu, to być może nie da rady go stamtąd usunąć. Wnętrze skrótów przylega ściśle do powierzchni przechodzącego obiektu, więc zastosowanie generatorów grawitacyjnych do asekuracji jest wykluczone. W efekcie *Rumowy Jeździec* i „PDQ” zostałyby uwięzione tutaj na zawsze - gdzieś na krańcu ramienia Perseusza, dziesiątki tysięcy lat świetlnych od którejkolwiek z rodzimych planet ich załogi.

Matmat uległ pewnej deformacji w momencie wejścia, gdy obrzeża skrótów zacisnęły się wokół niego. Było to zjawisko całkowicie naturalne i nie miało znaczenia dla solidnych pojazdów. Jednak istotę z ciemnej materii tworzył wyłącznie gaz - co prawda egzotyczny, złożony ze lśniących kwarków, lecz mimo wszystko gaz.

Waldahuden obawiał się również, że młode zostanie przepołowione, jak podczas naturalnego procesu reprodukcji. Niespodziewany podział byłby z pewnością fatalny w skutkach, lecz struktura matmata okazała się nad podziw wytrzymała.

Wreszcie potomek matmatów zakończył transfer. Skrót ponownie się skurczył i zapadł w zwykły stan utajonej egzystencji. Jag poganiał Butlonosa, żeby przeskoczyli na drugą stronę już zaraz, natychmiast i obejrzeni rezultat swych starań. Ale zarówno oni, jak i Melonogłowy na „PDQ” musieli odczekać parę godzin, aby uniknąć kolizji z matmatem, czy choćby uderzenia fali jego potężnej grawitacji.

Dopiero gdy wysłana sonda potwierdziła bezpieczeństwo transferu, Butlonos zaprogramował komputer na lot powrotny. *Rumowy Jeździec* pierwszy zanurkował przez skrót.

Jag potrzebował kilku minut, żeby oswoić się z widokiem, jaki ujrzał po drugiej stronie. Młode było tam, gdzie powinno - w porządku. *Starplex* również. Lecz ze wszystkich stron napierali na niego matmaci, a sam statek, całkowicie pozbawiony oświetlenia, wyglądał na wymarły...

XXIV

Skrót błysnął liliową plamką radiacji Soderstroma, która przeszła w rosnący, purpurowy krąg. Wynurzyła się pierwsza z antygravitacyjnych boi, napędce skonstruowanych na *Starplex*. Potem następne, jedna za drugą, pomknęły przez nieboskłon jak pociski. Do tej pory konwojowały młodego matmata, lecz gdy dokonały transferu przed nim, zostały oddzielone od holowanej masy i wystrzeliły naprzód. Wkrótce wybrzuszył się pod naporem globu i pierścień purpury na niebie znów zaczął rosnać.

Na mostku *Starplex* Thorald Magnor wydał gromki okrzyk na wiwat, zawtórowały mu głosy setek członków załogi, którzy obserwowali spektakl przez okna stacji lub na monitorach.

Kocie Oko i kilkudziesięciu innych, dorosłych matmatów podpłynęło bliżej skrótu, nawołując swego potomka. Przez głośniki na mostku FANTOM nadawał przekład mowy Kociego Oka, lecz wiele słów nie miało odpowiedników. Przywódca matmatów nie ograniczał własnego słownictwa do kilkuset pojęć, opracowanych z Rissą i Hekiem.

- Idź naprzód... Śmiało... do... Tu jesteś... a my... chodź... szybko... Nie...
Naprzód... Naprzód...

Rombus wykorzystał strefę czujników pierwszego pokładu do monitorowania wyłaniającego się młodego, które jak dotąd samo nie wyemitowało ani słowa, przynajmniej nie na częstotliwościach w pobliżu pasma dwudziestu jeden centymetrów. Lianna Karendaughter smutno pokręciła głową. - Porusza się całkiem bezwolnie. Musi być martwy. Keith zacisnął szczęki. Jeżeli mały umarł, cały trud poszedł na marne.

- Niewykluczone - zaoponował, próbując przekonać bardziej siebie niż Lianę - że pojedynczy matmat nie potrafi się poruszać we własnym zakresie. Być może musi zsynchronizować swoje przyciąganie i odpychanie z resztą grupy, a wciąż jest od niej zbyt oddalony.

- Naprzód... - nadawał wytrwale Kocie Oko. - Naprzód... Śmiało... chodź do... Jesteś... Naprzód...

Lansing w życiu nie słyszał, by ktoś próbował pokonać skrót w tak żółtym tempie. Cała frajda polegała właśnie na tym, aby wpaść do skrótów jak burza, wyzwalać los, poczuć dotknięcie magii, zachować jej niepowtarzalny urok.

Młode zakończyło transfer. Skrót zmaleł, lecz po chwili, pulsując lekko, wyrzucił kolejno pozostałe boje antygravitacyjne. Matmat bezwładnie oddalał się od skrótów. Nadal nic nie... - Gdzie... Gdzie...

Ciszę przerwał głosik z francuskim akcentem. Fantom, w przypływie rzadkiej inwencji, nadał słowom istoty dziecięce brzmienie. - W domu... z powrotem... Thor znów wydał grzmiący okrzyk radości. - Żyje! - wrzasnął na całe gardło. Oczy Keitha zasłyły mgłą. Lianna otwarcie płakała. - Żyje! - wykrzykiwał pilot.

Młode żyło, a jakże. Samodzielnie ruszyło na spotkanie Kociego Oka i reszty rodziny. W głośnikach rozległo się wezwanie przywódcy matmatów. - Kocie Oko do *Starplex*. Lansing włączył mikrofon. - Tu *Starplex*, odbiór.

Przed odpowiedzią nastąpiła nieco dłuższa przerwa, jakby matmat szukał sposobu, aby wyrazić swoje uczucia, korzystając tylko z ubogiego słownika. Wreszcie powiedział po prostu: - Jesteśmy przyjaciółmi. Dyrektor uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jasne. Jesteśmy przyjaciółmi - potwierdził.

- Dziecko straciło wzrok - rzekł Kocie Oko. - Wróci znów... do normy, lecz czas

jest niezbędny. Czas i nieobecność światła. Zielona gwiazda błyszczy. Nie tutaj, gdy dziecko wróciło. Lansing skwapliwie przytaknął.

- Możemy zbudować drugą osłonę, żeby ochronić dziecko przed promieniami zielonej gwiazdy. - Więcej - odparł matmat. - Wy.

- No tak... oczywiście. - Keith najwyraźniej się spieszył. - Lianno, zgaś reflektory zewnętrzne, uprzedź załogę i wyłącz światło we wszystkich pokojach z oknami. Jeśli ktoś będzie potrzebował oświetlenia, musi najpierw zasłonić szyby. Piękną twarz Lianny opromienił uśmiech. - Rozkaz.

Starplex pograżył się w mroku, a społeczność olbrzymich istot popłynęła w kierunku bazy i cudem odzyskanego potomka.

„PDQ” wypadł ze skrótu w ślad za „Rumowym Jeźdźcem”. Statki pomknęły lukiem w stronę śluz cumowniczych po otrzymaniu komunikatu, zapewniającego ich załogę, że na *Starplex* wszystko w porządku. Gdy tylko *Rumowy Jeździec* bezpiecznie osiadł w doku Jag wypadł na zewnątrz i pobiegł na mostek.

Gdy wkroczył do pomieszczenia, dyrektor właśnie rozmawiał z Kocim Okiem, lecz zaraz odwrócił się i spojrzał na Waldahudena.

- Dziękuję ci, Jag - rzekł poważnie. - Bardzo ci dziękuję. Fizyk bez słowa skinął głową. Przez głośniki płynął głos matmata. - My do was nieprawidłowo. „Źle - sprostował w myśli Keith. - Źle nas potraktowali”.

- Wy - ciągnął matmat - musieliście przejść punkt, który nie jest punktem z wielką prędkością. - O, nie było tak źle - oświadczył Lansing, urodzony dyplomata - ponieważ dzięki temu ujrzeliśmy naszą grupę setek milionów gwiazd.

- Nazywamy taką grupę - FANTOM przetłumaczył nowy sygnał - galaktyką. - Znacie pojęcie galaktyka? - Keith osłupiał. - Tak. Wiele gwiazd, odseparowanych.

- Zgadza się - Lansing podjął przerwany wątek. - No cóż... Skrót przeniósł nas w miejsce, odległe stąd o sześć miliardów lat. To znaczy, że ujrzeliśmy naszą galaktykę tak, jak wyglądała sześć miliardów lat temu. - Rozumiemy patrząc wstecz - odparł Kocie Oko. - Pamiętacie?! - Pamiętamy. Keith był pod wrażeniem.

- Fascynujące... - wykrztusił. - Sześć miliardów lat temu Droga Mleczna miała całkiem odmienny kształt. Hmm... Przypuszczam, że o tym nie wiecie, lecz obecnie skręca się jak spirala. - Ostrzegawczym błyskiem na konsoli FANTOM dał mu znać, że

użył słowa, które nie posiada jeszcze odpowiednika w przekładzie dla matmatów. Mężczyzna gestem uciszył komputer i próbował wyjaśnić: - Spirala przypomina... przypomina... - szukał najtrafniejszej metafory. Terminy „sprężyna”, czy „ślimak” nie wchodziły w grę. - No, spirala jest jak...

Wreszcie pomógł mu FANTOM, wyświetlając na jednym z monitorów gotową definicję.

- Spirala jest linią tworzoną przez obiekt, krążący wokół centralnego punktu i oddalający się od niego ze stałą prędkością - wyrecytował Keith do mikrofonu. - Rozumiemy spiralę. - Zatem Droga Mleczna jest spiralą z czterema wielkimi... - chciał powiedzieć „ramionami”, lecz tego pojęcia również nie było w słowniku - ...częściami. - Wiemy to. - Wiecie?! - Przerobiliśmy.

Lansing zdębiał. Zerknął na Jaga, lecz Waldahuden tylko wzruszył dolnymi ramionami. Co matmat chciał przez to powiedzieć? Że przerabiał ten temat w szkole podstawowej dla matmaciątek? - Przerobiliście? - powtórzył bezradnie.

- Kiedyś zwyczajne, a teraz... teraz... brak słowa. - Kocie Oko umilkł.

- A teraz piękne - podsunęła Lianna. - To właśnie słowo, którego szukał, idę o zakład. Dyrektor przemówił do mikrofonu.

- Gdy na nie patrzymy jeden plus jeden więcej niż dwa? - zaryzykował. - Dużo więcej. Więcej niż suma ich części. Spirala jest...

- Jest piękna - dokończył Keith. - Więcej niż suma jej części, wizualnie.

- Tak - potwierdził z zapalem Kocie Oko. - Piękna. Spirala. Piękna.

Człowiek w duchu przyznał mu rację. Rzeczywiście, spiralna forma galaktyki przedstawiała dużo ciekawszy widok, niż zwykła elipsa. Z zadowoleniem stwierdził, że ludzie i matmaci mają zbliżone poczucie estetyki. Nic dziwnego, większość kanonów artystycznych opiera się przecież na matematyce. - Tak - powiedział głośno. - Spirale są bardzo piękne.

- Właśnie dlatego je zrobiliśmy - odparł głos z syntezy.

Keith zdrętwiał. Kątem oka dostrzegł, jak Waldahuden zaciska kurczowo wszystkie szesnaste palców w geście dezorientacji. - Zrobiliście je?! - wydusił z trudem dyrektor.

- Potwierdzam. Ustawienie gwiazd - niewielkie holowanie - zabiera dużo czasu.

Wprowadzenie gwiazd na nowy tor. Trud, żeby je tam zatrzymać. - To wy przekształciliście naszą galaktykę w spiralę? - Kto inny? Kto inny, doprawdy... - To niemożliwe... - wyszeptał Keith. Jag zerwał się z fotela.

- Przeciwnie, to całkiem możliwe! - zaszczekał. - Na wszystkich bogów, to ma sens. Jak wspominałem, nie istnieje zadowalająca hipoteza wyjaśniająca, dlaczego większość galaktyk przybiera kształt spiralny. Gdyby zostały celowo przytrzymane w miejscu przez inteligentną ciemną materię... to dla nas wstrząsające, lecz naprawdę ma sens. Lansing zasłonił mikrofon.

- Mówiłeś, że trzy czwarte galaktyk ma spiralny kształt. A co z pozostałymi? Jag wzruszył ramionami. - Zapytaj ich. - Czy wiele galaktyk przekształciliście w spiralę? - Nie my. Inni. - Mam rozumieć, że zrobili to inni członkowie waszej rasy? - Tak. - Dlaczego?

- Wystarczy na nie spojrzeć. Tworzą piękno. Tworzą... coś niewyraźnego przez matematykę. - Sztukę - podpowiedział dyrektor. - Sztukę, tak - rzekł Kocie Oko.

Wstając z fotela, Jag opadł na cztery kończyny. Keith, ku swemu zdumieniu, ujrział to w jego wykonaniu po raz pierwszy.

- Bogowie... - poszczekiwał Waldahuden załamany głosem. - O, bogowie.

- Cóż, ten fakt dokładnie wypełnia hipotetyczną dziurę, o której mówiłeś - mruknął Lansing. - Nawet częściowo tłumaczy twoje wzmianki o obcych galaktykach, obracających się szybciej niż powinny. Rozkręcono je, aby wysnuć spiralne ramiona.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - zawył Jag. - Czy ty nic nie rozumiesz? Nic do ciebie nie dociera? Nie chodzi o jakiś ezoteryczny punkt wśród mnóstwa galaktyk.

Zawdzięczamy im wszystko... wszystko! - Waldahuden chwycił jedną z metalowych nóg, podtrzymujących konsolę dyrektora i dźwignął się do pozycji pionowej. - Tłumaczyłem ci wcześniej, Lansing: trwałe molekuly genetyczne nie mają racji bytu w gęstych skupiskach gwiazd z powodu ogromnego poziomu radiacji. Jedynie dlatego, że nasze rodzinne planety krążą z dala od jądra galaktyki, we wnętrzu spiralnych ramion, zdołało na nich powstać życie. Swoje istnienie - podobnie jak inne formy żywe, stworzone z materii arogancko zwanej przez nas „regularną” - zawdzięczamy jedynie kapryswi istot z ciemnej materii, które zabawiały się gwiazdami, układając z nich artystyczne wzory. Thor odwrócił się twarzą do Waldahudena.

- Ale... przecież największe galaktyki we wszechświecie są eliptyczne - zauważył. Jag podniósł górną parę rąk.

- To prawda. Być może przekształcenie ich jest zbyt skomplikowane lub czasochłonne. Nawet przy użyciu łączności nad - świetlnej - naszego „radia dwa” - przekaz sygnału z jednej strony gigantycznej elipsy na drugą musiałby trwać dziesiątki tysięcy lat. Może to przekracza ich zbiorowe możliwości. Lecz co do galaktyk średniej wielkości - takich jak Andromeda czy Droga Mleczna - dlaczego nie? Każdy artysta ma swoją ulubioną skalę: ulubiony rozmiar płótna, lub ulubiony rodzaj formy literackiej. Średnie galaktyki służą twórcom jako środek... i to właśnie my jesteśmy jego przesłaniem. Thor wyrzucił pięścią w fotel.

- Jezu! On ma rację! - Wytrzeszczył oczy na Keitha. - Pamiętasz, co odpowiedział Kocie Oko, gdy go zapytałeś, dlaczego próbowali nas ukatrupić? „Zrobić was. Nie zrobić was”. Mój stary mówił podobnie, kiedy się wkurzył: „Sprowadziłem cię na ten świat, smarkaczu, i równie dobrze mogę cię z niego sprzątnąć”. Oni wiedzą - matmaci wiedzą, że ich robota umożliwiła powstanie i rozwój naszych form życia.

Jag znów tracił równowagę. Po daremnych wysiłkach dał za wygraną i opadł na cztery kończyny. Wyglądał jak pyzaty czworooki centaur.

- Pomyśl lepiej, jaki to dla nas cios! - zaszczekał. - Oto najgorsze ze wszystkich dotychczasowych upokorzeń. Niegdyś każda rasa Wspólnoty uważała swoją planetę za pępek Wszechświata. Lecz prawda okazała się inna. Potem udowodniliśmy, że musi istnieć ciemna materia - fakt jeszcze bardziej poniżający. Nie tylko nie stanowiliśmy centrum kosmosu, lecz okazało się, że nawet nie jesteśmy zbudowani z materii, która dominuje we wszechświecie! Przypominamy plankton na powierzchni oceanu, „chcemy być najważniejsi, a nie dostrzegamy unoszących nas, nieogarnionych oceanicznych głębi... A teraz to! - zawył. Jego długa sierść falowała w obłędym tańcu. - Pamiętasz, co powiedział Kocie Oko, gdy zapytałeś go, jak długo istnieje żywa ciemna materia? - ciągnął wzburzony. - „Zanim powstały wszystkie gwiazdy. Od początku Wszechświata.” Lansing przytaknął.

- Powiedział, że musieli zaistnieć tak dawno. Musieli! - futro Waldahudena falowało coraz szybciej. - Sądziłem, że to zaledwie jakiś dogmat ich filozofii, lecz byłem w błędzie. Miał całkowitą rację - życie musiało pojawić się z chwilą powstania

Wszechświata, lub tak blisko jego początku, jak na to pozwalają prawa fizyki. Keith zrobił wielkie oczy. - Nie rozumiem...

- Banda aroganckich durniów - oto czym jesteśmy! - grzmiał Jag. - Nie pojmujecie?! Aż do tej pory, mimo wszystkich lekcji pokory, jakich udzielił nam Wszechświat, wciąż próbujemy odgrywać kluczową rolę w dziele stworzenia. Hołdujemy kosmologicznym teoriom, które dowodzą, że celem Wszechświata jest zapewnienie wszechstronnego rozwoju formom życia właśnie takim jak my. Ludzie powołują się na prawo antropiczne, moi współbracia - na prawo aj-Waldahudigralt, lecz jedno i drugie oznacza to samo: desperacką, atawistyczną potrzebę wiary, że jesteśmy niepowtarzalni, że jesteśmy ważni. W zagadnieniach fizyki kwantowej sięgamy do przykładu kota Schroedingera, czy zjawiska kestoora uczonego Taga - do hipotezy, że wszystko jest tylko zbiorem możliwości, falą domysłów, nie potwierdzonych, dopóki jeden z najważniejszych wykwalifikowanych obserwatorów nie dostrzeże ich w tym całym bałaganie i po długiej, żmudnej obserwacji nie zmieni domysłów w pewność. Wciąż mamy czelność twierdzić, że tak funkcjonuje Wszechświat, choć, jak doskonale wiemy, jego wiek sięga wielu miliardów lat, a wiek naszych cywilizacji - zaledwie kilkuset tysięcy lat.

O, tak... - ciągnął Jag z goryczą. - zagadnienia fizyki kwantowej wymagają wykwalifikowanych obserwatorów. To prawda... inteligencja jest niezbędna, by zdecydować, która możliwość stanie się rzeczywistością. Zaślepieni ignorancją sądzymy, że Wszechświat działa bez nas piętnaście miliardów lat i do tego ma obowiązek wspomagać nasz rozwój. Żałosne złudzenia! Inteligentni obserwatorzy to wcale nie my - małe stworzonka, zamieszkujące garstkę światów, rozrzuconych w otchłani kosmicznej pustki. Inteligentni obserwatorzy - to istoty z ciemnej materii, które przez miliardy lat sterowały ruchem galaktyk, by nadać im spiralny kształt. To ich intelekt, ich obserwacje i odczucia stworzyły kwantowe podstawy materialnej rzeczywistości. Jesteśmy niczym...niczym! Jedyne nowym wybrykiem natury, lokalnym fenomenem... Strzępkiem pleśni w olbrzymim kosmosie, który ani nas nie dostrzega, ani nie potrzebuje. Kocie Oko miał absolutną rację mówiąc, że jesteśmy nieistotni. To ich Wszechświat... Wszechświat matmatów. Są jego stwórcami - i naszymi także!

XXV

Keith siedział w biurze na pokładzie czternastym, przeglądając najświeższe wiadomości z Tau Ceti. Raport był krótki. Na Rehbollo siły podległe Królowej Trath stłumiły powstanie przeciwko niej, a dwudziestu siedmiu konspiratorów stracono podczas zbiorowej egzekucji, której dokonano tradycyjną metodą. Skazańców wrzucono do wrzącego szlamu.

Lansing przejrzał blok danych. Raport, lakoniczny i naiwny, był pierwszym przekazem dotyczącym politycznych zamieszek na Rehbollo, jaki kiedykolwiek trafił do rąk dyrektora. Niewykluczone, że informacja nie mijała się z prawdą, choć najprawdopodobniej waldahudeński rząd desperacko próbował zdystansować się od nieszczęsnego skandalu. Zadzwieczał dzwonek.

- Przyszedł Jag Kandaro em-Pelsh - zaanonsował FANTOM. Keith zrobił głębszy wdech. - Wpuść go - polecił.

Jag wszedł i zajął miejsce w fotelu. Lewą parę oczu skierował na dyrektora, zaś prawa, lustrowała pokój w poszukiwaniu zagrożenia.

- Przypuszczam, że w tej sytuacji będę musiał wypełnić parę formularzy, które wy, ludzie, tak uwielbiacie - rozpoczął. - Jakich formularzy? i

- Formularzy dotyczących mojej dymisji ze stanowiska na pokładzie *Starplex*. Nie mogę tu dłużej służyć. Keith wstał, by rozprostować kości.

Wszystko musi mieć kiedyś swój czas... dojrzałość, przejście kryzysu wieku średniego, stabilizacja. Wszystko musi mieć swój czas. - Dzieci bawią się w wojnę żołnierzami - rzekł głośno. - Infantylnie rasy posyłają prawdziwych żołnierzów. Może już najwyższy czas, żebyśmy trochę dorosli. Waldahuden milczał przez dłuższą chwilę. - Niewykluczone - odparł.

- Wszyscy mamy lojalność zakodowaną w genach - podjął mężczyzna. - Nie będę się domagał twojej rezygnacji.

- Sugerowałeś, że jestem czemuś winien. Zaprzeczyłem. Mówiłem prawdę, a ty wciąż nie umiesz tego pojąć. Może... może twoi pobratymcy nigdy nie zdołają mnie zrozumieć...Iz wzajemnością. - Jag zawahał się. - Nic z tego... Najwyższy czas, żebym wrócił na Rehbollo.

- Przed nam i jeszcze mnóstwo pracy - zaoponował łagodnie dyrektor.

- Niewątpliwie tak. Lecz już zrealizowałem cel, jaki sobie wyznaczyłem. - Aha... - mruknął Lansing w przebłysku zrozumienia. - Chcesz powiedzieć, że osiągnąłeś wystarczającą sławę, by zdobyć Pelsh?

- Otóż to. Udział w odkryciach związanych z matmatami zapewni mi pozycję najwybitniejszego uczonego na Rehbollo - Jag zamilkł na moment. - Pelsh wkrótce podejmie decyzję. Nie mogę dłużej zwlekać. Keith rozważył w myśli jego słowa... - Żadna waldahudeńska kobieta nigdy nie pracowała na *Starplex*. Po upływie mojej kadencji przekażę stanowisko dyrektora przedstawicielowi Ibów. Przypuszczam, że Pucharek będzie godnym następcą. Jednak, gdy minie termin jego urzędowania, przypadnie kolej na was - a wiem, że Waldahudenowie zażądają, by dowódcą została kobieta. A gdybyście tak razem powrócili na pokład *Starplex*? Jak słyszałem, Pelsh jest wprost stworzona na kierownicze stanowisko. Futro Jaga zmarszczyło się w wyrazie zdumienia.

- Nie możemy tego zrobić - rzekł po chwili. - Mimo wszystko nadal będziemy częścią większej grupy. Męski dwór musi towarzyszyć swej pani do końca jej życia. Keith wybałuszył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że rywale, którzy ubiegali się o jej względy, nie spróbują szukać szczęścia gdzie indziej?

- Oczywiście. Pozostaniemy jedną rodziną. Ślubowaliśmy Pelsh już w dzieciństwie.

- Przecież wszyscy - cała wasza szóstka - możecie pełnić służbę na *Starplex*... Jag zaprzeczył ruchem dolnych ramion.

- *Starplex* jest dla najlepszych i najbardziej inteligentnych. W rozmowie z Waldahudenem nigdy nie wyraziłbym lekceważenia wobec pozostałych adoratorów mojej pani, lecz tobie mogę wyjawić prawdę. Z moich czterech konkurentów trzech nawet nie próbowali ze mną rywalizować. Nigdy. Tylko jeden stanowił, i stanowi, poważne zagrożenie. To było jasne od początku. Pozostali... to przeciętniacy.

- Sądziłem, że Pelsh należy do królewskiego rodu. Wybacz, ale czemu jej wszyscy konkurenci nie wywodzili się spośród potomków najwybitniejszych rodzin?

- Wielbiciele nie rezygnują ze swej pozycji, nawet gdy przedmiot ich uczuć obdarzy łaską jednego z nich. Zręcznie dobrana grupa adoratorów obejmuje też kilku

członków, którzy zadowolą się gorszą pozycją. Doprawdy, męski dwór złożony z samych, jak wy to nazywacie, supermenów byłby z góry skazany na niepowodzenie. Lansing przemyślał jego słowa. - Cóż... - westchnął. - Jeśli jedynym sposobem, aby cię tu zatrzymać, jest sprowadzenie na pokład całej twojej rodziny, zrobię co w mojej mocy.

- Nawet... nie przypuszczałem, że się na to zgodzisz - wyjąkał Jag. Keith puścił oko - Jestem Ziemianinem.

- A więc - prawdziwy spór o Pelsh rozgorzał pomiędzy mną a jednym z rywali. Nie jest on, rzecz jasna, bezimienny. - Cztery waldahudeńskie źrenice spojrzały prosto w oczy człowieka. - To Gawst Dalajo-em-Pelsh...

- Gawst! - wykrzyknął z niedowierzaniem dyrektor. - Ten, który poprowadził atak na *Starplex*? - Ten sam. Umknął matmatom i powrócił na Rehbollo. Lansing potrzebował kilku chwil, by przetrwać wiadomość. - Pomogłeś mu, co? - rzekł z goryczą. - Nic podobnego.

- Gdybyś tego nie zrobił, cała zasługa sprowadzenia *Starplex* podczas kryzysu na Rehbollo przypadłaby właśnie jemu. Mógłby zostać wybrańcem Pelsh. Natomiast godząc się na współpracę mogłeś liczyć, że sława przypadnie wam obu.

- Na pokładzie *Starplex* przebywa dwustu sześćdziesięciu Waldahudenów - odparł fizyk.

Keith ze zrozumieniem pokiwał głową, lecz okoliczności zajścia nadal nie dawały mu spokoju. - Jeśli nie ty, to może spiskował z nim ktoś z załogi...

- Powiedziałem - fuknął Jag. - O niczym nie wiem. Oczywiście teraz rząd Królowej Trath postawi Gawsta przed sądem. Niewykluczone, że buntownik wkrótce straci wolność, a może i życie... - dodał po chwili. - Podtrzymuję moją ofertę - oświadczył dyrektor.

- Powinienem... powinniśmy to przemyśleć. - Waldahuden zawahał się i uczynił coś, czego nie zrobił dotąd żaden z jego ziomków. Powiedział: „dziękuję”...

Był wieczór. Światła korytarza przygasły. Jak zwykle przed kolacją Keith zajrzał na mostek, by zamienić parę słów z kierownikiem zmiany gamma. Waldahuden, Stelt zameldował, że wszystko idzie gładko, co Lansing przyjął bez zdziwienia, gdyż w razie trudności wezwanoby go natychmiast. Uspokojony, życzył wszystkim dobrej nocy i ruszył w stronę głównego szybu.

Lianna Karendaughter, gibka i seksowna w czarnym, obcisłym kombinezonie, siedziała na ławce w rozszerzonej części korytarza tuż przed drzwiami windy.

Czysty przypadek... Z pewnością nic nie wiedziała o jego rutynowej inspekcji. Musiała czekać na kogoś innego.

Keith po raz pierwszy ujrzał ją z rozpuszczonymi włosami. Nawet nie przypuszczał, że sięgają dziewczynie aż do połowy pleców. - Witaj Keith. - Ciepły uśmiech rozpromienił jej twarz. - Cześć Lianno. Czy... miło spędziłaś dzień?

- Och, wspaniale! Na naszej zmianie - wreszcie chwila wytchnienia. Przez cały dyżur beta pływałam i trenowałam szermierkę. A ty? - Nieźle. Całkiem nieźle.

- To dobrze... - umilkła i wbiła spojrzenie w kauczukową na podłogę. Gdy podniosła głowę, wyraźnie unikała wzroku mężczyzny. - Ja... ach, przypominałam sobie, że Rissa dziś wyjechała...

- To prawda. Wzięła kapsułę i wróciła do Wielkiej Centrali. Jak podejrzewam - uśmiechnął się pod nosem - chce się wybronić od medalu i parady na swoją cześć.

- I tak sobie myślę... - ciągnęła Lianna - że być może przez to będziesz musiał zjeść kolację w samotności... - Przypuszczam, że tak... - tętno Keitha przyspieszyło. Widział uśmiech kobiety. Jej równe, białe zęby, alabastrowo gładką skórę i najpiękniejsze czarne, migdałowe oczy, nie dające mu spokoju nawet w snach.

- Zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś mi towarzyszyć. Mam WOK w apartamencie. Mogę przyrządzić twój ulubiony kurczaka na chrupko, jak obiecałam. - Patrzyła wyczekująco.

Lansing ogarnął szybkim spojrzeniem postać... dziewczyny - pomyślał. Dwudziestosiedmiolatki. Dwadzieścia lat młodszej od niego. Poczul dreszcz podniecenia. Może to tylko niewinna propozycja. Może Liannie naprawdę żal podstarzałego faceta lub zwyczajnie próbuje spoufalić się z szefem. To przecież tylko kolacja... porcja kurczaka... może odrobina koniaku... a może...

- Lianno... zdajesz sobie sprawę, że jesteś niezwykle piękną kobietą. - Podniósł rękę, nie pozwalając jej dojść do słowa. - Wiem, nie powinienem tego mówić, lecz spotkaliśmy się prywatnie. Jesteś przepiękną kobietą. - Spuściła oczy. Przerwał i zagryzł dolną wargę. Wtedy w jego mózgu rozbłysła jedna myśl. Nie rań Clarissy. Zranisz jedynie sam siebie.

- Mimo to - dodał głośno - pozwól, że będę podziwiał cię z daleka.

Na ułamek sekundy zajrzała mu w oczy i znów opuściła wzrok. - Rissa jest bardzo szczęśliwa kobietą... - szepnęła.

- Nie. To ja jestem prawdziwym szczęściarzem - poprawił. - Do jutra Lianno. Skinęła głową. - Dobranoc, Keith.

Wrócił do siebie, zjadł kanapkę, przeczytał do poduszki parę rozdziałów powieści Robertsona Daviesa i wcześniej zapadł w sen. I spał jak suseł, w całkowitej zgodzie z samym sobą.

Nazajutrz początek dnia dla zmiany alfa nie zapowiadał nic nadzwyczajnego. Rombus wjechał na salę punktualnie jak w zegarku. Thor rozsiadł się w fotelu pilota, oparł nogi na konsoli i zaczął dyktować instrukcje dla automatycznego nawigatora. Lianna była całkowicie pochłonięta omawianiem planu całodziennej pracy z maleńkimi holograficznymi głowami swoich inżynierów. W drugim rzędzie Keith prowadził cichą rozmowę z Rissą, która dopiero co wróciła z Wielkiej Centrali.

Rutynowy porządek przerwało wtargnięcie Jaga. Zamiast dumnie wkroczyć Waldahuden dosłownie wpadł na mostek jak burza.

- Znalazłem! - wrzasnął. Choć sądząc po wzburzonym falowaniu jego futra, trafniejszy byłby przekład: „Eureka!”

Lansingowie jak na komendę równocześnie obrócili się w jego stronę. Jag nie podszedł do stanowiska. Przemierzył salę i stanął na przedzie, mniej więcej dwa metry od konsoli Thora. - Co znalazłeś?! - odkrzyknął Keith prosto z mostu.

- Odpowiedź! - wydyszał podniecony astrofizyk. - Znalazłem odpowiedź! - Wziął głębszy wdech. - Wysłuchajcie mnie przez moment. Ten fakt wymaga pewnych wyjaśnień. Lecz jedno ogłaszam na wstępie - to my kierujemy materią! Tworzymy jej różnorodność. Jesteśmy twórcami przemian. O, bogowie gór, rzek, dolin i równin! Twórcami wszelkich przemian! - Jego oczy rozbiegły się po zebranych. Jedno spoczęło na Liannie, drugie na Rombusie, trzecie na Rissie, a czwarte skierował na Thora i Keitha, siedzących przed nim w jednej linii.

- Teraz wiemy, że podróże w czasie z przyszłości w przeszłość są możliwe - mówił dalej. - Ujrzeliśmy na własne oczy, jak dokonały tego gwiazdy czwartej generacji i kapsuła, zbudowana przez Heka i Azmi. Lecz spróbujmy rozważyć wywołane tym skutki.

Przypuśćmy, że jutro w południe użyłem maszyny czasu, by wysłać siebie samego z powrotem do dnia teraźniejszego. Co się wtedy stanie?

- Cóż... - mruknął Lansing. - Wtedy będziemy tu mieli dwóch Jagów: jednego z dzisiaj i jednego z jutra.

- Tak jest. A teraz zastanówmy się głębiej. Jeżeli będzie mnie dwóch, moja masa też się podwoi. Ważę sto dwadzieścia trzy kilogramy, a drugie tyle oznacza już dwieście czterdzieści sześć kilo masy Jaga na pokładzie statku.

- Sądziłam, że to niemożliwe - wtrąciła Rissa. - Zaprzecza temu prawo zachowania masy i energii. Skąd pochodzi to dodatkowe sto dwadzieścia trzy kilo? Jag triumfował.

- Z przyszłości! - szczechnął. - Nie rozumiesz? Przemieszczenie w czasie to jedyna dopuszczalna metoda, aby pokonać to prawo. Jedyny sposób na przyrost całkowitej masy systemu. - Długa sierść falowała w nieustannym tańcu. - A gwiazdy z przyszłości? Wraz z przybyciem każdej następnej masa obecnego Wszechświata się powiększa. Ponadto nawet gwiazdy czwartej generacji są zbudowane z pierwotnych, odtworzonych cząsteczek subatomowych. Poprzez zawrót w czasie do przeszłości cząsteczki te zostają istotnie skopiowane, podwajając swoją masę całkowitą.

- Interesujący efekt uboczny, bez wątpienia... - zauważył Rombus. - Jednak nie tłumaczy, w jakim celu gwiazdy są wysyłane w przeszłość.

- Ależ oczywiście, że tłumaczy! Podwojenie masy to nie tylko efekt uboczny - absolutnie nie! To właśnie główny cel całego przedsięwzięcia. - Przedsięwzięcia? - Keith myślał, że się przesłyszał.

- Tak! Wielkiego przedsięwzięcia ocalenia Wszechświata! Gwiazdy zawraca się w czasie, aby powiększyć masę całego Wszechświata. Dyrektorowi opadła szczęka.

- Dobry Boże... - wyszeptał w przeblasku nagłego zrozumienia.

- Dokładnie. - Czwooro oczu Waldahudena wpiło się w Lansinga. - Od przeszło wieku zdajemy sobie sprawę, że materia widzialna stanowi niespełna dziesięć procent wszelkiej materii, obecnej we wszechświecie. Resztę stanowią neutrina i ciemna materia, taka, jak nasi gigantyczni przyjaciele matmaci. Zrozumieliśmy już, jakie formy przybrała materia Wszechświata, lecz nie wiemy ile jej jest. A los Wszechświata zależy właśnie od ilości zawartej w nim masy. Od tego, czy jej suma lokuje się poniżej, powyżej czy akurat

na poziomie gęstości krytycznej. - Gęstości krytycznej? - podchwyciła Rissa.

- Otóż to. Wszechświat się rozszerza od chwili samego wielkiego wybuchu. Jednak - czy ekspansja będzie trwać wiecznie? To kwestia grawitacji. Zaś wartość grawitacji zależy od zgromadzonej masy. Jeżeli oscyluje poniżej gęstości krytycznej - ciśnienie nigdy nie zdominuje siły pierwotnej eksplozji i Wszechświat będzie się rozszerzał w nieskończoność, rozrzucając cząstki materii coraz dalej i dalej. Zapanuje lodowata pustka, w której pojedyncze atomy rozdzieli przestrzeń wielu świetlnych lat. Rissa zdrząła. - W odwrotnym przypadku - ciągnął Jag - gdy całkowita masa Wszechświata przekroczy gęstość krytyczną - ciśnienie przewyżczy siłę wielkiego wybuchu, spowalniając i, w efekcie, odwracając ekspansję. Wszystko zacznie zapadać się w sobie, kurczyć z chrzęstem w pojedynczą bryłę materii. W sprzyjających warunkach owa bryła eksploduje w następnym wielkim wybuchu, tworząc nowy Wszechświat, być może krańcowo różny od poprzedniego, lecz zbudowany z tych samych cząstek. - To brzmi nieco lepiej - kobieta odetchnęła.

- Owszem - odparł Jag. - Ale jeżeli - powtarzam, jeżeli! - Wszechświat posiada idealną gęstość krytyczną, oraz właśnie dlatego zachowa na zawsze stan równowagi? Ekspansja, spowodowana wielkim wybuchem zostanie wstrzymana siłami grawitacji - czyli asymptotycznie jej wartość spadnie do zera. Kosmos uniknie śmierci w mroźnej otchłani. A także nie skurczy się w supergęsty praatom. Będzie trwać w stabilnej konfiguracji miliardy miliardów lat.

- A co mamy właśnie teraz? - dopytywała Rissa. - Nasz Wszechświat przekroczył gęstość krytyczną, czy nigdy jej nie osiągnie?

- Według obecnych prognoz łączna masa materii widzialnej i niewidzialnej, łącznie z ciemną materią wynosi niespełna pięć procent poniżej gęstości krytycznej.

- Czyli nasz Wszechświat będzie wiecznie się rozszerzał, mam rację?

- Oczywiście. Kosmos umrze śmiercią naturalną, gdy nastąpi kies wszelkiego ruchu w temperaturze absolutnego zera. Rissa rozpaczliwie potrząsnęła głową.

- Lecz tak wcale nie musi być - dokończył Jag. - Jeśli oni powstrzymają ten proces... - To znaczy kto go powstrzyma? - przerwał Keith.

- Istoty z przyszłości - odparł Waldahuden. - Potomkowie ras Wspólnoty. Sam to mówiłeś, Lansing: osiągniesz nieprawdopodobnie sędziwy wiek, żyjąc wiele miliardów

lat. Innymi słowy - będziesz nieśmiertelny. Cóż, prawdziwie nieśmiertelne jednostki zapewne poruszy śmierć Wszechświata, jako faktycznie jedyne zagrożenie dla ich wiecznego istnienia. - A co z entropią? - zagadnęła Lianna.

- Taak... owszem, drugie prawo termodynamiki przewiduje ostateczną śmierć ciepłą każdego zamkniętego systemu. Jednak Wszechświat nie musi być całkowicie zamknięty. Istnieją uzasadnione hipotetyczne przesłanki, że nasz kosmos to tylko jeden z nieskończonej liczby Wszechświatów. Niewykluczone, że kiedyś uda się dostarczyć energię z innego kontinuum, lub po prostu zatrzymać ją w tym układzie, wywołując minimalną entropię, by nasze kontinuum zachowało wieczną stabilność. Tak czy inaczej upłyną niezliczone miliardy lat, zanim staną przed faktem realnego zagrożenia - miliardy lat, by znaleźć na nie antidotum.

- Ależ... to projekt na wprost niewyobrażalną skalę! - wykrzyknął Keith. - Pomyślcie, ile gwiazd musieliby przerzucić w przeszłość przy braku pięciu procent do gęstości krytycznej, aby ustabilizować poziom? Nawet po jednej na każdy skrót to za mało.

- O wiele za mało - przytaknął Jag. - Aktualne obliczenia wskazują na czterdzieści miliardów skrótów w naszej galaktyce. Przyjmijmy, że na każdą setkę słońc, nie tylko na obszarze Drogi Mlecznej, ale i we wszystkich galaktykach Wszechświata, przypada jeden zbudowany przez nich transfer. Gwiazdy stanowią w przybliżeniu dziesięć procent masy Wszechświata. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent to ciemna materia. Gdy przez każdy portal ściągniesz tu jedną przeciętną gwiazdę, powiększysz masę kosmosu o jedną tysięczną jej aktualnej wartości. Aby masa całkowita wzrosła o jedną dwudziestą, czyli o pięć procent, musisz sprowadzić pięćdziesiąt gwiazd przez każdy skrót.

- Jeśli masz pod ręką maszynę czasu, nie musisz się bawić w zbawcę Wszechświata - odparł dyrektor. - Wystarczy, że przeżyjesz z dziesięć miliardów lat, wrócisz do przeszłości, pożyczysz sobie następne dziesięć miliardów, znów wrócisz - i tak dalej, w nieskończoność.

- A jakże. Ciekawe, ile takich cykli powtórzą nasi następcy, zanim stracą cierpliwość i wspólnym wysiłkiem opracują technikę, pozwalającą zrealizować ten projekt? Konieczność nieustannych skoków w czasie oferuje jedynie złudzenie wiecznego życia, nie tylko dlatego, że jakakolwiek budowla, czy inna konstrukcja nie

przetrwa dłużej niż dziesięć miliardów lat. Pętla czasowa ogranicza nieśmiertelność. To sposób godny politowania w porównaniu z planem rzeczywistego przekształcenia Wszechświata i utrzymania go na zawsze w nieziennej formie.

- Też tak myślę - mruknął Lansing z uznaniem. - To dopiero plan!

- O tak - przyznał Waldahuden. - Może nawet zakrojony na szerszą skalę, niż się z początku wydaje. Powiedz: ile wynosi aktualny wiek Wszechświata?

- Piętnaście miliardów lat - rzucił Keith bez namysłu. - To znaczy lat ziemskich, oczywiście. Jag poruszył dolną parą ramion w geście dezaprobaty.

- Obecnie, choć to standardowo wymieniana liczba, żaden astrofizyk nie da jej wiary - zaszczekał. - Piętnaście miliardów to kompromis w obliczeniach egzystencji Wszechświata poprzez dwie drogi rozumowania. Kosmos istnieje albo krócej, czyli dziesięć miliardów lat, albo dłużej, czyli co najmniej dwadzieścia. Do połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku za aksjomat przyjmowano wartość stałej Hubble'a - określającą szybkość ekspansji Wszechświata - wynoszącą w przybliżeniu osiemdziesiąt pięć kilometrów na sekundę na megaparsek, co oznacza, że Wszechświat nadal rozprzestrzenia się z ogromną prędkością od momentu wielkiego wybuchu - choć grawitacja zdążyła już nieco spowolnić tempo ekspansji - zatem nie może mieć więcej, niż dziesięć miliardów lat.

Ale, jak wykazują badania widma najdalszych gwiazd pierwszej generacji, zwłaszcza tych zebranych w gromady kuliste, proces ich zespalandia się przebiega niemal dwukrotnie dłużej. Do tej pory trwaliśmy w przeświadczeniu, że w którejś z tych hipotez tkwi błąd. Lecz być może obydwie są słuszne... Może właśnie teraz obserwujemy jedynie pewien etap projektu, zakrojonego na kosmiczną skalę. Może zbyt pochopnie odrzuciłem sugestię Magnora o możliwości przenoszenia transferem całych gromad kulistych. Może te gromady, złożone z dziesiątków tysięcy słońc, już zostały wypchnięte z przyszłości w przeszłość. Niewykluczone, że pierwotnie Wszechświat zawierał o wiele, wiele mniej niż dziewięćdziesiąt pięć procent materii w stosunku do gęstości krytycznej, więc kluczowa faza projektu jest prawie na ukończeniu.

- Przecież podwojenie masy to efekt tymczasowy - wtrąciła Lianna z niepokojem.

- Aby stać się samym sobą, powracając z dnia jutrzejszego do teraźniejszości powinieneś się pojawić w dwóch osobach. Jednak jutro jedno z twoich „ja” zniknie, powracając w

przeszłość.

- Owszem - odparł Waldahuden. - Lecz między wyjściem z przyszłości a punktem docelowym w przeszłości musisz podwoić swój ciężar. Jeśli przestrzeń, rozdzielająca te punkty liczy dziesięć miliardów lat - wystarczy na bazie dokładnych obliczeń wpłynąć na rozwój Wszechświata. Na dobrą sprawę wcale nie będziesz musiał ciągle powiększać jego masy. Niech siła grawitacji powstrzyma moc pierwotnej eksplozji - jeśli potrafisz tego dokonać, kosmos zachowa swą stabilność - miejmy nadzieję - na zawsze. - Jag przerwał, by zaczerpnąć oddechu. - To największy, znany mi projekt zachowania masy na tak wielką skalę... - wykrztusił. - Alternatywą dla niego jest tylko wyrok śmierci dla całego Wszechświata... - Potoczył wzrokiem po audytorium. - Właśnie my dokonamy cudu. Zwykle, materialne istoty -? lecz istoty posługujące się rękami! - wypełnimy - co ja mówię - odmienimy los Wszechświata... Jesteśmy niezastąpieni!

Ceremonia, odprawiona w ich ulubionej waldahudeńskiej restauracji, była krótka. Za to zgromadziła o wiele większą publiczność, niż ich pierwsze, skromne zaślubiny w Madrycie, tylko w rodzinnym gronie. Jakakolwiek uroczystość stanowiła miłą odmianę na pokładzie *Starplex*.

Thorald Magnor został tego dnia mianowany mistrzem ceremonii, gdyż jako jedyny znał na pamięć rytuał i niezbędne formuły. - Czy ty, Gilbercie Keith - wyrecytował z namaszczeniem - pragniesz ponownie pojąć za żonę tę oto Clarissę Marię i przysięgasz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską w zdrowiu i w chorobie, na dobre i złe?

Lansing ogarnął żonę ciepłym spojrzeniem. Wspominał dzień, dwadzieścia lat temu, gdy po raz pierwszy przeżywali ten rytuał. Cudowny, szczęśliwy dzień... Stworzyli udane małżeństwo - zrównoważone intelektualnie, uczuciowo i psychicznie. Ona przyćmiewała teraz urodą i pewnością siebie tamtą Rissę sprzed lat. A on, wpatrzony w jej wielkie ciemnobrązowe oczy, rzekł drżącym z emocji głosem:

- Przysięgam - i zanim Thor, zwrócony teraz do Rissy, zdążył przemówić, Keith uściśnął rękę żony i dodał głośniejszym głosem, by wszyscy słyszeli: - Na te wszystkie miliardy lat, które będzie nam dane wspólnie przeżyć. Rissa obdarzyła go promiennym uśmiechem

„O, do licha - przemknęło Keithowi przez głowę - pomyśleć, że te dwadzieścia lat to tylko kropla w morzu...” EPILOG

Keith Lansing już od tygodni nie uskarżał się na bezsenność. Właśnie leżał w

łóżku, u boku swej pięknej żony, dryfując na pograniczu jawy i snu. I co z tego, że ani on, ani Rissa, ani Jag, Butlonos, Rombus i miliardy innych obywateli Wspólnoty póki co znaczą tyle co nic w tym zwariowanym Wszechświecie? Co z tego, że byli kosmicznym wybrykiem natury, przypadkowym produktem ubocznym sztuki istot z ciemnej materii? Nadejdzie czas, gdy to właśnie oni odwrócą przeznaczenie - to oni dokonają ostatecznej przemiany Wszechświata...

Keith oprzytomniał w mgnieniu oka. Odsunął płytkę, zakrywającą tarczę zegara. Była 1:47. Usiadł na posłaniu, wsłuchany w biały szum, który nadawany w apartamencie przez audiosystem FANTOMa.

- Jezu... - wyszeptał. - Jezu Chryste...

Przeniesienie w czasie miliardów gwiazd z przyszłości musi zmienić przeszłość... zmienić nieodwracalnie, wprowadzić chaos... Dzieje świata nie potoczą się tym samym torem, jaki wyznaczał pierwotny bieg wydarzeń. Żadną miarą odmieniona przeszłość nie zrodzi tego samego jutra. Nie unikniesz paradoksu - chyba, że...

Chyba, że zaplanowałeś swój własny powrót w przeszłość - do czasów przed nadesłaniem pierwszej materialnej przesyłki z przyszłości... Puls Keitha przyspieszył, krew łomotała w skroniach. Wszyscy przybysze z odległych przyszłych czasów muszą już tu być... Tutaj - gdzieś w teraźniejszości...

Przywołał wspomnienie gładkiej kuli z metalowej - metalu, wysłanego niegdyś w formie bumerangu z Tau Ceti do skrótu Tejat Posterior; metalu przekształconego przez fantastycznie rozwiniętą technikę.

Odźwierni faktycznie zamknęli drzwi przed Wspólnotą... zamknęli drzwi przed własną przeszłością. Wyraźnie dali do zrozumienia, że chcą - muszą - zachować całkowitą separację od swych wcześniejszych wersji...

Prawdziwymi użytkownikami tego skrótu - i niewątpliwie mnóstwa innych - byli ludzie z przyszłości. A wśród nich sobowtór Keitha, który oznaczył podpisem wiadomość na kapsule czasowej, najpewniej sam inicjator i projektodawca planu ocalenia Wszechświata. Keith Lansing, z doświadczeniem wielu miliardów lat, Keith Lansing, który całkiem dosłownie stał się najstarszym i najwybitniejszym z fizyków. Jak bardzo pragnąłby spotkać to drugie ja...

W przyćmionym świetle Keith popatrzył na Rissę, wciąż pogrążoną w głębokim

śnie. Jego niespokojne ruchy zsunęły z niej okrycie, więc delikatnie poprawił prześcieradło i z powrotem opadł na poduszkę. Powoli odpłynął w nieświadomość, śniąc o spotkaniu ze szklanym człowiekiem...

KONIEC